



STEFAN ŻEROMSKI

Popioły, tom I


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska



Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

STEFAN ŻEROMSKI

Popioły

POWIEŚĆ Z KOŃCA XVIII I POCZĄTKU XIX WIEKU

TOM I

Żonie swej ofiaruje ten utwór
Autor

W GÓRACH

Ogary poszły w las.

Echo ich grania słabło coraz bardziej, aż wreszcie utonęło w milczeniu leśnym. Zdało się chwilami, że nikły dwugłos jeszcze brzmi w boru, nie wiedzieć gdzie: to jakby od strony Samsonowskich lasów, od Klonowej, od Bukowej, od Strawczanej, to znowu jakby od Jeleniowskiej Góry... Gdy powiew wiatru nacichał, wynurzała się cisza bezden- na i nieobjęta na podobieństwo błękitu nieba spomiędzy obłoków i wówczas nie słychać było nic a nic.

Naokół stały jodły ze spłaszczonymi szczytami jakoby wieże strzeliste, nie wyprowa- dzone do samego krzyża. Ich pnie sinawe jaśniały w mroku. Mchy stare zwisały z olbrzy- mich gałęzi. Wrósłszy między gałęzi, w niezmierną ławicę skalisk aż do gruntowej posady serdecznym korzeniem, wszczepiając pazury pobocznych skrętów w każdy zuchelek ziemi i wysysając każdą kroplę wilgoci, wielkie jedle chwiałały królewskie swe szczyty w przecią- gu niejednego już wieku pomiędzy mgłami Łysicy. Tu i owdzie stała samotnica, której gałęzie uschły i sterczały jak szczeble obcięte toporem. Sam tylko jej wierzchołek jasno- zielony, z szyszkami w górę wzniesionymi, niby gniazdo bocianie bujał nad przestworem. Gałęzie świerków, na których leżała ciężka pościel śniegowa, zwieszane ku ziemi powy- ginały się w pałąk. Te wyciągnięte zewsząd, z bliska i z daleka, kosmate łapy w białych oponach, wyłożone jak gdyby perłową macicą, zdawały się czaić i czyhać. Radosna zielo- ność najmłodszych, końcowych igieł jaśniała niby wysunięte pazury. Co chwila, ulegając własnemu ciężarowi, czule na każde westchnienie wiatru, sypały się puchy śniegowych owałów i ginęły w podścielisku na ziemi tak bez śladu jak krople deszczu w toni jezio- ra. Ze szczytów zlatywał pyłek ledwie dostrzegalny, tak lekki, że stał długo w powietrzu migocząc swymi kryształami, nim spłynął ku ziemi.

Około południa łagodna odwilż poczęła rozgrzewać śniegi. Wskroś bładoniebieskiego przestworu płynęły białe obłoki, przeniknięte od blasku słońca. Na najwyższych, krzyżo- wych spławach świerków stopniały lód zamieniał się na olbrzymie krople, które w ciemnej zieleni igieł świeciły jak wielkie diamenty. Tam i sam długi sopel, zwisając ze zdrewniałe- go mchu, z kory popękanej i chropawej, miotał snopy zimnych iskier. Niżej, pod śniadym cieniem gałęzi, był dawniejszy, ranny chłód. Niektóre młode *rsioki*, w sobie czerwono- brunatne a żółtawe u szczytu, zgięte pod nadmiernym ciężarem śniegu, trzymały wysokie głowy u samej ziemi nie mogąc oderwać od niej przymarzłych gałęzi. Gdzie indziej ster- czały wykroty pniów wysiepanych z ziemi przez srogie świętokrzyskie wichry, tworząc pod zaspami strachem zionące pieczary.

Rafał, plecami oparty o pień grubego buka, stał bez ruchu i nasłuchiwał.

Nad sobą i przed oczyma miał tęgie, powykręcane, obmarzłe gałęzie o barwie łuski okonia. Cienkie, stalowe różgi były nieruchome, a wielki śniat, ze skrętami i kłębami jak wyprężone mięśnie człowieka, zdał się być duchem mrozu. Olbrzymi buk stał samot- ny, twardy i zimny, jakby nie należał do drzew. Król na Łysicy! Nie drżą przed wiatrem jego gałęzie, pień się nie schyla. Rozłożysty, nad lasy wyniesiony wierzchołek patrzy się z władczego cypliska w szerokie niziny na północ i na południe, ogląda się po górach jed- noramiennych. Pustki wszędy, niwki, wsie... Daleko, za ostatnim wzgórzem łańcucha, za Stróżną, ciągną się w poprzek role, aż do Krajna, aż na szczyt góry Kamienia. Odwieczny buk pamięta za wiosen swej młodości bór nierozdarty w nizinie Wilkowa, Ciekot, Brze- zinek, po górach aż ku Kielcom. Zginęły za jego żywota pod siekierą dąbrowy, oschły między działkami chłopskiej nowiny mokre, zakisłe, nieprzebyte gozdy, z których się wieczne wody sączyły. Tam gdzie kosmaty rsiok wiekami rósł i gnił — wiatr po badyłach świszczę. Połanki ról wżarły się w samą knieję, liszajem pełzną w strzępy jej płaszcza, z roku na rok wdzierają się wyżej aż popod szczyty zawalone głazami Psar, Radostowej... Wysycha u stóp górskich nieciecz, drzew żywicielka, zostaje grunt czerwony i szczyry się kamieniami pod słońcem. Tylko jałowiec osłania jego nagość i rany. Już coraz rzadziej

niedźwiedź ociera się kudłatym ciałem o pień starego buka; coraz rzadziej przychodzi śnić w cieniu jego gałęzi wielkorogi jelen — i wilk-kobylarz nie tak często czatuje tutaj na dropiate jagniątka łani. Już nie świszczą ponad konarami skrzydła orłowe i sęp tylko kiedy niekiedy przylata popatrzeć z wierzchołka w zgrozie i gniewie na zniweczoną dziedzinę.

Wbrew srogim myśliwskim zasadom Rafał zeszedł był ze stanowiska i chyłkiem dotarł do szczytu góry. Przez chwilę stał tam u wejścia na gołoborze i, przejęty głuchą trwogą, patrzył w to miejsce, gdzie wiedźmy, strzygi, błędnice zlatują się o północy i gdzie się ukazuje sam Zły. Gładkie boki olbrzymich złomów kwarcytu iskrzyły się w słońcu ziarnistym szkliwem, jakby sam mróz. Obmarzłe kije, sterczące spod śniegu, były podobne do broni wykutej z kryształu. Stare jodły rzucały cień na połowę urwiska.

Wróciwszy na swe miejsce młody myśliwiec wyteżył słuch... Gdy go do ostatniej granicy na zwiady posłał, ludziło mu się, że i las z nim razem słucha. Cisza była wciąż ta sama, głęboka, głęboka, zaiste niezgruntowana...

Ale oto z krańców leśnych wypłynął gnuśny powiew, ze snu twardego obudzony szept, tchnienie rzewne, przeciągłe długo wstrzymywanego oddechu puszczy łysogórskich. Szczyty drzew pochylały się przed nim jakby we czci, gdy płynął w bory ów śpiew niewysłowiony. Brzmienie jego, ledwo wydobyte z nicości, jak płaczem cichym zdradzone wyznaczenie wzruszeń przedwiecznych, jako jęk bez nadziei, szło z samotni leśnych po wtóre, po trzecie i, sącząc się cichymi odcieniami dźwięków, nicestwiało w otchłani. Zdało się, że ten śpiew zakłęty, mieszkający w drzewach, coś wypomina, że woła... W jasnym powietrzu, między zielonymi kępami igieł płynął pod niebem. Knieja obejmowała go tajemniczym ramieniem swoim, puszcza go znowu brała, matka rodzona, puszcza — dusza praojcowska, puszcza — siostra-miłośnica. Zamierał jak westchnienie ów żalony świst-poświst... Gdzie zamierał?

Może na zburzyszczu wysokich skał, które się po odejściu fal i pian morza rozpadły w rumowie głazów mchami rudymi porośłe... Może w kolisku dębowych pniów, do gruntu zmurszałych, które zwartą strażą otaczają prochy z przyciesi świętej kontyny, gdzie przed wiekami Pogoda łaskawie przyjmowała obiady... Może na czole kamiennym, na twardych piersiach bożyszczka Lelum-Polelum, które śpi w dole nieznanym, mchem tysiąca zim i tysiąca wiosen okryte, i spać będzie nikomu nie znane na wieki wieków... Może w tropach wiecznego jelenia, który między rogami nosi po lasach drzewo krzyża świętego, a ukazuje się ludziom raz na sto lat...

Kiedy nadciągała z daleka owa pieśń lasów, zdało się Rafałowi, że płynąć będzie przez jego ciało tak samo jak przez drzewa. Zapominał wówczas, gdzie jest i co się z nim dzieje. Snuły się w nim wspomnienia nieujęte, niedotykalne, zamglone, przedziwnie żebrzące o pamięć.

Był daleko od tego miejsca, nie pod szczytem Łysicy, na stanowisku. Był w ogrodzie swego dzieciństwa. Tajęła kra i okieść wszystkiego, co rzeczywiste... Ogród zapomniany, na tyłach starego dworu. Rozłożyste jabłonie z pniami w pewnych miejscach zwężonymi od dawnych szczepień, jak butle. Pęki, bukiety różowych kwiatów... Bujny agrest, gęste porzeczki obrosły każdą drożynę. Nad wysokimi trawami, które jeszcze powleka kropłista rosa, wznoszą się śnieżnobiałe, dziewicze drzewka wiśniowe. Zda się, że to chmurki wiosenne, obłoczki ranne z krańców nieba aż tu przyżeglowały i między wysokimi topolami, między starymi parkany bezradnie osiadły. Brzęczą pszczoły, osy, muchy, napęlniają cały sad gwarem, a serce dla niewiadomej przyczyny czcią i grozą. Och, jakże miło, jak radośnie w tym cieniściej rodzinnej sadzie! Za drzewami owocowymi ciągną się niedostępne zarośla, gaje wikłów i rokitnicy. Na kępach, wśród zapleśniałej wody, straszą oczy kudłate wierzby o pniach spróchniałych i lesie bujnych prętów, olchy smutne, czarne z krwawymi odziemkami. Żaby kumkają w wodzie lśniącej grzybieniem i skrzekiem, a niezliczone ptaki pogwizdują. Szmer liści, pogwar owadów i ledwie dające się ująć przyciszone szepty, szmery, syki, ledwie dające się ciałem wyczuć westchnienia czy ciche jęki, jakoby mrowienie i lechtanie przechodzi w poprzek i wzdłuż...

Mały chłopczyk, gadułka zdrowy, szczęśliwy, wesół i rozśpiewany, biegnie ścieżkami tego ogrodu. Skacze u nóg ojca niosącego nabitą strzelbę i dba o to tylko, żeby w rosach nóg nie zamoczyć. Tu rzuca mu się w oczy biedronka pełzająca po mokrym liściu, tam ślimak zaczerpnął w białej rosie; promień słońca padł na pąsowy kielich tulipana, świeżo rozkwitły tego poranka... Cicho, cicho... W gąszczach rozlega się słodki i wesół jak

sama wiosna, jak dusza dziecięca, głos wiwilgi. Wtem z łoskotem piorunu wybucha strzał i huczy w drzewach. Serce drętwieje i staje w biegu. Radosne ciało całe drży... Z wyżyny wiązu rosnącego w kącie ogrodu spada trzepocąc skrzydłami złotolita wiwilga i broczy krwią mokre trawy. Ach, jeszcze widać jej otwarty dziób i straszne, przeraźliwe oczy! Słychać jej sepleniący syk, zdławiony, gdy po nią rękę wyciągnął. I nagły ów strach! Nagły, przesywający strach, radość, zemstę, rozkosz i niewysłowiony dziecięcy ból. Trzepie się ptak i miota z boku na bok. Wstaje na nogi... Oczy jego zmętniały, kilkakrotnie wytrzymały się jeszcze. Patrz! Coś je zamazało, zawlekło...

Kiedy to było i gdzie? Czy były naprawdę, czy mu się śniły tylko te okrutne ptasie oczy, wbite w pamięć jak gwoździe wbite w rany, które na samym początku życia istnieją?

Ale oto cisza nastaje, a po społu z nią, niby chmurki w wyżynie, inne przepływają widzenia.

Las ciemny, srogi, oświetlony blaskiem księżycy. Ogromne śniegi na nim leżą, na czarnym lesie. Dzwonią janczary i echo ich odbija się w kniei jak zuchwałe wzywianie do boju. Księżyc w zimnym przestworze króluje. Źrenice nie mogą oderwać się od jego tarczy i przedziwne szepty, półsłowa, wreszcie jakieś wyrazy płyną do niego z piersi. To bezlitosne światło woła ku sobie, wciąga na wysokość ku słodkiej harmonii, ku rozkoszom, jako ta leśna, melodiom... Ojciec lubił tamtędy jeździć, drogą „na las”, mało znaną. W tych ostępach włóczyły się stada wilków. Toteż gdy wjeżdżano w posępne gąszcze drzew zwartych, podsypywano prochu na panewki dwu flint i dobywało się zza pasa podwójne pistolety. Słychać jeszcze szept modlitw matki... Dreszcz zimny do szpiku przejmując i niby czyjeś skostniałe palce podnosi włosy na głowie. Janczary rzegocą coraz głośniejsze, coraz głośniejsze, im dalej w knieję; wreszcie zda się, że biją jak dzwony. Cztery konie mkną drogą, której nie przetarła sanica. Od uderzeń kopyt rozpryskują się zadmy śniegu, jak góry pyłowej mąki. Kiedy niekiedy coś pod saniami trzaska. W lesie słychać niepojęte głosy... Cały bór wre i huczy od echa janczarów. Aż oto w pewnym miejscu zasłona świerków na krótko się rozchyła; z wąskiej leśnej polanki widać górę, a na niej poszczerbione ruiny. Księżyc oświetla śnieg i lód, który na gżemsach zburzonych ścian, na krawędziach wybitych okien leży.

To ruiny arianskiego kościoła.

Jaki dziwny, niespodziewany żal!...

Gdzież jest ten dzień, gdzież się na wieki został?...

A ta wiosenka... Po świętach Wielkiejnocy powrót z rodzicami od krewnych do domu. Jadą tą samą drogą. Wolno wlecze się bryka po korzeniach i ciemnych bagnach szlaku. Naokół las gęsty, mokry, dymiący się od pary. Wszędzie w mroku poddrzewnym lśni stojąca woda. Oślizgłe, czarne kije ze zgniłymi gałęziami leżą w ciemnych bajorach drogi. I oto znowu ruiny ukazują się na górze. Konie wstrzymano i rodzice pozwalają dzieciom wejść na szczyt wzgórze. Brat starszy i siostry biegną na wyścigi...

Niegdyś wdzierala się na tę górę szeroka jezdna droga dla landar, bryk, kutech wozów, ale już i na niej sosny wyrosły. W kolejach stoją grube świerki, na zakrętach stanęły jodły stuletnie, z przykopy biegnącej środkiem strzeliły białopienne brzozy. Las zamknął dostęp do ruin, wziął w posiadanie, co weń weszło, i na powrót stał się sobą. Już ani okien, ani drzwi. Nikt nie strzeże wyklętej świątyni, oprócz wysokich kęp ostu. Dzika róża po nagich skarpach pełza z wysoka i wyciąga kolczaste, żebracze badyle. W tym miejscu, gdzie może był ołtarz, gdzie oczy wyznawców szukały widomego znaku — czarny szkielet jeżyny. Niestrudzona woda gryzie cegłę i kamień, a mech rozsypane ich prochy grzebie pod sobą. Na zewnątrz murów, w głębi świątyni i w lesie jakie mnóstwo podlaszczek! Ubogie kwiatuszki, siwe biedotki leśne, są jakby kroplami bladego nieba północnej wiosny, które spadły z wysoka na ziemię i rozprysły się w kształt kwiatka. Jaka rozkosz, jaka tajemnicza, niedostępna rozkosz — niby ów las... A jakie coś drapieżne, bolesne, oślizgłe od deszczów i straszliwe od echa każdego kroku w tej ruinie kościoła! Co w niej jest, co płacze i woła z ziemi za odchodzącym dzieckiem? Oczy nie mogą się z nią rozstać i nogi nie mogą odejść. Zerwane kwiecie z rąk wylatuje, i w uszach odzywa się jak gdyby syk sepleniący wiwilgi zabitej w ogrodzie...

Nagły, daleki, jadowity głos drgnął w lasach. Za pierwszym ozwał się drugi, rzewny i czysty niby mięszczy tenor. Rafał ocknął się jak ze snu i machinalnie dźwignął strzelbę

do twarzy. Po chwili oprzytomniał i napastnicze oczy w las wlepił. Pierzchył marzenia. Słońce przypiekało, wzmogły się powiewy ciepłego wiatru i ze wszystkich drzew leciały raz wraz na ziemię ogromne płaty lepkiego śniegu.

— Psy gonia... — szepnął do siebie.

W istocie słyhać już było dźwięk dwu głosów, Niemna i Wisły, ale tak daleko, gdzieś w ciepłej kniei, na południowym stoku łańcucha gór, że tylko młode ucho mogło rozróżnić to granie. Echo płynęło z wolna, jakby w znużeniu, ale zbliżało się ciągle. Nim jedno krańców leśnych dosięgło, już płynął w pościgu rzeźwy huk niby muzyka złowroga, pełna dzikiego czaru, gwałtu i siły. Młody mężczyzna obejrzał starannie panewkę swej broni, troskliwie przyjrzał się suchym i lśniącym ziarenkom prochu. Zaczął się i cały przeistoczył w narzędzie śmierci. Tęsknota, jaka mogłaby zdusić życie, osiadła w jego oczach i zmieniła je we dwa pociski. Serce głośno biło w piersiach i każdym uderzeniem zdawało się również czatować.

Psy nadciągały bliżej, bliżej... Już można było rozróżnić same głosy.

W pewnej chwili od szczytu góry dał się słyszeć tępy, jednostajny, rytmiczny odgłos biegu — duch-duch, duch-duch... Serce w słuchającym zamarło i ustało. Trzasła w pobliżu gałązka. Przez chwilę gęściej, obficie śnieg się posypał... Oto spomiędzy zarosli młodej świerczyny wysunęło się stado sarn, a na ich czele szedł z wysuniętą głową ciemnoorzechowy rogacz. Rafał wziął go na oko, przycisnął kolbę do szczęki i położył palec na cynglu. W tej samej chwili sarn stanął. Przednią lewą nogę podniósł, odwrócił śliczną głowę z różkami i uważnie nasłuchiwał. Z całego stadka para szła gęsta.

— Na komorę... — marzył Rafał kierując luźną pod przednią łopatkę kozła.

Nagle olbrzymia czapa mokrego śniegu runęła na jego ręce, twarz, kolbę i panewkę. Pociągnął za cyngiel. Krzemień sucho trzasnęła, ale iskra nie zapaliła zmoczonego prochu. Gdy młodzieniec przetarł oczy, ujrzał już tylko samie nogi, wyteżone jak stalowe sprężyny, i białe ich „talerze”. Przesadziły najwyższe stojące szczyty chojaków i znikły. Tylko te szczyty zielone i giętkie jeszcze długo drżały i kiwały się, a śnieg leciał niespokojnie z potrąconych gałęzi.

Ujrzawszy, że znowu jest sam na tym miejscu, gdzie przed sekundą odbyło się coś jak misterium tajemne, Rafał ze wściekłością cisnął strzelbę w zarośla, a sam runął na ziemię dusząc się od łkania.

Ocucił go strzał, po nim drugi. Jak gromy rozległy się i długo buczały w lesie. Po ostatnim dało się słyszeć z dołu, w połowie wysokości górskiej, nawoływanie:

— Na-hohoho! Na-hoho! Na-hoho!

Psy ucięły. Zaraz potem drugi głos, bliższy Rafała, odpowiedział jednokrotnie tym samym sposobem.

Młody myśliwiec jeszcze przez czas pewien leżał na ziemi, pękając ze złości. Po chwili jednak zerwał się na równe nogi, strzepnął śnieg z siebie, odszukał w krzakach pojedynkę. Wytarł oczy i, na podobieństwo sarn skacząc przez choiny, pomknął na dół.

W odległości kilkuset kroków stał nad zabitym rogaczem ogromny chłop w krótkiej brunatnej sukmanie i oglądał uważnie swoją małą fuzyjkę.

— Zabiliście, Kasper! — szepnął Rafał zdyszany od biegu.

— Ij!... tak mi się ta nawina!... Sam nawet nie wiem, jako to być mogło. Myślałem se, że tego kozielka to przecie jaśnie panicz położy.

— A kiedy nie wyszły na mnie... — rzekł Rafał, czerwony jak burak.

— O, hery! Widzicież wy, moi ludzie... A na to miejsce przecie wagę miały. Nie wyszły i pokój! A już ta pod tym bukiem niejeden wygarnął. Czasem to tam nawet dłużej przystaną i wezmą szukać wrzosu abo chwycą wargami, ile zdoła, młodych koniuszków jedli. Poszły, sobacze, bokiem... — mówił stary wyga wlepiając z jawnym śmiechem w młodzieńca swe wypęzłe oczy.

W tej samej chwili jeszcze raz odezwał się w dole niecierpliwy głos:

— Na-hoho!

— O, nasz pan woła! — z trwogą mruknął Kacper. — Chodźwa.

— A cóż zrobicie z rogaczem?

— Trza go brać na ramię, tylego konia!...

Zabity sarn, trafiony w samo serce, leżał martwy. Dokoła niego zamróz odtajał i krople wody sączyły się ze świerkowych gałęzi. Pyszna jego głowa, rzucona bezwładnie, pa-

trzała w Rafała umarłymi oczyma. Młodzieniec uczuł nagle poryw wściekłości, chwycił za kordelas, który miał przy sobie, i byłby zadał zdechłemu zwierzęciu cios jeszcze jeden, ale już strzelec podsadzał się pod nie. Dowłókł rogacza do sąsiednich wykrotów, dźwignął go w górę i, ująwszy rękoma po dwie jego nogi, zarzucił sobie na plecy to brzemię ze zdumiewającą siłą. Poszli na dół. Co chwila nogi ich zapadały w szczeliny między złomami brył kamiennych, w rumowiska stoku góry pod mchem ukryte. Rozwalali zgniłe pnie, miękkie jak ciasto, o próchnie rudozielonym od pleśni. Skomlenie psów w zagajnikach na dole wskazywało im drogę. Rafał, wielkimi krokami postępujący przodem, ujrzał wreszcie wuja. Chudy szlachcic, niewielkiego wzrostu, siedział w kucki nad sarną i patroszył ją. Skrwawionymi rękoma wyrывał dymiące jeszcze wnętrzności i ciskał psom... Gdy nadeszli, pan Nardzewski obejrzał się złowrogo na strzelca, zmierzył okiem rogacza i z lekka sepleniącym głosem zauważył:

— Toś, kundlu, kozła musiał dla siebie zostawić...

— Ale bo...

— Nie wiedziałeś, prawda? że ja tu czekam na stanowisku. Gdzieżbyś ty o takich rzeczach mógł pamiętać! Żebym ja kozy po tobie strzelał, chamska szyjo!

— Ale bo szły jakosi krzywo...

— Krzywo szły od buka!... Łżesz!...

— Jeszcze, rzekę, psiedusze wiatr owieje. Wiatr szedł od Klonowa, akuratnie. Takem se ozmyślał...

— Jak ja ci dam ozmyślanie, to się nogami nakryjesz! Kładź kozła! A cóż ty, Rafciu, jakoś nic nie niesiesz z Łysicy! — łaskawie zwrócił się do siostrzeńca.

— Nie wyszły na mnie. Słyszałem tylko, że walą za drzewami, aż ziemia stękała.

— Ts... Nie przeszły koło wielkiego buka... Słyszane rzeczy!... Patrosz... — mruknął do strzelca.

Gdy ten otwierał mały składany koziczek wiszący u jego pasa na rzemyku, Nardzewski spytał go opryskliwie:

— Skądżeś strzelał?

— A spod znaczonej jedli, kajem stał. Wylaź mi sarn pod lufę, jakby go tam pastuch przygnał. Jeszcze ta była ścięta jedla, okrzęsana, to se stanął, ma-li skoczyć.

— Skądże się tam wzięła jedla okrzęsana?

— Skąd jedla? A to ją, wielmożny panie, ściął ten chłop z Porąbek, co to z Miemcem miał sprawę.

— Nic nie wiem o żadnym Niemcu ani o sprawie.

— O, dyć to we wszystkich, we wsiach gadają.

— No, to i ty gadaj, kiedy wszyscy.

— Dobrze. To tak było, żeby to z końca... Przyjechał chłop z Porąbek, Jamrozek ma na przewisko, parą koni doskonałych i gołym wozem, że to tylko koła były i ozwora, w sam szczyt Łysicy po suchą jedlę, żeby ta już była dobra jedla, smolna, we wiatrach wysuszona. Robi krótki na sól — to mu potraza suchego drzewa. No, dobrze. Ściął on se jedlicę tyłą co wieża na Świętym Krzyżu, odziabiał wszystkie gałęzie precz, jak się patrzy. Ma se kloc tyłosny, że byłby z niego wał do młyna. Wziemi mój Jamrozek, rozsunięli wóz jak najdłużej, że się poślednie koła ino ino trzymały za ozworę, sworzeń se wyrzuchtowali, żeby zatkać, patrzą, a tu z krzaków wylaź dozorca leśny. Odzienie na nim zielone, na głowie ma skopeczek z jakimś guzikiem, w ręku strzelba. Spojrzał ino raz na Jamrozka, tram opatrzył, wymierzył go jakimś żółtym łokciem i zaczął pisać na papierze. Jak skończył, dopiero zaczął gadać do chłopu niby po naszemu, ale jakosi frymuśnie. Chłop zdjął czapkę, drapie się... Myśli se: — „Żle!” Wziął do niego Miemieć szwargotać z polska, a wreszcie zawrzasnął:

— Marsz do Słupia!

— No, dobrze. Chłop wdział czapkę, okielznał konie i pojechał z góry tą dróżką, co ta idzie nad strugą ku Porąbkom. Miemieć szedł przy wozie, sapał i fajkę kurzył. Jak wyszli z lasu, są ta polanki wykarczowane, a idą z pieca na łeb po górze jeden za drugim. Jamrozek zdjął czapkę, pokłonili się i pedają:

— Niechże ta wielmożny pan feśter darują...

Miemieć swoje:

— Marsz do Słupia!

A no pojechali znowu noga za nogą miedziami abo i prosto bez pola. Ujechali kawałek drogi, chłop zdjął czapkę i gada:

— Niechże to choć wielemożny pan fešter wleżą na wóz, bo tak to na jutro na rano do Słupi nie zajezdziewa.

Miemieć se pomyślał, wytrząsnął faję i siadł na wóz. Poślednie koła były kawał od przodka. Wziął się pluder za kłonicę, trzyma się krzepko, za obie. Jamrozek to samo wleźli na przodek, kulasy postawili na orczyki i zacięli szkapska, ale tak, żeby przecie poczuły. Ale cóż ta mieli jechać „do Słupia” drogą? — poszli na przełaj, a potem na ukos bez rolą, po zagonach, po skibach. Wzięły poślednie koła tyńcować na prawo, na lewo, prac z zagona w zagon, z przykopy w przykopę. Miemieć się trzyma garściami, wrzeszczy. Chłop nic, jedzie, kaj mu kazali... Co się ma oglądać? Ino sprzężaj zacina... Aż jak ta konie poszły co duchu, jak tylne koła wytną w skibę czy ta w kamień... Jakosi się Miemieć uciszył.

— Jak to uciszył się? — pytał Rafał.

— A ja sam tego nie wiem, bo się ta i oni, choć i Jamrozek, nie oglądali. Myśleli se: Co mi do tego? Kazał pan fešter jechać, to jadę. I pokój. Dopiero, jak już w Porąbki wjechali, we wieś, obejrzeni się: nie masz Miemca. Zamartwili się. Ale, pedają, noc szła, cóżem ta miał robić?...

— Któż Niemca znalazł? — spytał Nardzewski łagodniejszym głosem, puszczając kłęby dymu z krótkiej fajeczki.

— A musi go ktoś znalazł, bo ciągiem po lasach łązi. Kwardy.

— Dobrze wam tak, podle chamy! — mruknął szlachcic — cały byście las wycięli!

— Ij, wielmożny panie, któż ta tyli las wytnie? Nie było nas, był las, nie będzie nas, to samo las na Łysicy będzie. Jak świat światem, ludzie ze solą jedzą. Trza ją w króbkach trzymać. Zawdy ludzie króbkę robili, jedle na nie ścinali, a las stoi. A cóż ta dopiero za prawo ma do niego taki pluder! Las je królewski. Starostwo je i pokój. Tu my takie stada dzików gonili, jelenie my ploszyli z Cisowskich lasów aż po Siekierno... Ile razy ja tu na Łysicy niedźwiedzia widział, jakem jeszcze był małym berbeciem! Aby to jest dźwierz piękny — niedźwiedź. Abo jelen... Mocny Boże! Jak rogi położy po sobie, jak lasem pójdzie — okropnie pięknie patrzeć! Aby tylko na świętego nie trafić... Panie, zachowajże też...

— Jak to na świętego? — dopytywał się Rafał.

— A to widać paniczek nie wie o naszym jeleniu — mruknął strzelec niechętnie.

— Nie wie, skoro się pyta — rzekł Nardzewski.

— Ludzie gadają tacy, co widzieli...

— Który widział?

— A Łakomic widzieli. Powiadają to samo o starym Szafrancu, co miał ze sto lat abo więcej, że go to samo ślepiami widzieli.

— Jakże to było?

Chłop spoglądał posepnie i zwlekał.

— Łakomic nama gadali i zaprzysięgli się. Wyśli, pedają, ze swoją fuzyjczyną i stanęli na stanowisku, jak ogary pana krajczego Olchowskiego.

— Aha... — wtrącił Nardzewski.

— No, przecie nie ja stał, ino oni, choć ta już na Boskim sądzie, Panie świeć... Stoja se oto pode drzewem z cicha i czekają. Aże słyszą: duch-duch! Idzie. A dzień był wietrzny, ciemny. Idzie na dół po kamieniach, a przed nim jakiesi światło, tak jakby dodnia pod zimę, kiej słonie z lasu wychodzi. Zda im się pojrzeć ku niemu: widzą, idzie wolnego jeleni stary, wielki jak koń cugowy i okropnie piękny. Rogi położył... Wzieni go na oko, a prosto w łeb. Dopiero co się nie dzieje!... Trzymają kolbę przy pysku i nie widzą jelenia, tylko światło, tak jakby czerwone słonie wyszło z lasa i prosto im we ślepie lunęło. Strzelba im z rąk wypadła, a i samych łomot o ziemię. A jeleni poszedł kole nich, bokiem. Dopieroż zobaczyli, że miał między rogami krzyż złoty i że z onego takie światło w las waliło.

— Duży był krzyż? — poważnie pytał Nardzewski.

— Biedyc-ta duży! Pasyjka niewysoka, ino gruba na dwa palce. Dopiero mój Łakomic za lufę i w nogi co duchu! To ich jeszcze na trzeci dzień tarnosił strach, jak se wspomnieli, że oni do takiego gada chcieli wygarnąć... A jakby go też człowiek zabił... Rany!

— Ty, żebyś go i z krzyżem spotkał, tobyś nie ścierpiał.
Chłop udał, że nie słyszy, i ciągnął dalej:
— Tera taki psia para jedli ściać nie da! Sadził ją tu, czy co? Nic, ino kamera. Wszystko, pada, do kamery należy.
— A tak, teraz wszystko do kamery... — westchnął Nardzewski. — No, skończyłeś? Strzelec wyprostował się i wytarł ręce w śniegu.
— Wielmożny panie, ony nama tu i zapolować z pieskami nie dadzą!...
— To nie twoja rzecz.
— A przecie gadają, że Górno, Krajno, Porąbki, Brzezinki, Masłów, wszystko precz niemiecki król puścił w dzierzawę młodemu panu z Olchowa.
— No, więc cóż z tego?
— A to i do lasów ma wręb, choć i rządowe dozorce będą drzewa pilnowały. A on już koźlątko nie popuści — choć i jaśnie pan Olchowski.
— Zobaczmy, a teraz weź no, rozpal trochę ognia. Ręce mi zgrabiał.

Strzelec w mgnieniu oka wyczyścił miejsce, śnieg zgarnął, naniósł suchych żółtych gałązek jałowcu i sośniny. Skrzesał ognia i umiejętnie, szybko, z dziwną wprawą rozdmuchał płomień. Igły poczęły trzaskać i niewidoczny błękitnawy płomyczek biegał to tu, to tam po zgiętych pałkach. Rafał pomagał Kacprowi, znosił suche gałęzie i rzucał w ogień. Stary pan siedział na wystającym głazie nieruchomy i chmurnie patrzył w ognisko. Już wtedy nadchodził szybki wieczór stycziowy. Wiatr się odwrócił i dał z północy. Z drzew nie leciały już kępy śniegu, a spadające strugi wody nagły mróz zamieniał w sople.

Strzelec upatrzył młodego świerka i począł go ścinać u samej ziemi małą siekierką, którą nosił za pasem. Okrzesał prędko gałęzie, ściał wierzchołek i przygotował drąg kilokulokciowy. Wówczas związał do kupy rzemiennymi pasami przednie i poślednie nogi dwu zwierząt i drąg ów między nie wsunął. Gdy to wszystko załatwił, zbliżył się do ognia i rozgrzewał nad nim ręce. Właśnie wtedy pan Nardzewski wyciągnął z kieszeni kapciuch i nabijał „galicyjskim” tytuniem swą glinianą fajeczkę. W trakcie tej czynności, nie patrząc, podał strzelcowi dużą szczyptę tytoniu. Chłop zdjął czapkę i pięknie podziękował. Zaraz też roztarł tytuń na lewej dłoni, zwilżył go śliną obficie, ugniótł palcami i dopiero tak przygotowaną masą naładował fajkę. Potem całą fajkę wsunął w gorący popiół, pełen czerwonych węgielków. Gdy zwilżony tytuń dobrze zaprzął, wyjął fajkę z popiołu i jeden z węgielków umieścił na wierzchu.

Rafał, zaciekawiony, spytał go, czemu to wszystko robi.

— Czemu? Abo tak dopiero będzie prawdziwie tęgie paliwo. To je dopiero tutiun! Żeby też tak jaśnie paniczek zapróbował... Już się ta z tym nie zrównają ani debrejskie liście, ani knaster niekrajany, ani ta i nasz powszedni w obertuchach.

— No, pokażcie.

— Rafciu, ostrożnie! — zawołał Nardzewski.

Podrażniony młodzieniec starannie otarł cybuszek i pociągnął, ale natychmiast puścił go z rąk i zatoczył się jak uderzony drągiem w głowę. Przez pewien czas tchu złapać nie mógł, a choć się wreszcie uspokoił, długo jeszcze czuł ogień w piersiach i w gardzieli.

— Takie je chłopskie paliwo, jaśnie paniczku, he he...

— No, dość już twego palenia. Chodźmy.

Zdeptali ognisko. Strzelec chwycił jeden koniec drąga, Nardzewski drugi; schylił się obadwaj i jednocześnie, jak na komendę, podnieśli zawieszona zwierzęta. Chłop szedł pierwszy. Koniec drąga był wparty o jego ramię. Niższy wzrostem Nardzewski dostrzymywał mu kroku, choć się zataczał w prawo i w lewo. Kiedy Rafał, palony żądzą współdziałania, dopominał się, żeby mu wuj miejsca ustąpił, szlachcic go ofuknął

— Daj no pokój! Pilnowałbyś strzelby...

Szli tak dość długo z góry w kierunku klasztoru. Nie dochodząc do źródła świętego Franciszka skrecono na lewo. Nardzewski ochryplym głosem dał rozkaz, żeby stanąć, i wręczył siostrzeńcowi tak upragniony koniec pawęzu. Rafał z pietyzmem oparł go na ramieniu, ale w tej samej chwili zgiął się i przysiadł pod ciężarem. Doznał wrażenia, że mu w barach kości pękły. Ze ściśniętymi zębami, oddechem zapartym i twarzą brunatną od nabiegłej krwi, szedł jednak twardo aż do drogi bodzentyńskiej. Tam go znowu zluzował stary myśliwiec.

Był już mrok prawie, gdy na skraju leśnym stanęli przed kurną chatą, zadętą ze wszech stron przez górskie śniegi. Para koni zaprzężona do prostych fornalskich sanek stała już przed niskimi drzwiami. Wwalono sarny na sanie przy pomocy oczekującego parobka i zagrodnika, i wszyscy trzej myśliwi ulokowali się jako tako w sąsiedztwie zwierzyny. Młode konie skoczyły z miejsca i poszły w górę. Śnieg po odwilży przymarzał wierzchem; okryła go śreń, cienka skorupka lodowa. Podkute kopyta trzaskały ostro w szklistą powłokę. Ogary biegły z trudem i kaleczyły się, zapadając w śniegu. Obadwa były senne, znudzone i odbywały tę podróż resztkami siły. Nardzewski podniecał je co chwila pieszczołymi dźwiękami, cieszył pogwizdywaniem.

Za lasem, na szerokiej drodze, ciał jak kosą wiatr północny, ostry i przenikający do kości. Gdy stanęli na przełęczy, którą szła droga, widać było na prawo i lewo ogromne przestrzenie, dwie rozległe doliny — i lasy, jak okiem sięgnąć. Jedna z tych dolin, płaska, od strony Kielc, była krajem dawno uprawnym, zaludnionym, poprzerywanym przez olbrzymie wsie, dwory, kościoły. Druga była jeszcze starodawną głuszą. Widać w niej było siedliska na wydartych w puszczy polanach. Wsie te o nazwach leśnych, wspominających królestwo i dzieje borów, jak Brzezinki, Klonów, Wilków, Psary, Siekierno, Dąbrowa... słały w czysty lazur odwieczna wysokie drzewa dymów. Wyniosłe góry dwoma pasmami spływały ku Łysicy i wrastały w nią, ażeby dalej iść jednym grzbietem wysokim i najeżonym skałami. Stał jeszcze po nich wszędzie las, jak władca, i rozpościerał swe panowanie. Granatowe jego łany osędziały od śniegu. Gięły się na odległych garbach gór i niby długie srebrnoszate zwoje spływały przestronnymi wąwozami ku dolinom, gdzie już osiadł zimny cień wieczora. Na krańcach leśnych rozpoczynała się dziedzina jałowca, również dzika i rozległa. Zasnute śniegiem jałowce zdały się być z mrozu samego utkane i tak przedziwnie złudne, jakby na nie w biały jeszcze dzień padało światło księżyca. Ta ziemia, opasana borem, skryta w jego tajemnicy, miała w sobie grozę i wspaniałą dumę.

Rafał wlepił w przestrzeń oczy, widział dokładnie każdy zakąt i szczegół, ale w tej samej chwili wspominał ją i obejmował, jak inną, z dziecięcych lat. Był tu dawno, dawno, wiosną... Zielone smugi łąk leżały na jego oczach i ciągnęły się ku cudnej rzece, ku Czarnej Nidzie, która ze strumieni górskich urasta. Powiał ku niemu woniejący wiatr z głębokich wąwozów góry Radostowej, z przecudnych wąwozów, nad którymi wiszą brzoźowe gaje. Chóry słowików przerywały ciszę tej nocy wiosennej, kiedy tamtędy jechał za dawnych lat z głową leżącą na kolanach matki. Teraz rozmawiał z wujem, ale jednocześnie śniło mu się, że przez tę daleką, śpiącą, martwą dolinę jedzie na dzikim koniu. Żelaznym wędzidłem rozdziera mu wargi i trzyma jego łeb zgięty ku ziemi. Jedzie ku słońcu, ku słońcu, które tarczą ognistą zachodzi za lasy błękitnawe, okiem niedosięgnięte... Dalekie lasy, dalekie lasy, odwieczne.

Śliskie sanice co chwila leciały w zatoki na rozbitym gościńcu, gdy konie poszły z góry.

— Te, trąba! — wołał Nardzewski na furmana, gdy się sanie zbyt ostro toczyły w wyboje.

W pewnym miejscu, gdzie stało jeszcze kilkanaście sosen i buków po wyrąbanym lesie, wskazał jedno z tych drzew i rzekł:

— Tu pięć lat temu zabiłem sępa.

— Sępa?

— A tak. Szedłem sam z polowania. Było to jakoś na jesieni. Słońce zachodziło jak teraz. Patrzę: na buku coś się rusza. Nie chciałem oczom wierzyć... Miałem lufę nabitą lotkami. Złożyłem się i palnąłem.

— Skrzydła też to miał, skrzydła! Jezus ci Maryja... — wtrącił Kacper. — Jak my go rozciągnęli na ziemi, to psy, przecie nie bele jakie, poszły w pola ze skomleniem i strąbić ich do domu nie było sposobu.

Rafałowi twarz tak naziębla, że nie mógł mówić. Z gościńca skręcono na boczną, karokolomną drogę, która szła tuż nad brzegiem górskiej rzeki. Wartka woda kłębam toczyła się w obmarzłych brzegach, bijąc w tafle lodu, który żywe jej ciało schwycić usiłował. Konie chrapały i wyprężone ich nogi silnie były kopytami w twardą drogę, żeby się na niej utrzymać.

— No i cóż, Rafciu, u was tam w Sandomierszczyźnie nie ma ani takich dróg nędznych, ani takich wertepów. Prawda? Droga jak po stole...

— Ależ też za to lasu ani odrobiny.

— Co wam po lesie! Pszenicę za to macie jak nasz bór. Jeszcze wam mało?

— Już ja bym wołał tu mieszkać! Tu to dopiero życie.

— Tu wołałbyś mieszkać? Co gadasz? He, bracie, tu niełatwo wysiedzieć. Tu tylko taki jak ja wytrzyma.

— Już ja bym tam wytrzymał!

— Tak powiadasz?

— A tak.

— No, no, pamiętaj sobie, żebym ja cię za słowo nie chwycił i nie osadził w tej norze.

— Nic się nie boję..

— Ejże!... Ale wiesz?... to mię cieszy, że matczysko będzie kontente. Co? jak myślisz? Wasze kuligi, bale czy reduty powinny dobrze wypaść. Mamy rogacza, mamy sarnę, jest w spiżarni dziesiątek zajęcy, jest warchlak. Będzie na ten wasz wieczór?... Powiadaj krótko! Bo jak nie, to jutro od świtu idziemy w knieję.

— Aż nadto, wuju.

— Nadto, nie nadto. Skoro jedziesz tyli świat, to z byle czym wracać nie sposób. Niechże się i dzika okolica pochwali.

Po chwili dodał:

— Pocziwa Anusia... My z twoją matką najbardziej zawsze z całego rodzeństwa paliśmy ku sobie afektem braterskim. Trudno o lepszą siostrę. Ech, Boże miłosierny...

— Gdyby to wuj zjechał do nas na ten kulig, dopiero by to mama i... tatka...

— Aby za tatkę nic nie obiecuj! Z tatką to już całkiem inny sentyment. *Amicus Plato...*

— No, niech tam, ale żeby tak wuj na ten kulig...

— Zwariowałeś, dyscypulanie? Ja na kulig! Ja z Wyrw! Trzydzieści lat z domu nie wyjeżdżam, a teraz dopiero na kulig wyruszę, i to jeszcze aż gdzieś za Klimontów, we światy! Cóż ty gadasz?

Raptem szorstko dodał:

— Nie wyjadę. Nie, nie wyjadę. Mam dosyć!

Był już mrok. W nizinie ukazały się drzewa ciemne, aleje, budynki, światełka w majątku Nardzewskiego. Wkrótce sanie pędem wjechały na dziedziniec i stanęły przed ganekiem dworu. Z okien tryskało w noc rześiste światło. Gdy konie osadzono, z ganku i zza węglów domu wybiegło kilku ludzi. Jedni wysadzali pana, inni zabierali się do wydobywania z sanek zwierzyny. Na gumnie panował ruch: do spichlerza znoszono w workach omlot dzienny, zadawano bydłu słomę, koniom obrok i siano. Psy podwórzowe, jeszcze uwiązane na łańcuchach, wyły wniebogłosy, czekały myśliwskie kundły, wyżyły, jamniki. Jakiś olbrzymi kundys co chwila rzucał się do Rafała, żeby go z czułością liźnąć po twarzy.

— Co takie światło na pokojach? — spytał Nardzewski.

— Jakisi przyjechał...

— Kto przyjechał?

— Miemieć czy co. Trudno go ta wyrozumieć. Przyjechali aże z samych Kielc z drugim. Tamtego furmanka powiozła do Bożęcina, a ten ostał i siedzi.

Nardzewski czmychał nosem w sposób wcale niegościnnie. Wreszcie nie mógł wytrzymać i popchnął pierwszego famulusa z brzegu, dodając:

— Diabli cię z twoim Niemcem!

Wpółnoc wściekle szczekającej gromady myśliwi weszli na ganek i do pokojów. Na ich powitanie wstał zza stołu mężczyzna młody jeszcze, wygolony, przystojny, ubrany z dajcerska w krótkie, czarne suknie z kłapami, w grube pończochy i płytkie trzewiki. Kłaniał się zgrabnie, mierząc Nardzewskiego uważnym spojrzeniem. Po chwili rzekł, z trudem wymawiając słowa i śmiesznie je akcentując:

— Czy honor mam z dziedzicem, z jegomością panem Nardzewskim?

— Nardzewski jestem, do usług... Kogóż, jeśli łaska, mam zaszczyt... w tych ubogich... te... progach?

— Moje miano jest Hibl. Z kieleckiego krajzamtu...

— A tak... Miło mi... Racze waszmość rozgościć się jak u siebie. Służę zaraz.

Komisarz Hibl usiadł w obdartym krześle i przy blasku drgającego płomienia dwu świec lojowych, obojętnie, zimnymi oczyma przypatrywał się Rafałowi, który sam na sam

zostawiony z gościem przez wuja nie wiedział, co ma robić. Nie zdjął nawet z ramienia swej pojedynki. Dopiero Kacper przyszedł mu z pomocą. Rafał usadowił się w ciemnym rogu dużej stancji i zaraz poczuł, jak mu się straszliwie chce spać. Głód skręcał mu kiszki, ale senność i nad tym górowała. Oczy chłopca dostrzegały jeszcze „Niemczyka” i płomyki topniejących świec, ale w przedziwnie wielkiej odległości...

Całe stado psów wałęsało się po pokoju. Jedne z nich wskoczyły wnet na sofę przy stole i oko w oko przypatrywały się gościowi, inne rozkładały się na dobre obok wielkiego pieca. Niemen i Wisła, bohaterzy dnia, śmiało układały się do snu w rogu kanapki, która była miejscem spoczynku Rafała. Tymczasem Nardzewski zrzuciwszy lisiurę wyszedł z sąsiedniego pokoju w lżejszych butach i łosiej kurcie ze srebrnymi guzami. Twarz jego była czerwona i oczy przekrwione od wiatru. Siadł przy stole naprzeciwko niemieckiego przybysza. Nim znowu zaczął z nim rozmawiać, rzucił rozkaz:

— Wieczera!

Kacper znikł we drzwiach wejścia, prowadzących do sieni i kuchni na drugiej stronie wielkiego dworu.

— Siadaj, Rafale — rzekł Nardzewski.

Zwracając się do Hibla, przydał:

— Mój siostrzeniec, Olbromski, z Sandomierskiego. Na poetyce w szkołach sandomierskich *iuventutem* marnuje...

Gość skłonił się w milczeniu, nie podnosząc oczu. Nardzewski patrzył weń nieruchomym spojrzeniem, w którego wyrazie nie było cienia przyjaźni.

— Rad bym wiedział — rzekł z cicha, uprzejmie i prawie z pokorą — czy mamy zaszczyt należeć do tej samej nacji, co waszmość, panie komisarzu, czyli też, niestety...

Obcy podniósł głowę. Uśmiech nieokreślony wypłynął na jego wargi. Rzekł ostrożnie, z namysłem:

— Jestem w mieście stołecznym, Wiedniu, urodzony. Tam mój ojciec zamieszkały był, gdy przybył z czeskiej strony...

— Z czeskiej strony? proszę...

— Tak jest. My są Słowianie.

— Rozumiem.

— Kiedy ja byłem sześć lat stary, rodzice moi przybyli do Wschodniej Galicji i w jarosławskim krajzamacie osiedli. Tam się wychowałem. Ojciec mój był mandatarium w dobrach księcia Olelkowicza.

— I to rozumiem.

— Teraz ja... Ja jestem prawie Galicjanin. Wiednia nie pamiętam, umiem po polsku.

— Doprawdy?

— Bardzo jestem przywiązany do tutejszych zachodniogalicjijskich obywatelów i do tego kraju Zachodniej Galicji. Ja do tego kraju ze Lwowa wydelegowany, kiedy po nieszczęśliwych przypadkach i smutnych zamieszkach ten kraj używać nareszcie zaczął błogiej pomyślności pod panowaniem Najjaśniejszego cesarza i króla Franciszka Wtórego, zostałem.

— Toś waćpan dobrze powiedział.

— Bardzo to jest piękny kraj!

— A tak, dosyć piękny, tylko trochę niewesoły i, jak to sam spostrzegłeś, złej konduity... — mówił szlachcic kiwając głową.

— Na lepszym pożytkowaniu ról zbywa... — nieśmiało wtrącił urzędnik. — Żadne drogi tu są, osobliwie w kieleckim krajzamacie. Ach, co za drogi! Ja myślałem, że tylko w Karpackich Wielkogórach takie drogi bywają.

— To są, mości panie, polskie drogi. Ale jakoś i takimi zajędzie, skoro się uprzeć. Co mówię? Wjedzie tam, gdzie, zdawałoby się, tylko czarownica na łopacie doleci...

Dalszą rozmowę przerwało wkroczenie wieczery. Drzwi się otwarły i tłusta gospodyni wniosła salaterki z kielbasą w zawieszonym sosie. Dwie dziewczki niosły półmiski z kartoflami, suto kraszonymi skwarkami słoniny. W mgnieniu oka stół nakryto obrusem i ustawiono fajansowe, powyszczerbiane talerze. Sztućce były bardzo pospolite, w oprawie z jeleniego rogu. Gość ostrożnie zabrał się do niewielkiego kawałka kielbasy, a resztę momentalnie podzielili między siebie myśliwi, zgłodniałi po całodziennych marszach i poście. Dymiące kartofle znikły. Znikła także druga potrawa: zając pieczony na rożnie.

Przy drzwiach stał wciąż strzelec Kacper i lękał się, aż mu się grdyka ruszała. Zajęty był wykręcaniem ze strzelb nabojów i przemywaniem luf ciepłą wodą.

Rafał, słysząc pociągającą muzykę szorowania wnętrza flint mokrymi pakułami okreczonymi o stempel, nie tknął już wina, którego kieliszek wuj mu podsuwał. Przysiadł w kucki obok strzelca i sennymi oczyma patrzył, jak czarna woda strzyka w miskę z panewek. Nudziła go rozmowa i obecność Niemca, a spać jeszcze nie było sposobu, gdyż slano mu zawsze w tym właśnie pokoju na sofie.

— Waszmość dobrodzieju hoduje, jak widzę, piękne psy. To bardzo piękne psy są — mówił przybysz, głaszcząc z widoczną odrazą łeb Niemca, który mu poufale na kolanach łapy opierał.

— A nieźle psiska. Dziś się już podstarzały, ale jeszcze z pola nie schodzą. Jeszcze i cuch, i rozum przedni mają. Osobliwie suka. Chodź no tu do pana. Wiselka.

Przygarnął sukę i gładził ją pieszczotliwie.

— Ona to wydaje się na oko niby melancholiczka, a to jest psisko bardzo a bardzo wietrzne i gońca pierwszej wody. I on tam, Niemen, ma ochotę i upór, ale za nią tylko poprawia. Spójrz no waszmość, co to za przestronne nozdrza! jakie wilgotne! Jak waści pies takim nosem wiatr weźmie, to tam już ma co trąbą podać do mózgu. A jaki za to u tego grzbiet! Bo i pieczeniasty, i długi, zważ waćpan. A za to u tej... noga. Co? Stopka podługowata, widzisz waćpan? Ona mi się jeszcze ani razu nie podbiła...

— Ale! — wtrącił Kacper — gdzie się to taka suka podbije. To idzie po śniegu czy po grudzie jak ten lis.

— On, choć jest pies cnotliwy, nieraz się znosi i milczkiem, zdrajca, nakłada, a ją zawsze słyhać: idzie równo lasami jak dyliżans po gościńcu. Głos jak u młodej wdówki. Co ona wiatrem i prędkiej, to ten musi kopytem, leniwiej, na rozum i nie tak ręczo, a za nią, za nią!

— To bardzo piękne psy... A czy i tamte kundle także jakie zalety mają? — z odcieniem ironii pytał Hibl wskazując wielkie kudłate psiska pod piecem.

— Tamte? A to samo psy zacne. Na dzika — jedyne! Toż zeszłego roku w samą wilię wzięliśmy z nimi dzika prawie żywcem.

— Aż tak? — dziwił się Galicjanin.

— Byliśmy we dwu z tym oto strzelcem.. Wyszlakował był dziki w lasach, tu na Bukowej Górze. Nocowały w małym smugu, w oparzeliskach. Poszliśmy raniuteńkiego. Puściliśmy te pieski w zagajnik. Cicho, cicho... Aż jak wrzaśnie oto ten — Rozbój; aj-aj-aj! Na oko wszystkie i zębami! Wygnały dzika tylego jak bawół wprost na niego, na Kacpra. No, zaczął mierzyc, celować, przykładać się i, dasz waćpan wiarę? — chybił. *Artifex!* On i takie sztuki potrafi, choć przecie ze mną trzydzieści lat za zwierzem chodzi, a chwali się, że kszycowi, jaskółce w lot nie zborguje. A psy swoje: stanowią dzika w głębokich śniegach. Żebyś waszmość widział ten obraz! Jeden się wszczepił w ucho, przelazł na balyku przez bestię i wisi, ani piśnie. A ślepie u niego — żywa krew! Drugi trzyma za lewe ucho; przednimi łapami worał się w śnieg, w ziemię, i nie popuszcza. Trzeci, Kusy, dopada, dopada... Dzik toto wszystko wlecze na sobie i brnie śniegami. Ale kłem, rozumiesz to waszmość, nie może, ani ani, bo Rozbój... Czasem tylko dmuchnie nosem albo ciapnie pyskiem... Ja tu strzelić nie mogę, bobym psa, czego Boże broń, zabił. A już wolałbym sobie w nogę pałać niż w takiego psa. No, a dzik mi idzie w lasy i my jak głupcy za nim. Dopiero się przecie mój Kacperek odważył. Przeżegnał się i wlaź na dzika okrakiem, siadł se na nim mocno jak na koniu, obcasy wparł w ziemię. Tym oto kozikiem, co go ma u pasa, zaczął mu podrzynać gardziółek. Naśmiałem się też wtedy! Bo to jechał na dziku ze siedem pacierzy, nim mu wszystkie żyły i *arterias* poprzerzynał.

— Szelma też to była sroga, choć i ten dzik! — westchnął Kacper. — Znałem ja się z nim! Dopadł ci mię on jednego razu na Cisowskim, a jak mię zaorał kłem po łdach, to do samej kości mięso ozdarał, jak cygankiem, aże w kolano. Pod siebie mię przecie o mało nie wziął, ciortu brat, bom go się był bardzo przeląkł. Teraz jeszcze, jak se spomnieć, to człowiekowi *seremno*. A ja już bywałem pod dzikiem. Już mi ta jeden orał kozuch na plecach to prawym to lewym kielcem, i deptał po mnie raciami: z tego wiem, co taki ma w sobie za siłę! Świnia! Ślepiem na mnie, zatracony, pojrzał tylim, jak żołędzia lupina a krew człowiekowi w żyłach zmarzła i w gardzieli głos zatkało... Alem ja i tamtego to

Pies, Polowanie

samo polechtał po szyjce...

— Ba! my tu rozprawiamy — wtrącił Nardzewski — a waszmość, panie komisarzu, może i owo zgoła nie myśliwy?

— Ja wcale myśliwy nie jestem. Gdzież czas na takie zabawy znaleźć bym mógł? Zawsze na służbie.. Oto i teraz delegowany na komisję do wielmożnego pana, jako do zwierzchności gruntowej, jestem.

— Do mnie? Na komisję?

— Tak jest.

— A w jakiejże sprawie, jeśli łaska?

— Spraw bardzo wiele.

— Nawet bardzo wiele. To ciekawe...

— Czy możemy zacząć w tej chwili?

— Noc to... Ale proszę, proszę...

— Ja przybyłem za dnia i czekałem cierpliwie. Jutro muszę jechać dalej.

— Toteż ciekawie słucham.

— *Primo*, konskrypcja dusz.

— Dusz konskrypcja? Chłopskich?

— Tak jest.

— Słyszane rzeczy!

— Baron von Lipowski, pierwszy cyrkulowy komisarz kieleckiego krajzamtu, nie mogąc sam osobiście, mnie wysłał...

— A cóż waszmościom, u Boga Ojca, do moich chłopów?

Urzędnik z lekka a szczerze uśmiechnął się nie podnosząc oczu. Nie odpowiedział też na to pytanie, lecz zadał inne:

— Czy wielmożny pan na fundamencie dekretu ratę ofiary styczniowej dziesiątego i dwudziestego grosza na ręce egzaktora w Chęcinach, urodzonego Czaplickiego, zapłacił był?

— Ratę ofiary? Cóż to za ofiara?

— Po wstąpieniu wojsk Jego Cesarskiej i Królewskiej Mości w kraj tutejszy — mówił urzędnik głosem kaznodziejskim — odezwę do obywatelów feldcaygmajster de Foullon z żądaniem składania ofiary bez najmniejszej zwłoki wydał był. W styczniu zeszłego, 1796 roku przez duchownych z ambon ten cyrkularz publikowany jest, a każdy pleban udzielał go obywatelom za rewersem. Czy wielmożny pan to *publicandum* otrzymał?

— Być może. Ale ja do papierów żadnej zgoła wagi nie przywiązuję. Mnie papier potrzebny tylko na przybicie prochu i śrutu, i to jeszcze przekładam fletuchy z pakuł nad papierowe.

— Otóż, przeciw lepszemu spodziewaniu, wielmożny pan jeden z niewielu zaległ w opłacie.

Nardzewski siedział na swym krześle z rękoma w kieszeniach rajtuzów. Twarz jego, schłostana przez wiatry, była teraz szkarłatna, wargi odęte. Milczał długo.

— Bardzo być może... przeciw lepszemu spodziewaniu — wycedził wreszcie przez zęby.

— To *ad primum*. A teraz co do *homagium*. Pan baron von Lipowski, pierwszy cesarski komisarz kieleckiego krajzamtu, żebym wyraził wielmożnemu panu niezadowolenie z powodu jego absentowania się w tej tak ważnej sprawie, polecił mi był.

— Do diaska! siła grzechów, jak widzę, ciąży na moim sumieniu...

— Tak jest. Wielmożny pan nie tylko nie udał się osobiście do Krakowa...

— Ja do Krakowa! Ale czegoż to waszmość wymagasz ode mnie?

— To nie było wymagane.

— Nie wymagane znowu! Więc jak?

— To było oczekiwane od obywatelów.

— Raz wymagane, drugi raz oczekiwane!... Ja, mości panie, trzydzieści lat z tych oto Wyrw nie wyjeżdżałem i nie wyjadę. Nie wyjadę, chociażby kije z nieba leciały! Tu siedzę i skończona rzecz. O niczym nie wiem... A pierwszy von Lipowski komisarz... Mam już dość Krakowa — i wszystkiego świata!

— To wszystko bardzo być może...

— Ostatni raz byłem w Krakowie *anno Domini* 1768. Porachuj no waszmość, ile to lat.

— Rzeczywiście — wykrztusił Hibl przeglądając jakieś papiery.

— Dawne to już, ubiegłe czasy, mości panie. Jeszcześ wówczas wasze nawet Wschodnich Galicjów nie oglądał.

— Wielmożny pan tam do szkół zapewne?... — mówił urzędnik segregując w dalszym ciągu stopy swych notat.

— Do szkół? Ale co znowu! Ja szkoły traktowałem w Sandomierzu, w sławnym po wsze czasy kolegium ojców jezuitów, choć już z niego ani dymu, ani popiołu. Ale nie do nauk byłem stworzony. Szczerze mówiąc, ledwie się przez infimę, gramatykę i *syn-taxim* przebił nie bez trudu, a poetyki i retoryki owo zgoła zaniechałem. Kraków!... — mówił w zadumie — nigdy tam moja noga nie postanie. To waszmość możesz oświadczyć pierwszemu baronowi z czegoś tam kieleckiego.

— Z kieleckiego cyrkułu — wyraźnie i zimno oświadczył urzędnik.

— Mnie te nazwy ani pachną, ani śmierdzą...

Hibl nieznacznie coś zanotował w pugilaresiku.

— Powiem waćpanu — ciągnął szlachcic — czemu Krakowa nie lubię. Sam pojmiiesz.

— Proszę, proszę...

— W młodocianym wieku osierocony przez rodziców, wzięty byłem przez opiekuna całej mojej puścizny, krajczego — Panie świeć nad jego duszą! — Olchowskiego ze szkół, gdzie się tyle że wałkonił i po wagarach chodził. Na dworze jego, w Sieprawicach, młodość strawiłem. Siostrę moją, matkę tego oto młodzieńca, wychowała nieboszczka krajczyna. Pan Olchowski, jako sam człek ongi rycerski, bo z królem Janem bywał, widząc we mnie ochotę do szabli, udzielił mi błogosławieństwa w imieniu rodziców, a na znak i zakład posłuszeństwa *antiquo more* kazał rozciągnąć na kobiercu i własną swą senatorską ręką wyliczył mi pięćdziesiąt batogów. Zaraz też sto obrączkowych wsysał do trzosika, dał dwu pocztowych, dwa konie wierzchowe jak diabły, ryngraf na piersi, i sam odwiózł do chorągwi pancernej, co się wówczas uwijała koło Miechowa. Wtedy oto pierwszy raz widziałem Kraków. A ostatni raz, ostatni... I niech go tam jasne pioruny spalą, cały wasz Kraków! Więcej tego wszystkiego kosztować nie myślę...

Gość zaśmiał się z cicha, chytrze rozszerzając powieki. Szepnął z udanym zdziwieniem:

— Dlaczego? Wielmożny pan obiecał wyjaśnić...

Szlachcic słyszał ten okrzyk i widział uśmiech, ale niezrażony mówił dalej:

— Dlaczego? A no dlatego... Wytrzymałem był w tym Krakowie obleżenie pospołu z bracią z województwa sandomierskiego, krakowskiego jako też i ziemi sanockiej. Wytrzymałem dziesięcioniedzielny szturm do miasta. Byłem przytomny, kiedy nieprzyjaciół zdradą wpuszczony był do grodu, a my wszyscy sromotnie poddać się przymuszeni byliśmy. Złożyliśmy jak barany ryszturnek wojenny i dwie niedziel zamknięci w zamku krakowskim czekaliśmy na rezolucję, co też z nami uczynią. Trzy nasze związki konfederackie, Boże mój, Panie miłosierny! rozłączono, a każdy do innej sali na zamku graf zamknąć kazał. A skorośmy do tych sal weszli, warta z ukrytych miejsc pokazała się, u drzwi i okien miejsca zajmując. Nazajutrz przyszedł placmajor z rezolucją, ażebyśmy do podróży byli gotowi. Dwustu siedemdziesięciu nas samej szlachty oficerów w marsz wyszło przez Grodzką Bramę. A za oną bramą zastaliśmy konwój z karabinierów. Ci nas wiedli błotami i drogą złą w naznaczoną podróż. Później dopiero dano nam podwoły i tak oto z wolna jechaliśmy w oczach ludzkich przez Skalbierz, Staszów, Iwaniska... Za Staszowem idzie tam droga szeroka lasem... No, mój ta już był blisko kraj. Z dała Święty Krzyż widać... Zdarzył się był nocleg w miasteczku Bogoryi. Dokoła zajazdu, gdzie my w stajniach pokotem leżeli, warta czuwała. Wstałem ja w późną noc, przyszedłem do karabiniera pierś w pierś, gdy się nie spodział, i wziąłem mu z rąk broń siłą a w mgnieniu oka.

— Spał? — cicho szepnął urzędnik.

— Co miał spać?... Czuwał!

— Więc jakże?

Szlachcic uśmiechnął się boleśnie i strzepnął palcami.

— Nie pamiętam już dobrze, jak się to stało... Dość, że mię... te... puścił. Rzuciłem się we drzwi, między domostwa, wypadłem w pola i dopiero co mocy w nogach! Gwałt uczynili żołnierzykowie, dalej sypać za mną w ciemności kulami, tylko mi koło uszu gwizdały. Ręka Boska odegnała... Lasami przyszedłem do tych moich Wyrw bosy, obdarty do naga, głodny. A stanąwszy w tych progach, takem sobie rzekł: „Teraz Ci, Panie Jezu, ślubuję, że już nie wyjdę!”. Otóż i siedzę jak leśny wilk. Widzisz waszmość, że jadłem dość w tym Krakowie chleba, na poły z plewami spieczonego... Zważ waszmość, że działa się ta sprawa w roku Pańskim 1768. Gdzież mnie teraz do Krakowa? Co bym tam ujrzał?

— Wielkie zmiany, pożądane zmiany. Ten dzień 17 sierpnia zeszłego roku na zawsze zostanie w pamięci wszystkich, co go widzieli. Najprzedniejsze obywatelstwo Zachodniej Galicji zgłaszało się do nadwornego komisarza, pana barona Margelika, z życzeniem asystowania przy wjeździe jegomości pana hołdowniczego, księcia Auersperga.

— Najprzedniejsze obywatelstwo, mówisz waszmość? Patrzejcież!

— Tak jest. Nie wszyscy mogli być przyjęci, osobliwie na dzień samego wjazdu 9 sierpnia. Co to za festyn był! Szły naprzód ku miastu przez most z przedmieścia Josephstadtu...

— Skąd, proszę?

— Od przedmieścia Podgórze dawniej zwanego.

— Dawniej zwanego!... a teraz Josephstadtu...

— Cechy, korpus kawalerii, stangreci obywatelów asystujących bez koni naręcznych, berajterowie, trębacze, później szlachta polska na pięknych koniach...

— Berajterowie, trębacze i szlachta polska na pięknych koniach...

— Damy polskie w powozach, dwór jegomości pana hołdowniczego, wreszcie on sam — i znowu korpus kawalerii.

— Piękne widowisko, przez Bóg żywy!

— A w dniu hołdu! Od pałacu Spiskiego do kościoła Panny Marii i do katedry na Wawelu stanęła infanteria i kawaleria w prostych liniach. Wyszli mieszczanie ze swymi cechami, świeckie i zakonne duchowieństwo, deputowani z cyrkulów i wszystka obecna szlachta w paradnych strojach, dalej personel Gubernium krajowego, wszystkie urzędy, Akademia. Wszyscy uszykowali się w swych miejscach. Cisza jest, bardzo wielka cisza. Wtedy poczęł dzwonić na Wawelu wielki, starodawny dzwon Zygmunt.

Nardzewski słuchał uważnie. Z podziwu czy zachwytu głowa jego chwiała się na prawo i na lewo, a z gardła dobywał się co chwila przemocą trzymany głos.

— W wieczór — ciągnął komisarz — było całe miasto iluminowane, a w Sukienicach książę jegomość Auersperg dał wielki bal, gdzie się aż do samego rana bawiono. Zjazd był tak wielki z obydwóch Galicjów, że Sukiennice nie mogły wszystkich gości ogarnąć. Blisko sześć tysięcy szlachty w nich się z największą radością bawiło. Przy stole były spełnione toasty z wielkim zapałem, przy odgłosie armat...

Nardzewski wciąż śmiał się. W pewnej chwili mruknął nie odwracając głowy.

— Zawieś mi kartę.

Strzelec natychmiast porzucił rozkręcone strzelby i do wahadła zegara, który naprzeciwko miejsca, gdzie siedział Nardzewski, wisiał na ścianie, przyczepił asa żołędneho. To uczyniwszy, prędkimi krokami i z obawą, jakby się paliło, pobiegł do sąsiedniej izby, przyniósł stamtąd dwa piękne pistolety dziwerowane, z kolbami bogato srebrnymi, i położył je przed dziedzicem na stole.

— Kontynuuj waszmość, jeśli łaska... Miło mi słuchać tego, co mówisz, miło mi, przez Bóg żywy! He-he... Więc tedy powiadasz jako wiarogodny świadek, że sześć tysięcy najprzedniejszej szlachty do rana z radości hulało, że te... I toasty, i okrzyki... A królewski, starodawny dzwon Zygmunt...

Urzędnik zamilkł i zbłądł. Oczy jego kilkakrotnie błysnęły złowrogo i znowu skryły się pod powiekami. Prawa ręka ociężałym ruchem skradła się w zanadrze jedwabnej sukni i wydobyła stamtąd wąski, wenecki sztylet tak szybko, że ten ruch ledwie zdołały pochwycić bystre oczy Rafała. Nardzewski ciągnął:

— Mówże waszmość, miłościwy panie, z łaski swej... Niech i moje serce napoi się po brzegi radością tych dni! Ja tu w lasach, pośród wilków i lisów żywiąc, gdym rad, strzelam do tego znaku. Waszmości pewno dym prochowy nie szkodzi... Cha-cha... Na wiwat!

To rzekłszy ujął pierwszy z brzegu pistolet i spojrzął w oczy Niemca. Po twarzy snuł mu się uśmiech, a spomiędzy warg wypadał szorstki ów chichot, podobny także do czkawki czy łkania.

Hibl miał twarz spokojną, tylko jakby stężałą. Prawe jego oko było przymknięte i dolna szczeka nieco wysunięta. Mówił z wolna, głosem pewnym i spokojnym:

— Cały ten wiekopomny akt przysięgi na wierność monarchom dynastii Habsburskiej odbył się w największym porządku.

Nardzewski podniósł pistolet i strzelił.

Dym nappełnił pokój. Wapno przez kilka chwil sypało się ze ścian i powały.

Rafał podszedł do zegara i sprawdził, że czarny znak żółednego asa był z karty wystrzelony. Gdy się dym rozwiął i zaczął odpływać do izb przyległych, młody chłopiec ujrzał w polu odchylen wahał się mnóstwo kul, które siedziały w modrzewiowych belkach. Niektóre były wpakowane jedna na drugą i rozplaszczone.

Komisarz nie interesował się wcale wynikiem strzału. Siedział na swoim miejscu i kiedy niekiedy machał ręką dla odpędzenia dymu. Widząc, że Kacper z pośpiechem nabija wystrzelony pistolet, mówił oschle, wyraźnie i śmiało:

— Mnie dym prochowy nie szkodzi, ale może wielmożny dziedzic zaniecha strzałów. Jeszcze ważne sprawy... Podług osnowy rozkazu mej władzy ogłaszam jako zwierzchności gruntowej, że liczba dni roboczych, jakie odtąd komornicy świadczyć będą rocznie bez różnicy płci, trzynaście, a liczba dni chałupników dwadzieścia sześć wynosić ma. Chłopi posiadający grunta, o ile płacą określone podatki, pracować na rzecz wielmożnego pana nie więcej nad trzy dni w tygodniu mają. Dłużej jak osiem godzin w zimie, a dwanaście w lecie żaden pracownik w polu czy w gumnie robić obowiązany nie jest. Święto, gdy przypada w dzień pańszczyźniany, liczy się na korzyść pracowitego chłopca.

— No i cóż jeszcze? — mruknął Nardzewski.

— *Presshafte Leute* — mówił urzędnik — to znaczy podupadli na zdrowiu, starcy powyżej lat sześćdziesięciu wolni od robocizny być mają.

Nardzewski znowu ujął pistolet i strzelił. Nie czekając nim się dym rozejdzie, wyrwał broń z rąk strzelca. Ostatni słuchał tak ciekawie tego, co mówił urzędnik, że ledwie ruch pana spostrzegł.

— Nabijaj! — wrzasnął Nardzewski — bo ci tu na miejscu łeb roztrzaskam!

— Żaden poddany...

— Co jeszcze? Co jeszcze?

— Aby żaden kmieć, skrzywdzony przez pana, żadną drogą samowładnie sprawiedliwości dla siebie forytować nie ośmielił się, rozporządzono jest, żeby do krajzamtu w Kielcach, wprost do pełnomocnego komisarza ze skargą szedł — ciągnął urzędnik głosem ochrypłym, ukryty już prawie w dymie prochowym.

— Niechaj spróbuje!

— Rozporządzono dalej...

— Co waszmość chcesz mówić? — z cicha, głosem suchym rzekł szlachcic wstając ze swego miejsca. — Ja tu jestem panem, ja prawem! Naddziady tu moje siedziały... Moja to jest ziemia i moi ludzie. Te Wyrwy to jest mój kraj. Mój i niczyj więcej! I przez Boga żywego tu nikt...

Komisarz śmiał się.

— Za Jana Kazimierza, po wojnach, przybył tu prapradziad mój, Józef, i te pustki lasami porośłe kupił za grosz w boju na kresach ranami zdobyty. Sam własną ręką, wyszorowaną w ciągu lat przez pancerz i rękawicę, karczował te role, rwał pniaki i jałowce. Sam zrównał nowiny, wyniósł kamienie. Idź waść i obacz one kamionki dokoła moich pól! Latami ten człowiek... Na tych to rolach moje chłopcy siedzą. Nie miał na zawołanie najemników, a choćby i byli, to czymże by ich opłacił? Przyszli za nim ludzie bezpańscy z dobrawoli, nędzarze przymierający głodem, i za kawały gruntu, za budynki i gospodarski dobytek zobowiązali się do stałej daniny w pracy. Lepiejże im może było tulać się po slotach, nie mieć dachu nad głową? Lepiej było poniewierać się w czeladzi po dużych dworach, czyli też siedzieć tu w jasnym domostwach, na świętej, pospólnej ziemi, z której nie płacili przecie pieniędzy? Żyli tu jako jedna rodzina. Babka moja, jak zapamiętam, matka i moja, Panie, świeć nad jej duszą, żona, były ich lekarkami. Spytaj

Chłop, Szlachcic, Prawo,
Własność, Władza, Polak,
Niemiec

waszmość, kogo chcesz, czy i ja sam, choćem człek twardy...

Hibl kiwał głową.

— Jeśli zagrodnik trzysta zagonów roli pańskiej posiada — mówił z uśmiechem ironii — niech płaci od każdego zagona po groszy miedzianych trzy, jak jest zwyczaj. Przypadnie za wszystkę jego rolę złotych sześćdziesiąt. Rachujmy dzień roboczy najtaniej po groszy miedzianych piętnaście, przypadnie za wszystkie dni robocze w roku złotych siedemdziesiąt osiem. Dobrze mówię?

— Mów wasan.

— To jakże? Gdzież reszta? Kto bierze osiemnaście złotych? A przecież to nie koniec! Muszą przecie nadto stróżę po nocach odbywać, na posyłki chodzić. A daniny? Za cóż jeszcze daniny składają? Czy także z gruntu pradziadowskiego? Przecie go pracą na pańskim z czubem okupili. Dają różne gatunki zboża, dają kury, jaja, połowę miodu od pszczół, muszą znosić do dworu określoną ilość lnu, jagód, orzechów, grzybów. Nawet gdy się orzech w lasach nie urodzi, dać go muszą, bo tak prapradziadom za Jana Kazimierza dawali.

Nardzewski słuchał tego wszystkiego jakby w osłupieniu. Ręce jego bezwładnie leżały na pistoletach.

Rzekł spokojnie:

— Skądże to waszmość wiesz? Skąd wiesz? Drażnisz mię licząc na to, żeś pod dachem szlachcica polskiego... Ale, przez Boga żywego, nie czyn tego dłużej.

— Ja się broni nabitej nie boję... — rzekł komisarz z dumą, wstając ze swego miejsca.

Po chwili zwrócił się do strzelca ze słowami:

— Zawiadomić wójta i ławników, żeby się jutro cała wieś zgromadziła na dziedzińcu dworskim. Urzędowe rozporządzenia przeczytane będą. *Ad tertium*... Co do gromadzkiego spichlerza...

Nardzewski spojrział na strzelca okropnymi oczyma i z cicha mówił:

— Niech mi Jawor obębni po wsi, że jutro mają się zejść wszyscy, kto żyw. Na mój rozkaz, słyszałeś! Będzie brał karę Tomek Zalesiak za to, że się dobierał do mego lamusa. Otrzyma przy całej wsi i w oczach tego oto pana komisarza sto pięćdziesiąt miotełek brzoźowych, jak za Jana Kazimierza, Michała Korybuta i innych bywało.

— Oświadczam uroczyście wielmożnemu panu, że to się nie stanie — mówił komisarz. — Bić zabrania się wszelką miarą. A teraz pragnąłbym udać się na spoczynek.

Szlachcic konwulsyjnie chwycił się za głowę i coś jak szczekanie wyłamało się z jego zduszonej gardzieli. Wstał ze swego miejsca i zaczął chodzić po izbie z rękoma w kieszeniach rajtuzów. Twarz jego była straszna, o kolorze dymu, który ją owiewał. Co pewien czas piersi jego jęk wstrząsał, a wargi ciskały wyrazy bez związku.

Rafał w postawie siedzącej chrapał w kącie sofki, jak zarżnięty. Sen jego był tak twardy, że nawet nowy strzał wuja tylko go na chwilę ocucił...

Był już dzień biały, kiedy Nardzewski zaczął budzić siostrzeńca. Młodzieniec nierychło podniósł głowę. Zdało mu się, że dopiero co zasnął i chwileczkę drzemał. Ze zdumieniem też spostrzegł, że jest rozebrany i leży pod kołdrą.

— No, kochanku, szkapę zaprzężone: komu w drogę, temu czas — mówił Nardzewski. — Droga daleka, dzień mały...

Chłopiec wyskoczył z łóżka i zaczął się ubierać. Na dworze słychać było gwar ludzki, szczekanie psów i donośny głos urzędnika przemawiającego z ganku. Stary szlachcic chodził po pokoju szarpiąc czuprynę i wąsy. Twarz jego była szara, oczy zdziczałe. Naglił siostrzeńca do pośpiechu, tłumacząc mu ochrypłym głosem, że dzień krótki. Zmusił go do prędkiego wypicia winnej polewki, otulił niedźwiedzią kiereją, wyprowadził na dwór i wsadził do szerokich sanek, naładowanych zwierzyną. Cztery dzielne konie w lejc zaprzężone, włochate i dymiące na mrozie, niepokoily się wśród tłumu chłopów w rudych sukmanach, bab w welniakach i dzieci. Kiedy woźnica był gotów, Rafał uściskał wuja i zasiadł się dobrze w słomianym siedzeniu.

Tak mu było żal jechać, tak niewymownie... Palila go nienasycona ciekawość, jak w lesie, gdy się odezwał głos ogarów.

Co też to będzie? Co się tu stanie?

Widział rozognione twarze chłopów, błyszczące ich oczy, które nic nie dostrzegały poza figurą urzędnika. Hibl w krótkim futerku, oparty o słup ganku, coś dobitnie

rozповідаł.

Nardzewski dał znak furmanowi i sanie, głośno skrzypiąc na mrozie, ruszyły z miejsca.

— Przyprować Zalesiaka! — krzyknął wtedy szlachcic przerywając tym sposobem wykład komisarza.

Rafał nastawił ucha.

— Sołtys, bębnić!... — wołał Nardzewski.

Dał się słyszeć ponury, groźny głos bębna...

Konie Rafała, ściągnięte długim batem, pomknęły z kopyta torem iskrzącym się od mrozu.

KULIG

Z Opatowskiego w kierunku Koprzywnicy i złotopsznicznej niziny Powiśla, wskroś jedyne na świecie Sandomierskiego Płaskowzgorza, gnał kulig. Łańcuch kilkudziesięciu sań budził całą okolicę radosnym głosem dzwonek, brzęcącym łoskotem janczarów, trzaskaniem batów na cztery konie, wrzawą okrzyków, bębnow, fujarek, melodią śpiewów i muzyki. Kilkunastu pajuków rwało na folwarcznych szkapach, trzymając w garściach pochodnie, w ślad za saneczkami arlekin w czarnej masce, zakopanego w wielkie niedźwiedzie, który na czele orszaku pomykał. Blask złotych ogni w dymie — płamami rozdzierających noc, o kilka wiorst na płaszczyźnie widoczny, kładł przed oczy zasy, parowy, urwiska i wskazywał wśród nich przetartą drogę.

Noc była widna, księżycowa, mroźna.

Wielkie śniegi, przemarzłe w tęgich mrozach, leżały pierzastymi zaspami. Tu i owdzie wypełniły po brzegi wąwóz, których tyle w tamtej okolicy, gdzie indziej załęły opłotki a nawet wioszczyzny przytulone do urwisk. Mglistymi kępy i drgającymi żywo światełkami znaczyły się dwory na przyczółkach parowów. Konie po brzuchy zapadały w wywary, roznosiły w puch największe zadmy, które ledwie przeorał arlekin. Kulig nie znał przeszkód. Tworząc ogromny korowód leciały sanie najrozmaitsze. Jedne były snycerskiej roboty, połączone lub posrebrzane, z czasów jeszcze saskich i Stanisławowskich, w kształcie łabędzi z długimi szyjami, w kształcie gryfów i orłów, pozaprzęgane czwórkami w piórach i czubach; inne — zgoła prostackie, ledwie przez domowego cieślę pomalowane *lubryką* lub na zielono, a ciągnięte przez fornalki rozmaitej maści i wzrostu. Zarówno pyszne cugi jak chety z jednaką brawurą i życiem rzucały się w zasy, niby czółna w fale jeziora.

Radość kipiała w sercach.

Kapela, złożona z klimontowskich Żydków, rznęła od ucha mazury, oberki, krakowiaki, drabanty. Chwilami porywająca melodia przygasała jak od zachwyty, co dech zapiera, i tylko z jakiejś głębi, jakby spod śniegu, dolatywała do uszu i serc. Wtedy odzywały się pieśni. Więc z jednej strony słycać było tkliwe dyszkanty damskie:

Ścieni dąbek, ścieni, już się nie zieleni...
Dałam chłopcu słowo, już się nie odmieni!

A z innej naigrawały się potężne basy męskie:

A ja sama nie wiem, co to za przyczyna:
Gustuję w bronce, wzdycham do blondyna!

Zaraz odcinał się chór paniński:

Granatowy fraczek, woskowane buty —
Teraźniejsza młodzież same bałamuty.

I znowu z góry donośnie, siarczyście zanosily się skrzypce, basy i flety, głuźąc wszystko.

Rafał, jak większość najmłodszych kawalerów, jechał konno. Pierwszy to raz w życiu dostał od ojca pozwolenie zażycia faworytnej „Baśki”, młodej klaczki swego chowu. Baśka liczyła sobie dopiero trzy wiosny. Pochodziła z ojca czystej krwi araba i matki polki.

Była płocha, żywa, a przecie nad wszelkie słowo rozumna. Główkę miała maleńką, śliczną. Siwa sierść pokrywała jej skórę, cienką jak jedwabnica. Klacz szła w płasach, stroiła ogniste skoki. Bawiła się jak człowiek: to nastawiwszy uszka i rozdując nozdrza z chrapaniem, słuchała muzyki, to za nią w żartkich lansadach szła niosąc jeźdźca rozkosznie jak w kolebce. Rafał był szczęśliwy co się zowie. Kieliszek starego węgryzyna, wypity gdzieś w ostatnim dworze w Górkach, Ossolinie czy Nasławicach, rzucił jego uczucia jakoby na ptasie skrzydła. Koń niósł go wskroś tych zasp, których zimny oddech tak miłośnie mu twarz ochładzał... A w saniach lecących przed nim — te dwie panie... Jedna starsza, mężatka czy wdowa; druga — młodziutka dziewczyna. W blasku księżyca widział ich głowy i kołpaczki: u jednej — starożytny, sobolowy, z kitką osadzoną wśród brylantów; u drugiej — okrągły, suty, z gronostajów cynkowanych.

Osobliwie ta starsza, w salopie złotego koloru z puszystym futrem... Tańczył z nią krakowiaka i mówił już kilka wyrazów. Stał mu w oczach cudny czar tej osoby, jej oczy zachwycające, które, zdawało się, nie widzą go wcale, i uśmieszek, który się z jego pomyłek w tańcu tak przedziwnie naigrawał. Wtedy nawet, gdy on, Rafał Olbromski, żywy i trzeźwy, na nią patrzył w futro otuloną, widział ją w głębi siebie inną, odmienną. Wspominał, jak z nim tańczyła w sukni greckiej purpurowego koloru, rozkosznie ściskającej stan i piersi, potoczystej, z ogonem i obszyciem ze złotego masyfu.

Pamiętał śliczne ręce w bufiastych rękawach, ze śliskiego atlasu, które się do niego w tańcu wyciągały, i włosy z grecka trefione. Podniecał konia do skoku i kiedy się równał z saniami, wówczas brylanty na kołpaczku, zwróconym w jego stronę, migotały w blasku księżyca. Oczu nie było widać, i Rafał pewien był, że nie patrzą. Jakże czarodziejsko, jak rozkosznie mieniły się błyski drogich kamieni.

Zdało się pomimo wszystko, że to uśmiech ów skryty, niewidoczny, schowany i wzgardliwy, a przecie nad wszystko powabniejszy, przez noc się ku niemu przebija. Schylał się niby to poprawiając trzęźłę lub puślisko, ale i tak oczu nie widział.

Sam był przebrany w strój niby wiejski, krakowski, w żupan granatowy z karmazynowym kołnierzem, lamowany srebrnymi galonami z szychu, w zuchwałą czapkę karmazynową, rogatą, z pawim piórem. Pas z kółkami pobrzękiwał na nim, a stalowe podkówki trzaskały o strzemię.

Co chwila odwracał się ku niemu i drugi kołpaczek. Ta głowa dziewczęca była bliżej. Nie kryła wcale swych spojrzeń. Widział oczy i rozchylone usta, małe, pąsowe, czuł nawet unoszący się nad saniami w czystym powietrzu zapach *l'eau de la reine d'Hongrie*, tak pocziwie zwany larendogłą. I były chwile, że jak przykuty, jak we śnie, sam nie wiedząc czemu, wpatrywał się w te oczy, które się do niego śmiały z serdecznością i szczęściem.

Bo nie masz krainy, nie masz takiej strony,
Gdzieby nie kochali chłopcy cudzej żony...

— wyleciały jak z procy skądś, aż z ostatnich sanek, swawolne słowa.

Niby groty z ognia uderzyły w Rafała i jakoby oczywiste prawdy zatrzęsły nim aż do samej głębi duszy. Pochylił się na kark konia i tylko siłą wstrzymał ręce, żeby go nie objąć i ust płonących nie przycisnąć do wzdętej jego grzywy.

Jeden głos męski potężny, drżący od siły i wesela, śpiewał w nocy:

Nie będę się żenił, nie będę się spieszył...

— Jeszcze czego! — wołał drugi.

Będę się umizgał i dziewczęta cieszył...

— ciągnął pierwszy z taką szczerą prawdomównością w każdym tonie, że wszystkie sianie wybuchnęły śmiechem radosnym, prawdziwym aż do samego dna. Był to jak gdyby akord tej samej pieśni, jakby okrzyk zgody czulej, jakby potwierdzenie prawdy nieomyślnej, a długo zamęcanej przez kłamców.

Z dala, z dala, od przednich sań leciała piosenka:

— A ja się stanę małą ptaszyną
I okryję się gęstą krzewiną...
Jednak ja twoją nie będę!

— Mają cieślowie takie topory,
Że wycinają lasy i bory.
Jednak ty moją być musisz!...

Pieśń ta w inną stronę jak wiatr poniosła duszę Rafała. Dłonie jego ścisnęły jak gdyby toporzysko siekiery i ramię kurczyło się, żeby z całego ducha ciąć owe „lasy i bory”. Ujrzał je w oczach, jak żywe: bory niezmierzone, głuchą świętokrzyską puszcę. Wionął na niego smutek i żal...

— Także to nas waćpan zabawiasz, mości kawalerze — rzekła nagle starsza z pań.

— Ale bo ja... właśnie w tej chwili... — bąkał Rafał zmieszany, nie mogąc znaleźć słowa odpowiedzi.

— Ani nam nie śpiewasz pięknych piosenek, ani grzecznym dyskursem nie rozweślasz... Niemy waćpan jesteś jak ten worek skórzany, w którym nogi trzymamy. Tyle że z nami jedziesz, jak i on...

— Nie umiem śpiewać. I dlatego właśnie...

— Toć to kulig, nie pogrzeb. Waćpan jedziesz na swym koniu za naszymi saniami jak za trumną.

Rafał płonął ze wstydu, ale w tonie mowy pięknej pani nie czuł gniewu ani odrazy. Toteż pod wpływem nagłej decyzji zeskoczył z konia i stanął w tyle sanek. Przez chwilę myślał, że za ten krok będzie cierpiał srogie jakieś kary, ale było mu wszystko jedno.

— O, nie zasłużyłeś waćpan, żebyśmy cię na naszych saniach wiozły! Nieprawdaż, Heleno?

Młodziutka towarzyszka śmiała się z cicha i co chwila wykręcała się na swym miejscu.

— Już się na pewno poprawię! — szepnął.

— Więc akomoduj się waść, bo źle będzie...

Wrzawa na saniach jadących przodem wzmagala się coraz bardziej. Bliżej, rozgłośniej słychać było jedną i drugą kapelę. Pochodnie uwijały się gdzieś w dole.

— Cóż to za zgiełk? Dlaczego? — pytała piękna pani.

Rafał podniósł głowę i spostrzegł, że cały łańcuch sanek zjeżdża w dolinę rzeki Koprzywianki. Z urwistych brzegów, omijając zadęte wąwozy, sanie pędem zlatywały na dół wśród krzyku kobiet i nawoływań męskich.

Klaczka Rafałowa niechętnie szła za saniami. Musiał ją ciągnąć za uzdę, a wsiąść na siodło już nie mógł. Ani sposobu! Przyrósł do miejsca w tyle sanek. Owiewał go czarodziejski zapach i jasny blask tych dwu zjawisk, które miał przed oczyma. Teraz już widział uśmiechy obydwu twarzątek, zwróconych ku niemu...

— Gdzie jest dom rodziców waćpana? — pytała pani.

— Z tamtej strony, za rzeką.

— Czy go już widać?

— Ledwo, ledwo! Światła się daleko w nim błyszczą.

— Gdzie to?

Rafał nachylił się nisko i wskazywał ręką. Sobolowe futro musnęło go po twarzy.

— Ach, więc to tam są Tarniny? — prędko wypowiedziała panna Helena, nie wiadomo, czy do swej towarzyszki, czy do Rafała.

On czuł, że musiała się przy tym strasznie zaczerwienić, że cała stanęła w ogniu, bo i jego ogień ogarnął. Słodki, melodyjny głos brzmiał w jego uszach, w całej głowie, w piersiach. Te to przeczudne, jaśnie wielmożne usta nazwały jego wieś rodzinną...

— Tak, to Tarniny... — odpowiedział z pozornym spokojem.

— Musimy tam zajechać... — mówiła starsza pani — a przewrócimy wszystko, mości mruku, do góry nogami. Prawda, Heleno?

— Ja sam będę dopomagał, bo dom nasz stary, niski i niepiękny. Musiałby rodzic drugi dom wystawić.

Powiedziawszy to głupstwo z dość wielką brawurą, obejrzał się mimo woli, czy aby rodzic nie słyszał aforyzmu.

Woźnica stanął w saniach i wstrzymał swą czwórkę. Cztery spasione konie okryte lamparcimi skórami, w szorach nasadzonych licznymi dzwoneczki, z czubami pąsowych piór na łbach, stały w blasku nad brzegiem urwiska jakby senne widziadło. Po chwili, gdy ruszył lejcami, zapadły w dół, idąc zrazu klusem, później galopem. Wierzchówka Rafała nie chciała ich naśladować i młodzieniec, pragnąc nie wypuścić z rąk wodzów, musiał skoczyć na ziemię. Runął w śnieg i ledwo utrzymał cugle. Po chwili namacał końcem stopy strzemię i gwałt za saniami.

W nizinie, nad brzegiem rzeki, utworzył się istny zator pojazdów i koni. Mostu w tych miejscach nigdzie nie było. Jeżdżono od początku świata w bród. Pierwsze sanie, przebywając rzekę po lodzie, oberwały wielką jego taflę i ledwo, ledwo wydobyły się z wody. Brzegi rzeczki były spadziste, obmarzłe, nie do przebycia. Jedyne łagodniejsze miejsce zostało zniszczone. Czekało na chłopów z najbliższej wioski. Tymczasem zjeżdżało sań coraz więcej. Dwie kapele złączyły się teraz i od ucha cięły zawołanego mazura. Okazało się, że pierwsze sanie wiozą napotkanego w drodze „turonia” czyli „kłapacza”, tj. chłopca przebranego za straszidło z wysoką szyją jak u żyrafy i ruchomą paszczką, czerwonym sukniem wybitą. Na wybrzeżu Koprzywianki powstał gwar, zgiełk, hałas. Dzwonki, janczary, krzyki, śpiewy, muzyka zlewały się w ogromny wybuch wesela. Turoń posuwał się z wolna między saniami, kłapiąc dolną żuchwą i nachylając się to tu, to tam. Rafał na widok tego stracha, tej przeraźliwej chimery, uczuł w sobie dreszcz, który się wskroś śmiechu przebiegał. W tej samej chwili panna Helena, obok której stał właśnie, z nagłą ujrawszy poczwagę, krzyknęła, rzuciła się na osłep a lewą ręką pochwyciła ramię Rafała. On instynktownym ruchem przysunął się ku niej. Tak przez chwilę stali obok siebie, złączeni śmiertelną grozą, gdy turoń nachylił się ku ich twarzom i końską swoją paszczę szeroko otwierał. Po chwili śmiali się do rozpuku, zaznajomieni ze sobą wskutek tego zdarzenia, jakby od wielu lat chowali się pod jednym dachem.

— Boisz się waćpanna turonia? — zapytał cicho.

— Ależ nie... Co znowu! Tylko tak na mnie zakłapał.

— Ja się dawniej bałem. Och, bardzo, strasznie! Śnił mi się po nocach ze swoim czerwonym językiem. Po Bożym Narodzeniu przyszedł raz do nas, do Tarnin. Byłem wtedy chory, a w dodatku mały smarkacz. Drzwi się otwarły i wsunął się łeb... Wie pani, taki okropny, bez oczu...

— Och, wiem! Nagły łeb, jakby się wyśnił albo jak czasem z ciemnego pokoju... wiesz waćpan, coś takiego wyłazi...

— Czasem jeszcze i teraz, choć to śmieszne, zdaje mi się, że stoi za oknem na deszczu, na wicherze, i słychać kłapanie. A oczu strach podnieść... Spojrzeć? — Za nic! Prawda?

— Za nic! A to tylko wiatr wyje w ciemną noc, w jesień... To po prostu topole jęczą i skrzypią, a stare lipy huczą. Przejdzie chwila i wszystko nacichnie!

Gromada chłopów, zwołana przez umyślonych na miejsce, jęła się pracy. Usiłowano przeprowadzić konie i sanki w innym dostępnym miejscu, ale znowu lód nie wytrzymał. Radzono tedy, co czynić. Jedni utrzymywali, że wypadnie objechać aż na Koprzywnicę; inni byli zdania, żeby się cofnąć w górę rzeki, gdzie jakoby przed laty był jakiś lekki mostek.

— Chłopcy! — zawołał nagle ktoś z tłumu szlachty — a nam co po moście? Który się podejmie przenieść sanki razem z paniami na drugi brzeg rzeki, dostanie natychmiast czerwony złoty jeden, pojedynczy!

— Zimna woda, jaśnie panie! — rzekł pierwszy chłopowina z kraja.

— A ja idę! — krzyknął drugi ściągając z ramion zwierzchni kozuch.

Po chwili już kilkunastu rozzutych i na pół odzianych brało za bary pierwsze sanie. Furmani siedli oklep na wyprężone konie i w drugim brodzie przejeżdżali wodę. Powstał krzyk dam siedzących w saniach, śmiechy i oklaski zgromadzonych na brzegu. Przenoszenie długo trwało. Wkrótce jednak na przeciwległej stronie zgrupował się zastęp niemały. Zmącona woda chlupała, gdy chłopstwo podsadzało się pod sanicę i brnęło środkiem.

— Zimno! — wołali dźwigający.

— Dalej go! czerwony złoty na głowę... — zachęcał projektodawca.
— Kapelę nam tu dawajcie, kapelę! — dopominała się młodzież — co tu mamy różniący czekać...

— Pochodni! — nastawały panie.

— Ej, chłopcy pracowite! — ozwał się głos młody — a weźcie no jeden z drugim łopaty, ubijcie nam tu śnieg, a równo, twardo!...

— Żydy, mazura!

— Pejsate Żydy, naszego!

— Kulig! — wykrzyknął arlekin, podniesiony przez młodzież nad głowy wszystkich. Żydki urżnęły od ucha.

Wkrótce śnieg ubity był twardo i zrównany niby najdoskonalsza posadzka. Oczekując na przybycie wszystkich puszczono się w płąsy, zatoczono mazura, jakiego świat nie widział.

Matrony i starcy otaczając koło przyklaskiwali, a młodź hulala co tchu. Wnet futra, opończe, bekiesze poczęły zawadzać, więc je rzucano w sanie. Hajduki wysoko wznosiły pochodnie i gruby, bujny, migotliwy blask oświetlił miejsce. Zabyły kółka pasów, barwne kierzaje, wyszywane gorsety, białe rękawy koszul.

Rafał tańczył z panną Heleną. Wyglądał szatno i szumno. Krzeszał hołubce jak żaden. Krew w nim kipiała.

— Olbromszczak... — gwarzono naokół z aprobatą i poklaskiem.

— Dobra krew.

— Widać zaraz, że dumna sztuka...

— Po ojcu, po starym cześniku. To samo tancerz był ongi, a towarzysz nie lada jaki, chociaż dziś kutwa nad kutwami.

— Patrzajcie no... Co to za płąs! co za gracki ruch!

— To mi tan!

— Diabło i pięknie!

— Ej, dziś dziś! ej, dziś dziś!

Panna Helena zrzuciła futerko i kapłoni rękawek. Miała na sobie suknię niebieską z krótkim stanem, z fartuszkim linowym w paski, bez żadnego upiększenia. Nie wpięła nawet kwiatu we włosy, spuszczone na czoło. Gdy od tańca zakwitły jej policzki, oczy, zdało się, pochłoneły migotliwe blaski pochodni i otrzymały ich siłę palenia. Rafał nie mógł od niej oderwać wzroku, zapomniał o świecie całym. Taniec był dla niego już nie zabawą, lecz wybuchem radości, pływaniem ze szczęścia. Oczy, złączone z oczyma ślicznej panienki, pełne były zachwyty i poczęły wypowiadać to, czego na pozór nie było wcale w duszy, co tam leżało jak ruda kruszcu bez ceny, martwym pokładem. Teraz bił stamtąd blask i wznosił się pachnący dym.

Kiedy najbardziej rozkosznie wciągał w nozdrza ten królewski zapach i najsiarczystsze krzeszał hołubce, usłyszał głos ojca. Stary cześnik mówił:

— Kto, mośćbrodzieju, na mój grunt dnia dzisiejszego, kto, mówię, na mój grunt nogą stąpi, tego mośćbrodzieju, już nie wypuszczam za granice włości: takie u mnie z dawien dawna *ius terrestre* — dnia dzisiejszego.

— A toż tańczymy, sąsiedzie dobrodzieju, na waszym gruncie, aż w całej parafii dudni — ktoś z boku zawołał.

— Nie nasza to rzecz, mośćbrodzieju, *sub divo* hulać!

— Dlaczego, panie bracie?...

— Dlatego, że to despekt dla szlachcica, mośćbrodzieju. Choć u mnie pod strzechą izdebki, choć, mówię, nie do tańca, aleć, miłościwe panie i łaskawi sąsiedzi, Bóg widzi, jako się rzekło...

Rafał zatrzymał się w tańcu i wmieszał w tłum. Nie rad był wcale nasuwać się rodzicowi na oczy. Stary tymczasem już go był dostrzegł i obrzucił szorstkim wejrzeniem.

— Raczcież — ciągnął — miłościwe mośćbrodziejki, raczcież, sąsiedzi panowie i bracia... zaszczyścić...

Był to starzec zgarbiony latami, łysy, z krótkim, mlecznym wąsem i grubą brwią nad wspaniałymi jeszcze oczyma.

Wkoło tańczących wtoczyły się saneczki arlekina i czarna jego maska wynurzyła na światło.

— Do Tarnin, kto żyw! — wołał głośno, trzepiąc swą różgą wokoło, a szczególnie mężczyzn blisko stojących. — Do Tarnin!... cóż tu stoicie, mazgaje?

Wszyscy ruszyli do swoich sanek. Powstał ścisk, gwar, wyszukiwanie i wdziwanie rzuconych futer i burek.

Królowała śmiech. Buchnęła w rozmowach beżmierna wesołość. Zakipiały śmiałe żarty, mignęły tu i owdzie ukradkowe całusy po rękę, jak cieniem zakryte obrazą, która trwała przez mgnienie oka, uśmiechy, których piękność i rozkosz głębia nocy pochłania i życzliwie zataja. Gdy Rafał dopadł wierzchówki i miał skoczyć na siodło, ujrzał ojca tuż przy sobie. Cześnik nieznacznie zmacał ręką kark klaczy, badając, czy bardzo zgrzana, i coś pod nosem mruknął. Rafał wiedział, że z tych badań dobrego nic nie wypadnie, ale tylko przekrzywił krakuskę na głowie. Co ma być, to tam już jutro... Klacz sama stanęła obok sanek, w których siedziały znajome panie. Chwilę stali na miejscu, nim ogromny wąż zaprzęgów ruszył się z miejsca. Widzieli znowu przed sobą rwący się w kierunku Tarnin barwisty łańcuch. Ognie, okrzyki, śpiewy znowu napelniły dolinę.

W dali, na wzgórzu między drzewami, wśród Sandomierskiego Płaskowzgorza, które się skłania ku dolinie Wisły, paliły się światła w oknach starego dworzyszczu. Kiedy narzecie i pojazd Helenki ruszył z miejsca, Rafał usłyszał głos ojca, który gramolił się do małych saneczek.

— Rwij mi, dnia dzisiejszego, z kopyta do dom i przyjmuj na ganku.

Kawaler z bólem podciął klacz, ze wściekłością przechylił się na siodle i wymijając pochód ruszył cwałem. W mig był na ganku. Już tam pierwsze sanie stawały, i matka w kontusiku drojetowym, z siostrami w odświętnych sukniach, witała gości, błagała o zaszczyt niskich progów. Rafał stanął przy matce, kłaniał się, zdejmował futra, szuby, wprowadzał panie, znosił krzesła. Wkrótce zjawił się i ojciec. Nikt nie mógł poznać starego Olbromskiego, który nigdzie nie był i nikogo prawie nie przyjmował u siebie. Dziś stary zmienił skórę. Przybrany w piękny kontusz, Bóg wie jakie czasy pamiętający, „na opaszki” wrzucony — w drogi żupan — giął się w ukłonach, muskał węża jak za dawnych, pijackich czasów, uśmiechał się, prawił komplementy i sumitował. Gdy wstąpiła na ganek jedna z najpoważniejszych matron okolicznych, stary cześnik podał jej ramię i z krygami, muskaniem węża oraz odrzucaniem wylotów wiódł ją uroczysto przez tłum zgromadzony już nie tylko w bawialni, w alkierzach, w ciasnych i niskich izdebkach dworu, ale nawet w sieni, na ganku, w bokówkach starych ciotek, siostr-panien odwiecznych i rezydentek.

Rafał dopiłnował, żeby godnie przyjąć swe damy. Podał ramię pani stolnikowej i wprowadził ją do domu. Sam nie wiedział, skąd mu się wzięła pewność taka, śmiałość ruchów, ukłonów, które wykonywał, i słów grzecznych, które mówił. Pani stolnikowa trzymała za rękę swą towarzyszkę, pannę Helenę, i śmiała się wesoło. Stanęli za progiem izby bawialnej, gdzie był już tłok taki, że obrócić się nie było sposobu, gdy cześnik przeproszał właśnie swych gości i zaklinał, żeby się bawili, jak mogą.

— Łuczywa nam tylko sąsiad dobrodziej nie poskapisz! — wołał ktoś z tłumu. — Wyjdziemy na dziedziniec i jak nad wodą... hulaj dusza!

Stary zwrócił się w stronę tego głosu i mówił z pięknym ukłonem, śmiejąc się chytrze:

— Dom ciasny, na miły Bóg, ciasny, moścbrodzieju! Sam to widzę i boleję, ale nieraz tu już krzesano hołubce pod tą strzechą niską za dobrych starych czasów. Hańbaż by to dla mnie, dnia dzisiejszego, była, gdyby na dziedzińcu tak znakomici goście...

— Cóż, kiedy ciasno, sąsiadeczku dobrodziej nasz!... cóż, kiedy ciasno...

— Ciasno, nieciasno! — zawołał ktoś inny. — Szlachecki dom ciasny, a miejsca w nim do tańca, dla braci, nie brakło, jak świat światem. Jakoś się rozsuniemy...

— Moścbrodzieje! — wołał głośniejszy cześnik zarzucając w tył wyloty starego kontusika — moścbrodzieje! ściany każę wyjąć z tych oto pradziadowskich węglów!...

— Co znowu! Miejsca dla nas — świat!

Muzyka, ustawiona za oknami, grała krakowiaka i kilka par puściło się w tany. Dla stojących nie było już tam miejsca. Tłoczono się tedy z izby do izby.

Służba folwarczna, *ad hoc* poprzebierana w liberyjne kubraki, roznosiła wino na tacach i domowe ciasto. Gwar rozmów napelnił dom cały aż do ostatniej sionki, gdzieś na ogrody wychodzącej. Było wesoło, ale czuli to wszyscy, że o tańcach w tym domu nie może być mowy. Toteż szepetano po cichu, żeby chwilę jeszcze z grzeczności pobawić i ruszać dalej

dla odszukania dworu większego.

W bokówce, gdzie wisiał wielki obraz Matki Boskiej Sulisławskiej ze szerniałymi od starości ramami, w bokówce, która zamknęła w sobie niejedno już zapewne długie życie, całkowite, od kolebki do grobu, starosta i starościna kuligu prawili długą orację do gospodyni domu, cześnikowej Olbromskiej, częstując ją deską wyrobioną na wzór pszenicznego sandomierskiego placka.

Wskroś tonów muzyki przebijały się do dalszych izb ledwie strzępy tej mowy:

— „Cóż tedy czynić — wołał starosta — kiedy kogo *astra* necesytowały urodzeniem, iż odjąć się nie może naturze i do wesołej przywyknąć konwersacji? Sili się *ars*, różne *media* i *remedia* podając... Ale *fluctuantur* podczas i same nawet nadzieje, kiedy *tenax propositi* człowiek uchwyci się kresu i portu swego, słusznie zaprawdę *gratulari* sobie może...”.

Gwar zagłuszył ciąg dalszy. Ale za chwilę znowu dała się słyszeć rzecz miódopłynna:

— „Jakoż prędzej niebotyczne cedry zajadłym czas zębem skosi, prędzej kwitnące zwiednieją laury, aniżeli rozkwitła w serdecznych wirydarzach przyjaźń jakiejkolwiek podpadnie alteracji...”.

W sąsiednich izdebkach młodzież tańczyła jak mogła, kręcąc się na miejscu. Zbliżała się już chwila stanowcza, i oglądano się już tylko na arlekina, żeby wydał hasło do odjazdu. Rzeczywiście przedarł się przez tłum w swej masce, krzycząc i trzepiąc różgą naokół po sprzętach, ścianach i plecach. Stał na środku obszerniejszego pokoju, zatrzymał tańczących i jeszcze raz wykrzyknął kręcąc się na pięcie:

— Hej! kulig, kulig!

Wtedy stary Olbromski znowu z gracją podał ramię swojej matronie. Muzyka urwała i z nagłą, niespodzianie ucięła wspaniałego poloneza. Wszyscy z podziwieniem oczekiwali, co będzie dalej. Cześnik występował z niewymowną precyzją i nadzwyczajnymi ceregielami. Minął jedną izbę, drugą, jakieś alkierze, bokóweczki, sienie, aż wreszcie zatrzymał się przed szczelnie zamkniętymi drzwiami. Tu zarzucił wyloty, musnął węża i z nagłą klasnął w ręce. W mgnieniu oka drzwi się na oścież rozwarły. Oczom idących ukazała się duża, pusta, wysoka i doskonale oświetlona sala. Arlekin wyrwał się naprzód i w podskokach ją przebiegł wołając:

— Kulig, kulig!

Pary wkroczyły do wielkiej izby. Muzyka umieszczona w przeciwległych drzwiach zagrała krakowiaka i cały tłum z okrzykiem wesela puścił się w tany. Nierychło spostrzeżono, że jest to prosta, stara kuchnia z piekarnią dla czeladzi, przybudowana w tyle dworu. Cześnik w przewidywaniu kuligowego najazdu kazał ją z sadzy oczyścić, wprawić nową i wywoskować do tańca podłogę. Ściany zawieszono festonami z jedliny, olbrzymi komin i piec chlebowy zastawiono świerkowymi drzewkami, tworząc z nich pewien rodzaj leśnej altany. Woskowe świece w drewnianych lichtarzach, które przybito do ścian, rzucały rzesiste światło.

— Ot, to mi figiel gracki! — wołano ze wszech stron.

— To po naszymu!

— To lubimy!

— W górę gospodarza! Ot, to prawdziwa niespodzianka!

— W to nam graj!

Teraz dopiero wyzwoliła się zabawa co się nazywa. Wszystko co młodsze znalazło się w sali i hulać zaczęło. Były tam i modne fraczki, i starodawnym krojem szyte kontusiki, głowy w lokach i podstrzyżone. Większość panien miała już na sobie suknie odkrywające ramiona, a czoła zakryte puklami włosów, ale nie brakło dziewic odzianych w staromodne suknie, w lewitki i bufonki, w krótkie rękawki z długimi angażantkami z koronek. Wszystko to mieszało się w tłum barwisty, utkany mnóstwem kierezji chłopskich, krakowskich „suk”, gorsetów i białych bufiastych rękawów. W pierwszej chwili tuliła się po kątach młodzież uboższa, ale wnet radość powszechna wciągnęła w wir i najmniej odważnych. Chwilami ta rozbawiona młodzież sprawiała wrażenie zdrowej, dzielnej, urodziwej stadniny, pędzącej z krańca w kraniec po błoni. Nowa podłoga dudniła jak skóra na bębnie, światło jarzących świec chyliło się poziomo to w tę, to w inną stronę, zawieszono festony chwiały się do taktu, a cała izba, zdało się, trzeszczała w swych węglach. Wrzawa uciechy huczała w niej jak spieniona woda. Zdrowie, młodość i kipiące życie przemieniły

ten taniec w wylew radości. Bawiono się z pełnego serca, hulano z potrzeby dusznej, tańczono w całym znaczeniu tego wyrazu do upadłego. Słysząc było tylko śmiech i krzesanie hołubców.

Otwarto drzwi, gdyż było duszno nawet w tak wielkiej izbie. Ktoś spróbował odebrać okna, a gdy się okazało, że są na glucho zabite gwoździami, wyrzucił je razem z futryną. Wnet z dwu czarnych otworów wionęły białawe obłoki i ukazały się w nich liczne głowy czeladzi, dziewczek i parobków wiejskich, co z rozdziawionymi ustami patrzali nieruchomo na to pańskie „granie”.

Starsi z gości, nacieszywszy się rozkoszą młodych, natupawszy w miejscu i po wyładowaniu westchnień za ubiegłymi laty, rozpełzli się po stancyjkach dworu. Wszystkie alkierzyki i przybudówki z niskimi powalami, o wybielonych wapnem belkach, pełne były gwaru i śmiechu. Każda z tych skrytek miała już swój choćby najmniejszy stół i gro- no biesiadników. Niektóre łączyły się między sobą nakryciami, tworząc jadalnię dziwnie pokrzywioną, która szła wskroś całego dworzyszca. Jedzono na porcelanie, na cynie, na holenderskiej farfurze, na wszelkim naczyniu, jakie w domu było. Przepłynęła już była kolejka gdańskich wódek, obnoszono potrawy i strugą łać się zaczął węgrzyn. Szlachta piła. Większość przyjechała już dobrze podochocona, a teraz weseliła serce do znaku. Gospodarz, gospodyni, dwie ich córki i syn obsługiwali gości. Rafał, obchodząc stoły z dzbanem wina, słyszał mimo chęci szeptane rozmowy.

— Beczkę węgrzyna sprowadził na saniach z Krakowa stary kutwa, słyszeliście?

— Cuda, cuda!...

— Starsza córka skwaśniała im na ocet siedmiu złodziei, więc teraz z młodszą umyślili spróbować z innej beczki.

— Sarnie combry jadą! — Widziałeś sąsiad... Jak mi Bóg miły — sarnina!

— Combry, ale baranie.

— Mnie aby waszmość powiesz! Ja węchem poznam cuch sarni, kiedy się jeszcze na brytfannie smaży, a dopieroż na półmisku...

Gdzie indziej mówiono jeszcze ciszej:

— Tańce w kuchni, a przyjęcie w bokówkach.

— Piastowskim obyczajem...

— Pastuchy od prosiąt w lejebikach z galonami.

Rafał płonął ze wstydu, gdy niepostrzeżony słuchał słów takich. Najbardziej go zabolął szydery śmiech pięknej pani.

Skoro tylko mógł się wymknąć, biegł do izby bawialnej. Tam ścigał oczyma błękitną panią. Smutek uciskał mu serce w chwili, kiedy spostrzegł, że tańcząc z kim innym była wesoła i rozbawiona. Kiedy go spostrzegła, oczy jej śmiały się jeszcze bardziej, jakoś promiennie i z radością. Wówczas na jedną sekundę nie rozstawały się ich oczy. Były ciągle zwrócone... Nawet podczas drabantów i anglezów, które usiłowała zainaugurować młodzież wykwinniejsza i bardziej światowa (od strony Zawichosta), panna Helena odwracała głowę w tym kierunku, gdzie był jej kawaler. Gdy w przerwach między jednym tańcem a drugim przechadzała się z towarzyszkami, Rafał przyłączał się do niej na chwilę. Nie mógł, po prostu nie był w możności oderwać oczu od tego widoku, jak usta jej uśmiechają się z dziecinną szczerością, a jednocześnie słowa są napuszone i przymusowy wyraz powagi nadaje twarzy siła woli.

Kiedy tak błędzili między ludźmi, nie wiedząc, co do siebie mówić, ośmielali się każdym spojrzeniem i oczyma mówili sobie rzeczy niewysłowione. Były chwile nadziejskie, że szli obok siebie z utopionymi w źrenicach źrenicami, zaczarowani przez uśmiechy omdlałe ze szczęścia. Zdumienie przenikało ich serca aż do samej głębi i trwoga nieznaną a nieprzekraczającą czasu mgnienia powieki. Oczy jej, błękitne jak w dzień letni dalekie lasy, stawały się z nagle ciemnymi i nabierały siły ognia, na obraz płomieni prędko wybuchających. Wtedy przez krótkie chwile iskrzył się w nich jak gdyby gniew, drżały jakieś pragnienia, żal powstały z niczego... Niewiedzące o sobie wzruszenia, gorące, namiętne, dziecięco niewinne i naiwnie lubieżne, przepływały szybko przez twarz i gasły nagle w wybuchach śmiechu niespodzianego, a ostrego jak toczony sztylet. Wszczyniali jakąś rozmowę, nie wiedząc dlaczego półgłosem prowadzoną, o wszystkim i niczym, o niebie i ziemi, o frakach i najładniejszych imionach, o łacinie i głębokim śniegu... Od tej rozkoszy ciągle odrywały Rafała wskazówki ojca, nawoływania matki lub siostr. Dawał tedy

szturchańce i rady sługusom, zapraszał co znaczniejsze osoby do jedzenia i picia, a nawet podawał fajki i własnoręcznie zapalał fidybusy. Kłaniał się, mówił niezliczoną ilość słów grzecznych, ledwo-ledwo rozumiejąc, co mianowicie mówi. Ten stan niepewności języka bardzo potęgowało ciągle przepijanie do młodych sąsiadów. Pierwszy to raz w życiu Rafał pił bezkarnie, i to starego węgryzyna. Gwarzył teraz coraz głośniejsze, śmielej, płynniej, kwiecieśniej. Biegał między tłumem i coraz jawniej szukał oczyma panny Helenki.

Tak minęła noc.

Nad ranem, po dłuższym odpoczynku, muzyka znowu zagrała. Młody gospodarz wychylił jeszcze kilka kieliszków wina w ręce jednego z sąsiadów, równie jak on dorastającego — i z nagłą uczuł taką miłość do tego młodziana, że razem z nim udał się do sąsiedniego pokoju i zaczął mu ze łzami wyjawiać najsekretniejsze swoje tajemnice. W trakcie tych zwierzeń spostrzegł, że przez sionkę przyległą przesunęła się jakaś osoba niby obłoczek niebieski. Co tchu pobiegł za nią pragnąc jej służyć, w razie gdyby czegokolwiek potrzebowała. Rozdzielił tłum szlachty, głośno, z plastycznymi ruchami rozmawiającej, i szybko wszedł do zacisza przeznaczanego na gotownię damską. Było tam pusto. Woskowe świece słabo paliły się przed starym, szerniałym zwierciadłem. W kącie tego pokoju panna Helenka kłęczała na ziemi i wyrównywała, jak mogła, oberwaną w tańcu plisę swej sukienki. Rafał zobaczył ją raptem. Ujrzał jakby pierwszy raz w życiu kolor jej lic, niedający się z niczym na świecie porównać, wybuch pąsowego ognia policzków spływającego w delikatny śnieżnobiały mat czoła. Zobaczył jasne, puszyste włosy... Spostrzegłszy go wyprostowała się i wlepiła weń przestraszone, upajające oczy, oczy o żalonym błękitcie kwiatu lobelii.

Coś wyrzekł, wyszeptał...

Zbliżył się do niej bezradnie stojącej. Posunęła się, żeby wyjść stamtąd. Wtedy bezwiednym ruchem ujął jej ręce, nachylił usta i dotknął wargami jasnych włosów. Przez chwilę trwał ten piekący, namiętny pocałunek. Cichy okrzyk wyrwał się z jej piersi. Odsunęła go w zdumieniu i wyszła. Rafał stał plecami o ścianę oparty tak, jak go zostawiła. W głowie jego, w piersiach, w uszach, w sercu zlewały się oddalone, rzewne, namiętne dźwięki mazura i jeden szczególnie, najwyższy, najrozkoszniejszy spazm skrzypiec. Szalonym szczęściem napełniało go drganie całego domu od tańca i zgiełkliwy gwar przechodzący w bezładną wrzawę. W czaszkę waliły młoty krwi, a w oczach płomienie świec migotały jak sama wcielona, widoma rozkosz miotająca się w sercu.

Zaśmiał się na cały głos i twardym krokiem wyszedł stamtąd. Zdawało mu się, że już teraz z radości nie wytrzyma. To już koniec. Rozwali pięściami, nogą rozkopie i na drzazgi rozsypie ten cały dom, wyzwie tu wszystkich i zeklnie. Będzie się z każdym bił na śmierć, kto by śmiał... Tak postanowiwszy padł w ramiona pierwszego z brzoza brzuchatego szlachcica, który go z miejsca, a bez żadnej racji, zaczął dusić w uścisku i kłuć po twarzy ogoloną brodą. Rafał wypił z nim braterski, na wieczne czasy, kielich i płacząc ze szczęścia rzewnymi łzami szedł dalej.

W sąsiedniej izbie ujrzał rodzonego swego ojca złączonego dziwnym uściskiem z księdzem dziekanem, który się na ten kulig przypadkowo zaplątał. Gruby dziekan trzymał starego cześnika za ramiona, a cześnik dziekana za żebra, i obadwaj rzadko kiedy jednocześnie, ale z wielkim usiłowaniem zachowania taktu mazura, skakali pod powałę na jednym miejscu, w ciasnym kąciku między stołem i szafą, piejąc zupełnie cudzymi głosami:

— Hej, dziś dziś! Hej, dziś dziś!

Nikt na nich uwagi nie zwracał. Przy stole siedzieli kilkunastu biboszów, którym już z czupryn tego się kurzyło. Porozpinali kontusze i siedzieli w żupanach z kitaju, sagatysu, kamlotu. Niektórzy coś krzyczeli ochrypłymi głosami. Jeden podnosił co chwila cybuch, gruby jak maczuga, grożąc nie wiadomo komu. Naprzeciwko niego stał szlachcic, chudy, mizerny, zawziędły i wołał:

— A, mówię, tak! To tak, mówię! Czekajże, rybeńko... Od razu rym go w pysk, rym z drugiej i to *arte*. Dopiero wtedy rura mu zmiękla... Do nóg mi. „Wielmożny panie, powiada, wszystko jak przy świętym konfesjonale...”

Ktoś spał na rękę, całym ciałem rzuciwszy się na stół. Okna były otwarte, i jasne światło księżycza dogasało już przy słabym blasku daleko wstającego słońca.

Z izby, gdzie tańczono, dolatywał śpiew krakowiaka, tak rześki, szczęśliwy i radosny, że aż same nogi drgały:

W Krakowie na sali
Niemcy tańcowali...
Polak wąsem ruszył —
Wszyscy uciekali.

Naokół przyklaskiwano, przytupywano. Z kąta ozwał się jakiś zapity, ochryply głos:

— Aby to jedno prawda... Ogromnie te Niemcy pouciekali, i to z Krakowa.

Ale go zaraz skarcił i zagłuszył okrzyk powszechny:

— A tobyś wać siedział i ciągnął likwor, skoro go masz przed nosem. Oto filozof...

Rafał poszedł do sali tanecznej, oparł się tam plecami o ścianę i rozpalonym okiem śledził każdy ruch panny Heleny. W pewnej chwili ujrzał, że tłum mężczyzn stojących przed nim rozsunał się i że jedna z panien tańczących wybrała go w mazurze. Podał jej rękę i przebiegł salę niezupełnie właściwymi skokami. Po chwili uczył w swej ręce dłoń pany Helenki. Oprzytomniał. Krew zbiegła mu do serca. Głos zupełnie obcy, jakby duch jakiś postronny, szatan czy anioł, przemówił przez jego usta tak cicho, że tylko ona mogła posłyszeć te straszliwe wyrazy, które mu pierś rozdzierały:

— Przyjadę do Dersławic!... W nocy. Na koniu. Czekaj mię przy oknie od ogrodu. W tym narożnym. Od ogrodu!... Zastukam trzy razy w szybę, w to miejsce, gdzie w okiennicy jest wykrajane serce. Przy oknie czekaj... Słyszysz?

Panna Helenka spojrzała na niego, na dzikie oczy zmacone do dna, na żyły jak strąki, czerwoną twarz, wzburzone włosy, i parsknęła śmiechem tak niesłychanie szczerym, że wszyscy obejrżeli się i nie wiedząc, o co chodzi, wtórowali temu głosowi.

Słyszac dokoła śmiech powszechny, Rafał ruszył przed siebie z głową schyloną, jakby miał zamiar uderzyć nią w tłum cały niby taranem. Nie wiedział tylko, gdzie mu się ten tłum sprzed oczu podziewa. Nogi się pod nim gięły, jakby w nich nie miał kości. Usłyszał wtedy nad uchem dobrotliwy szepot matki:

— Rafciu, Rafciu, chodź ze mną, błagam cię na wszystko. Ojciec zobaczy.

Dźwięk wyrazu „ojciec” dźwignął go z omdlenia.

— Przyjadę na koniu... Słyszysz? Zastukam trzy razy... w serce... — szepnął matce do ucha tym samym demonicznym głosem.

— Przyjedziesz, przyjedziesz, tylko chodź co tchu bo ojciec...

Rafał posunął się naprzód, ale w niewłaściwym kierunku i tak lekkomyślnie obwisłymi ruchy, że matka zmuszona była wesprzeć go siłą i wyciągnąć prawie z domu. Gdy go owiało mroźne powietrze zimowego świtu, zupełnie stracił siłę w nogach. Opadł na ziemię jak płaszcz. Kilku parobków odniosło go do tak zwanego belwederu i tam złożyło na posłaniu. Belweder — był to dawny dwór, gniazdo prapradziadowskie z modrzewiowego drzewa. Stał w głębi ogrodu. Ze starości zapadł się w ziemię, ściany jego zgięły się; dach prawie gruntu dotykał, a dzikie krzewy, zasłaniające okna, do połowy wielkiego dachu wystrzelały. Były tu pokoje gościnne, spiżarnie i składy gospodarcze. W największej izbie stało kilka posłanych łózek, a na ziemi przez całą szerokość leżało pokotem na słomie rozciągnięte posłanie dla gości. Już tam kilku braci szlachty co słabszych w głowie chrapało dobranym chórem. Piec był dobrze napalony, a stary dwór, co jeszcze króla Jana pamiętał, trzymał ciepło; toteż spało się tam nie najgorzej. Rafał własnoręcznie przez matkę rozebrany aż do bielizny, przykryty dobrze, usnął jak kłoda.

O jakiejś godzinie dnia zbudził się i usiadł na posłaniu. Dokoła na ziemi i na łózkach chrapali sąsiedzi. Rafał nie wiedział, gdzie jest i co się z nim dzieje. Głowa mu z bólu pękała, w oczach się ćmiło. Spozrzegł śpiących, ale nikogo nie mógł poznać. Drżał na myśl, że jest sam jeden w jakimś miejscu wiecznego potępienia. Widział głowy, rozrzucone ręce i nogi, poroztwierane usta, wreszcie blask świecy płonącej w rogu izby na stole... Wlepił oczy w to miejsce i po długim badaniu z ulgą i pociechą dojrzał żywego człowieka. Poznał go nawet. Był to Wicusz Jawrysz, syn ubogiego szlachetki spod Wiśniowej, drab wielkiego wzrostu, siły i bardzo dzikiego charakteru. Ten Wicusz, z czupryną zwisłą na czoło, siedział na słomie i jadł, a właściwie pożerał mazurki, kruche ciasta i strucle przekładane, które kolejno wydobywał spod poduszki. Skoro wyciągał stamtąd niepośledni mazurek,

łamał go na dwie części i każdą z nich unicestwiał kilku ciosami ogromnej zuchwy. Rafał długo i z osłupieniem wpatrywał się w tę jego czynność.

Widział, jak Wicus Jawrysz wchłonawszy wszystko, co miał pod ręką, udał się na palcach do sąsiedniej spiżarni, której drzwi zostawiono otworem, i przyniósł stamtąd nowe naręczce mazurków i struceł, jak to wszystko umieścił pod poduszką, siadł w kucki i ze zdwojoną energią zabrał się do dzieła. Rafał widział to wszystko, domyślił się wreszcie, gdzie jest, ale nie mógł przyjść do siebie. Wspomnił sobie coś rozkosznego, ale nie był w stanie zrozumieć, co ma czynić. W rozterce takiej runął na wznak i nim głowa jego dopadła poduszki, zachrapał na amen.

Świeca dopaliła się i zgasła.

Nikły promień światła wpadł przez otwór w kształcie serca przymkniętej okiennicy. Z dala, ze dworu, dochodziły tony muzyki grającej od ucha. Skrzypce zanosiły się, basy niestrudzenie wtórowały, a klarnet rzewliwie przyśpiewywał.

Rafał ocknął się znowu. Siadł na posłaniu i natychmiast przypomniał sobie pannę Helenkę. Wszystko w nim zagrało, jak ta rozkoszna, z dala dochodząca muzyka...

Co tchu zaczął się ubierać, co sił! co sił! Namacał w ciemności buty i wzuł je co prędzej, wyszukał po omacku jedną z najbardziej niezbędnych części ubrania i zaczął wciągać na nogi. Nie mógł wyjść z podziwienia, czemu czynność tak prosta tyle mu czasu zabiera. Był wściekły, bo mu się śpieszyło, toteż wciągał na się nieodzowną szatę z całej siły, bez względu na to, że złowrogo trzeszczała. Długo w ten sposób pracował nie mogąc sobie dać rady. Długo szukał wszystkiego, co było konieczne, aby móc stanąć przystojnie wobec panny Helenki. Był pewny, że znalazł już wszystko, gdy znowu ogarniać go zaczęła bezwładność i po wtóre usnął jak kamień.

Około południa nazajutrz znaleziono go śpiącego na ziemi, o kilka kroków od posłania, z lewą nogą wbitą w rękaw modnego fraka, który powyrywał wprawdzie i rozdarł, ale zdołał wciągnąć na łydkę aż do kolana.

Taki dziwny był los jednego z najpiękniejszych fraczków, jednego z pierwszych w Zachodniej Galicji granatowych fraczków sąsiada Targowskiego spod Zawichosta.

Poetica

Rafał siedział na krześle ze skurczonymi nogami, palce wbił we włosy i na podobieństwo melameda wykrzykiwał:

— *Tetrameter dactylicus catalecticus in bisyllabam, seu versus Alcmanius...*

A później odmiennym głosem:

— *Ibimus, o socii comitesque...*

Znowu cienko, a z góry:

— *Trimeter dactylicus catalecticus in syllabam, seu versus Archilochius minor...*

A potem:

— *Iteritura simul...*

Na chwilę przerywał, z chytrą spoglądał na kolegę i kuzynka Krzysztofa Cedrę, uśmiechał się w sposób błazeński i czterokrotnie za wysokim głosem deklamował:

— *Dimeter trochaicus catalecticus in syllabam, seu versus Euripidaeus...*

Kuzynek Krzys skandował, śpiewając jak kleryk:

— *Truditur dies die...*

— *Dimeter trochaicus acatalecticus cum anacrusi, vel versus Alcaicus enneasyllabus...*

Cedro wyciągał:

— *Fastigit umbrosamque ripam...*

Za chwilę dla rozrywki zmieniali porządek. Kuzynek i zaczynał miłym, melodyjnym głosem, z prawdziwie dowcipnymi minami:

— *Versus simpliciter dactylicus vel Aristophaneius...*

A Rafał odpowiadał:

— *Lydia, dic per omnes...*

— Lydia, Lydia, Lydia... — szeptał Krzys przymykając oczy.

— Idź do wszystkich Arystofanesów!

— „O Lydio, czemuż, powiedz, chcesz przez miłości zgubić tego oto Sybarysa? Czemuż do Marsowego Pola wstręt powziął, tak cierpliwy niegdyś na kurzawę i upał słoneczny...”

— Idź, mówię, bo śmiercią zginiesz!

— Przeczytaj sobie, Sybarysie, z uwagą i namaszczeniem dziełko starego adwokata Marka Tuliusza Cyncerona *De consolatione*.

— Skończysz dzisiaj?! *Versus Archilochius maior tetrameter dactylicus...*

Z głębokim smutkiem, wzdychając, jakby wypowiadał egzortę, wbrew radosnym dźwiękom wiośnianej piosenki Horacego, Rafał ogłaszał:

— *Nunc decet aut viridi nitidum caput impedire myrto...*

A niby dalszy ciąg, z najposepniejszą w świecie miną, grobowym głosem skandował:

Nie będę się żenił, nie będę się śpieszył...

Będę się umizgał i dziewczęta cieszył...

— Powinieneś zrozumieć tą właśnie głową „wonnościami zlaną”, że innej rady nie ma. Musisz się zgodzić na tak niewinny i słodki pewnik tysego kpiarza: *ut homines mortem vel optare incipient, vel certe timere desistant*. Przecie to takie proste i do wykonania łatwe...

— Ja dzisiaj zobaczę, czy boisz się śmierci, czy nie.

— Rafałku, nie boję się.

— *Macte!*

— Powiedz mi; długie włosy, jasne, jasne, jasne... *Lydia dic, per omnes te deos oro, cur properes amando perdere...*

Rafał podpierał brodę pięściami, nieruchome oczy wlepił w szyby okna. Daleko, daleko widział. Olbrzymia, szeroko rozlana woda Wisły gubiła się we mgłach i deszczu. Zatopione w nich wierzyby błędnie szarzały. Błonia obrosłe wikliną, daleka przestrzeń tamtego, prawego brzegu z jego miasteczkami, smugami wsi i skrzydłami lasów ukazywały się niekiedy jak odbicia chmur. Daremnie oczy szukały domów Nadbrzezia, Trześni i kępiastych, a jak lasy rozrosłych parków Dzikowa. Z tego widoku wynurzał się szczególny rodzaj niepokoju. Jak ciemna chmura deszczowa bez wyraźnych granic płynie przez niebo, tak płynęła wskroś ciała nieokreślona żądza zjawisk, stanów i rzeczy tajemnych, wielkich, rozkosznych. Płynęła cicho, milczkiem, z wolna. Była niby nudą i z nagłą stawała się natarczywością, uderzającą jakby przeraźliwy szczęk żelaza o żelazo.

Przeszła, przepłynęła...

Szlakiem wyzłobionym przezeń ciągnęły się wdzięczne dumania, długie, bezdenne, marzycielskie wspomnianie spraw, których nie było wcale i nigdy, cudna tęsknota pełna łez i wołań, żeby przyszła istność szczęścia ukryta za mgłami. Przędła się w głowie wątła myśl i nikła w sennych obrazach: Noc księżycowa, pełna białej jasności... Nad łąkami wiszą płasko rozciągnięte opary. Wpada w taki tuman mgły co sił w kłaczy, z lekka tylko trzymając się strzemion końcami butów. Cudnie pachną skoszone potrawy, zwilgłe, zimne siana jesienne. Od Wisły tchnie wiklowy chłód. Zda się, że to miejsce, przez które jedzie sam w nocy, to jakieś inne, obce nieznanne. Jakież to straszne miejsce! Rosa i pajęczyny bielą się w miesięcznym świetle. Cisza w głębokich wąwozach... Coś nimi, ziemią idzie za człowiekiem, coś leci śladem cwałującego konia. Snuje się jako pajęczyna, a gdy stanąć i słuchać, bez wydania głosu zamiera. Gdy spojrzeć poza siebie — nic, tylko srebrzysta rosa śpi pod zasłoną nocnych tumanów...

Deszcz to mętными, płynnymi falami zanosił widnokrąg do szczętu, to się uciszał i znikał. W takich minutach ukazywały się bure wody pędzącej rzeki, a zimna kra trupio wśród nich szarzała.

Gdy się na pewien przeciąg czasu rozjaśniło, Rafał głośniejszym głosem zaczął wykrzykiwać wiersze Horacego, zbliżył się cicho do szyb i długo, z wytężoną uwagą w dal patrzył. Z nagłą radosnym, aż sennym z rozkoszy głosem wyszeptał do towarzysza:

— Ten chudy rybak, Bobrzyk, przybija do brzegu! *Nunc decet aut viridi nitidum caput...* Boże, ten dopiero wiosłuje. Czy ty widzisz? czy widzisz? To majster!

— Właśnie że nic nie widzę... — z rozpaczą szeptał Krzyś wbijając na próżno krótkowzroczne oczy w zamazane szyby.

— Wiosła się pod nim wyginają jak pióra. Ach, Boże... Ten płynie! Krzyś, bądź gotów...

W sąsiednim pokoju dała się słyszeć głośniejsza rozmowa i przyjaciele zaczęli znowu powtarzać swe *pensa*.

Krzyś posmutniał. Dolna warga jego ślicznych ust odęła się i blade, ciche oczy smutek owiał.

Był to daleki kuzyn Rafała, jedyny syn bardzo zamożnego szlachcica znad Wisłoki. Obadwaj z Rafałem mieszkali na stacji u profesora Zawadzkiego, w dworku stojącym pośród ogrodów, niedaleko od ruin kościoła świętego Piotra. Cedro był szczupły, mizerny i nie bardzo silny. Uczył się doskonale, aczkolwiek nie zawsze z równą wytrwałością. Uwielbiał Rafała za jego siłę, męstwo i bardzo często odrabiał za niego różne prace szkolne.

Ustalił się być niepisany zwyczaj, że gdy wieczór zapadał, obadwaj pensjonarze wychodzili na przechadzkę do ogrodu zbiegającego ku Wiśle po zboczu góry. Tam o zmierzchu gonili się, ciskali pigułami w siebie nawzajem ile się dało, w przechodzących izraelitów, a nawet, ze smutkiem wyznać to trzeba, w przechodzących katolików. Szczególną nienawiść w nich, studentach austriackiego gimnazjum, budzili wychowawcy tak zwanego *szyftu*, czyli szkoły żołnierskiej, która mieściła się w tymże gmachu pojezuickim. Skoro tylko za murem ogrodu ukazał się malec ze *szyftu*, dostawał niezliczoną liczbę piguł, wymoczonych *ad hoc* w wodzie i zamrożonych umiejętnie.

Tego dnia znalazłszy się w sadzie profesorskim obadwaj zbiegli szybko wąwozem aż na samo dno doliny wiślanej. Szerzył się już mrok zimny i prędki, spływając z chmur. Sam był jak chmura.

Rafał obejrzał miejsce i przyległości. Nigdzie nie było żywej duszy. Dał znak Krzysiovi. Przesadzili parkan ogrodu. Stali o kilkadziesiąt kroków od brzegu rzeki. Z burych fal szło zimno i przejmujące seplenienie kry, która się w nich gęsto kołysała. Młodzieńcy chyłkiem szli w kierunku Złotej i widnego z dala Samborca. Co tchu przekroczyli Jagiellońską drogę i, brnąc w błocie, stanęli nad wodą. Zmierzch już nadciągnął i olbrzymimi fałdami osiadał ziemię.

W dole rzeki był zator lodowy.

Ktoś o nim wspominał przy obiedzie jako o rzeczy okropnej. Szli tedy obejrzeć własnymi oczyma, czy tak jest, jak mówiono.

Rafał znalazł łódź, którą był widział przybijającą do brzegu. Jeszcze raz rzucił okiem...

Sandomierz piętrzył się wyniośle. Błyskały już światła na przedmieściu zwanym Rybitwy i w górze.

Odwiązał łódź, wyszukał w wikłach wiosła i skoczył pierwszy. Krzyś poszedł za nim i siadł w tyle.

Była to łódź płaska i płytka, zalana wodą. Nie zdążyli pochwycić wiosła, kiedy już prąd wodny porwał ją i wyniósł na rzekę. Rozparli się nogami, zanurzyli wiosła i co tchu w piersiach a mocy w barkach poczęli wygarniać z głębin kłęby wodne. Dziób czółna twardo, z oporem, jakby orał w piachu, zwrócił się w stronę Trześni.

— Raz, dwa! — zakomenderował twórca wyprawy głosem nieswoim, surowym, z głębi piersi.

Złomy lodu płynęły szybko a ciężko, jakoby potrząskane ściany ciosowych kościołów. Z łodzi wydawało się, że w okrąg sunie zniszczony jakiś łąd, niepodobna ziemia, zorana skibami, ruda, szczerwieniła od martwych piachów, od śladów rozpetanych, czarnych nawalnic zimy. Były momenty, że płynęła wprost na łódź tafla olbrzymia jak strop wielkiej sali, ostrymi krajami swymi godziła zdradziecko w burty stateczku. Wówczas Rafał wznosił wiosła i zadawał jej śmiertelne pchnięcie z czoła. Groźna, pływająca szyba posłusznie usuwała się na bok. Inne, słabsze, od jednego trącenia rozpadały się w drobne ułamki jak truchło bezwładne. W ostatnim blasku dnia widzieli w pęknięciach czarnozielone pasy narosłych warstw. Słyszeli dokoła siebie cichy syk lodu. Wybuchaly z żółtych głębin banie i skręty wirów, niby olbrzymie źródlika kipiące z rozwartego dna. Kiedy niekiedy łódź drżała od niespodziewanych uderzeń i trzeszczała złowrogo. Co chwila wiosła wyrzucały z pianistego beltu taflę kry lodowej i ze śliskim szcękaniem miotały je w górę. Zdarzało się, że jakaś gruba tafla jak skała mknęła na wartkich fałdach środkowego nurtu. Wtedy szkuta, podważona wiosłami, odskakiwała w bok i szła w ukośnym kierunku.

Światło, zapalone w jakimś oknie na górze miejskiej, ścigało ich łamiąc się i chwając na wichrowatej fali ostrą iglicą. W tej szczelinie świetlistej ujrzeli pierwszy raz dziką otchłań, z głuchym furkotem zapamiętałe ciekącą.

Mrok głęboki owiał duszę, ale nie wygnał z nich radości. Czuli rozkosz fizyczną niesłychanego pędu w miękkiej kolebce przepaści. Chwyтали ją wiosłami za gardziel i wykręcali jej stawy.

— Raz, dwa! — krzyczał Rafał ze wściekłością w głosie i namiętnym ukontentowaniem.

Wiosła wyginały się jak od wiatru pręty wikłowe, ale łódź potężnie gniotąc wkleśłe wiry i banie wodne szła na ukos w świerzy wodnej. Migotliwa igła na falach znikła i noc śmiertelna otoczyła czołno. Ramiona słaby. Pot lał się z czoł, krew biła w skronie.

Drewniany statek leciał. Nie mogli już zawrócić jego dzioba ani dokąd wola kierować. Z nagła zatoczył szalenie prędki krąg, garnąc ogonem — świszczącą falę — i zwolnił biegu.

Był gdzieś przed nimi głuchy, przeraźliwy szum. Wszystek ryczał wody grzmiał tam ponuro niby zlatujący wodospad z jakichś niezmiernych stawideł.

— Rafał, gdzie my jesteśmy? — cicho spytał Krzysztof.

— Ty czasem masz pyszne pomysły co do pytań! Skądże ja mogę wiedzieć, gdzie my jesteśmy?

— Co to tak huczy?

— Woda.

— Patrzaj, a to co?

Trwoga wgniotła Rafałowi do gardła drwiące słowo odpowiedzi. Twarzy, piersi, rąk jego dotknęło coś, jakby ciemne, wilgotne szpony olbrzymiej łapy. Obadwaj młodzieńcy zachnęli się w tył i ku obronie dźwignęli z wody wiosła. Krypka wolno poszła naprzód. Wtedy poznali, że są w koronie strzelistego drzewa, które, widać, woda wydarła z ziemi i zwała. Na wystających gałęziach i cienkich, bezlistnych prętach wisiały szmaty i torby zgnilej trawy i siana, które oblepiło zniecka ich twarze i okręcało szyje.

Odepchnęli się wiosłami i łódź wolno, jak komiega ze zbożem, poszła tam, dokąd ją skierowali, z lekka tylko przez gościniec wodny unoszona w jakimś kierunku od poprzedniego różnym. Było tam pełno kry płynącej ospale, strzyży drobnej, kilku warstwami spiętrzonej. Rafał stanął w łodzi, rozstawił nogi, wsparł je na burtach i zaczął łódź huścić. Krzys rozumiał, że pragnie ją uchronić od oblepienia przez krę, ale truchlał na myśl o tym, gdzie się znajdują.

Płynęli tak długo.

Huk trzaskających wód, które się dokądś waliły z przerażającym łoskotem, zbliżał się ku nim. Szedł na nich z nocy.

Z nagła uczuli obadwaj, że ich znowu główny wart porywa. Woda darła się w lewo, z szelestem prac kry. Ciekli chwilę wśród lodu, który się szybko dokoła skupiał. Dopiero całym wysiłkiem rąk zdołali go odtrącić wiosłami raz, drugi, trzeci. Łódź znowu cofnęła się na cichsze mielizny, zawalone przez strzyż. Wtedy instynktownie poznawszy główny strumień Wisły, szeregiem gwałtownych wirów pod kędzierzawymi falami lecący, pomykali się co sił w przeciwną stronę. Wiosła ich miesiły krę, rozgarniały ją, z łoskotem tłukły się w niej, aż wreszcie tył łodzi twardo uderzył w coś nieruchomego.

— Czy to brzeg? — zapytał Krzysztof.

Rafał zmacał to miejsce wiosłem i znalazł, że to jest jednolity lód, zachowany przy brzegu. Mieli przed sobą otchłań głównego toru, dokoła stłuczoną krę.

Ręce ich ustały, byli przemokli do suchej nitki. Zziębli. Rozwarte szeroko oczy wlepiali w tę noc bez gruntu, ale nic dostrzec nie mogli.

— Stań w łodzi — rozkazał Rafał — a ja wyjdę na ten lód i zobaczę, czy brzeg daleko. Tu właśnie musi być zator. Bylibyśmy w takim razie u celu.

Krzys z posłuszeństwem wykonał rozkaz. Uczuł, jak łódź gibnęła się, gdy Rafał z niej wyszedł, usłyszał szklisty szelest jego pierwszego kroku i pewny siebie głos:

— Chodź, lód twardy. Wyciągniemy barkę na brzeg. Ja już nie mogę robić wiosłami.

Krzys stanął na lodzie.

Naokół słychać było chrzęst strzyży, chlustanie i szelest odbitych fal. Deszcz pluskał bez ustanku.

— Wyciągniemy łódź na brzeg i zostawimy ją tutaj — rzekł Olbromski — a sami pójdziemy piechotą. To jest lewy brzeg.

— Łódź nie jest nasza! — zawołał Krzysztof stanowczo. — Musimy ją odstawić na miejsce.

— A to ją odstaw. Z największą pochwałą akceptuję projekt.

— Moglibyśmy ją dociągnąć idąc po brzegu...

— Możesz i to zrobić. Ja nie będę ciągnął.

— Cóż tu począć?...

— A to też to! Tu ją zostawimy. Powie się jutro rano przed lekcjami Bobrzykowi, da mu się na piwo.

— Ja mu zapłacę! Masz słuszność. Ja mu dam tyle, że będzie nawet zadowolony z tej afery.

— Właśnie, ty mu dasz. I ja tak myślałem.

— No, to ją tylko wyciągnijmy na brzeg...

— Zaraz. Muszę nasamprzód zobaczyć, gdzie to jest ten brzeg.

Odszedł brodząc po wodzie, która cienką warstwą stała na tym lodowisku, zmurszałym i przemokłym od długich deszczów. Gdy wrócił z wiadomością, że do brzegu będzie kilkadziesiąt kroków, ujęli obaj za łańcuch przykuty do dzioba barki i zaczęli ją z całej mocy na lód windować. Poszło to z trudem, ale ostatecznie dało się wykonać. Czólno wsunęło się na pomost lodowy dość szybko.

Znienacka Rafał zauważył, że jego nogi wolno zanurzają się w wodzie. Przerazenie włosy mu zjeżyło na głowie, bo uczuł, że cała ta olbrzymia kra ugina się pod nim i idzie na dno.

— Krzyś, uciekajmy! — wrzasnął na towarzysza i chciał go chwycić rękoma, ale dłonie jego objęły próżną ciemność.

Wzdęty bałwan wodny pchnął go w piersi i dokądś odtrącił. Cedro krzyknął nagle, a potem kilkakrotnie zabelkotał w wodzie. Rafał wpław rzucił się w to miejsce, na oślep, i złapał rękoma włosy i ramiona. Wywłókł go z fali i pchnął przed siebie jak drewno.

Ochynął się cały z głową. Poczul, jak tafle, złomy, okrucy lodu obsiadają go ze wszech stron, z dołu, z boków, z góry, jak przystawiają do gardła ostrza swych krajów i garną się w usta. Płynąc w tym gęstym roztopie, uderzył ramieniem o łódź. Trzymając się jej burtu lewą ręką, dowlókł Krzysia do calizny lodowej i wywalił go na nią. Później sam się tam wczolgał i, leżąc na brzuchu, sunął po płaszczyźnie, która się ugiwała i zanurzała w wodzie. Cedro ocknął się z jękiem i zaczął gramolić... Widzieli, że giną bez ratunku, bo znowu szli na dno razem z ułamaną taflą, gdy Rafał chwycił rękoma pręty wiklowe i rokity na brzegu. Wówczas dopiero pomyślał o ocaleniu. Wywłókł Krzysia z topieli na brzeg. Odetchnął. Pot lał się z niego. Grube zimowe ubrania nasiąkły wodą do ostatniej nitki, nogi w butach głośnie chlupały.

— Cedro, zimno ci? — rzekł szeptem.

— Zimno.

— Musimy lecieć, bo zginiemy. Uciekajmy!

Rzucili się w zarośla wiklowe i poczęli wyżej kolan grzęznąć w rozkiszłych bagnach nadbrzeżnych. Pręty smagały ich po twarzach, pniaki jakieś raniły nogi, ostre kije z kolkami rozdzierały ręce, ale po długiej męczarni uczuli, że niski ląd staje się coraz twardszy. Wreszcie wybrnęli i znaleźli się na pochyłych zagonach.

Rafał usłyszał, jak zęby Krzysia szcękają. Dotknął go ręką i uczuł, że drży. Sam także ledwie mógł stłamsić przerażający dreszcz w sobie. Woda sączyła się z każdego ich włosa.

Wtedy ogarnęła go śmiertelna rozpacz. Nie wiedział już, w którą stronę iść: stracił wszelki zmysł i rozumienie kierunku. Nastawił uszu, ale słyszał tylko wściekły, przerażający szum wody, szum — śmierć.

— Ty się nie orientujesz, gdzie Sandomierz? — mówił do towarzysza.

— Nie.

— Możesz iść sam?

— Nie...

— Krzyś!

— Idź sobie. Ja tu zostanę.

— Krzyś!

— Zimno mi, zimno, zimno... — zaskomlał jak małe dziecko.

Usiadł na ziemi.

Kostniejącymi rękoma Rafał chwycił go wpół i zaczął wlec dokądś, przed siebie. Ale uszedł tak zaledwie kilkanaście kroków. Potknął się i runął w rozmiękły zagon. Przez chwilę leżał bez sił, z twarzą w bruzdzie pełnej roztajalego lodu, zimno i martwo myśląc, że już nic nie poradzi. Dreszcze wyrwały się spod jego woli, łamały go i trzęsły. W głowie zatlił się krwawy płomień.

Ruchem niezawistym od świadomości, myśli i woli, głuchym aktem bezdennej rozpaczycy zaczął zdzierać z siebie mokry, obmarzły kubrak, który go tym strasznym zimnem przejmował — i raptem zaczął to czynić co sił, co tchu, co mocy w palcach. Zdarł ze siebie koszulę, spodnie i zaczął mocować się z rozmiękłymi butami. Rzemień przywarł do nóg. Zdało się, że cholewy są skórą ciała. Ciągnęły się jak guma. Po dłużej męczarni zwłókl wszystko z siebie i został nago. Wtedy to samo zaczął robić z Cedrą. Poszarpał na nim ubranie w pasy i odarł go ze wszystkiego. Tamten leżał bez sił w miękkim zagonie, dygocząc całym ciałem, gdy zzuwał z niego buty. Kiedy Krzys był już zupełnie nagi, Rafał zaczął go prać pięściami, szarpać za ramiona, bić z całej mocy po nogach i zmusił do walki ze sobą. Okładali się pięściami na dobre, gdy Rafał wrzasnął, że muszą lecieć co tchu, bo inaczej zginą obadwaj. Znalazł w ciemności rękę Cedry i jął go ciągnąć. Z początku tamten włókł się padając co krok, szedł ociężale, później coraz prędzej, aż wreszcie pobiegł. Lecieli jak obłąkani przez niewiadome pola, przelazili przez płoty, mijali wąwozy, zarośla, krzaki, doły. Było im coraz cieplej i z każdym krokiem przybywało sił. Jelenimi susami sadzili przez rowy, nie bacząc na to, gdzie noga stanie. Biegając tak obok siebie na wyścigi, trafili na grunt twardszy, wznoszący się ku górze, i poznali, że są na Sandomierskim Płaskowyżu. Rafał zaśmiał się z cicha.

Już teraz nie lękał się topieli. Było mu dobrze rwać tak co pary w piersiach, nurzać się w śmiertelną otmę nocną, grzać się jak ogier w biegu.

W pewnym miejscu, lecąc bez przerwy w nieznanym kierunku, z nagła usłyszeli poza sobą daleki, daleki dźwięk. Był to głos zegara na wieży kolegiackiej. Skoczyli w tę stronę i wnet nozdrzami poczuli dymy. Sandomierz!

Zbliżali się do niego od Opatowa. Gdy przybiegli do ogrodów miejskich, szli po zapłociu ich aż do swego, w skok wdarli się na górę i stanęli przed drzwiami domostwa, które było ich czasową siedzibą. Teraz nareszcie groza położenia zajrzała im w oczy...

Rafał dumiał przez chwilę i z lekka popróbowwał drzwi wiodących do sieni. Ku jego wielkiemu zdumieniu — ustąpiły. Weszli cicho jak upiory i sunęli się obok ścian po dobrze znajomych dylach. Z sieni wchodziło się do stancji profesora. Trzeba ją było minąć chcąc dostać się do ich studenckiego pokoiku.

Otwarli drzwi, uczyli ciepły dech zimowego mieszkania i niby widma szli przez tę stancję. Słychać było tylko bicie ich serc... Wtem Krzys runął razem z krzesłem, na które wlał w ciemności. W mgnieniu oka dom się poruszył. Zablęśły światła. W sąsiedniej izbie ktoś skrzesał ognia, zapalił świece i, nim zdolali dopaść drzwi, zastąpił im drogę. Był to profesor, ich mentor i chlebodawca. Stał przed nimi w bieliźnie, wysoko wznosząc świeczkę łożową. Gdy ujrzal dwie postacie nagie, jak je Bóg stworzył, unurzane w ciemnym bagnie, otwarł usta i długo im się przypatrywał. Powieki jego drgały, a szlafmyca trzęsła się jak w febrze. Winowajcy stali przed nim, zachowując cyniczne milczenie, i brutalnie przypatrywali się jego chudym łydkom. Wreszcie słowo skrzydlate wyfrunęło z jego łacińskiej gardzieli:

— Olbromski!... to ty, ptaszku! Twoja to jest nowa sprawka...

— Panie profesorze! — zawołał Cedro wyciągając ku niemu zabłoconą prawicę — przysięgam, że to ja jestem winien.

— Czemu jesteś winien, kochanku?

— Ja sam tylko! Winien jestem! Ja to go namówiłem, Rafała, ja wymyśliłem...

— Cicho! Będziesz mi tu się stroił w bohatera, mnie uniewinniał... Mnie!... — rzekł Rafał z pogardą, która kierowała się właściwie nie do towarzysza niedoli.

— Olbromski! — wykrztusił belfer trzęsąc się z zimna i wściekłości — odpowiesz ty mi za to w dniu jutrzejszym. Wielki Boże! nago łazili po mieście w nocy, zimową porą. Wszystko to się wykryje!

— O, wykryje się niezawodnie! Wszystko na świecie może być wątpliwe, to tylko jest pewne, że ta sprawa się wykryje.

Oczy jego błysnęły złowrogo, i okropna ironia zaświeciła w nich płomieniem.

— Chodź spać! Za mną! — krzyknął rozkazująco jak wódz na Krzysia i majestatycznym krokiem, zostawiając na idealnie wymytej podłodze dokładne odbicia spracowanych stóp, ruszył w stronę łóża.

Z jakąż rozkoszą uczeni obadwaj kołdry na grzbietach!

Rafał wtulił głowę w poduszkę i jął rozmyślać o stanie rzeczy. Wiedział, że go nic dobrego nie czeka. Z nauczycielami od dawna dał koty, jako uczeń wcale nie świetny i pierwszy w szkole łobuz, *nota bene*, łobuz pod wąsem. Wiedział, że nazajutrz będzie zmuszony dać dowody bohaterstwa, które zadziwi całą sztabę, *szyft*, wreszcie miasto i długo zostanie w koleżeńskej powieści. W dali ukazywały się Tarniny — i ojciec. Na to wspomnienie przejmował go dreszcz, zimniejszy niż w rzece. Chciał zasnąć. Zamknął oczy... Ale sen uciekł od jego powiek za dziesiątą granicę. Noc wlokła się, trwała bez końca. Rafał słyszał, jak Krzys usnął, jak się rzucał we śnie, mamrotał, budził, znowu zasypiał. Słyszał jego oddech nierówny, prędko, zdyszany, jakby wciąż jeszcze biegli przez czarne pola...

Rozpalona głowa leżała nieruchomo na poduszce i wśród ciszy nocnej zaczęły się w niej budzić, wstawać i do kolosalnych rozmiarów urastać widziadła. Nadchodziły z ciemności zdarzenia tak bliskie, że były niemal rzeczywistością, wysuwały się z mroku osoby prawie dotykalne, brzmiały słowa, potoki krzyku, wybuchy jęków. Jakby światło przez wąską szczelinę do podziemnej pieczary spadał z nagłą blask występku dokonanego i oświetlał surowe przepisy, które takich a takich czynów zakazywały. Rafał teraz dopiero spostrzegł, co zrobił. Badał, co też go za to czeka, że wziął cudzą łódź, że pływał w niej nocną porą, że tę łódź zatracił, że o mały włos nie utopił Cedry i że, o straszliwa grozo! nagi wszedł z towarzyszem do izby profesora... Teraz dopiero zaczęło wylażać zagadkowe znaczenie takich czynów, jak włóczenie się nago po mieście. Gorąco biło nań, gdy sobie wspominał rozmaite wzmianki niegdyś słyszane o podobnych, ledwie podobnych wypadkach, wzmianki szeptem ze zgrozą zawsze mówione. Cóż go za to czeka? Jakaż jest za to kara? Któż wie, może to jest największa ze zbrodni ludzkich? Gdyby ktokolwiek mógł mu powiedzieć, oznaczyć jednym słowem wielkość tego występku! Czy to właściwie jest zbrodnia? Zbrodnia! Wysuwał w ciemność cały mózg i jakoby nowym narzędziem badał nieznaną dziedzinę, oświetlał sobie drogę nowoodkrytą, po której teraz samemu iść wypadnie.

Słyszał nierówny, tchnący żarem oddech Krzysztofa i noga za nogą schodził w głębokości przerażenia: on umrze...

Włócił się myślami po schodach w gimnazjum i na ich szczycie widział prorektora Kubaszewskiego oraz wszystkich Minosów i Radamantysów, a nade wszystko... pedelów. Nowy zimny sylogizm wypływał kroplami lodowatego połu na jego czoło: będą mię bili. Skręcał się w sobie i czuł wściekle, bezgranicznie bolesne, do cna rozszarpujące mość duszy smaganie upokorzenia.

Ale nade wszystko, nad przewidywane męki i bóle, czuł gdzieś daleko spojrzenie ojca. I wtedy truchlał jak zabity trup. Całą siłą woli, rozumowań, pocieszeń odpychał ten widok, zamazywał go, ścierał, używając skłamanym świadomie usprawiedliwień, wysnuwał ze siebie ciche błagania do kogoś, kto go wybawi. I znowu, jak powiew gorączki nie wiadomo skąd wychodzący, snuły się widma, wywody, myśli, przeczucia.

Pomimo jednak cały ten proces upadku, w głębi, za wszystkim, stało coś, czego unikał. Nie chciał tego wyznać przed sobą, bał się wyjawiać wobec modlitw, ażeby ich nie spłoszyć, nie rozbić i nie odwrócić, ale wiedział to zatajona, obłudną pewnością, że tam jest radość z dokonania tego występku, zła duma, głębokie, tęgie, młode szczęście, które drży, kipi, rwie się i głośno a bezbożnie chichoce. Za westchnieniem modlitwy, która się z serca odrywała jak wonny dym, chował się głośny, pękający śmiech siły z tego, że Krzys chory, łódź wędruje do Gdańska, a buty i mokre szmaty leżą na brzegu.

W zmaganiu się uczuć odmiennych i różniących się od siebie tak bardzo, jak światło i mrok, upływała ta noc nieskończona. Widziało się, że już świt blisko. Już wszystko się rozstrzygnie. Tak czy inaczej, ale zaraz...

Zwinięty w kłębek na posłaniu, rozżarzał w sobie odwagę, przewidywał zapytania i kuł odpowiedzi, a nadto w sekrecie przed sofizmatami udręczonej głowy ścisnął pięście i wyprężał mięśnie przedramion.

Bezdenne cisza nocy zimowej pochłaniała wszystkie te uczucia chwiejnie płonące, pełne upadków i wybuchów. Aż oto w jej głębi, jakby w czarnych niebiosach, rozległ się dźwięk zegara na wieży. Uderzył raz, po chwili drugi raz...

Włosy zjeżyły się na głowie Rafała.

— Dopiero druga... — wyszeptał prawie głośno.

Opanował go taki przestrach jak nigdy jeszcze w życiu. Rzuciły się nań wszystkie złe myśli, wszystkie fatalne kombinacje, przewidywania-obłądnicze, i rozpacz chwyciła go za gardziel. Wbił czoło w poduszkę i przypatrywał się swemu nieszczęściu. Onego czasu widział, jak polowy w Tarninach łapał na skoszonej łące jadowitą żmiją. Widział, jak rozwidlonym końcem gałązki brzoźowej przycisnął do ziemi jej szyjkę, jak potem ujął dwoma palcami łebek od tyłu, ścisnięciem otworzył paszczę... Wściekła żmija oplótła się dokoła ręki. Wtedy polowy końcem patyczka zaczął wyciskać jad z pęcherzyków pod jej zębami. Rafał wspomniawszy sobie tę chwilę. Doświadczał w ciele podobnego drżenia, jakby żmija oplatała go całego, jakby zwracała ku niemu rozwartą paszczę i za chwilę ostre zęby utopić miała w jego oczach.

Skulony, zwinięty w kłębek, tak że kolanami dostawał nosa, trzęsąc się w febrze, drzemał i budził się na dźwięk zegara. Każde uderzenie, surowe, obce, ów głos żelazny wychodzący z rzeczy martwej przelatywał puste i ciemne dziedziny jego rozmyślań i spadał na piersi jak cios kamiennej kuli. Nareszcie błądy świt ukazał w mroku powierzchni ścian. Wkrótce wszczął się w domu zwyczajny ruch. Familia profesora, jego gadatliwa żona, siostry, a nawet córki zajęły się chorym Krzysiem. Posłano po lekarza. Rafała otaczały zimne spojrzenia tych osób, wyciskając na jego czoło piętno hańby. On sam czuł się winowajcą. Wypił zwyczajny kubek gorącego mleka z takim pośpiechem, że o mało warg sobie nie sparzył, i nim się ozwał dzwon szkolny, z wiązką książek pod pachą ruszył do liceum. Wszedł na schody, które widział był we śnie, i pierwszy zasiadł w pustej sali. Sprzęty jej, które jeszcze wczoraj były wyrazami wesołości, przybrały teraz szaty złowrogię. Wyniosła katedra z drewnianym baldachimem bardziej niż kiedykolwiek tchnęła surową grozą konfesjonau; czarne ławy miały w sobie posępną ciszę płyt grobowych. Wpadł do klasy jeden z kolegów, drugi, trzeci; wkrótce wielka izba pełna była wrzawy, gwaru i śmiechu. Rafał siedział zatopiony w sobie, z oczyma utkwionymi we drzwiach. Jak przez sen widział, że jego towarzysze kują zamach na łacinnika, wlepiając między rzeźbione ornamenty baldachimu katedry dobrze ubitą pigułę śniegową. Nieżywy uśmiech przesunął się po jego duszy na myśl, jak to śnieg, gdy się powietrze ogrzeje, zacznie topnieć i pysznymi kroplami kapać na łysy czerep nudziarza...

Dreszcz wewnętrzny wstrząsał jego ciało, a myśli zamieniły się w błędny dym. Wesołość towarzyszków, ich zapytania pełne swawoli, koncepty i okrzyki zawierały w sobie podwójną, potrójną sumę boleści, spychały go jeszcze bardziej w ciemny dół rozpacz. Chwilami ogarniało go nagle i śmiałe postanowienie ucieczki. Jedna tylko sekunda — i w czyn się zamieni. Uciekać! Uciekać... do domu. Ale oto jakiś dźwięk, szmer, słowo zmieniały nastrój w inny aż do rdzenia. Tymczasem zeszli się profesorowie: Szczepański, Zawadzki, Orłowski, ksiądz Kozubski, przybył prorektor Kubaszewski. Toczyli w gabinecie ostatniego jakąś naradę. Oprócz Rafała nikt na to uwagi nie zwrócił, ale on ze ściśniętymi zębami liczył już teraz sekundy.

Z nagłą dostrzegł pana Filipa i głęboko wciągnął w piersi powietrze.

Pan Filip był pedelem szkolnym, zwierzchnikiem bezpośrednim kalafaktora Michałka i stróża szkolnego Jana Kapistrana. Pan Filip był niewielkiego wzrostu, szczupły, żylasty, na pałkowatych nogach, ale silny jak koń. Długo służył w kawalerii austriackiej, odbywał liczne pochody na nieprzyjaciela, był wielokrotnie ranny i, jak zwykł był mawiać, więcej krwi na rozmaitych polach wylał, niż jej obecnie miał w sobie. Trudno było określić, w jakim jest wieku. Wyglądał na lat trzydzieści kilka, a mógł mieć więcej niż pięćdziesiąt. Była to twarz szara, ciemna, otoczona baczkami. Chodził w jakieś resztkę obcisłego munduru, w sukiennych kamaszach, które sięgały za kolana, umiał świstać przeciągle, cienko i grubo, posiłkując się dziurami spróchniałych zębów jak otworami klarnetu. Młodzież szkolna drżała na widok tej wiotkiej postaci. Jej duże, czarne oczy, przejmujące do szpiku

Przemoc, Szkoła, Uczeń,
Nauczyciel, Kara, Bijatyka,
Ucieczka

kości, zapierały oddech w każdym studencie.

Pan Filip umiał siec różgą w szczególny sposób. Jednych ciął do krwi od pierwszego uderzenia, innych do trzydziestu prawie bez bólu tylko smagał. Wiedziano, że kogo nienawidzi, tego różnie „z wiedeńska”, wolno, ze strasznymi przestankami i piekielnymi ciosy. Wtedy to pogwizdywał swoje aryjki. Wtedy także zdejmował z szyi kolorowy szaliczek, rozpiął mundur, koszulę na piersiach i ostrożnie wyjmował z kieszeni cebulasty zegarek. Śmiał się przy tym i coś do siebie gwarzył z niemiecka czy z polska. Pan Filip wszystko wiedział. Znał życie każdego wychowanka jak własną kieszeń.

W pewnej chwili przeszedł się z wolna obok drzwi *poetyki*. Zajrzał w nie i ze strasznym uśmieżkiem szukał kogoś oczyma. Znalazł Rafała i z lekka cmoknął.

Potem odszedł, wezwał do siebie kalafaktora Michałka, chłopca dziobatego, z kołtuniastym łbem i plecami jak kariatyda. Ten Michałek stanął obok drzwi prowadzących na schody i obserwował miejscowość oczyma wołu. Pan Filip gwizdał niedbale, stojąc pod ścianą ze skrzyżowanymi rękoma i przymkniętą powieką.

Rafał domyślił się, że on to jest zwierzyną, którą osaczają w ten sposób. Było mu wciąż zimno, ale szczególny lodowaty spokój z wolna się w nim zasiał i rozpierał.

W pewnej chwili wszedł do klasy jeden z nauczycieli i zawołał Rafała do salki prorektora. Gdy tam weszli, oczom skazańca ukazał się areopag nauczycielski, żywo dyskutujący. Prorektor zbliżył się do studenta i, surowo patrząc mu w oczy, zapytał po niemiecku:

— Gdzie byłeś dzisiaj w nocy z Cedrą?

Rafał milczał.

— Jeszcze tylko szczerza skrucza i wyznanie wszystkiego może twoją karę złagodzić. Gdzie byliście obadwaj? Mów zaraz i prędko. To jedno... Czy ty słyszysz, co mówię?

Zamieć kłamstw leciała przez głowę winowajcy i tysiąc myśli, ale żadna nie zamieniła się w słowo.

— Czy ty będziesz odpowiadał? Wiemy wszystko. Gdzie byłeś dziś w nocy?

— Na rzece.

Wszystkie twarze wydłużyły się i oczy rozwarły.

— Na jakiej rzece?

— Na rzece Wiśle.

— Coś tam robił?

— Raki łapałem.

— Oszalałeś! W zimie! W roztop... Drwić tu śmiesz z nas wszystkich, lotrze! Mów, coś tam robił!

— Pływałem łódką.

— Czyją?

Rafał umilkł znowu, wsunął głowę w ramiona, jakby wszystko co miał do powiedzenia wciągnął w siebie i zamykał na klucz.

— Kto kogo do tego namówił: czy ty Cedrę, czy on ciebie?

Rafał milczał.

— Który którego namówił? słyszysz?

— Słyszę.

— No, więc?

— Ja jego.

— Toś go zgubił. Ten chłopak umrze. Odpowiadaj: po co wyszedłeś z domu w nocy i czemu tamtego ciągnąłeś z sobą?

Nagła duma i furia wydzwignęła się z nicości w piersiach Rafała. Coś w nim zakołysało się i runęło.

— Wyszedłem z domu i robiłem to, co mi się podobało! — rzekł głośno, zuchwale, pokazując w uśmiechu wszystkie zęby.

— Tak ci się podobało... Aha!... — wysepleniał prorektor. — Tak ci się podobało... Czekażże, bratku, powiesz ty mi zaraz nieco odmiennym tonem.

— Nie powiem wam nic, choćbyście mię porznęli na kawałki!

— Powiesz!... — wybelkotał zwierzchnik.

— Ani jednego wyrazu.

Prorektor w pasji ledwie zdołał namacać dłonią klamkę. Otworzył drzwi i piskliwym głosem rzucił w korytarz wezwanie:

— Filip!

W momencie, kiedy to czynił, Rafał prześliznął się jak wąż za jego plecami i szerokimi krokami odszedł w przeciwny koniec korytarza. Tam zatrzymał się w głębokiej okiennej framudze... Za nim szedł już bez pośpiechu Filip, a o kilka kroków dalej, waląc obcasami juchtowych butów, kołysał się na ogromnych biodrach kalafaktor Michałek. Z każdej sali poglądały na scenę roziskrzona oczy uczniów, ale nauczyciele rozbiegli się po klasach, zamykali drzwi i tylko sam prorektor oraz pedele zostali w korytarzu. Gdy Filip był zaledwie o kilka kroków oddalony, Rafał wydobył z kieszeni długi składany nóż w kościanej oprawie, cenny dar wujaszka Nardzewskiego. Otworzył go sekretnym gestem i skulony czekał cierpliwie.

— Może by lepiej po dobroci... — rzekł cicho Filip uśmiechając się łagodnie. — Wyadministruję miętką trzydziestkę i *fertig*. Słowo honoru: miętkie *drąjsig* — i sza.

— No, chodź, aniołku, Filipku. Chodź...

Pedel spostrzegł, widać, nóż ukryty w rękawie, bo trupia, zielona bladeść twarzy mu okryła. Straszna wściekłość zionęła z oczu.

— Z nożem... — rzekł półgębkiem do prorektora.

Wraz kazał swemu pomocnikowi, żeby zaszedł z drugiej strony.

Rafał chrapliwie mruknął przez zęby:

— Precz ode mnie, chamy, bo z was kiszki powypuszczam!

W tej samej chwili Michałek sapiąc ruszył na niego z wyciągniętymi łapami. Prorektor, obserwujący sprawę z pewnej odległości, ujrzał błysk ostrza i krew, ale niezwłocznie spostrzegł, że nóż wydarty został z rąk Rafała. Michałek jedną ręką cisnął ten nóż daleko od siebie, a drugą, z której, krew rzygała, trzymał obiedwie dłonie studenta. Pan Filip narzucił na te ręce, ściśnięte do kupy jak gdyby klamrą, pęta czkłę ze swego szalika. Ale oslepiająco porywczym ruchem Rafał wydarł się z objęć kalafaktora, skoczył na bok i w chwili prawdziwie lwiego susa potrafił dodać ramienia i zwiniętą pięścią trzasnąć go tak między oczy, że ten olbrzymi chłop runął na wznak i formalnie nakrył się juchtowymi butami. Rafał skoczył przezeń jak przez kłodę, w biegu huknął w brzuch prorektora i zmiatał korytarzem. Ale nim dopadł drzwi, dopędził go na giętkich nogach zwinny Filip i chwycił w pól.

W tej minucie skrzywdzony prorektor widział tylko skłębione ich ciała na ziemi. Za chwilę ujrzał mały łebek i gardło Filipa w pięściach i pazurach Rafała. Z białych nosów obudwu lała się krew, z ust toczyła się piana, z kurt, kamizelek, koszul dyndały strzępy. W pewnej chwili pedel wydobył się z obłąkanymi oczyma, z sinymi pręgami na szyi, oblany krwią, i znizywszy głowę, na oslep rzucił się do walki. Naciągnął Michałek ze swymi krwawymi rękoma i Jan Kapistran. Mieli już Rafała, gdy ten skokiem znalazł się za oszklonymi drzwiami korytarza. Wszystkie szyby wyleciały z drzwi, piorunowym ruchem zatrzęsniętych. Pościg z Filipkiem na czele rzucił się na te drzwi, nic nie zwracając uwagi na krzyk prorektora, który zboliałym brzuchogłosem nakazywał zawieszenie broni. W mig wysadzono drzwi z zawias. Filip dopadł zbiega w przedsionku, ale zwinny chłopak, rozjuszony jak ranny dzik, zwałił go z nóg jednym ciosem w skroń. Filip odbił się od ściany i, potykając kilkakrotnie, runął twarzą na ziemię. Kiedy wstał chwiejąc się na nogach, z oczyma zasłanymi bielmem, z gębą pełną krwi, obłąkany, zaczął macać rękoma dokoła, bełkotać i szukać Rafała.

Ale tego nie było już ani w przedsionku, ani na schodach, ani na dziedzińcu. Za chwilę nie będzie go już nawet w mieście.

NA POKUCIE

Na cztery wiatry zaocznym werdyktem wypędzony ze szkół sandomierskich, niewesoły wiódł żywot w Tarninach. Stary cześnik widzieć go nie chciał. W ciągu pierwszych dwu tygodni nie dopuszczał do ucałowania ręki, nie spostrzegał wcale jego obecności i nie mówił do niego ani słowa. Winowajca jadał obiady i wieczery sam w narożnej izdebce, gdzie też sypiał na sienniku rzuconym w kącie. Z rozkazu starego pana do dnia budził go podstarość Piotr i zabierał ze sobą. Szli po ciemku świecić latarnią w oczy zaspanym

parobkom i dziewczkom, wyciągać wszelki żywiol służebny z barłogu, spod kozucha, otwierać stajnie, obory, stodoły. Rafał dozorował, kiedy bydłu zadawano słomę i odmierzano koniom obroki, wydzielał chałupnikom przychodzącym na pańszczyznę oznaczone ilości snopów do młocki itd.

O świcie spotykał się z młodszą siostrą, Zofką, idącą w grubych butach, w krótkiej spódniczce i futrzanej bekieszy pilnować dojenia krów — i zamieniał kilka słów miłszych.

W innych porach dnia i to było wzbronione. Nikt bez wyjątku, nawet matka, nie miał prawa rozmawiać z „zakalą”, z „wrzodem”, z „infamisem” rodu. Garnuszek mleka z kromką sitnego chleba „infamis” spożywał stojąc w swej klecie i zaraz musiał wracać na gumno. Aż do obiadu siedział w stodołach, w zapolu, z nogami grubo kłocią i targaną słomą obłożonymi. Tak pilnował chłopów młócących zboże. Po obiedzie aż do zmierzchu, aż do upragnionej chwili wiania omłotu, odbierania zgonin, pośladu, mierzenia i odnoszenia ziarna do spichlerza, spędzał w ten sam sposób na milczącym, sennym wsłuchiwanie się w łoskot cepów o klepisko. Gdy dokonany został oprzet wieczorny koni, bydła, owiec, wszystko zamknięte i klucze odniesione do kancelarii starego pana, miał rozkaz zjadłszy kolację spać natychmiast.

To samo zresztą czynił dom cały. Od szeregu lat szło wszystko tak mechanicznie patriarchalnym trybem, „jak w zegarku”. Już po upływie tygodnia Rafałek omdlewał z nudów. W czapce nasuniętej na oczy, z dłońmi wbitymi w rękawy lisiurki słuchał chłopskich gadek, baśni, przypowieści, patrzył niby na to, co się dokoła działo, czy nikt z robotników „nie stoi”... Myślni był na innym świecie. Dopiero wrzaskliwy głos ojca, grzmiący gdzieś po gumnie, sprowadzał go znowu na klepisko. Wówczas skazaniec zbierał rozwleczone myśli, układał przytomne i krótkie odpowiedzi na pytania, których mu zresztą cześnik nigdy nie zadawał. Tylko straszne spojrzenie starca spod nasępionych brwi witało go zawsze i żegnało. Jeżeli zaszło coś nie tak jak trzeba, wtedy otrzymywał takich spojrzeń drwiących, mściwych, okrutnych kilka z rzędu, na odchodnym jedno, dwa „mośćbrodzieju”, wycedzone w taki sposób, że skóra cierpła jak od razów praojcowskiego kańczuga. Tym porządkiem upływał dzień za dniem.

Przy końcu stycznia, w niedzielę rano, Zofka, ulubienica rodzicielska, weszła do stajni Rafała i rzekła krótko:

— Jegomość tatuńcio kazał, żebyś z nami siadł do kościoła.

Rafał drgnął z radości.

Kiedy czterokonne sanie stanęły przed drewnianym kościółkiem w Sulisławicach, znowu Zofka Rafałowi szepnęła do ucha:

— Nie chodź z nami przed ołtarz. Masz zostać na kościele. Tak jegomość tatuńcio rozkazał.

Krew zakipiała w młodzieńcu. Hańba prawie nie do zniesienia: stać na kościele, między chłopstwem, ramię w ramię z kołtunami, kiedy cała szlachta okoliczna znajdowała swe miejsca w prezbiterium!... Musiał jednak być posłuszny.

Stanął między żółtymi kozuchy za kratą oddzielającą nawę od wielkiego ołtarza, zagryzł wargi i ze wstydu nie podnosił oczu. Czuł, że motłoch rozstępuje się raz w raz, czyniąc ulicę dla przejścia nowoprzybyłych, słyszał szelest kroków idących ku ołtarzowi, ale oczu wciąż nie podnosił. Udawał, że się modli żarliwie, choć ani jednej litery książki, którą trzymał w ręku, nie widział. Dopiero przed podniesieniem dźwignął ukradkowo oczy.

Wśród matron i personatów parafialnych bokiem zwrócona siedziała panna Helenka. Oczy jej skierowane były w stronę Rafała, choć nie patrzyły... Oczy błękitne jak dalekie lasy w słoneczny zimowy dzień. Wspaniałe strumienie jasnych włosów wymykały się spod futrzanego toczka, który głowę okrywał. Twarz bledsza, jakby starsza od owej chwili, kiedy ją Rafał widział ostatni raz, była głęboka, piękna, niewymowna... Przycmił oczy jak gdyby smutek. Ale za nim stały uczucia dziecięcej radości, szczebiotliwego śmiechu, nieśmiały a wesołych pytań, z cicha rzucanych. Podziw, a może żal odwracał tę twarz, te upajające dziewczęce oczy... ku organom.

Rafał zacichł w sobie, wsłuchał się sam w tony organów czy w muzykę ich mrącą jak echo w głębi serca. Kiedy znowu wzniósł oczy, spotkał wejrzenie krótkie, pachnące jako dym z przecudnych kadzideł snujący się pod sklepieniem. Ów to dym wonny, czarodziejski, uroczyście oddalacz, zasnuł przestrzeń między ich oczyma. Nim ukończyła się

ta święta msza, odbyło się w sercach tajemnicze misterium. Minęły długie dzieje, zaległa w duchu otchłań zdarzeń, od pierwszego zachwycenia, któremu towarzyszyła trwoga, aż do róż wiernego uśmiechu, wykwitających na ustach, aż do błyskawic szczęścia w przesłicznych oczach, aż do wyznań zaprzysiężonych i pokornego ślubu.

Ani słowa nie przemówili wtedy do siebie. Zaraz po sumie Rafał odjechał do domu.

Ta niedziela stała się jakby granicą nowego czasu. Od niej inne zaczęło się życie. Budził się i zasypiał wzburzony. Dokonywała się w nim fizyczna i moralna przebudowa. Nie miał apetytu. Istotna choroba ogarnęła całe jego ciało. Była to, rzekłbyś, moralna trawiąca gorączka. Miłość szerzyła się w nim jak zaraza. Kochał się całym ciałem i całą duszą, a każda komórka ciała i każde drgnienie duszy pełne było krzyku. Zdarzały się dni, że zamieniał się w żywioł bezduszny, przykuty do miejsca, i wówczas wszystkie wysiłki woli rozбивały się o jeden promień światła, o jedną smugę błękitnego dymu, który onego dnia wznosił się ze świętych kościelnych kadzielnic.

Były dni, że czas leciał jak jaskółka na skrzydłach, kiedy indziej włókł się jak żebrak na kulach. A w ciągu takich dni Rafał żył poza wszystkim, jakby na zewnątrz dnia, prac, zajęć, nawet myśli, nawet uczuć. Żywiło go czucie niematerialne, płynące z dala na podobieństwo owego jądła, które pustelnikowi kruk nieznanym przynosił. Przymykał powieki i wpatrywał się w oczy rozsiewające iskry, z których każda tworzyła nowy świat. Oto wszystko. Sam nie mógł ani pojąć, ani zrozumieć, ani nazwać pożądań, bólów nieokreślonych, ślepych i ciemnych, palących się namiętności. Jedno tylko odczuwał, że tęskni do wydobycia się — do szaleństwa. Krzyczał na siebie jak na lotra i w tej samej chwili nurzał się w szelmowskiej dumie, kąpał w marzeniach grzesznych, niewiadomych, w snach nad snami. Dla zniszczenia w sobie tajnych zgryzot zamierzał wykraść z apteczki karafkę z gdańską wódką i pić, pić na śmierć. To znowu marzył o śmierci, o zgubie, o zbrodni, o szaleństwie.

Już po jakichś dziesięciu dniach takiego życia wychudł, żółkł, szerniał i wyglądał obrzydliwie. O nic nie dbał. Spojrzenia ojca najbardziej srogie zaczął lekceważyć. Owszem, pragnął, żeby go bili, żeby go prali, żeby cierpieć aż do obłąkania. Śniły mu się katusze ojcowskie, bity na śmierć... Ani piśnie! A powstawszy z kobierca, zrobi to samo, coś takiego, że zapamiętają... Otwierały się przed jego wzrokiem coraz to nowe powiaty zuchwałstwa. Stracił poczucie granicy między wpojoną wiarą w rzeczy dobre i złe. Znał teraz tylko jedno: pachnący, uroczy, kwiecisty cień. Przychodziły nań chwile, że chciał na rzeczy święte, czczone, drogie dla wszystkich i dla niego samego aż do tych dni, położyć dłonie hańby, właśnie na te sprawy, dzieła, uczucia, słowa najdroższe, najświętsze... Rwać, szarpać... Włokła go i ciągnęła ku sobie siła, nęciła boleść, zachwycała potworność. Z wewnętrznego musu chciał wydrzeć ze siebie samą naturę ludzką. Brzydził się nią jak starym, zgniłym próchnem i bezgranicznie gardził jej przepisami. Być zdrowym, starać się o łaskę dobrych uczynków, unikać chorób i śmierci — jakież to nędzne i głupie! Przez ściśnięte jego usta buchała teraz lawa wyrazów zelżywych, złych, nikczemnych, jakoby krew zgniła, co się z ciężarem po żyłach przesuwają. Nie umiałby odrzec, skąd znane mu są takie słowa, jaki wiatr przyniósł je do uszu z karczmem rybackich, z plugawych siedlisk miasta. W takich momentach opętania bił o byle co, częstokroć niesprawiedliwie, chłopów pańszczyźnianych i rozkrwawiał gęby parobkom.

Kiedy znalazł się pośród rodziny, drżał często na całym ciele, czując, jak się w nim objawia chęć rzucania ciężkich przedmiotów i słów okrutnych, niepowetowanych, słów-zabójstw. Nieraz w biały dzień opanowywała go głęboka senność, to znowu gwałtowna żądza ruchu, blasku, światła, hałasu, orgii. Czuł w sobie to płacz dziecka, najżałobliwszy, to śmiech cyniczny, to pociąganie bez kierunku, bez celu, nieokreślone. Tysiąc już razy silnie pragnął, żeby te dziwne chwile umarły, zbierał do kupy wolę, żeby je wygnąć i zerdrzeć ohydną błonę przywarłą do serca. Ale nie chwile bieżące umierały, tylko właśnie wola. Jedno czarujące wspomnienie bladej twarzy było w nim stałe, wieczne, niezmiennie, wcielone w jego duszę jak życie.

Ćmiły się te oczy od wichrów wspólnych, wewnętrznych jak płomienie, które się od jednego wiatru chwieją. Przychodził z nagłą, niespodzianie, w chwilach najbardziej niestosownych, bo w obliczu ojca, zapach włosów, aksamit twarzy, upał rąk.

Dusza stała się czarną i rozpaloną. Nieraz budził się w nocy z uczuciem, że w nim jest przepaść niezgruntowana, ziejąca głębią. W godzinach południowego wytchnienia szedł cichaczem do stajni i kęsy swego chleba oddawał klaczce Basi. Była to jedyna jego powiernica. Przypatrywał jej się z rozkoszą. Była długa, na niskich, delikatnych, suchych, przepysznie foremnych nogach, które stawiała miękko niby po kobiercu i z dziwną gracją. Miała boki wpadłe jak wilczyca, kłęb wysoki, łopatki tak długie, że ich mięśnie wystawały nad piersi, a mięśnie udowe podkasane i wydłużone. Szyja jej była płaska, długa i zgięta w pałąk, główka mała i ogromnie mądre, głębokie oczy, osadzone w nadzwyczaj szerokich kościach czoła. Oczy te były pełne sądu, pewności siebie i — przysiągłbyś: dumy.

Cienka skóra, przez którą znać było wszystkie żyły, suche ścięgna i mięśnie, była ubarwiona miękką aksamitną sierścią. Biała grzywa, obfita, bujna i wzdęta, burzyła się, a niestrzyżony nigdy ogon świetnie od tułowia odsadzał. A ruchy! Wiła się jak wąż; można nią było zawrócić na stole. Umiała płaść w miejscu, wolno i lekko, iść do ręki jak pieszczone dziecko, ale umiała również wydrzeć z rąk cugle perskiego munsztuka, z rozwartym pyskiem, wzięwszy na kiel krygowe wędzidło, rwać jak dziki wicher przez rowy i płoty, choćby jej ręka jeźdźca darła żelazem wargi.

Rafał pamiętał Basię od pierwszej chwili jej życia. Miał ją w oczach, gdy była włochatym źrebiątkiem i biegła na chwiejnych nogach za matką, tęgą, rozrosłą, białą świerzopą; pamiętał, gdy była źrebicą o krótkiej grzywie, kiedy hasała swobodnie na pastewniku... On pierwszy dopadł, pierwszy siadł na jej grzbiecie bez uzdy i siodła. Pierwszy ją na uździenicy otarł i objeździł oklep, nocami, w sekrecie przed cześnikiem. Nie dziesięć, nie dwadzieścia razy prasnęła nim o ziemię, że ledwie wstał. Nieraz go ponosiła bezdrożami, w nocy, aż obojgu dech zamierał i serce stawało. Uglaskał ją wreszcie. Teraz klacz go kochała. Potrafiła rozpoznać jego kroki, gdy już z daleka nadchodził, rżała z cicha, radośnie, gdy się zbliżał, a biła nogami, kiedy się oddalał. Panicz pieścił ją, karmił, pielęgnował, sam cesał zgrzeblem, sam poił i przeprowadzał.

W tych czasach, skoro jej oddał przyniesione smakolyki, siadał w jej żłobie, splatał ręce na jej szyi, opierał czoło o jej łeb i siedział nieruchomy, w zamyśleniu. Klacz wyciągała ku niemu wilgotne, szeroko otwarte chrapy o czarnych jamach, a mądre spojrzenie jej oczu jakby z pytaniem czułym i trwożnym na nim spoczywało. Często przychodził teraz do niej bez chleba, bez jabłek... Siadał tak samo i, patrząc w oczy Baški przymrużonymi oczyma, z dziwnym uśmiechem śpiewał jej z cicha głuchą piosenkę swej duszy: śpiewkę bez słów, jeszcze nigdy i przez nikogo niesłyszaną, dźwięki z samej głębi serca płynące tak bez woli i wiedzy, jak lzy płyną z oka...

NOC ZIMOWA

Jednego z pierwszych zaraz dni marca Rafał, dopuszczony już w drodze łaski przed rodzicielskie oblicze, wszedł wieczorem do sypialni, skąd właśnie wyniósł się podstarość otrzymawszy codzienną, przepisaną niejako dozę łajań, wymysłów i krzyku. Nowy Rafała obowiązek polegał na czytaniu urywków starych gazet, które cześnik pożyczał z sąsiedztwa. Lektura trwała zazwyczaj krótko, jakieś najwyżej pół godziny. Cześnik leżał już w łóżku. Podstarość Piotr złożył był wszystkie klucze na stoliku. Łojówka topiła się już w blaszanym lichtarzu od dość dawna i niewiele jej zostało. Gdy Rafał wszedł po cichutku i zatrzymał się przy drzwiach, wnet stary krzyknął na niego:

— Co się tam czaisz? Znowu może knujesz jakie łotrostwo... Bierz gazetę i czytaj mi wyraźnie od tego miejsca, gdzieś wczoraj stanął. Na czymśmy skończyli?

— Na „Dekrecie pochwały dla księdza Zdziechowicza z Piekoszowa”...

— Wiem. Dobrze. Pochlebcom zawsze dobrze, w gazetach ich będą drukowali! Jedź dalej! Wyraźnie i, mościbrodzieju, tak żeby sens było widać.

Rafał wziął w rękę podarte i zasmolone, luźne szczątki „Gazety Krakowskiej” z roku 1796 i zaczął głośno, patetycznie czytać:

„List generała Buonapartego do Dyrektoriatu. Z głównej kwatery! Werona, dnia 29 Briumer”...

— Czego?

— Napisano: Briumer.

— Cóż to jest ten Briumer?

— Ja nie wiem.

— Ty byś też co wiedział, dryblasie! Warto było pieniądzem gotowym za ciebie w szkołach płacić. Nożem pruć pedelów toś się tam *expedite* wyuczył, niczym rzeźnik cielęta, ale co znaczy takie zagraniczne słowo, to nie twoja rzecz. Ślabizuj dalej!

„Jestem tak zmęczony fatywami, obywatelu Dyrektorowie”...

— Cóż to za jedni ci obywatele dyrektorowie?

— No ja... tego nie wiem.

— Żeby mi się wstać chciało, tobym cię tak, mośćbrodzieju, huknął w ucho za to „nie wiem”, żebyś zaraz zmadrzał!

„...iż nie jestem w stanie donieść wam o wszystkich poruszeniach wojskowych, które poprzedziły bitwę pod Arcole, co teraz zdecydowała los Włoch. Dowiedziawszy się, iż feldmarszałek Alvinzy”...

— Wyraźnie! Dnia dzisiejszego!

„Feldmarszałek Alvinzy zbliża się do Werony”...

— I Werony pewno nie wiesz, co jest?

— Wiem. Werona jest takie miasto we Włoszech.

— Mójże, mądrała...

„...dla złączenia się z dywizjami jego armii, które są w Tyrolu, poszedłem z dywizjami generałów Augereau”...

— Jak?

„...Augereau i Masseny, wzdłuż rzeki Etsch”...

— Łżesz!

„...Etsch... Tymczasem dowiedział się nieprzyjaciel o naszych poruszeniach i wysłał regiment Kroatów i kilka regimentów węgierskich do wsi Arcole, która dla swego położenia wśród bagnisk i moczarów jest bardzo mocna. Ta wieś zatrzymała cały dzień 15 przednią straż armii. Generałowie, znając ważność czasu, nadaremnie rzucali się na czele kolumn dla przebycia małego mostu pod Arcole. Wszyscy niemal byli ranieni. Generałowie Verdier, Bon, Verne, Lasne musieli być z miejsca boju sprzątnieni”...

— Widzieliście... — mruknął cześnik.

„...Generał Augereau”...

— Znowu swoje!

„...uchwycił chorągiew, zaniósł ją aż na koniec mostu, został tam kilka minut, ale bez najmniejszego skutku”.

— Masz teraz! Tak, widać, Austriak, prał tego. Złękły się Francuzi, rozumiesz, gapo?

— Rozumiem — rzekł Rafał.

W chwili gdy to mówił, patrząc ojcu w oczy z rzewną serdecznością, sięgnął ręką po klucz od stajni, ściągnął go niepostrzeżenie ze stolika i schował do kieszeni.

— Czytajże dalej. Cóż się też stało?

„...Z tym wszystkim potrzeba było przejść ten most lub kilka mil obchodzić, co by było nasze działanie zepsuło. Udałem się sam”...

— Kto się sam udał? Kto się gdzie udał, mośćbrodzieju?

— Udał się ten, co na początku, jakże się tam zwał... Buonaparte... „Zapytałem się żołnierzy: czy jeszcze są zwycięzcami spod Lodi? Przytomność moja... takie sprawiła... poruszenie... w wojsku”... — czytał Rafał głosem coraz cichszym, widząc, iż ojciec już tylko jednym okiem, i to słabo, na niego spogląda.

Nim doczytał do końca szpalty, już cześnik wpadł w głuche sapanie. Za chwilę chrapanął raz i drugi. Wtedy młodzieniec zgasił świecę i na palcach wyszedł, cicho zamykając drzwi izby ojcowskiej.

Minął kilka ciemnych już stancyjek, znalazł w mroku drzwi do swojej, zamknął je i upadł na posłanie. Leżał bez ruchu. Coś w nim teraz ostygło i zaczęło z wolna wysuwać się z piersi, wysuwać jak dusza. Został w nim tylko zimny rozmyśl i ta żelazna pewność, że klucz ma w kieszeni. Klucz ów był to płaski ułomek kutego żelaza, mający co najmniej ćwierć łokcia długości, wykrzywiony w kształt litery S. Obadwa jego końce miały kwadratowe wymyki, czyli zęby do chwytania nimi mutry zakręcającej śrubę.

Cisza ogarnęła już dwór. Bezdenna zimowa cisza. Ostatnie szelesty zginęły... W kuchni zgaszono łuczywo. Słyszać było, jak drobny śnieg sennie podzwania padając w otwór

drewnianej okiennicy, jak po szybie ślizga się każda jego drobina... Świerszcz nocny skrzy-
piał trwożnie gdzieś w trzecim pokoju...

Wiatr ostry u węglów domu zakwilił, a później z żałośliwym szmerem wałęsa się pod
ścianami. Chwilę nacichnie i znowu z rykiem i świstem pięściami bije w ściany, usiłuje
wyrwać okiennice, tupie jak koń po słomianej strzesze...

Rafał, wyciągnięty na swym sienniku, czekał patrząc w ciemność. Zdawało mu się
chwilami, że tak już całą noc przeleżał, że świta, to znowu nabierał pewności, że nie ma
godziny od chwili, kiedy z izby cześnika wrócił. Kilkakroć dźwignął się i nasłuchiwał. Serce
targało się w nim jak więzień silny i młody, który w męce pięściami usiłuje rozwalić ściany
swej celi. Głowa płonęła a krew biła w skroniach. Dusił się w gorącu, które szerzył piec
z rogu izby.

Przed północą siadł na posłaniu i na coś oczekiwał. Przyszła wreszcie tajemnicza chwila
i dźwignęła go na nogi, jak rozkaz. Wciągnął na zwyczajne, sukienne ubranie, w którym
był, spodnie ze skóry łosiej, wdział na kubrak krótki barankowy kozuszek z żółtej, twardej
skóry, ściągnął się mocno rzemiennym pasem szerokim i grubym, wzuł buty długie, za
kolana, doskonale poprzednio wysmarowane łojem, i wcisnął na głowę futrzaną czapeczkę.
Gdy to skończył, wylał na siebie flaszkę larendogry, którą był skrycie zabrał siostrom.
Zapach dodał mu siłę, tchnął weń zuchwałstwo, potęgę i szal. Trzymając w ręce klucz od
stajni Rafał pchnął okienko swego pokoju. Okiennica, umyślnie słabo przytwierdzona,
podała się w ciemność, oknem wiatr ją szarpać. Awanturnik skoczył w śnieg. Skoro przy-
mknął połówki okienne, żeby w nocy nie stuknęły i nie zbudziły śpiących, skoro podparł
okiennice przygotowanym drągiem, był już pewny swego. Wionęła dokoła jego twarzy
wichura, zatoczyła się jak pijana wiedźma, osypała go śniegiem dymiącym z dachu, całego
od stóp do głowy. Wciągnął w nozdrza ów śnieg rozpylony, lechący jak tabaka. Radość
go niosła przez zaspy. Pławił się w nich i kopał, nim wybrnął z ogrodu. Gdy wszedł na
dziedziniec, obskoczyły go psy, olbrzymie brytany i kundły włochate, mokre, pospusz-
czone z łańcuchów. Skakały mu na piersi, łaszcząc się, lizały ręce. Odpędził całą gromadę
precz od siebie i, już stojąc przed stajnią, badał pogodę. Śmiał się z radości widząc, jak
śnieg dmie coraz lepiej, i marzył o tym, jak zasypie, zanieśnie, zniszczy wszelkie ślady.
Dobra, pocziwa, ukochana zamieć...

Drzwi stajenne zawierały się na sztabę żelazną, która z wewnątrz na ukos je przypie-
rała. Koniec tej degi przytwierdzało się śrubą, która przewiercając odrzwia wychodziła
na zewnątrz i mogła być zamknięta na mutrę, wkręcaną nań owym kluczem dopiero co
skradzionym. Rafał podważył mutrę kluczem, odkręcił ją prędko, pchnął drzwi i wszedł
do stajni. Przez chwilę, stojąc w gorącym końskim oddechu, nasłuchiwał, czy nie obudził
się który z parobków. Ale chrapali wszyscy jak zarżnięci, jedni pod żłobami w sąsiedztwie
drzwi, inni pokotem śpiący w tak zwanej grudzy. Baśka parsknęła kilkakroć, gdy do niej
szedł, i dotknęła go wilgotnymi nozdrzami.

— Basiu, Basiu... — szepnął do niej na przywitanie.

Szybko jej na łeb założył trzęzłę, na grzbiet podkład i siodło.

Wywiódł ją szybko ze stajni. Klacz chrapała na zimnie i biła kopytami. Za progiem
ściągnął i mocno, z drobiazgową pilnością pozapinał popręgi siodła, urównał puśliska
i przymknął drzwi. Bez pomocy drugiego człowieka, który by sztabę dźwignął i wsunął
śrubą w otwór, nie mógł ich zamknąć, toteż zostawiając je na całą noc, aż do chwili swego
powrotu, otworem, spełniał czyn straszny. Chwilę namyślał się, czy żelazny klucz wziąć
ze sobą, czy go rzucić w śnieg obok drzwi i za powrotem odszukać. Chwilę namyślał
się... I oto piorunem zleciał weń napastniczy, obmierzły, jakby włochaty i cuchnący lęk...
Podszeptał mu, żeby go zabrać. Wsunął tedy w kieszeń od rajtuzów ten duży kawał żelaza,
chwycił w garść wodze i był na siodle.

Baśka w podskokach przeleciała podwórzec. Psy ściagały ją za bramę, ale się wkrótce
cofnęły. Rafał wypadł w pole. Jechał topolową aleją, do obłąkania szczęśliwy. Suche pręty
starych, wyschłych drzew huczały w ciemności. Była to pieśń szczęśliwa, krzyk ze wzdę-
tej piersi i całej gardzieli. Śnieg walił zewsząd: rwał się z ziemi i smagał z boku. Trwała
ciemność tak zupełna, że Rafał o kęs nie mógł w nią wszcześcić wzroku, nie widział drzew,
o które się ocierał... Potężne granie wichury na olbrzymich strunach lip i topól nadwi-
ślańskich zaczęło zniżać się i przygasać. Z tego wniósł, że już minął aleję. Droga tam szła

na mały wzgórek, gdzie, omijane przez żyjących, w cieniu kilkunastu brzoź leżało samotne cmentarzysko cholerycznych, dawno, dawno, przed wieloma laty tu schowanych. Rafał rozeznał poświst nagich różg brzożowych, odmienny, przedziwnie odmienny od wszystkiego na świecie. Posłyszał, jak tam wiatr szlocha na ramionach zmurszałych krzyżów, co się chyłą między zarośla, jak chichot wichrowy szczeka spomiędzy badyłów dzikiego głogu. Wołało na niego to straszne miejsce przeraźliwymi słowy, które włosy na ciemieniu podnoszą i lodowatą seremność ciskają w serce. Wzywały ku niemu z ziemi wzgardzone mogiły... Uderzył Baśkę w bok nogą i minął je galopem. Zostały za nim w polach, ucichły, umilkły...

Baśka niosła go wskroś wiatrów siekących twarz, w poprzek miękkich śniegów. Lecieli oboje w dzielnej rozkoszy. Rafał chylił się na jej grzywę, objął rękoma przepyszną szyję i szeptał:

— Zanieś mię...

Spostrzegł po chwili, że wiatr mu sprzyja: dał z tyłu, podniecał kobyłę do biegu, a zarazem dawał możność utrzymania kierunku drogi. Rafał czuł zresztą doskonale, że jedzie szlakiem, i skoro tylko Baśka wkraczała na zagony, sprowadzał ją w kolej. W pewnym miejscu, w stronie Godziszawic, krzyżowały się drogi i była tam na rozstaju figura z Panem Jezusem. Rafał czuł to, że powinien był zbliżyć się już do niej. Naprężył oczy i wyciągniętą ręką szukał w powietrzu słupa. Basia drgnęła i zбочzyła. Rafał zmusił ją do powrotu i dotknął ręką słupa oblepionego śniegiem. Wiatr tam wyl przedziwnie. Zdawało się, że w istocie, jak głosi baśń ludowa, diabeł owija się dokoła figury, okręca się dokoła niej jak badył, pełza jak bluszcz, póki wichur świętego obrazka nie zedrze ze słupca.

Teraz jeździec pewny już był, że nie błądzi. Skręcił na prawo i z godzinę równym klusem jechał aż do opłotków, które były zadęte i pełne śniegu jak sąsiadki zboża. Wyprowadził Baśkę na pole i przez czas pewien brnął noga za nogą. Był już zdyszany. Czuł, że i klacz zagrzała się tego, że w niej krew kipi. Wkrótce, jak się tego spodziewał, napotkał stóg siana. Zeskoczył na ziemię, wydarł sporą porcyjkę, związał ją mocno i przytroczył do siodła. Wywiódł kobyłę za bróg, w ciszę, gdzie wiatr ledwie milczkiem kąsał, przystawił ją bokiem do ściany, sam się skulił, plecami oparł i dał w objęcia pochwyścić marzeniom.

Czyhały na tę chwilę, goniąc stadem nieprzeliczonym. Skoro tylko wytchnął, stanęły przed nim jawniejsze i oczywistsze niż wszystko, czego dotykał rękoma i mógł dosięgnąć oczyma. Widma cudowne! Nieskończoną radość odczuwał na myśl, że już zbliżył się do miejsca swojego szczęścia. Pochłaniał je oczyma, jakby ciemność dookolna nie istniała, i rzeczywiście widział to, co było tylko utworem imaginacji. Widział oświetlone pokoje, meble, sprzęty, osoby, ich ruch, słyszał rozmowy... Widział ją, a raczej ogarniał wzrokiem wcieloną piękność, marzenie ziszczone, duszę swej duszy, kwiat cudnobarwny żywota. Jaśniała przed nim w mroku nocy wszystka świetlista, przeistoczona w obłok złotobiały i w uśmiech. Rozkosz widzenia jej tak cielesnymi prawie oczyma nie miała granic, łaska miłości przechodziła tu szczyt swój najwyższy. Słuchał melodii, którą budziło jej przyjście, i unaszał się sam ponad sobą jak duch.

Klacz zdawała się wiedzieć, co się to dzieje. Stała cicho, żując wędzidło i z lekka lotną zaspę rozgarniając kopytem. W pewnej chwili Rafał ocknął się ze swych snów, wspiął na siodło i z cizy wyjechał w wichur. Teraz już sama Baśka niosła go przez bezdroża. Przystanąła czasem, i wyciągnąwszy szyję, brała chrapami powietrze. Wówczas jego ręka gładziła pieścotliwie piękną grzywę. Z ust mu się wymykały dźwięki pochwalne. Jakże wielbił swą Baśkę! Stała się oto dla niego wszystkim: nie tylko powiernicą szczęścia, lecz i dobroczynną potęgą, która niesie w jego strony...

Był teraz na granicy rozdołu Koprzywianki, w pobliżu wielkich lasów Góreckich. Gdy tam stał chwilę, pierwszy raz ogarnęło go niemile uczucie. Do domu było już daleko, a i do celu podróży nieblisko. Cmoknął na klaczkę. Omijał dwory i wsie albo je przebiegał cwałem, skracał sobie drogę ile się dało, wreszcie zbliżył się do Dersławic. Szum drzew i szczekanie psów zwiastowały, że już blisko, ale głównie zwiastowało światło błyszczące między drzewami w dole. Rafał jechał polem noga za nogą aż do miejsca z dawną przewidzianego.

Oczy przywykłe do ciemności wyróżniły czarną masę budynku. Wtedy zeskoczył na ziemię i sprowadził klaczkę z wyniosłości na drogę niżej położoną. Basia szła chętnie, z cicha chrapając i ostrożnie badając powietrze nozdrzami. Stanęli obok murowanej budowli.

Była to kuźnia stojąca z dala od folwarku, w alei.

Teraz, w nocy, była zupełnie pusta. Przede drzwiami jej istniał pewien rodzaj portyku na dwu otrąconych u dołu filarach z cegły, gdzie w czasie deszczu stawiano konie do kucia. Był tam nawet w kącie wygryziony mały żłobek i drabinka. Rafał umieścił przy nim Baškę, wytarł ją silnie zwitkiem siana, a całą wiązkę rzucił w żłób, do którego uzdę przywiązał na głucho.

Basia zaczęła skwapliwie żuć siano...

Miał już iść od niej... Otrząsnął się, przeciągnął... Chwilę dumał i nasłuchiwał. Wreszcie odszedł. Dużymi krokami przebył w poprzek szerokie pasmo gościńca, które się zniżało między rzędami lip, i szedł obok płotu otaczającego bardzo rozległy sad. Znalazł wreszcie miejsce dogodne i wkroczył na obszar dworski. Stał w ulicy ogrodowej, która prowadziła do dworu. Niskie drzewa owocowe były okryte czapami śniegu dopiero co spadłego. Musiał zniżyć się, żeby go nie strącać. Śnieg wił się tutaj między gałęziami w tysiącnych kierunkach. Było tak ciemno i panował taki chaos ruchu, jakby miliardy istot wirowały w tym miejscu. Rafał posuwał się na oślep. Zdawało mu się, że nie trafi do dworu. Raz sądził, że ten dom jest dalej, to znowu, że go już dawno minął. Tymczasem wyciągniętą ręką z nagle dotknął się ściany. Dreszcz rozkoszy przeniknął całe jego ciało. Stąpał obok kilka kroków, z rozpaczą marząc, że to już wszystko, że już trzeba wracać.

Cóż jeszcze więcej być mogło? Nic. Chyba nieszczęście... Ale za uderzeniem powtórnym myśli, że dotyka ręką węglów domu, gdzie ona jest na pewno, że może za tą ścianą ona oddycha, we śnie pogrążona, że to on, we własnej postaci, nie we śnie ani w marzeniu idzie obok drzew, które ona jutro ujrzy oczyma, kipiało w nim obląkanie. Wciągał w siebie nozdrzami przedziwną atmosferę, która jak podniecający zapach zdawała się ten dom otaczać. Czuł bezsilność rozsądku, niedolę woli... Nic więcej nie pragnął oprócz tego, żeby jeszcze przez chwilę oddychać powietrzem tego ogrodu. Stał w gąszczu krzewów bzu, które zacięniały okna, teraz na głucho przykryte okiennicami. Tuż obok była naturalna altanka, utworzona przez kępy leszczyn, głogu i dzikiego chmielu. Pod cieniem bzu krzewu, który w grube drzewo się rozrósł, była darniowa ławka, tej nocy zadęta do znaku. Naokoło sypały się puchy śniegowe z cichym szelestem, ale na to miejsce prawie nie padały, gdyż utworzył się tam na gałęziach jakby dach z okiści. Westchnął z głębi serca. Zatrzymał się tam i twarz ukrył w dłoniach. Serce rozdzierało się w nim od myśli, że już iść trzeba. Dźwignął głowę, zrobił jeszcze dwa kroki naprzód... I oto znalazłszy się za węglem domu ujrzał światelko w ścianie prostopadłej do tej, przy której stał.

Biały promień wydzierał się z serca okiennicy i nikłym kręgiem swoim ciemność rozpraszał. Płatki śniegowe wiły się w nim i połyskiwały miliardem brylantowych światełek.

Dołem tej ściany ciągnął się darniowy odkos, jakby długa ławka. Rafał wszedł na nią i, cicho brodząc w puchu śniegowym, dotarł do otworu wyciętego w drewnianej okiennicy. Spojrzał weń i zdrętwiał. Tuż, o dwa kroki przed nim, siedziała Helena. Na ukos od okna, przy małym biureczku, wygodnie leżąc w fotelu, czytała książkę. Woskowa świeca drżącym lśnieniem oblewała jej rozpuszczone włosy, jej przecudowne czoło, śliczną twarz, odkrytą szyję i piersi. Miała wrzuconą na ramiona futrzaną szubkę, którą okryła się była, widać, przed chwilą, zabierając się do snu. Powieki spuszczone rzucały długi cień rzęs na białe, zadumane policzki. Oczy Rafała przywarły do jej ust rozchylonych, do jej czoła, na którym osiadła melancholia, płynąca z kart książki. Zdawało mu się, że umrze pod tym oknem, że w nim, silnym i młodym, coś kona i wydaje ostatnie tchnienie. Nienasycone oczy zaszyły łzami. I oto jak mordercza kula przeszło mózg postanowienie. Wsunął palec w otwór okiennicy i trzykrotnie cicho stuknął w szybę. Z wyciągniętymi rękoma rzuciła się w tył i chwilę stała przerażona, bez życia, patrząc w okno. Wówczas znowu trzy razy zastukał. Był teraz spokojny. Czuł zimno w piersiach. Szczęście, jak złotopióry ptak zabity w powietrzu, spadło i martwe leżało w jego duszy. Smutnymi oczyma patrzył w głąb pokoju.

Światło zgasło.

Poszedł z wolna od tego okna. Przymknął oczy i wysłał duszą pierwszą rozkosz wspomnienia jasnego pokoju, światła, które go oślepiło, szczęścia, które przyszło niewołane, jak sen, i niewysłowionej, czystej rozkoszy, jaką tylko uczuć można. W oczach jego stało tak wyraźne widziadło wnętrza tego zacisza, cudnego blasku, na który zewsząd następo-

wała otchłań mroku, że znowu je dotykalnie widział i powtórnie zamierał, zastygał, jak od pierwszego wrażenia. Złudzony do żywego, wlepił w nie znowu oczy...

Znikło z wolna widziadło. Wówczas nagle wybuchy łez, jak gniazda żmij wylęgłych pod sercem, zdusiły go za gardło. Serce nie bolało. Przepadło pragnienie widzenia osoby, szczęścia raz jeszcze. Oto jakaś wysoka, niedosięga troska, coś nadludzkiego i nadziemskiego przez chwilę go niosło w dali od tego miejsca. Był gdzie indziej, z nią razem, w przedziwnym zaśnieniu, na świętym, przedwiecznym łonie. Budził się i dziwił słysząc, jak szemrze śnieg, osiadając na zaspach, jak wiatr wydyma z dachu długie jego żagle, jak szeleszczą suche różgi drzew.

Mówił sobie po stokroć, że trzeba iść. Już odejść, jak złodziej nocny...

Nagle w milczeniu rozległ się powolny zgrzyt otwieranych drzwi. Stojąc na wicherze Rafał usłyszał go, czuł w piersiach jak ostrze żelaza utopionego ręką. Był pewien, że jest zgubiony: zbudziła służbę... Ale i w nim ocknęło się lwie serce. Wyprostowany, pewnymi krokami szedł naprzód pragnąc jednym ciosem zwalić na ziemię każdego, kto zechce zakłócać jego marzenia. Zaświeci im w ślepie pańskim śmiechem! Czegóż, kogo mógłby się ulać po tym, co już widział? Co złego mogłoby go spotkać? Zbliżył się do kamiennych stopni ganku i wyciągniętymi rękoma dotknął jednego z filarów, na którym spoczywała wystawa dachu. Czuł, że we drzwiach stoi człowiek. Wparł oczy w to miejsce i milczący czekał. Wtedy usłyszał szept, głos cichszy od szemrania wiatru. Po stopniach zasłanych śniegiem Helena zesza wolno jak cień. Zstąpiła ku niemu jak niewidzialna dusza, jak sama miłość. Spłynęła w jego ramiona. Objęli się rękoma. Głowy schyliły się ku sobie, wsparły. Szli nie mówiąc.

Łaska miłości nappełniła i razem wyniosła serca obojga. Dokoła ich złączonych dusz i ciał kipiła zamieć coraz potężniejsza.

Śnieg zasypywał ich od stóp do głów. Obok darniowej ławeczki, pod rozłożystym bzem, w tym miejscu, gdzie serce jego najboleśniej miłość ścisnęła i gdzie żal płynął z najgłębszej rany, stanęli. Głowy dźwignęły się, uniosły ku sobie, a usta spoily pocałunkiem wieczności.

W pewnej chwili wargi jej cofnęły się. Nasłuchiwała przez chwilę a później szepnęła cicho, zemdlałymi słowami:

— Jakim sposobem waćpan się tu znalazłeś?

— Przyjechałem.

— Na koniu?

— Tak.

— Więc jakieś wtedy powiedział, w tańcu?

— Tak.

— Gdzież on jest? koń?

— W kuźni stoi przy żłobie.

— Sam?

— Sam. Chodźmy do niego...

— Nie, boję się tam iść. Bardzo się boję.

Rafał schylił głowę. Wargi jego znalazły znowu lica, usta, oczy. Rozsunął haftki kożuska i przywarł ustami do piersi odkrytych. Usunęła natrętą głowę miękkiemi rękoma, a gdy spragnione jego wargi dotknęły policzków, szepnęła:

— Mokre wąsy...

W istocie mech pod nosem natręta wciąż się okrywał twardym szronem.

— To może na przyszły raz przyjechać już bez nich?

— Bez czego?

— A bez wąsów...

— Nie trzeba.

— Co nie trzeba?

— Nie trzeba... i tyle!

— A kiedy niemiłe...

— Mokre... powiedziałaam...

Śmiech obojgu nie dawał mówić. Rafał jak mógł osuszał swe „wąsy”. Pomagała mu odchylając jedwabnego szala, którym głowa jej była nakryta. Zanurzył usta we włosy, na

węzeł związane jednym ruchem, utopił je w wonnych, suchych kędziorach. A kiedy znowu zniżał się do ramion, nie doznał już oporu.

Uszy jego słyszały, jak rwie się i kipi to wzburzone serce. Ręce pieściły nie dziewicze, płonące ciało, lecz jakby żywe szczęście, ucieleśniony zachwyt. Tracił rozum, odsłaniając ustami przecudowne, niewinne łono, pełne radości i upojenia. Wydzierał jeden jeszcze pocałunek, tylko ten jeden, z ochotą marząc, żeby go za to spotkała śmierć. I oto drogie ręce otoczyły jego szyję, ukochane, żarliwe usta wpiły się w jego usta z cichym, bolesnym szeptem... Cała postać zgięła się, złamała i przytuliła do piersi. Przygarnął ją ze czcią, przyjął do siebie ufną, cichą, posłuszną. Wtedy doznał na chwilę szczęścia jakby cudzego, rozkoszy niedościgłej, zgoła czystej, zaziemskiej, nieprzemierzonej jak niebo. Pragnął zwierzyć jej, co czuł, nazwać słowem czarę rozkoszy zbliżoną do ust, zawrzcć w nazwie ów niespodziany głos rodzący się w sercu, który go przenikał aż do szpiku kości. Duch jego pracował wtedy, jakby świat ramieniem spychać mu przyszło z posady. Tę samotną i potajemną chwilę rozkoszy z nagłą roztrąciło coś jak uderzenie... Był to głos piszczałki wartownika nocnego.

Helena drgnęła, raz jeszcze na mgnienie oka przywarła do niego w pocałunku ciała i uściśnieniu dusz... Znikła w ciemności. Szelest jej kroków zagłuszył poświsty wichru. Rafał słyszał przez chwilę, jak rozmawiała na ganku ze stróżem nocnym i wabiła do siebie psy. Nie wszystkie jednak do niej przyszły. Kilka z nich ze szczekaniem skoczyło ku Rafałowi, który umykał co siły w nogach. Ledwie, ledwie zdążył przyspaść do konia, odwiązać supeł cugłów i stanąć w strzemionach, gdy go opadły. Baśka rzuciła się naprzód jak strzała. Sącząc jelenimi susy wypadła w pole i uszła psom. Długo niosła go w podrzutnym skoku wskroś wichru i śniegów po niewiadomej przestrzeni. Nie ściągał wodzów, nie mógł kierować jej chodami.

Dokoła wrzała rozpetana burza. Całe pole, skroś którego leciał, zrywało się jak oszalone jezioro. Falami huśtały się sypkie tumany i na kształt bryzgów strzelistych pian wylatywały do góry, ponad konia. Kiedy niekiedy zrywał się jakoby schylony filar, stał chwilę w powietrzu i rozlatywał raptownie jak kupa piasku. Wicher dał zaciekle. Wypadał z gwizdem, jak gdyby z jakichś szczelin w ziemi. Była ciemność nieprzejrzana, straszliwa, pełna tylko kłębów białawych, wzmagających się wśród poświstu. Co kilka chwil rozlegał się tępy wrzask zawieci, ryk zdławiony jakoby przez pętlicę z rzemienia. Wybuchwały niewiadome siły, chwytaly się w ciemności za bary śmigłe, gibkie, lecące ciała. Śniło się, że grzmocą wzajem pierś w pierś straszne pięście, zduszone gardła charczą i wyrzgują krew, że w ciemnych jaskiniach nocy coś zdycha i daremnie prosi o łaskę.

Wierzchówka, puszczonej wolno, szła w zawód z wichrami. Osnowa jej grzywy trzepała kiedy niekiedy schyloną nisko twarz Rafała. Teraz dopiero czuł upojenie. Surowymi klątwami podniecał żrebięc i burzę, żeby obiedwie wyteżyły siły. Lećcie, stwory! Co ducha, co mocy! Polotny skok Baśki zmienił się w cudny bieg. Dziko parskająca. Zdało się, że chce wyrzucić konchy nosowe, że rozwarte jej chrapy zioną krwią i płomieniem.

Nie czuć już było podrzutów, gdy sprężyste nogi odbijały się od zmarzłej ziemi: pławiła się w tumanach śniegowych jak w rozbującej wodzie.

Rafał, schylony nad jej szyją, nie mógł się jeszcze otrząsnąć ze snu. Miał wciąż w objęciach gibkie ciało cudnej dziewczyny, ruchliwe jak powieka. Przywierał ustami do stromych piersi i w oczarowaniu miłosnym szeptał jeszcze ciche wyrazy. Sumienie w nim zgasło. Cały się zmienił w noc i burzę.

Rozkosz miłości rzuciła na szalę czułości niedawnej miecz swój żelazny. Rozległ się w duszy jej zwierzęcy ryk, skierowany do wysokich poszeptów i tajemniczych trwóg. *Vae victis!* Podmuchy myśli, jakie nigdy jeszcze nie powstały w jego głowie, leciały teraz na wyścigi z wiatrami.

Kobyła przez czas pewien biegła po niewiadomej płaszczynie. Rafał nie widł jej wcale. Znienacka pośliznęły się kilkakrotnie jej tylne kopyta. Jechała na zadzie, zrywając się na nogi... Poderwał ją uzdą, wstrzymał i puścił wolnym klusem. Był w jakimś nieznanym miejscu, na błoniach zarosłych iwiną i chrustami, które przeraźliwie w wicherach gwizdały. Świerzopka brnęła przez dawne śniegi, do piersi jej sięgające. Nogi jej ślizgały się na lodach jakowychś rozległych. Rafał pomyślał, że jedzie bez celu, i teraz dopiero przypomniał sobie, że ulegając klaczy mknie wciąż za wiatrem, więc się od domu oddala. Rozejrzał

się na wsze strony badając, czy jeszcze nie świta. Ale mrok był naokoło niezgłębiony. Skręcił tedy bachmankę pod wiatr i pojechał przed się miernym kłusem. Baśka mknęła chętnie, bujała w polach. Stroiła skoki, chrapała czasami, cofała się czując przed sobą urwiste wąwozy, nieraz zapadała w rowy i wyrwy, przedzierała się zaroślami tarek i głogu, które w nocy huczały jak lasy.

Rafał, zatopiony w marzeniach, z lekka ją tylko zwracał do wiatru. Wspominanie było dla niego dziełem sto tysięcy razy ważniejszym niż sprawa powrotu. Widział Helenkę, ale dawniejszą, z kuligu i kościoła. Dzisiejszą musiał sobie utworzyć w myśli. Tą właśnie sprawą był zajęty... Jakież były jej oczy, jakie usta w tej minucie? Rozgarniał ciemność i na samym jej dnie znajdował tajemnicę... Z daleka przylatywały wspomnienia. Wchodziła do serca jej wesołość tak szczerą jak blask słoneczny, minki w czasie tańców na kuligu, udające obojętność lub zamarsowanie i obrazę, a kończące się wybuchem śmiechu. Ciemnoszafirowe, nierównane oczy, głębokie i dumne, marzące i pełne płomieni, ukazywały się w nocnej ciemności. Przenikliwym, szybkim ruchem uderzały go drgania brwi prosto zakreślonych.

W pewnej chwili usłyszał szczególny huk. Zrazu sądził, że jest na brzegu Wisły, ale wnet zorientował się, że Wisła stoi, okuta przez lody. Baśka szła krokiem wolnym, ostrożnym, nasłuchując i chrapiąc niespokojnie. Wkrótce Rafał rozróżnił w tym huku trzask i skrzypienie drzew. Podjeżdżał tedy do wielkiego lasu, a z takiej strony, że wcale nie mógł osądzić, gdzie jest. Było tu zacisznie. Las go zasłaniał od wichru, był więc między nim a domem. Takiej szeroko rozwartej kniei nie było w całej okolicy.

Niewiadome zastępy drzew wołały w ciemnościach. Wylatywał stamtąd to przeraźliwy głos spadających skał, to huk wód, które lecą w bezdenną próżnię z wysokości obłoków. Słychać było stękanie całych poręb, trzask bukowych konarów i świst siekący różg brzozy, zgiętych do samej ziemi... Nade wszystkim wszakże panował martwy pomruk. Rozdymał się albo zacichał, ale trwał ciągle. Przez chwilę Rafał stał przed tą ścianą niewidzialnego boru i niechętnie rozmyślał, co ma czynić, w którą stronę jechać. Co prędzej chciał co przedsięwziąć i wracać do swych widzeń miłosnych. Było mu wszystko jedno. Byleby się tylko świt nie pokazywał...

Wtem Baśka skoczyła w bok, jak ciosem rażona. Rafał cudem tylko nie zleciał z siodła. W oczach mu coś zamigotało, tam, w tych leśnych głębiach. Przez sekundę śnił, że to migoce światelko w dersławickim dworze, i radość go owiała. Ale prędzej od ruchu źrenicy zmienił się ów sen w postrach gwałtowny, który go przebił na wylot jak gdyby lancą. Kobyła z ryczącym chrapaniem stanęła pod nim dęba, piorunem zwinęła się na tylnych nogach, wyszarpnęła mu z rąk cugle i skokiem z miejsca poszła w przestwór, precz od lasu, za wiatrem, co pary w piersiach. Stało się to tak nagle, że Rafał uczył tylko uderzenie krwi do głowy. Schylił się, ręce wsparł na lęku, nogi wyciągnął, złożył po boku klaczy... Na pustych polach, wśród tańczących śniegów Baśka kopnęła się w przecwał coraz bardziej chyży. Jeździec miał teraz pełne usta śniegu. Mokre szmaty zamieci chlastały mu twarz, długa końska grzywa siekła policzki. Wicher go do kości przejął. W tym biegu nad biegi słyszał ciągle poza sobą cmokające kłańcanie, jak gdyby zgłodniałych psów.

— Wilki za mną... — wyszeptał.

Włosy mu się jeżyły na głowie i lodowate mrowie szło po grzbiecie. Wtedy cichym a ostrym głosem, przychylając głowę do szyi kobyły, przez ściśnięte zęby mówił jej nad uchem:

— Basia, ratuj, Basia!...

Klacz jakby rozumiała, co mówi. Nie był to już galop, nie cwał. Leciwała nad ziemią we fruujących pianach śniegu z chyżymi wilkami w przegony. Nozdrzami jej strzelał ostry świst. Wyciągnięta szyja okryła się gorącą pianą. Była jak godzący pocisk...

W jakiejś chwili Rafał zgarnął śnieg z oczu. Dźwignął głowę, wykręcił się na siodle i spojrzal w tył. Ujrzał cztery błyski migocące gdzieś w głębi. Gdy tak wzrok natężał, że widział prawie cielska ścigających go wilków, wiatr zdarł mu z głowy czapkę. Rafał schylił głowę i uczył wnet, że ma płomień we włosach, płomień pełgający na szyi, na krzyżu. Leciwał mając grzywę ognia na sobie. Bił teraz obcasami kobyłę w zapadłe boki, smagał ją końcami lejców. Rozpacz okrążała jego czaszkę, z wolna ją oplatała jak długie, zimne skręty żmii. Wnet z piersi jego wylatywał krzyk martwiejący na ustach, wnet dziwaczny, głupkowaty śmiech. Klacz przesadzała krzaki, płoty... Drzewa leciały obok, stronami, ze

świsłem, krzaki miały w lecącego śmiech urwany jak oklask, chichot diabelski. Tu i ówdzie wierzchówka skręcała nagle pod wiatr i z rozwartymi nozdrzami kopała się w dzikich rzutach przez zakłęśłe parowy, a zbierając nogi do kupy wypadła z nich lwimi susami. Czasem stękała jak człowiek, czasem coś jak czuły wyraz ze szlochającym krzykiem zionęło z jej pyska. Były chwile, że cmokanie nacichało. Na gołych polach Baśka ubiegała wilki o staję albo i dwa, ale wśród parowów pościg ją doganiał. Gdy do jej uszu doleciał osłuch wilczego cmokania, gnała znowu ze zdwojoną siłą, śmigając jak ptak, skrzydła orle mający u każdej pęciny, brzuchem rozgarniała śnieg na ziemi. Rafał utracił rozumienie czasu. Chwilami zdawało mu się, że leci już przez całą noc. W głowie jego utworzył się oziębły i pusty ból, który co chwila wybuchał płatami ognia. Niekiedy ciemność rozdzielała się przed rzuconym spojrzeniem i ukazywało się w jednym błysku widziadło chat, rodzinnego domu, dnia... Za chwilę była to już tylko straszliwa, ciemna otchłań. Nie wiedział już wcale, czy jest ścigany, czy nie. Lecił w powietrzu...

W jednej chwili, nie wiedząc kiedy, usłyszał trzask. Tęczowe ognie napelniły mu głowę i oczy. Magnął kózła przez łeb kobyły, która runęła na ziemię, i zleciał w głęboką zaspę. Przez chwilę leżał na wznak, po szyję zanurzony w miękkim śniegu, bezwładny i prawie rad z tego, co się stało. Wtem buchający parą, włochaty potwór z przeraźliwym sapaniem, jak koń, zwał się na niego. Rafał uczył wszczepione w siebie pazury i kły. Straszliwa, długa paszcza wżarła się w kożuch na jego piersiach, przejęła kłańcami grubą sukienną kurtę i, miotając łbem olbrzymim, targała w prawo i w lewo. Kły worały się w ciało. Jakoby obuchem siekiery druzgotwały mu piersi, ramiona, ręce — ciosy tego czarnego łba. Czynem rozpaczy Rafał chwycił nagimi dłońmi ów czerep za nastroszone grube kudły około stojących uszu. Zdusił żelazne, ogniem zionące gardło. Klęcząc w śniegu, zaczął teraz borykać się, wodzić na śmierć i życie ze zwierzem. Był to pod nim, w objęciu jego stalowych łap, w jego pysku, to leżał na nim. Wkrótce jednak wydał wrzask przeraźliwy, gdy ręce znalazły się w rozwarłej paszczy. Lśniące widzenie przeraźliwych oczu wilka ozionęło go mrozem śmierci. Wtedy obie ręce wydarł z paszczy i zadał w owe ślepie cios zwinętą pięścią. Ale prawa dłoń trafiła w rozwartą paszczkę i wbiła się aż po gardziel. Piorunowym ruchem Rafał rozwarł pięść i wszystkimi palcami, silniej niż sęp szponami, wpił się w to ogniste gardło u podstawy jęzora. Darł go na zewnątrz. Wilk rozwarł pysk, wygiął się jak naciągnięty łuk. Wszystkie cztery nogi wszczepił w piersi Rafała. Pazury zdarły w szmaty, w strzępy kożuch i orały żywe ciało od gardzieli do brzucha. Tylko gruby pas ziemnienny kiszki od nich osłonił. Łeb targał się w oszalałym ręku Rafała ze śmiertelną potęgą. Ślepie kołowały.

Z nagła straceniec usłyszał w głowie swej myśl, pelgającą jasnym światłem, dźwięk krótki jak ostatnie uderzenie dzwonu: klucz. Cichym, złodziejskim ruchem lewej ręki, z cudownym przeblyskiem nadziei mordy w duszy, która jak płomyk ciepły stanęła w jego mózgu, skradł się pomiędzy rozwścieszonymi ruchami nóg wilczych do kieszeni rajtuzów i w mgnieniu oka wywlókł z nich żelazo. Ujął je pośrodku długości. Z góry, co siły w zamachu, potężnym ciosem, chichocąc wbił je w lewe ślepie. Ujrzał, że zgasło. Wtedy podwójnym ciosem w drugie, aż się po dłoń zatopiła krzywa sztaba. Gdy zgasły przed nim straszne kagańce, zaczął bić w czerep, między uszy, w kufę. Ostre końce klucza wzięły między kośćmi nosa i w czaszce. Miażdżył ją teraz póty, aż się klucz na poły we łbie wilczym nurzał. Czuł, że zmasakrował kości i że rozwała mózg. Wtedy sztychem spodnim począł bić w brzuch. Rzygająca jucha oblała go wrzącą strugą jak z cebra. Wilk wciąż jeszcze był na nim, wygięty, pazury łap szarpały go, ale już słabiej, coraz słabiej. Łeb siepał się coraz wolniej. Wreszcie wśród nieustających uderzeń Rafał bez tchu runął na cielsko wilcze. Nie wydobywał jeszcze z pyska prawej ręki, zgiętej skurczem śmiertelnym. Ustał. Bezwładnym już ruchem żgał zwierza, coraz mniej ruchomego. Słyszał, gdzieś obok siebie, śmiertelne rzenie Baśki. Słyszał w samej głębi serca i w szpiku kości jęki jej ostatnie, jakoby wołanie o pomoc. Słyszał, jak ją drugi zwierz rozdziera żywą, jak rozrywa jej szlachetną szyję, drze gardziel, jak chlepcę płomienną krew i mlaszczącym pyskiem żre dostojne piersi. Nie miał odwagi wstać. Łkał leżąc w gorącej topieli krwi własnej i uchodzącej juchy wilka. Resztkami wiedzy i siły kuł jeszcze raz za razem. Łapy zaczęły drgać bezwładnie, wreszcie opadły. Zbliżył do zdruzgotanej mordy twarz i mówił w nią:

— Znaj pana, znaj pana!... Za Baśkę!

Walka, Zwierzę

Wyrwał z paszczy rękę jakby z cieśni ognistej. Leżał na gorącym trupie i spoczął na nim jak w pościeli.

Nierychło, tknięty jakąś błędną myślą, ścisnął w ręce żelazo i dźwignął się z ziemi. Czuł śmierć nad sobą i niewymówiony mróz strachu. Serce ciskało się w nim odległymi, ślepymi i bezdźwięcznymi wybuchy. Chwilami ustawało jak zabite. Zaczął iść wskroś zasy, z krzykiem chwytając w piersi powietrze. Brnął potykając się. Stawał. Zrywał się z kolan i na chwiejnych nogach szedł, uciekał, zmykał od łkającego rżenia kobyły. Usłyszał wietrzny szum i przypadł do drzewa. Objął pień rękoma, obłapił go jak chłop wszechwładne nogi pańskie.

Był to samotny jarząb przydrożny, do pół zadęty przez wiotkie śniegi. Rafał schował klucz do kieszeni, wdrapał się na drzewo i usiadł między dwiema rozwidlonymi gałęziami. Teraz dopiero poczuł i spostrzegł, że piersi jego są nagie i że są jedną otwartą raną. Dopóki leżał na wilku, nie czuł ni zimna, ni bólu. Teraz zakrył się rękoma, skulił, przywarł do drzewa. Rozum jego wydarty był z korzeniem. Cierpiał w sobie jedną jedyną myśl, która nad czymś płakała. Chciał oddalić usta napelnione rozkoszą pocałunków, wdzięczne, uchylone ku niemu wargi. Otaczała mu głową senna łagodność wonnego szeptania, rozkosz dźwięku tkliwych słów, które z ucha nie mogą odlecieć, a z serca nie chcą się oddalić.

Miał przy ustach przecudne kędziory, okurzone dymem zapachu. Duszy jego uchwycił się błąd. Objęło go wół i za szyję dumanie o tej cudności dziewiczej, którą był pojął tej nocy, i rozkosz mocniejsza niż sama śmierć, przewyższająca samą zatrąę... Bezsilna głowa zwiśla i wsparła się o lodowatą korę gałęzi. Ołowiem ciężące powieki kleiło drzemanie, pełne widziadeł. Łoże tajemniczego szczęścia, łoże bezcielesnej rozkoszy odsłania się o krok... Wyciągnąć tylko rękę, tylko zawołać... Ale dłonie rąk nie mogą już dosięgnąć. Dłonie spuchłe są i twarde, z grubego lodu. Palce nie mogą się zginać. Ogień buzuje się w piersiach, jęzorami oplata żebra. Z piersi wyrasta jarząb. Gruby pień wrósł w nie wszystkimi korzeniami, między odkryte kości i żyły, w rany głęboko porozdzierane. Pień rozwidla się w górze na konary o barwie stali, ze strony wiatru oblepione puchowym barankiem śniegu. Wysoko, w górze świszczą nagie pręty. Wysoko, w niebie... Ścisk i męczarnia opasują szyję rzemiennym pasem. Powłoką go bez sił, bez woli, z oślepiłymi oczyma po tej straszliwej ścieżynie, po tajemnym chodniku, który wiedzie do umarłych.

— O, Boże! O, wszechmogący Boże... — szeptały wargi, zwiotczały i bielsze niżli śnieg.

W zrzędłym, w śniadym półmroku widać zasy, zasy. Jedne jak zboże w sąsiedkach, jak słomiane strzechy chałup z kalenicami, jak plewy rozwiane na boisku, jak mogiłki po zapomnianych, starych cmentarzach. Błękitne śniegi porywają się z ziemi, a nieprzejrzone pustkowie dymią od kurniawy.

Rafał zadygotał.

Jakże on widzi te pola? Jakże widzi tarniny krzak zadęty, którego każda igła skowyczy, każdy pręt kurczy się i wyje?

Nierychło, nierychło pojął!...

To dnieje.

Podniósł głowę płonąca w ogniach niebieskich, zielonych, fioletowych, szkarłatnych i jął patrzeć dokoła. Pola! Pola bez końca. Nagłe łkanie wyrwało się z jego ust. Buchnęło jak żywa krew z przerwanej żyły. Ujrzał Baškę. Leżała na boku, rozciągnięta, ze łbem odwalonym bezwładnie. Wilk rozszarpał jej brzuch, wlał weń ze łbem i przednimi łapami. Czarny jego kadłub, unurzany we krwi, wysuwał się z niej co chwila, wlekąc na zewnątrz śniade i pąsowe jelita. W obłądziej zacieklej zemsty Rafał skoczył na ziemię i wielkimi krokami poszedł w tamtą stronę. Bielmo zalepiło mu oczy, usta ciskały przeklęte wyrazy. Ścisnięte krwawe pięście biły wiatr.

Już za chwilę zaczął uciekać w przeciwnym kierunku. Wlókł się po zagonach, padał na twarz w lotne zasy, dźwigał się i znowu wstawał. Za każdym krokiem otwierały się rany jego piersi i skrzepła, zastygła krew znowu broczyła. Świtało. Odsłaniały się pola coraz dalej i dalej. Modra poświata przenikała śnieżną zawieję. Rafał żegnał się z tym światłem ostatnim dreszczem serca. Ciało jego ze drżeniem waliło się na ziemię. Myśli z czaszki uciekły. Widział dokoła siebie tysiące mar, tak samo jak on podrywających się z zagonów

i mknących w lekkich śniegach. Chwilami wyteżał wszystkie siły, żeby krzyknąć, ale tylko schrypiły jęk z gardła jego wypadł. Stracił wreszcie ostatnie dreszcze woli. Nie wiedział już owo zgoła, czy idzie, czy stoi. Żółte krzyże z równymi ramionami zaczęły występować dokoła. Dzień biały, święty i z końca świata wstający począł gasnąć... Jakoby pokrywa ukuta z ciemności, niezmierzonej myślą, nieobeszłej wyobrażeniem, krąg z brzegi obrąbanymi zawisł nad polami i szedł na jego czoło. Ostatni raz oczy pełne łez spoczęły na widnej jeszcze wstędze światła. Bezmiernie obrzydzenie, awersja, wzgarda przyniosły obraz śmierdzącego wilka. Coś czarnego przebijało tam śniegi, wlokło się z wolna... Za nic na świecie walczyć już nie chciał. Nie, nie!

Tymczasem czarna zjawa zbliżała się ciągle, i oto Rafał z podziwem ujrzał parę szkapiąt, tak małych, że wielkie ich łby i chude tułowia ledwie było widać między zaspami. Za końmi sunęły gołe sanie chłopskie, a na poprzecznej listwie przodka siedział skulony chłop w wielkiej rogatej czapie i żółtym kożuchu. Wiatr poddymał kołtuniaste grzywy i ogony zbiedzonych, włochatych źrebiąt i zasypywał je śniegiem.

Rafał wołał na woźnicę stojąc na miejscu, ale tamten nie słyszał wcale, gdyż magierę wsuniętą miał na uszy i głowę owiązaną szmatami. Konający ostatnim rzutem sił, z wyciągniętymi rękoma posunął się ku niemu i włókł za saniami z wołaniem coraz cichszym. Konie szły noga za nogą torując sobie drogę ku opłotkom, na których Baśka załamała się była i zginęła. Z dala poczuwszy wilka konięta dźwignęły łby i zatrzymały się w miejscu, pełne niepokoju. Chłop stanął na sanicach i wpatrywał się w dal. Wtedy Rafał przyczołgał się do niego i runął nań z boku.

Ujrzawszy półnagie widmo, od stóp do głowy staplane we krwi, zagrodnik z wrzaskiem cisnął powrózki lejców, bat i uciekał w pole. Dopiero ubiegłszy kilkadziesiąt kroków, opamiętał się i ostrożnie zaczął przyglądać.

Kiedy po długich namysłach wrócił do zestrachanych koni, znalazł Rafała leżącego w poprzek sanic bez duszy.

MARY

Ogień trzeszczał i strzelał żywo na kominie, dym kłębami wywalał się spod okapu na izbę i grubą, gęstą warstwą wisiał pod stragarzem. Pierwszy raz otwarte na chwilę oczy Rafała ujrzały przed sobą rogatą głowę krowy i błyszczące spokojnym jaśnieniem jej oczy zwrócone w stronę ognia, grube, białe wargi, ociążale miamlące strawę... Wyżej nad krową ujrzały okno zabite deskami i ogacone ściółką leśną, małą szybkę którą szron tak powłókł, że wyglądała jak wprawiona tafelka lodu. W kącie, daleko, za dymem, ktoś na wyrku stękał i niemowle z krzykiem popłakiwało.

Zaraz wszystko to wciągnął w siebie dym. Wielkim kłębem zniżał się, zniżał coraz bardziej, sięgając niemal głowy, to znowu chłonał niewidzialną czeluścią sam siebie, mągał okrągłe półzwroty, cofał się, chwiały, odchodził. Gdy błysk ognia padł w jego czarne przepaście, coś rozwidniało się w nim i świetliste widma płynęły.

Rafał słyszał, że obok kominia ludzie mówią, ale dusza jego, jakby ów dym rozproszona, słyszała tylko wycia wichru. Chata, z kołków, żrznów, chrustu, z gliny i ziemi uklepana, drżała, gdy w nią bić wzięły rozjuszone podmuchy. Nawał wichrów siekł ją i prał, podważał liche jej przyciesi, próbował zruszyć węgły, pędził dokoła kwicząc przeciągle, tłukł w nią stumilowymi skrzydłami i wszczepiał między belki żelazne swoje pazury. Zdało się, że ta kurna zagroda stanęła na wiatrowisku, gdzie się zbiegają z czterech stron świata zamiecie, chery, zawiewy i chachaice.

Słychać było, jak krokwie nad dymem trzeszczą i prężą się przeciwko burzy, jak gonty skrzypią a zardzewiałe gwoździe skowyczą, wyważane ze swoich szczelin. Co pewien czas świszczące, szumnotne wybuchy zamieci parły wszystek dym w jeden kąt izby albo napępniały nim całą budowlę. Za chwilę ciągnący dech wysysał go szczelinami. „Zły”, dmąc w wielką gwizdę, sypał w okienko jak gdyby suchym piaskiem.

Rafał słuchał.

Głośny jego oddech podwajał, potrajał swą szybkość. Obląkana krew wydarła się ze swych upustów i niestrudzonymi ciosami gruchotała serce. Myśl, myśl ostatnia, samotna, przelatywała upierzona strachem nieskończone pola albo zmieniawszy się w czucie bryły kamiennej, potrzaskanej na złomy, wirowała w przestworzu bez końca. Głowa stała się

Wiatr

głazem lecącym w przepaść jakby w ciasną, ognistą studnię. Płochliwe skrzydło złudzenia kurczyło się co minuta... Oto schylone kłęby dymu, a z nich patrzą twarze nieznanne, mordy zwierząt, wysnuwają się pająki wielkie jak wiązy, z nogami dłuższymi od żerdzi...

Dźwiگاł wtedy bezsilną głowę z szepem bezdźwięcznym warg. Usiłował spojrzeć w okienko, bo Baśka rży. Baśka rży... Daleko, daleko w zaspach... A nim wzrok do szyby przyleciał, porywał go ze sobą wiatronogi lot jakoby sen w czasie burzy na szczycie masztu, sen pełen trudu, w którym nie ma czasu na pochwycenie tchu z powietrza. Le-ciał tak po przestworzu oomy i przerażenia, u boku śmierci. Aż oto dobrotliwy, łaskawy i miłosierny wylew potu jakoby wodą zlał jego czoło, ręce i nogi. Przyszedł nań na wzór anioła miłośnika, pokropił spalone ciało hizopem, tak samo jak obfity deszcz ratuje od śmierci zgorzałe ziele.

Serce uciszyło się i wytchnęło na krótką miareczkę czasu. Wtedy uciszało się wszelkie uczucie. Cisza i spokój...

Słyszał głos mówiący:

— Jeden żołnierz z naszych stron był i w piekle, i w niebie... A to tak było. Ten żołnierz szedł od wojska, a służył siła lat pod niemieckim królem. Przelazł brodami bez Wisłę i miał jeszcze przechodzić bez wielkie lasy, bez Golejowskie. No, dobrze. Wchodzi do tego lasu i patrzy: stoi dziad staruszek, a prosi go o jałmużnę. Żołnierz pada: — „Mój dziadku, idę od wojska, przesłużyłem siła lat, a dostałem od króla ino trzy dukaty, hale niech ta, dam woma jednego”. A we środku tych lasów Golejowskich zdybał drugiego dziada na drodze, i ten go znowu prosił. Tak ón znowu to samo powiedział i dał mu drugiego dukata... A jak już wychodził z lasu, tak znowu zobaczył dziada. Wtedy ten dziad wstaje i powiada: — „Cóż ty, żołnierzyku, chcesz ode mnie za te trzy dukaty? Czy Królestwo Niebieskie, czy skrzypki i torbę?” — „A jakież to, dziadku, macie skrzypki, że ta aże za Królestwo Niebieskie obstoją?” — „Takie mam skrzypki i taką torbę, co jak zawołam: *Chinaj do śnapsaka!* — to ci samo wpadnie, co ino chcesz...”. Tak ten żołnierz powiedział, że woli skrzypki i torbę. Ten dziadek dał mu toto. Ha no, żołnierz idzie, idzie, aże przyszed do wielkiego miasta, do Krakowa. Wlazł na rynek i słyszy, jako ludzie gadają, że w tym mieście zbudował król spaniały zamek, ale w tym zamku nik mieszkać nie może, bo kto tam nocować przyńdzie, to mu zara cosi łeb urwie. Król ogłosił, że jakby taki się znalazł, co by tych diabłów wypędził, toby mu dał swoją córkę za żonę. Żołnierz powiedział, że ón się podejmie to zrobić. A i poszedł. Siadł se, obstawił się dokoła święconą kredą, wzion te skrzypeczki i nic nie pyta, ino gra. Hale, o straszna godzino! O północy drzwi się otwarły, i do tego żołnierza pakuje się dwonastu diabłów. Żołnierz nic nie pyta, ino gra, a diabły proszą go tańczyć. Ón gada: — „Nie mam ta ochoty, hale jeśli chceta koniecznie, to pójdę, ale mi, psiekrwie, musicie pierwej przynieść wór pieniędzy”. Lucyper wyprawił kilku diabłów — i przynieśli wór. Hale żołnierz gada: — „Za taki mały woreczek nie oplaci mi się z wami tyńcować! Przyniesta jeszcze jeden”. A jak widział, że już ma dosyć pieniędzy, jakże nie zawrzaśnie: „*Chinajta*, psiekrwie, do *śnapsaka!*”. Tak wszystkie diabły bach do torby! Żołnierz wtedy związał torbę snurem, buchnął w nią piercią, i wszystkie diabły rozlały się w maź, że ino łby zostały, a jednego takiego łba czterech chłopów nie mogło potem udźwignąć...

Burza biła we drzwi i okna kłębami śniegu. Skostniałe jej łapy zgrzytały po szybce, a głos rozjuszony skowyczał. Chorego obejmował sen. Budziło go tylko dalekie, dalekie w huku wichrowym wołanie... Ujrzał przed sobą starca pomiędzy dwoma rumakami, które się wspinały jak tygrysy. Straszny dziad o twarzy jakby wykutej z piaskowca, o długich siwych kudłach, rozczesanych na ciemieniu we dwie strony, trzymał je u pysków i szedł krokiem żelaznym. Rafał uczył w rękę rzemień uździenicy. Starzec siadł na koń i ukazał się na nim w całej swojej wielkości. Rafał uczył strzemię pod podeszwą i z dzikim śmiechem skoczył na siodło. Piersi mu pękały od szalonego tchu i słowo wędło na wargach. Schylił się do widma z szepem:

— Zawieź mię, zawieź...

Nie mógł wymówić nazwy. Zapomniał, jak się to zwie. Widział tylko w głębi swych oczu, czy w mrocznych czeluściach nocy, bladą twarz... Przytulił do siebie ten widok, pochłonał go duszą tak, jak woda chłonie trupa topielicy. Poczęli teraz obaj z dziadem wiać i świstać polami, polami, polami, z najprędszym wichrem w przegony. Zmienili się

w kamienne bryły z piaskowca, lecące na obłąkanych koniach. Ręce ich stały się grube, opuchłe jak u przydrożnych figur, oczy nie widziały nic, nawet ciemności...

Jakaż to dobroczynna siła dźwignęła głowę cięższą niż góra? Jakaż to władza poruszyła skały rąk? Ślepe oczy widzą...

Siedzą ludzie na niskich pieńkach dokoła komina. Chłopy kudłate w kozuchach. Baby w welniakach przędą i skubią pierze. Czerwony blask pada na ich zamyślane twarze, posepnie wsluchane w głos starego chłopca, który coś mówi. Zgarbiony dziad mówi:

— Gada do mnie ten Franek Dyląg, że mu gwer nie wypalił. A tu ogień gęsty, kule pierą raz kole raz. Tak ja mówię sekretnym sposobem: — „Kulę wyjm, ciśnij na ziemię i zdepzcz w piachu nogą”. Ale się złąkł: — Zobacz, pada, kapral, to mię puszcza bez żywą ulicę. — „No, rzekę, jak ta chcesz!”. Ogień szedł, a on precz gwer nabija. Wtem zawołał: *Rubi!* — to niby na odpoczynek. Mnie feldfelbel pozwolił z glitu wyjść. Wyszedłem ja z glitu, a tu akuratnie wtedy Francuz nastąpił, sam ich najpierwszy naczelnik dalej w nas! Zawołali ognia dawać! Dyląg złożył się i wypalił. Wzieno mu gwer ozerwało. Zabił i siebie, i kolegę, co kole niego stał. Ja wracam na to miejsce, gdzie gwer ostawił, widzę, Dyląga już nie masz: inny żołnierz stoi. Tamtych zabitych w tył wywlekli. Nasz glit odstąpił, a inne na to miejsce przysły. Patrzę, mojego Dyląga, choć już z niego ino zimny trup ostał, rozciągnęli na ziemi i bili tego laskowymi kijami w plecy, w brzuch, po łbie, dla postrachu innych...

Głowa Rafała zsunęła się znowu na wiązkę słomy, okrytą zgrzebną płachtą. Łzy gorzkie padały z oczu na Dyląga trup krwawy, łzy płomienne, nie wiedzieć czemu płynące.

Głosy rozmówców oddalały się wciąż i słychać je było jak przez grubą ścianę. Jeden mówił:

— Za tamtego, za króla, chłopca choć do wojny nie gnali. Pan z panem szedł bić się we światy...

— A tyś, chłopie, zdychał wedle zagona, jako ta krowa i kón...

— Tako i dzisiaj jak i za tamtego, za króla...

Dym burymi kłęby walił w izbę i wisiał nad głowami. Co chwila zsuwał się aż na ubite klepisko.

WIOSNA

Ziemia sandomierska kąpała się w majowym poranku. Okno w narożnej izdebce Rafała było otwarte, i zapach wiosenny, gwar ptaków, dalekie szczekanie psów we wsi przylatywały do niego. Ledwie je słyszał i ledwie widział. Od chwili do chwili ciskał nim niezwalczony, nerwowy płacz. Piersi jego rozrywał ból fizyczny, a ciężki ucisk gniótł je jak głaz.

Po długiej chorobie, która go przez marzec, kwiecień i część maja trzymała u drzwi śmierci, Rafałek wychudł do cna i szerniał. Ale dopiero gdy zaczął przychodzić do zdrowia, zrodziła się druga choroba: męczarnie duszy. Oto poprzedniego dnia powziął od siostr wiadomość, że z jego winy Helenę wywieziono do Krakowa czy do Warszawy, do Paryża czy do Berlina, że padło jakieś podejrzenie, jakiś domysł. Była to rzecz oczywista, że stracił ją na zawsze. Wiedział o tym aż nadto dobrze mocą tajemnych przeczuć, mocą uczuwania w półśnie, w drzemaniu, nieomylniejszą od rachunku. Stał się teraz brzydki jak trup. Nos mu się zaostrzył i wysunął naprzód. Zapadłe oczy płonęły w swych dołach, jakby się miały do znaku wypalić. Nie spał w nocy, a jeśli we dnie popadł w śnienie, miał widzenia, których potęgi, plastyki, dotykalności nie sposób wyrazić słowami. Było to drugie życie, bardziej rzeczywiste, bardziej istotne niż na jawie. Tam się rodziły pewniki, trwogi, nadzieje, decyzyje, stanowiące życie ducha. Rzeczywistość była tylko jałowym, suchym, nędznym obszarem tęsknoty. Tam i ją widywał. Uczuwał jej obecność wśród drżenia ciała... W dymach błękitnych słyszał jej głos, śmiech-wesele, nadchodzące kroki, a budził się do tej straszliwej prawdy, że tego wszystkiego wcale nie ma, nigdy nie będzie, że to był sen.

Teraz o tym świetlistym poranku od pierwszego świtu, od pięciu godzin chodził po swej izbie tam i z powrotem, tłukąc się od ściany do ściany. Na podłodze zaczerniały tu i owdzie czarne krople spadłych łez. Były tak bolesne, tak spod serca, że je omijał, bał się na nie nogą nastąpić, jak na rzeczy, w których samoistne tkwi życie. Spotykając martwe

przedmioty, oczy jego cierpiały jak od ułucia noża, a myśli zamieniły się w zazdrość. Zazdrościł skibom ziemi, kamieniom, zagonom, dalekim przykopom i rowom ich losu. Leżeć, spoczywać bez bólu, nie czuć... Ale spokój na wieki, zda się, odleciał. Wbrew woli, na przekór wszystkim wysiłkom zazdrość przeistaczała się w bezrozumną „zaciekłość”, w dziką pasję rozdzierania ran własnych, w chuć nieustanną uprzytomniania sobie niedoli.

Wszystko pomagało mu w tym z szyderczą usłużnością. Ojciec wypędził go z domu, zezwalając na przebywanie w nim tylko do chwili wyzdrowienia. Osobliwie kiedy rozeszła się po dworach plotka-domysł, tłumacząca przyczyny nocnej wycieczki Rafała i katastrofy z kobyłą, stary cześnik popadł w stan dzikiej, zajadłej wściekłości. Dom cały drżał z trwogi. Przypomniano sobie straszny stosunek cześnika do starszego syna. Przypomniano sobie ów sądny dzień, kiedy to ów starszy, młody podówczas oficer, dopiero wypuszczony z korpusu kadetów, w sprzeczce z ojcem o świeżo ze stolicy przywiezione nowinki, gdy ten zagroził mu bizunami i kazał wołać parobków, położył dłoń na rękojeści szpady... Matka i córki chodziły teraz na palcach i usiłowały tyle już wyrobić, wygłaskać, żeby młodszy mógł przyjść w domu do zdrowia. Rany z pokąsań wilczych zabiły się, a straszna jakaś choroba, która z tego wynikła, gdy go na pół martwego znaleziono w chłopskiej lepiance dalekiej wsi, wreszcie przeminęła.

Ale wówczas dopiero zaczęło się piekło. Starzec drżał. Skrzywione jego wargi miały przeraźliwe wyrazy, ręce ciskały w przechodzących co się zdarzyło. Wszyscy mieli krótko i węzłowato zapowiedziane, a osobliwie matka, że skoro tylko „wyrodek” będzie mógł stać na nogach, ma się z domu wynosić na cztery wiatry i więcej nie pokazywać na oczy aż do dalszego rozkazu. Stał już na nogach i tego też dnia miał po śniadaniu odjechać z domu. Matka słała go skrycie do owego starszego brata, który mieszkał daleko, w leśnej okolicy, gdzieś w pobliżu Małogoszcza. Biedna matka wiedziała, że i tamten syn jest ciężko chory, pragnęła tedy, wysyłając do niego młodszego, ratować jakoś obudwu. Powziąć zresztą wieść jakąś... Sama nawet pomyśleć, nawet zamaryć nie mogła, żeby tam pojechać. Owszem, musiała udawać, że do tej chwili nie przepuściła mu w sercu. Udało się tyle przynajmniej przez podstarościego, pańskiego zausznika i faworyta, wyrobić, że wyznaczono fornalkę, najlichszą, rzecz prosta, i najlichszą bryczkę do wywiezienia Rafała.

Cześnik zgadywał, dokąd to powędruje wypędzony z domu. Może nawet w tajemnicy przed samym sobą pragnął także powziąć wiadomość o tamtym, o pierworodnym, o ukochanym niegdyś, który, niewidziany od tylu lat, za światem... pono umierał. Wieść tylko głucha, obojętna, z dziesiątych ust, jak pies milczkiem kłusujący, dobiegała ucha i jadowitym zębem wieczną w sercu rozdarła ranę. Stary kutwa błąkał się co dzień miedziami, po dołach, po łąkach, rolach od świtu, a kiedy stawał na progu domowym i kiedy zaczynała się naokół panika, rzucał zawsze wrzaskliwe, drżeniem wszystkich kto żył przejmujące pytanie, skierowane nie wiedzieć do kogo:

— Czy ten złodziej nocny, czy ten gach jest tu jeszcze?

I tego dnia Rafał słyszał już ów krzyk, ale nie zwracał nań uwagi. Męka jego wewnętrzna była po stokroć, po tysiąc razy głębsza od wszystkiego, co go ze strony ojca spotkać mogło.

Żał mu było matki. Ale był to żal drugi, daleki, jakby przybłąkany... Słuchał jej próśb, zaklęć, cichych, szepczanych skamlań, słów wyłowionych z morza łez, zaczerpniętych z nocy bez snu. Odpowiadał z przymusem, boleśnie, naprędce skomponowanymi kłamstwami. Coś przyrzekał, zaprzysięgał głębokim, najuroczystszy szepcem. Załatwiał rozmaite czynności, brał, wiązał, układał sekretnie znoszone posyłki dla Piotra — brata, którego prawie nie znał. Notował jakieś lekarstwa, uczył się na pamięć pozdrowień, błogosławieństw, słów-talizmanów, które zawierały wszystką od początku do końca matczyną miłość. W tej samej chwili wstrzymywał pod powiekami łzy krwawe, dusił w sobie szlochanie rozsadzające piersi, albo z całej siły woli krzywił usta w sposób cudaczny, wesołym, niby to młodzieńczym uśmiechu.

W czasie tych właśnie rozmów z matką i siostrami, gdy był zmuszony zajmować się swoją podróżą, cierpiał najbardziej. Myśli, porzucone przez chwilę, mściły się, czucia nieszczęsne tysiącem wściekłych rąk szarpały go za włosy. Czasami jednak przychodziły nań chwile przedziwne. Zatapiał się w najwyższą ekstazę miłości: upadał na twarz przed szczęściem utraconym. Schodziło nań coś nadziemskiego i nadludzkiego: zapomnienie o sobie. Wówczas, w czasie tych mgnień błogosławionych, choć łzy lały się z oczu, nie bo-

łało nic a nic serce. Widział wprawione w duszę swą i patrzące wskroś ciemności błękitne oczy z dziękczynieniem.

Pogrążonemu w tak zasepione marzenia dano znać, że konie na gumnie czekają i że czas już jechać. Wytarł oczy i nie oglądając się za siebie szedł z izby. Matka, płacząca z cicha w sieni domu, dała mu znak, że ojciec nie chciał go widzieć przed odjazdem.

Mając przed oczyma tylko sen swój wieczny, młody wygnaniec ledwo zrozumiał, co do niego mówią. Pożegnał matkę, siostry — niby to czule, i szerokim krokiem ruszył na gumno. Stamtąd wyprawił go w świat podstarości.

Para starych, wychudłych szkap, odwieczna dropiata kobyła i gniady, ślepy wałach, leniwo wlokąc gnaty, na których tylko skóra wisiała, wyciągnęły w pola rozeschniętą bryczkę. Naokół, wzdłuż i wszere płaskich wyżyn i okrągłych, lekkich wzgórków, zbożne niwy rozciągały się jak okiem sięgnąć. Opar gorący migotał. Suchy i ciepły wiatr chwiał miękką ruń jasnego żyta, ciemnej, łanami rozesełanej pszenicy, ledwo wychodzące z szarej roli pióra jęczmienia. Dech wielkiej przestrzeni wiał z tych dorodnych pól, odsłonionych ku niebu, w pieszczołach słońca. Rozległe wąwozy, czyli błonia kierujące się ku dolinie Wisły okryte już były darnią zieloną. Strużki i poniki łąkowe stały się żółtymi szlakami jaskrów, a suchsze wzniesienia zasiało nikle, błękitne albo białe kwiecie. Poprzeczne parowy, co się zbiegają ku każdemu rozdołowi, świeciły w słońcu jasnożółtymi placami i żebrami szczerzej gliny. Gdzieś tam uczyła się ścian tych uroczych rozpadlin kolczasta tarnina albo krzak dzikiej, powikłanej jabłonki. Obiedwie tego dnia białe i różowawe kwiat okrył jakoby komżą świąteczną. Niskie dolki między polami nappełnił żyjący połysk gałęzi. Białe brzozy stały tam po małych zboczach. Dotknięte żarem wiosennego ognia pławiły czuby swoich gałęzek w powiewach, omglone młodymi liśćmi. Oziminy spływały ku nim cudnymi zgięciami zagonów, jakoby głosy przerozmaite a wysokie jednego chóru. Chaty, gnieźdzące się w załamaniach parowów albo przyklepione do wyniosłych ścian z gliny, odbijały jasnością od zieleni sadów. Już czujny modrzew, tam i sam stojący, okrył ramiona cudnością zieleni, jakoby tuwalnią pajęczą. Już krzywe, grubaśne pnie wierzb nad mokradłami puściwszy nowotne różgi stały w nich nikiej świecie jarzące się od wielkiego blasku. Jeszcze tylko olchy martwo smutniały w jasnej przestrzeni, a czarne kępy rokitin rzuciły mrok na zieloną murawę. Zdało się, że nawet nędzne lepianki zakwitły na wiosnę. Dachy ich, wielobarwne od słomianego poszycia, na kalenicach przegniłego, jak stary aksamit złociły się na słońcu. Wikłowy płatek pleciak, snując się od jednej zagrody do drugiej, sam jeden tylko utrzymał szarą barwę zimy. Zataczał się krzywo i martwo, wspierał na wierzbach... A dokoła niego wszędzie już radosny jar okrył szarą nędzę ziemi. Od zetknięcia prętów z wietrzykiem wytryskały liście. Nawet na niebie kwitły całkiem nowe, nieznane, jare i zadzierzyste, śniade obłoczki.

Jedną z wąskich, mylnych drożyn sandomierskich sunęła bryczka wlokąc za sobą chmurę szarego kurzu. Zapadała na dno głębokich, zimnych wąwozów, wdrapywała się na szczyt płaskowzgórza... W jednym miejscu Rafał obejrzał się poza siebie i objął widny z dala dom i okolicę. Wpatrzył się w tę stronę rodzinną i w tłumie myśli bezładnych uczuł dokuczliwy żal. Żal ten uściślał jego duszę, jak obcy przychodzień z nieznanego kraju, i znikł. Wzmogły się po jego odejściu wszystkie gorejące uczucia i nowy ich żywot się zaczął. Rafał czuł, że nic sobie poradzić nie może, oprócz tęsknoty nic nie zyska, a jednak, ujrawszy siniejące w dali na horyzoncie aleje w Dersławicach, radośnie westchnął. Droga jego nie tamtędy wiodła i furman miał już skrócić na lewo, gdy panicz rzekł:

— Wincenty... czy to my... tego... na Dersławice jedziemy?

— Gdzie zaś! Na Bazów, na lasy Golejowskie.

— Słuchajcie, jedźmy tamtędy... na Dersławice.

— A i po cóż my, tyłośny świat! Jak się wielmożny pan dowie...

— Nie dowie się!

— Hale, ón się ta nie dowie!... Będę baty brał.

— Wincenty! Dostaniecie ode mnie strawne i jeszcze kieliszek wódki. Dowiedzieć się nikt nie dowie... Jedźmy tamtędy!

— La Boga świętego, po cóż my, paniczku, na Dersławice? Tu droga jak strzelił... Zapowiedział podstarości, jak i co mam robić...

— Na moje słowo!

— No, jużci jakbym leżał pod gankiem...

Z rezygnacją zawrócił i pojechał w stronę Dersławic.

Była to ta sama droga. Na rozstaju stała figura. Ostre zapachy młodych pól teraz ją owiewały, cierpkie kwiatki przydrożne, żółte i siwe, słały się wiankiem u jej podnóża. Rafał zwrócił na nią oczy pełne łez. Całe życie przeszłe i przyszłe, wszystko, co było i być mogło, wydało mu się niegodnym jednego oddechu tamtej godziny. Na samą myśl, że ta droga, w marzeniu milion razy widziana, przebyta, uproszona w snach i widzeniach, już do celu nie doprowadzi, że jest jedną z wielu dróg nędzy człowieczej, czuł, że nie miłość ma w sercu, lecz tylko pragnienie śmierci. Zachwycających spojrzeń nigdy już ujrzyć nie można, urok jej obecności komu innemu się udziela — oto wszystko. Zarazem rozważał cichą, kryjomą, badawczą myślą, że wioząc w sobie śmiertelnie chorą, na pół umarłą duszę, nie umrze teraz, lecz dopiero po nieskończonych latach. Przebywał z wolna wszystkie szczeble tęsknoty aż do ostatniego. Było to ciężkie utrapienie ducha. Dźwigał bowiem w sobie wroga własnego i jej szatana kusiciela, wiekuistego zdrajcę i obłudnika: zazdrość. Wszystka robota ducha upadłego na siłach nie miała już podniet.

Ostatnim sensem wszystkich wysiłków było słowo: stało się.

Nadaremnie otaczał się fosami, rowami i bastiony rozsądku, jak obląkany, który by toczył walkę na pięści z samym sobą. Wszystko rozsypywało się w proch i przemieniało w nędzę.

Zaszumiały nad jego głową dersławickie aleje. Olbrzymie lipy z prawieków, nadwiślańskie topole o cielskach na poły wyschłych, ledwie gdzie u szczytu okryte młodymi liśćmi, z cicha szemrały. Rozlegał się w całym ogrodzie gwar ptaków budujących gniazda. Głosy wywiegł, srok, zieb, trznadłów kryły się w mokrych gęstwinach. Droga, zniżając się na dół, zaprowadziła wkrótce przed kuźnię. Rafał kazał tu stanąć i zalecił furmanowi, żeby obejrzał stan podków końskich. Zdziwiony Wicek zlął z kozła i zaczął ze złością podnosić kulasy jasnokościstym szkapskom. Okazało się, że istotnie zdarte żelaziwa ledwie się trzymały u kopyt. Rafał nastawał, żeby je poprzybijać nowymi hacelami.

Gdy kowal zabrał się do tej roboty, zeskoczył z bryki. Ociężale zbliżył się do sztachet ogrodu i stanął u przełazu, wspartego na dwu słupkach. Ujrzał dwór, sad, wysokie nad nim lipy... Samorodna altana pod baldachimem starego bzu pałała zielenią darni okrywającej ziemną ławkę. Wybujale zarośla jaśminu i dzikich róż zakrywały ją i tworzyły żywe ściany. Widząc to miejsce oczyma, Rafał ścisnął sobie gardło, żeby nie lkać głośno. Stojąc tak długo, kąsał się własną wściekłością, smagał każdym spojrzeniem oczu. Na rabatach przed oknami domu świeciły się kwiaty, ozdobione niezgasłymi kolorami. Okno wyśnione było otwarte i dwie jego połowy wonny wiatr z lekka kołysał. Białe ściany domu uroczyście i tajemniczo milczały w rozkwitłych koronach wiśni i jabłonek. Pnie drzew czereśni stały dalekim rzędem, rozwidłone u samej prawie ziemi, powikłane w konary, ze zwieszonymi gałęziami. Stara na nich kora pękała niby przyodziewek zetlały, rozłazący się to tu, to tam. Uliczka mokra jeszcze, brunatna od wilgoci, biegła popod białe różgi, w ustronia odległe, w klomby dzikich wielkodrzewów, w cienie. Długie i subtelne liście wiśniowe i grubsze śliwin lśniły się jakoby miodem powleczone. Ostry zapach kwiatów, śpiew niezliczonych ptaków, raszek, kosów, wywiegł nad tym ciemnym, szerokim dachem, wszystko to ścigało teraz i szczyło serce widokiem swoim.

Skrepowany czarownicami więzami nie mógł ruszyć się z miejsca. Wdychał jeszcze zapach tego ogrodu i pochłaniał go oczyma na zawsze... Oglądał widome drogi szczęścia i słodczy pełne cienie osłaniające święte jego szaty... Tylko szczęścia samego już nie było. Ulegał złudzeniu, że widzi siebie idącego z Heleną w stronę niewysłowionej altany. Głowa styka się skronią z jej głową, a dokoła szelest i gwar wiosenny. Kwietne się sypią puchy, biało-różowe śniegi rozkwitłych wiśni i jabłonek. Z ran, do żywego zadanych drzewom przez obcinanie gałęzi, sączy się aromat oskoły...

Czuł w sercu szczęście tamtego dnia i nadziemską mocą wyobraźni przenosił je całe, olbrzymie jak świat, aż do tej chwili i miejsca. I nagle jeden podmuch wietrzyka wszystko w proch rozbijał. Zlatywało na ziemię jako kwiat czereśniowy. Dom był pusty, niemy. Ramy okienne chwiały się sennym kołysaniem, a szara, wypełzła od dżdżów okiennica zgrzytała do taktu z ich melodyjnym płasem, zgrzytała z cicha starczym, zjadliwym, przemądrzałym śmiechem zardzewiałych zawias. Nie ma, nie ma, nie ma... — naigrawał się ten starości głos wyziębły. Okrutny wyrok rozlecił się w głowie, jakoby głos dzwonu, który śmierć zwiastuje. Zasklepiona od balsamów wiosennych rana rozdarła się na nowo.

Ukazywała się spod złudy uczuć, spod miękkich wielobarw kwiatów, z głębi prochów i dymów wonnych rzeczywistość chropawa, istotny, szorstki byt i wszystka jego głupia nędza. Wlokło się z głębin cienistych mądre, liczące straty i zyski rozczarowanie. Ze ścisniętymi zębami, z oczyma pełnymi ognia prosił się o cud powtórny, o widok drogiej postaci tylko przez mgnienie oka, o złudzenie widoku... Daremnie...

Trzeba było wracać na bryczkę.

Już kował załatwił się z podkowami, a Wincenty chrząkaniem dawał znać, że czas w drogę. Rafał zawarł powieki i z obojętnością wręczył rzemieślnikowi należne cwancygiery. W trakcie tej czynności rzucił ukośne spojrzenie na kuźnię, na wygryziony u wejścia żłobek... Nie obejrzał się, gdy bryczka ruszyła z miejsca, klekocąc wyschłymi sprychami, i nie odwracał głowy, gdy mijała długi ogród. Miejsce to miał w sobie, zamykał je pieszczośliwie w duszy swej na siedem zamków.

Boczna droga, na którą z gościńca skręcili, powiodła ich w lasy. Jechali wolno w poprzek pól otoczonych borem, później znowu lepszą drogą, aż do Staszowa. Po kilkogodzinnym wytchnieniu, którego szkapska nieodzownie potrzebowała, ruszono dalej. Zmierzch zastał ich na granicy jakichś łąk bardzo rozległych, wśród których stały się wody stawów, daleko jak gdyby jeziora błyszczące. Nigdzie, jak oko sięgło, nie było widać ani wsi, ani nawet chaty. Kępy lasów stały tu i owdzie nad owymi łąkami, które już kwiecie zaciągnęło. Po nadrzeczu czerniały smugi olch, wyniosłych brzoźtów, kępy drzew liściastych, czyli, jak mówił furman Rafałów, żywych. Przypiaskowa, to znowu bagnista droga szła brzegiem lasu. Konie wlokły się noga za nogą, utykanego, w sposób coraz bardziej niepokojący, aż wreszcie zgoła ustały. Nie skutkował ani bat, ani biczysko, ani klucie, ani głaskanie i posiepywanie za kantary. Zwiesiły stare łbiska dwa żywe trupy i z wlepionymi w ziemię oczyma pograżyły się w sposób zupełny, obojętny na wszystko, nie wyłączając cierpienia i nie wyłączając śmierci.

Rafał tknięty został widokiem tych koni. Zsiadł z bryczki, obejrzał zwieszane czerepy i zdecydował, że trzeba w tym miejscu nocować. Fornal wydobył zaraz worek z chudym obrokiem, odprzągnął szkapska i urządził im żłób w przodzie wózka, a sam chętnie wziął się do miętoszenia żuchwą partyki razowego chleba oraz skiby sera zzieleniałego od starości. Rafał nie był głodny. Ciało jego, rzekłbyś, przestało istnieć. Dusza, rozplomieniona, w udręczeniach, spaliła je na węgiel. Zaczął chodzić nad łąką w pobliżu bryki tam i sam, dusząc w sobie wszystkie szaly miłosne i zawierając je w sercu, które się szarpało i było ślepymi ciosy.

Z dala, nad łąkami, dogasała zorza. Niknące zglisko jej lśniło jeszcze przez czas pewien na wodach nieznanach, na latoroślach łóz, które z wielkiej odległości oko ujmowało jak gdyby promienie świetlne, na szczytowych liściach wyniosłego białodrzewa, sokor i wiązów. Gdy tak przygasło, że tylko ceglasty brzask po nim został, Rafał polecił służącemu nazbierać suchych patyków i rozniecić ognisko. Wnet wzbil się w górę pióropusz siniego dymu, i małe jadowite płomyczki zaczęły pożerać suche igły jałowcu.

W małym kręgu ogniska Rafał, stojący z dala, widział bezmyślnie, cielesnymi oczyma, zwisły nad opalką łeb naręcznego konia, wyschlą czaszkę z ruchomymi powyżej orbit dołami. Surowy i zimny czerep nasuwał się jako kształt cierpienia, jakoby jego wizerunek i obraz prawdziwy. Po niewoli wzrok znowu przywierał do zgasłych końskich oczu, do ich siły wyczerpanej, do oczu przeżytych, a tak niedościgle mądrych, tak udręczająco wielomównych, że w ich wyrazie mieścił się cały jakiś świat, alfa i omega bytu. W mowie tych źrenic żalonych, które przymusowo widziały płomień ogniska, bo je raził i nękał, można było wysłuchać słowa, i Rafał ostrym zmysłem cierpienia zaczął słyszeć wzdychanie ich z ciemności:

— O śnie wieczny, śnie wieczny!

Na pograniczu cichego lasu i łąk, od wilgoci łąk, od wielkiego bogactwa traw pachnących we dnie i w nocy, śnie wieczny...

O dobrotliwy spoczynku kości znużonych!

W świętej ciszy nocnej, pod rosą z niebios zstępującą, w południa, w słońcu, co pali aż do zgnicia wszelkiego truchła, pod ulewnymi deszczami, które bez wytchnienia pracując obmyją, co się ostoi.

O puchy miękkich traw, które przyniesie wiatr wiosny! Kwiaty, mające się z nas urodzić... Błogosławione nasionka, którymi proch nasz zapłodnią ptacy i motyle...

Wewnątrz łodyg, w tkankach badyli krążyć będzie nasza krew i nasze ciało.

O woniejąca rodzino nasza, bracia i siostry! Dzwonki polne, maki, bławatki, bratki łąkowe... O usta nasze i oczy umarłe... W was będzie łkanie naszych piersi, w was bicie serc, w was płomień miłosny naszych żył...

Rafał odszedł. Rozgrzany piasek jeszcze nie ostygł. Nogi z lubością zatapiały się w nim, a torfiasta w głębi ziemia głucho dukała. W dali rechotały żaby. Chór ich tworzył melodię kołyszącą, senną. Niekiedy z jej głębi dawał się słyszeć przeciągły, głuchy, cudzy pobrzęk. Wówczas mimo woli nasuwał się na oczy odległy widok. Wznosiła się z bagien olbrzymia głowa porośla tatarakiem, grzybieniem i skrzekiem, opleciona chwasty wodnymi, wywracała do gwiazd rozbłyskujących w niebie przejrzyste, jasnobarwne oczy. Śniło się, że leniwym ruchem dźwiga błoniastą rękę i niesie do ust piszczalczkę, wykręconą z najmłodszej różgi wierzbowej, która się w ciągu poprzedniej nocy urodziła. Lepkie żabie palce przebiegają po dziurkach ligawki, i leci w zroszoną dal przygrywka żabiego chóru. Leci, błąka się, ginie między wysokimi drzewami...

W pobliżu czerniał iglasty bór. Nieruchomy, nieżywy, bez głosu stał ciągnąc z łąk i wysysając w siebie ciemność najgęstsza. Z dalekości, z zarzecznych pagórków, które w nocy dawno zginęły, dolatywało czasami żywe naszczekiwanie psów. W innych momentach wybijała się na wierzch cisza. Ledwie-ledwie mąciło ją suche trzaskanie płonących igieł, brzęk niewidzialnego komara. Czasem koń głośniej chrupnął albo dmuchał nozdrzami z umysłu, żeby odwiać sieczkę i snadniej wargą trafić na nieliczne ziarna owsa. Od dalekich białodrzewów, z łona wód, spośród rokicin, iwiny i tataraku nadciągnął powiew szelestny, wiatr zwilgły, nasiąkły ożywcza wonią, rozszerzył się po suchym gołoborzu i obudził szum leśny, szum czarny, gęsty od tłustości żywicznej, parny, ciężki i gnuśny. Ale za chwilę z suchych piasków uciekał i znowu cisza przyplływem niepostrzeżalnym wracała na dawne miejsce.

Rafał wyciągnął drugi worek z obrokiem, rzucił go wzdłuż bryczki i położył się na wznak. Patrzał w niebo rozwartymi oczyma. Miał jeszcze w sobie osłupienie i niemoc nabytą w chorobie. Od gwiazd sywał się w ciemność nocy pylny brzask, srebrny posiew światła. Białe smugi pary, mgławice obłoków, nieskupione jeszcze pierwociny chmur cicho i sennie przepływały między gwiazdami. Ciałka ich mleczne nikło jaśniały od brasku-poświaty gwiazd, by nieco dalej posunawszy się w otchłań, rozwiać się w niedościgłą dla oka formę, stać się niebem.

Noc była parna. Migwały z rzadka szybkie i bezdźwięczne, suche błyskawice, które lud zowie zwiastunkami pogody. Zostawały po nich w oku tylko prześliczne, niebieskawe wizje fioletowych lasów, wsi usypiających między sadami, pól zielonych. Wzrok i myśl zatapiały się w nieprzeniknioną noc, szukając nadaremnie widzianych przez chwilę zarysów.

Fornał usnął jak kłoda w pobliżu gasnącego ognia.

Kiedy Rafał leżał beczynnym, rad, że nic nie czuje, że nawet nie wie, gdzie jest i co się z nim dzieje, w pobliskiej kępie olszyny rozległ się dźwięk... Jeden, po nim drugi, trzeci... Młodzieniec zerwał się i usiadł. Słuchał tonów słowicznych, całował je z radosnym uśmiechem, przyciskał do serca wszystką mocą duszy, wszystkimi siłami ciała. Z wolna te dźwięki metaliczne, tony pierwotne, tak lekkie, jakby je wywoływało dotknięcie strun cytry przez różnobarwne pióro pawia, poczęły zapadać w niego, lecieć wskroś, jak ostry krzemień przelatuje głębinę wody. Wówczas posłyszał wyrazy... Wyrazy niematerialne, nazwy-pieszczoty, pogłaskania, dotknięcia pełne czci, pocałunki oddane duszy przez duszę wpośród ukłonów aż do ziemi i wpośród dymów wonnego kadzidla. Wyrazy nowe, o których nic nie wiadomo, czym są: czy miłością, czy nienawiścią, czy litością, czy wzgardą i potępieniem. Usłyszał całe dzieje swojej miłości w owych poświstach przecudownych, lecących jakoby brylantowe strzały w jasny lazur aż do samego zenitu, w zagięciach dźwięku, który w boleści na dawne miejsce powraca jakby niewolnik w jarzmie z krzyżem zgiętym, poszarpanym batem siepacza, w strzelistych pieniach samotnych, pełnych siły i dumy, w dźwiękach wolnych, oszalałych z zachwytu, najpotężniejszych na ziemi, niedościgłych. Zdawało mu się chwilami, że to w nim samym, sobie samemu śpiewa ów niewysłowny złotostron i że to on sam wrywa z niego zdrętwiałymi palcami owe krzyki duszy, przeciągłe, długie, padające jakoby ptaki zabite u jakiegoś kresu boleści.

Posłyszał imię kochanki, nazwę jej włosów, barwę jej oczu. Złożył umęczoną głowę na jej piersiach trzęsących się od płaczu, przycisnął usta do policzków, do powiek mokrych i słonych od całonocnych łez.

Pierwszemu słowikowi, który tę tonikę zaczął, odpowiedział z dala drugi, tamtemu trzeci... Do tego trójdźwięku przyłączył się czwarty tworząc z pierwszymi akord niewysłowiony. Daleko w gęstwinach nadwodnych śpiewał ostatni.

Były to jak gdyby czaty, nocne wojska uczuć, wigilie czyhające po nocach na samotną miłość, która by się zabłąkała przechodząc tymi stronami.

Skoro tylko dzień zaczęło, zbudził Wincentego i jechał w dalszą drogę. Wypoczęte i popasione konie szły różnie. Z prawej i lewej strony widać było wsie i folwarki spalone przed dwoma laty do przyciesi. Stały jeszcze szerokie, czarne place zgorzalej ziemi, których murawa przejąc nie zdołała. Leżały stopy opalonych belek, krokwi na węgiel zetlałych. Rozwarte paszce okien we dworach, drzwi powyłamywane, okiennice wiszące krzywo na ostatnim haku, sufity zawisłe nad zburzonymi ścianami, do pół strącone kominy i piecowiska przywalone zeschlłym popiołem widać było naokół. Tu i ówdzie wznosiły się na popieliskach domostwa, stodółki, obory. Tam i sam nowy dwór dźwiagał się między zwęglonymi lipami, które, jak czarne pochodnie, były w oczy ze środka zielonych pól. Większość wiosek stała jeszcze pustkowiem, gnieździła się w budach.

Z południa Rafał minął Chęciny. Stary, strzaskany zamek, baszty czarne, pęknięte, mur trupi unosił się przed nim w powietrzu niby czaszka rozbita. Wjechali w okolicę górzystą, leśną i dążyli do miejsca przeznaczenia. Nigdy tu jeszcze Rafał nie był. Ukazał mu się kraj zgoła inny: cichy, zapadły, smutny. Przestrzenie wzgórz beużytecznych, o glebie czerwonej, zarosłej sośniną albo jałowcem, piaski na wzniesieniach, sapy nad rzekami. Z traktu skręcili na boczną drogę i wąskim leśnym szlakiem jechali aż do wieczora. Korzenie świerków jak węże przerastały drogę, a gdy się od niej cofnęły drzewa, to otwierała się przed oczyma żółta smuga litego piasku z dwiema koleinami, które daleko, daleko w las się ciągnęły. Dookoła stały smukłe świerki, jak strzały zaopatrzone w bełty dla bardziej chyżego lotu. Zielony, świecący się mech wiosenny otulał rudawosiną ich korę. Słońce wnikało do głębi lasu i promienie jego przelewały się nie tylko przez gęszcze gałęzi, ale nadto prześwieślały nowe, tegoroczne ich wyrostki. Młode, miękkie, zielonożółte igły były przezroczyste jakoby krople wody. Cień od drzew był na młodych murawach dziwnie uroczy, lękliwy, płochy i czuły. Zdawało się, że niechętnie znosi ludzkie spojrzenie, że istnieje tylko dla siebie, a cofa się i kryje, gdy nań patrzeć. Rafał śledził go spod nawisłych powiek.

Szeptał do niego jak do brata:

— Cieniu, mój cieniu...

Różowe, wiosenne szyszki zdały się topić i rozplywać w ciepłe słońca. Pachnąca żywica wylewała się z nich i zapach jej spływał ku ziemi. Jeszcze się trawa bujna nie puściła w lasach. Zeszłoroczne igły i suche liście zaścielały grunt barwą cmentarną, ale już tu i tam mokra droga w głębokim cieniu lśniła istnym szmaragdem zieleni. Miejscami grunt był twardszy. Tam w gęszczach jedliny dymiły się młode brzoźki niby obłoczki wiosenne. W głębi lasu drzewa się przerzedzały i widać było samotne obręby, gdzie na znacznym obszarze spokojnie usypiały smugi płytkiej, stojącej wody. Warstwy spadłych igieł leżały na jej dnie, rudziejąc żywo jak bursztyń. Dookoła takich zalewisk z wybuchem krzewiła się zielen borówek, młode, jasnozielone świerczki taplały się w niej jak gąsienice, a jaskry ze wszech stron ramą obejmowały płomienną. Na zwilgłym w pobliżu sapie barwiły się niebieskie kwiatki Matki Boskiej i kępy niezapominajek.

Szkapy szły noga za nogą. Koła bryczki zeskakiwały z korzenia na korzeń albo zarzynały się w głębokim piasku. Wówczas bryczka ledwo-ledwo podawała się naprzód, monotonna skrzypiąc. Suchy piasek sunął po sprychach jak w klepsydry. Dla Rafała bardzo miłymi przyjaciółmi były te leśne głębiny. Czuł się tu skrytym ze swoją duszą, niewidocznym i jakby przygarniętym. Tęsknota jego, jak niewolnica na powrozie, znużona długim jarzma uciskiem szła w kraj naznaczony, patrząc z żalobą na miejsca, które mijala. Po uprawnych niwach sandomierskich, gdzie wyzyskaną była każda skiba aż do przykopy, te zapomniane obszary lasów, rosnące samowładnie, także jak przed wiekami, takie same, być może, jak na zaraniu świata, były bliskie jego duszy, chorej z miłości. Pchało go, żeby wyskoczyć z bryki, rzucić się tu na ziemię i samemu zostać w ciągu długich dni i długich nocy,

dotykać rękoma tylko drzew, a ustami kwiatów. Słuchać, jak wiatr sennie przygrywa na gałęziach sosen...

Był na granicy, na samym progu rozumienia przedziwnej mowy owych leśnych, płytkich jezior i drzew, które w nie patrzą przez lata, słyszał dźwięk, szept, westchnienie... Wiedział dobrze, jakby był swoim własnym profesorem, że jeśli teraz głosu owego nie zrozumie, nie pochwyci go w duszę swoją, to już nigdy, przenigdy nie odezwie się do niego ta mowa. Jechał dalej a dalej, dziwiąc się samemu sobie, uczuciom, które się w nim z wolna przetwarzały, żywym, twórczym głosem świata.

Miało się już pod zachód słońca, kiedy wyjechali z lasów. Otworzyła się przed nimi jakby ogromna polana, wykarczowana z boru. Rozdzielały ją piaszczyste wzgórza porośnięte karłowatą sośniną, jałowcowe przestwory i uprawne pola. W dali, na krańcu tego obszaru, pod przeciwległym lasem, błyszczał w zachodzącym słońcu ogromny jakiś staw i rzeka, która długą taśmą blasku wiła się w nizinach zarosłych olchami. Miejsce, gdzie znajdowała się bryczka, było pod wzgórzem i całą rozległą dolinę widziało się stamtąd jak na dłoni. Daleko, nad owym stawem, bielili się w kępach drzew białe dwór.

— To je Wygnanka, paniczu — rzekł Wincenty, obracając się na koźle. — Tam młody pan mieszka.

— To jest Wygnanka — powtórzył Rafał.

Teraz dopiero przypomniał sobie, że wkrótce ma powitać brata. Nie znał go prawie, gdyż ów brat, poróżniony z ojcem, nigdy w Tarninach nie był. Wiedziano tylko o nim, że raniony ciężko, bliski był śmierci i że później osiadł w owej Wygnance. Te wiadomości, Bóg raczy wiedzieć od kogo, jakby od głuchej ziemi, miała matka. Wiedział o tym i ojciec, ale nigdy ani jedno słowo o synu Piotrze nie było wymówione głośno w Tarninach. Rafałowi przysłała teraz do głowy myśl, że i brat może go źle przyjąć... Cóż wówczas? Nie odpowiadał sobie na pytanie, ale miał je wyryte w sercu. Wówczas zostaje... Kraków, Warszawa, Berlin...

Słońce zeszło za dalekie lasy, i stłumiony został ostatni jego promień. Znużone konie wlokły się tak ociężale, że furman co chwila wyrażał obawę, czy aby znowu nie ustaną. Jak na złość, droga była jak najfatalniejsza. Niezglębione bajoro stało między dwiema długimi przymami kamieni, które wyrzucono z roli. Kamionki te osłonięte były kępami tarniny, która już okwitała. Na przypiaszkowych gruntach widać było mizerne pióra żyta i owsów. Gdy zmrok zapadł, w owym dalekim dworze wyblęsnęły światła w trzech oknach. Rafał dziwnego doznał ścisnienia w piersi. Patrzał w te okna, których wydłużone odbicia widać było w połyskliwej wodzie stawu — i nie mógł od nich oderwać oczu. Była to pierwsza chwila, w której ciągu nie cierpiał.

W nocy już przywlekli się nad brzeg wody. Drożyna, podarta przez wiosenne ulewy, zniżyła się za groblę i szła między gajami olszyn, w bród przecinając strumienie, które płynęły z upustu i młyńskich pogródek. Koniska same ją znajdowały w ciemności. Cały ten obszar przesiąkły był wodą i napojony jej ciekawym, nęcącym, uroczym szelestem. Mrok pełen był wieczornego oparu. Zarisy drzew, krzewów, kęp i gąszczów wynurzały się i ginęły w ciemnicy. Wyżej nad poziomem stawu srebrzył się białawy, rzadki tuman. Serce Rafała biło niespokojnie. Rozglądał się w ciemności jeszcze niezupełnej i zapoznawał sercem z tajemnicą tego zakątka. Widział przed sobą ciągle na wzgórzu świecące przez gąszcze drzew owe trzy okna. Minąwszy czarną, litą masę młyńską, bryczka zwróciła się w górę i stanęła przed zamkniętymi wrotami.

Naokół nie było żywej duszy. Wincenty zaczął wołać, ale nikt nie nadszedł, więc sam odniósł na bok wrótnię. Dziedziniec wciąż się dźwięgał ku górze, aż do dworu. Bez turkotu, bez szelestu prawie zajechawszy pod cień ogromnych drzew przed gankiem, Rafał nieśmiało zeskoczył z bryczki i wszedł do sieni. Gdy stuknął w ciemności, poszukując wejścia, drzwi otwarły się przed nim i człowiek wysokiego wzrostu zapytał w sposób wskazujący niezwyklego jękał:

— Któż ta?

Rafał nie wiedział, co ma odpowiedzieć, gdyż nie brata miał przed sobą. Zapytał wreszcie:

— Czy pan kapitan Olbromski jest w domu?

— W w... w... domu. A któż ta?

— Brat.

Ów człowiek odsunął się i Rafał wszedł do pokoju. Gdy się znalazł za progiem, ujrzał brata wychodzącego z sąsiedniej izby. Kapitan Olbromski był wysoki, szczupły i nieco naprzód pochylony. Miał twarz bardzo piękną, zupełnie wygoloną. Długie włosy z czola w tył zaczesane spadały aż na kołnierz jego białego surduta. Gdy rozpoznał Rafała, uśmiech głębokiej radości, prawie zachwytu, prawie szczęścia ukazał się na jego twarzy. I w sercu Rafała coś drgnęło na widok tej postaci, którą z dzieciństwa ledwie-ledwie jak przez sen pamiętał. Kapitan przycisnął go do piersi i bez słowa, długo całował w usta. Gdy go wreszcie posadził przy stole, jeszcze długo, zasłaniając oczy od blasku świecy, patrzył na niego w milczeniu.

— Sam przyjechałeś? — zapytał wreszcie przyduszonym głosem.

— Sam.

— A mama, ojciec żyją?

— Żyją, proszę brata.

— I zdrowi?

— Zdrowi.

— A siostrzyczki: Zofka, Anusia!

— Zdrowe...

— Zdrowe...

— Mama tu do mnie za tobą nie przyjedzie?

— Nie.

— Nie przyjedzie... Ale ty zostaniesz dłużej, prawda? Nie zaprzecz! Prawda? zostaniesz?

— Zostanę.

Kapitan położył rękę na rękę Rafała i ścisnął ją mocno. Po chwili odwrócił się do służącego, który stał przy drzwiach, ze słowami:

— Michcik, zajmiesz się końmi panicza i pomyśl o wieczerzy.

— We-we-dług... — mruknął tamten szczęknąwszy przy tym zębami, jakby chciał ukąsić coś zawieszony w powietrzu, wykręcił się na pięcie i poszedł.

Gdy zostali sami, kapitan Piotr spoglądał za nim we drzwi przez czas niejaki, a potem zwrócił się do Rafała zapytaniem:

— Czy ojciec dobrodziej, czy... nie kazał powiedzieć mi... To jest...

— Nic a nic! — rzekł Rafał prędko i zacerwienił się, jak gdyby go schwymano na uczynku kradzieży. Czuł w sobie niesłychane jakieś wzburzenie, niedoświadczane nigdy. Pierwszy raz w życiu stał w obliczu czegoś, co było niby nim samym, a było razem obce, wyniosłe, dostojne.

Piotr powtórzył jak echo:

— Nie, nic a nic!

W dźwięku tym brzmiało tyle krwawego cierpienia, że Rafał znieść go nie mógł. Czuł, że musi złagodzić to, co powiedział.

— Jakem wyjeżdżał — zaczął tonem objaśniającym — to nawet nie widziałem jego-mości, bo był właśnie... w polu.

— W polu był... — uśmiechnął się starszy.

— A tak, wyszedł...

— I nie pożegnał się z tobą?

— A nie, bo nawet... muszę powiedzieć...

— Mów ze mną śmiało. Ja cię nie będę sądził surowo... — uśmiechnął się Piotr. — Musiałeś coś tatuńcowi przeskrobać.

Rafał wyszczerzył się cynicznym, niemłym śmiechem, który ukazał wszystkie jego zęby.

— A rzeczywiście...

— Mówże śmiało!

— Jegomość tatuńcio kazał mi precz jechać z domu! Tyle że mi dał ślepego wałacha i kobyłę Margolę do wywiezienia, jak trupa na mogiłki.

— O! I za cóż to?

— A bo zajeździłem wierzchówkę.

— Zajeździłeś kobyłę... I za to tylko?

— A no... mówię bratu.

— Cóż to za kobyła takiej ceny?

— „Baśka”, co to źrebica po Popielatce.

— Nie widziałem jej... Dawnom już w domu nie był. Ale nie martw się, Rafciu. I ja wyjechałem, a raczej wyszedłem, bez pożegnania, prawie psami wyszczuty. Dawne to rzeczy... Myślałem, że ojciec przysyła przez ciebie...

Kapitan wstał i począł chodzić z kąta w kąt izby. Rafał wodził za nim oczyma i z nadzwyczajną ciekawością wchłaniał w siebie jego figurę, sposób mowy, każdy ruch, gest, każde skrzywienie twarzy. Nie mógł sobie dać rady z uczuciem nieporozumienia, jakie go ogarniało na widok postaci tego brata. Nie mógł na to przystać, że ów brat tajemniczy, który poza dom rodzinny gdzieś na świat się wyniósł szeroki i stał symbolem rzeczy okrytych milczeniem, grozą, rzeczy wielkich i straszliwych, mieszka oto w tak nędznym starym domu. „Toż to jest on? Piotr?” — myślał przypatrując mu się ukradkiem. Ale jednocześnie, gdy znikająca owa gruba zasłona, usunęła się razem jakby zaporą dzielącą. Nienasycona ciekawość i coś innego jeszcze, nowego, bliskiego, miłego, kazało mu zapomnieć o wszystkim na świecie. Oczy mu się świeciły jak dwa ognie żywe.

Piotr stanął przed nim. Zaczął mówić:

— Widzisz, braciszku... Jesteś jeszcze bardzo młody i nie powinieneś może wiedzieć o tym wszystkim, co ci wyjawilem. Ale... któż wie, co się stanie jutro. Chciałem ci otwarcie powiedzieć, dlaczego tak dawno u was nie byłem, żebyś nie myślał źle o moich sentymentach dla rodziny.

— Nie, gdzież tam!

— Tak było ze mną... Oddał mię ojciec do szkoły kadetów. Nie byłem w domu bardzo długo, bo na lato zwykle zabierał mię do siebie jeden przyjaciel ze szkoły. Przyjechałem do Tarnin pierwszy raz, gdy już był gefrejterem. Miałem głowę naładowaną myślami... Nie wiem, czy mię będziesz rozumiał...

Eks-student przybierał miny jak najbardziej odpowiednie, choć w istocie nie był pewny swego.

— Już w szkole, uważasz, zaczęła się była komocja w umysłach. Dużośmy czytali... *Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego*, *Żywot Chodkiewicza*, to były jakby światła pochodni w noc ciemną. Dam ci te książki... Na opresję kmicę, na kurs sprawy publicznej krwawym patrzaliśmy okiem. Każdy zaufał w szpadzie i na nią poprzysiągł. Wierzyliśmy, że cała Rzeczpospolita na naszym leży ramieniu i że to my ją wydzwigniem. Gdy wróciłem do domu i zacząłem rozmawiać z ojcem, porwała mię desperacja. Ojciec stał po stronie i w szeregu tych, których na śmierć nienawidziłem. Kazał mi tak postępować, tak nawet myśleć jak on i oni. Nastawał, żeby się zapał samego siebie. W jednej rozmowie zelżył mię, w drugiej zagroził...

— Wiem, wiem... — jęknął Rafał.

— Słyszałeś o tym w domu? — pytał Piotr schylając się nad nim.

— Słyszałem.

— Mama ci mówiła?

— Mama, Anusia...

Piotr oddychał szybko i ciężko... Policzki mu pały. Prędko chodził po izbie i kiedy niekiedy rzucał wyraz cichy jak oddech:

— Zdeptał mój oficerski honor. To nic! Ale duszę wszystką nogami... W strasznym gniewie, w dzikości wzburzenia... gdy parobków... krzyknąłem, żem oficer, że się nie dam... wyrwałem z pochwy. Boże mój!...

Usiadł prawie bez tchu. Siedział tak, chwytając oddech piersiami prędko i z trudem. Mówił jeszcze:

— Nocą wyszedłem. Tyle już lat! Gdyśmy z Braclawszczyzny pod Grochowskim dniami i nocami ku Połańcowi... z dala widziałem naszą stronę... A potem... żeby też słowo!

— Ojciec nic o bracie nie wiedział, i my to samo...

— A i cóż mieliście wiedzieć? To co o każdym. Na Szczekocińskim placu... skłuty mnie bagnietami Prusaki... Krew mię uszła... Leżałem między trupami. Ten oto żołnierz, coś go widział, wrócił się po mnie w nocy, nalazł mię półżywego. Na rękę wyniósł... Leżałem po dworach w Krakowskim, a jakem wreszcie wstał, w gruncie rzeczy... nie było już po co...

Strzepnął palcami i rzekł prędko:

— Och, nie mogę... gadać!

Po chwili jednak zaczął znowu:

— Przyszedłem tu z tym żołnierzem, skąd on rodem. Wziąłem w dierzawę tę oto wioszczyńę i tak siedzę. Ziemi tu mało, więc karczujemy jałowce. Smutek mię zagryza... A z domu... żeby też słowo!

Rafał, pobudzony przez szczególne uczucie, zaczął mówić o domu, rozwodzić się o wszystkim, co zaszło i zostało w pamięci. Piotr zatrzymał się znowu przed nim i palającymi oczyma rozniecał w nim swadę. Porozumiewali się za pomocą dźwięków urwanych, zdań ledwie zaczętych, okrzyków, naśladowań głosów ludzkich i zwierzęcych. Piotr pytał się, jak chłopiec, o drzewa przed domem i w ogrodzie, szczególnie o pewien stary brzost w dole sadu, o konie i psy, o sprzęty w domu, o pola, drogi, o parobków i chłopów. Oczy jego i usta śmiały się teraz tak samo jak oczy Rafała. Stali się teraz zupełnie podobni, byli jak jeden we dwu osobach. Czasami, wśród powieści o czymś domowym, przerywali sobie cichym okrzykiem, jakimś ledwie początkiem śmiechu, i niby na skrzydłach lecieli do czegoś innego. Piotr zadawał pytania o stare ciotki, o rezydujących niedołęgów, a o każdego i każdą dowiadywał się jednym jakimś ruchem naśladowującym, jednym charakterystycznym zmrużeniem oka, albo samym bezsłownym dźwiękiem głosu. Niekiedy w środku żywego śmiechu twarze obudwu krzepły jakby zmrożone, gdy przesuwano się jakieś bolesne, bez słów wiadome wspomnienie, jakaś klęska znana i wiecznie, pomimo wszystko, żywa i wielka.

Michcik nakrył stół małym obrusikiem i ustawił talerze, a oni tego nie dostrzegli prawie. Wieczereć więcej niż biedną spożyli prędko, nie zwracając uwagi. Michcik posłał Rafałowi na sofie obitej zieloną skórą i stojąc przy drzwiach niekiedy pomrukiwał.

— Idź spać, stary... — rzekł do niego Piotr nie przerywając rozmowy.

Żołnierz znowu wyjąknął swoje: „Według!” — i odszedł.

Świece spaliły się w blaszanych lichtarzach. Piotr wyszukał i zapalił nowe. Dopytywał się, pomimo wszystko, głównie o ojca. Zadawał tysiące pytań o jego zdrowie, chciał osiąść wszelkie szczegóły o tym, jak też wygląda.

Rafał, brnąc w opowiadaniu, tracił z oczu granice, których dotychczas nigdy nie przekraczał. Pierwszy raz w życiu był tak szczery. Sam nie wiedział, kiedy mu przyszła myśl, żeby powiedzieć Piotrowi prawdę o nocnej przygodzie, o walce z wilkiem, żeby wyznać miłość dla Heleny. Wtem niespodziane uczucie, jakby jej rozkaz, zaleciło mu milczenie.

Piotr słuchał wszystkiego z oczyma szeroko otwartymi. Po dziesięć razy kazał sobie powtarzać szczegóły. Od jednej sprawy rozmowa skakała do zgoła innej. Nie spostrzegli się, kiedy blask świec pobladł i sprzęty bardziej widocznymi się stały. Przez otwarte okna wpływał chłód rzeźwy. Gałęzie i pręty ich, pławiny z liśćmi ledwie rozwiniętymi, szedziwe od rosy nadrannej, bez ruchu leżały w pustkach okiennych, snem nieprzepartym objęte. Kiedy niekiedy wszakże jakaś gibka różga nowotna zadrżała niby od przenikającego chłodu, i nagle kroplisty deszcz z niej się sypał szeleszcząc w dwójnasób przestraszająco, jak zwykle we śnie... Kiedy niekiedy zimny i zwilgły wietrzyk nadwodny wieszal się między gałęziami hiszpańskiego jaśminu i tulił w mokre liście, żeby pod dachem ich na śliskiej, ledwie zrodzonej odnóżce usnąć na chwilę, wytchnąć pożywnym drzemaniem nadrannym. Z mglistej daleczyzny wynurzał się łagodny, miękki głos kurki wodnej.

Dniało.

W ramach okien rozpościerał się cichy błękit, a w nim ciemnymi smugami zarysowywać poczęły dalekie wzgórza i pasma leśne na równinach. Wysoko, na bezchmurnym niebie, jak lilia świeciła się ostatnim blaskiem gwiazda poranna — zwiernica. Już zorza rdzawą luną zza świata idąc obejmowała rąb ziemi. Piotr rzekł:

— Nie widziałeś nawet, Rafuś, jak tu jest u mnie. Chodź no zobacz. Już świta.

Stanęli obaj w otwartym oknie.

W dole, tuż za płotem ogrodu, widać było skroś gałęzi uśpiony staw. Z wód jego białoniebieskich, jak stal zsiniała od ognia, dymiły się mgły cudnobarwne. Pokrewne ziemi i niebu, opuszczały wodę dla nieba, oddzielając się od niej z żalem, jak dusza, kiedy rzuca własne swe ciało. Ale nim odeszły, stały nad nią, jak gdyby w modłach utopione. Zdało się wtedy patrzącym, że ta chwila trwać winna wiecznie, że ona to jest wiecznością, że taką właśnie jest nieskończoność. Ale światłość z dala nadchodząca pokropiła hizopem

cienie, i na jej wszechwładny znak woda samotna została w dole, a mgły porzucały jej łono. Zwijaly swe cudne, powłóczyście szaty, rozszerzały przezroczyście skrzydła i mdlejąc, wijąc się z żalu, ginęły w błękitcie. Tam gdzie jeszcze świt nie dotarł, w głębiach olszowych, siostry ich błękitne śniły wczoraj zaczęty, głuchonocny sen. Drzewa wśród nich były inne: jasnoniebieskie miały liście, a pnie ich zdawały się wyrastać ze śnieżnego obłoku. Dalekie mielizny piasku na płytym wybrzeżu wody były różowe jak policzki zbudzonego dzieciątka. Za stawem, na płaskim wzgórku, stała nieruchomą tarczą szmaragdowa oranina, lśniącą zasiewem jarego żyta, które już w niwę żyjącą własnym żywotem zmieniać się poczęło.

Piotr objął Rafała wpół lewą ręką. I Rafał nieśmiało ogarnął brata również ramieniem. Zamilkli. Nieruchomo przetrwali owo świtanie patrząc się w cudne wody, w niewysłowioną barwę niebios, która z wolna płonąć zaczynała, w żywe jej odbicie na nieruchomych odmętach. Było tak cicho, że wzajem słyszeli, jak życie w każdym z nich płynie...

SAMOTNY

Przeminęła wiosna.

Rafał spędził ją w Wygnance. Brat Piotr zostawił mu zupełną swobodę. Wygnanka leżała za borami, z dala od szerszych dróg, w pustce zupełnej. Roli tam było niewiele, i dopiero kapitan, wzięwszy wioskę w dzierzawę, począł wyprawiać i obsiewać nieużytki. Tuż za stawem, na wzgórzu, rozciągała się duża przestrzeń bezpłodnego pastwiska. Ta gleba, zarosła jałowcem, wrzosem, brzezina, a pachnąca macierzanką, była, widać, przed wiekami orana, gdyż znać po niej było wyraźne bruzdy i zagony.

Gdy Rafał przebywał ją po raz pierwszy, zdybał Żyda z krzywą nogą, który kilofem, mającym niejaki podobieństwo do niego samego, wydierał z ziemi jałowce. Rafał wdał się ze starcem w rozmowę i dowiedział od niego wielu szczegółów. Żyd nazywał się Uryasz („ale to tylko na papierze”), „naprawdę” zwano go Uryś. Był z fachu szewcem, ale robił także i inne roboty. Jak kilof do Urysia, tak znowu Uryś z całej swojej figury podobny był do drzewa, do wierzby, do pnia z krzywymi korzeniami. Sękaty jego ręce okryte były dużymi plamami piegów, jakby zastygłą żywicą. Broda i pejsy tak spłwiowały na słońcu i w czasie płuchot, że przypominać mogły bardziej mech drzewny niż ludzkie włosy. Odzienie gałgańskie upodobniło się całkiem do kory.

Teraz, gdy pan kapitan zaczął trzebić pustki, jego do tej roboty najmuje. Dawniej, przed dwoma laty, pan kapitan czasami przychodził na nowinę i własną ręką darł jałowce. Ale pan kapitan i wtedy nie miał potrzebnej siły, a jałowiec ma korzeń długi jak ludzka bieda. Nie. Nie miał siły. Może miał dawniej, pewnie miał, ale teraz to już całkiem nie ma. Jak można mieć siłę po tak wielkiej słabości! Teraz już ani razu nie przychodzi na rolę. Pan kapitan jak wolnym krokiem przybył, to on lubił usiąść na kamieniu i patrzeć, jak Uryś pracuje. On nie dlatego przychodził, żeby tę robotę dopilnować... To nie jest taki człowiek, co drugiego pilnuje... Urysia nie trzeba pilnować. On siadł na kamieniu, podparł głowę na ręce i patrzył. On patrzył, on milczał. Ale za najmądrzejszą mowę obstoi takie niemówienie, jeśli człowiek tak patrzy na człowieka. Z przeproszeniem panicza, czemu taki chrześcijanin nie urodzi się na żydowskiego rabiną? Dużo się trafi mądre rabinę między zakonnymi, ale najmądrzejszy rabin między rabinami, sam magiet, nie będzie taki mądry jak pan kapitan. On wszystko wie ze swego rozumu. Jego każde słowo można sprzedać za gotówkę, jak najlepszy towar.

Parę razy to on się odezwał nie o te karczowanie, nie o zarobek, nie o jadło i napitek, nie o tutejsze, ale o tamte życie... Uryś nie pamięta, nie umie powtórzyć, co on powiedział o tamte rzeczy, o samym Adonaj, ale od tej chwili, kiedy kładzie śmiertelną koszulę i zacznie mówić pacierze, wie mocno, że on mówił czystą prawdę. On nie mówił, jak zawsze mówi — bez urazy — goj do Żyda, on nie mówił nawet jak Żyd do Żyda. Raz to on przyszedł, długo milczał, a w końcu zapytał się Urysia o tamte życie, o wieczność... Co to jest, jak człowiek umrze? Czy Uryś wierzy w Jahwe? Niech mu powie... Uryś się bardzo przeląkł, Uryś dygotał, ale powiedział mu prawdę. A potem on mówił takie wielkie słowo do najbiedniejszego Żydką z Wygnanki, że Uryś dopiero zobaczył jego rozum. To żyto ozime, co je tam widać, to kapitan sam wsiadł, ale tamto jare to już siadł Michcik. Gdzie to kto widział, żeby taki szlachcic siadł albo karczował? On się przepasał płachtą i sam siadł.

Urysiowi jest bardzo przyjemnie, że on karczował tę nowinę, a pan kapitan ją zasiał.

Piękny owies rósł tam na nowej ziemi, jak dzikie ziele. Wśród jasnego zagaja wybuchły gęsto czarne, wyniosłe jego kępy o piórach szerokich, rozwiewnych i mieniących się w słońcu.

Rafał nie był tak łaskaw na Urysia jak brat Piotr. Opuścił go ze śmiechem i tylko czasami, z głębi brzozowego gaju, który wśród pól dawniej wyprawionych pozostał, przypatrywał się nieraz jego, twardej pracy.

W tym gaju, w rozległych łąkach, w dziewiczych i niedostępnych rokitach nad stawem, przepędzał dni albo i wieczory, pogrążony w gnuśne marzenia. Zdarzało się, że nieraz pół dnia przeleżał na wznak w dąbrowie, patrząc w niebo, w obłoki sunące wskroś lazuru. Zdarzało cię, że długie godziny trawił skurczony na kępie wśród wiklin i tataraków, niby to czatując na kaczki. Dopiero głód pospolity wyrwał go z marzeń i pędził ku domowi. Częstokroć oplątany przez swe myśli tak rozwlekłe, że były prawie niczym, nie słyszał dzikich hukań Michcika powołujących go na żołnierski obiad. Innym razem przychodził w dobie całkiem niewłaściwej, pewny, że się stawia w terminie.

Jedyną rzeczywistością było dla niego to, co wrzało w sercu.

Dlatego taką radość sprawiała mu każda chwila samotności. Widoki stawu, zakrętów rzecznych, łąk w czerwcu, gajów i dzikich odłogów miały dla niego powab niewymowny. Ich życie, opuszczone przez ludzi, czarowało smutkiem swoim własnym, tamtejszym, przed wiekami osiadłym, a tak duszy znajomym! Trafiały się w ciągu tych dni chwile zdziwień prawie bolesnych, a jednak samą radością będące, skąd miejsca te posiadały coś z niego samego, jakąś część z głębokości jego duszy, jakimś cudem stały się widomym obrazem niepochwytanego sekretu miłosnej nocy.

Były tam czarne olchy nad wodą... Nie, nie olchy. Były czarne, z krwawymi pniami przeczucia nad wodą błękitną i ruchomą, zmienną i słabą, których widok rozdzierał duszę smutkiem okrutnego rodzaju. Były młode dalekie brzoźki... Gdy Rafał zwracał stęsknione oczy ku ich wierzchołkom srebrzącym się w słońcu, ku sypkoszelestnym listeczkom, ku białopiennym ciałom, które się wstydliwie kryją w przejrzystą szatę, słyszał w głębi siebie jak gdyby obietnicę tajemniczą, wyjawioną przez głos obcy, głos pełen łaski miłosnej. Nie umiałby nikomu powiedzieć, czemu patrząc na widok czarnych rokit, gęstym zastępem wiecznie posepniających nad wartkim nurtem rzeki, sam w sobie narzekał błąkając się w poprzek wszelkich ustaw rozumu.

Gdy nieraz leżał na suchych pagórkach, otaczających niskie łąki nadrzeczne, zatopiony w ciszę niezgruntowaną, i gdy w nim budziły się i rosły marzenia o szczęściu, serce męskie i myśl wspaniała, wysoko pod chmurami dawał się słyszeć chrzęst skrzydeł bujającego bekasa, jakoby śmiech szydery, pełen złych zapowiedzi. Osoba Heleny znikła z jego wyobraźni, nawet wspomnienie o niej wypełzło. Została się w duszy próżnia niejasna, usadowiona poza obrębem wyobrażeń, przez którą płynęły strugi łez...

Kapitan Piotr spędzał te dni w zupełnej również samotności. Od rana Michcik wynosił mu obszerne karło pod lipy na dziedzińcu, skąd było widać całą okolicę, i ustawiał je na kobierczyku. Kapitan spędzał tam dzień cały, sennymi oczyma patrząc w przestwór. Błada jego twarz, otoczona bujnymi włosami, bez ruchu spoczywała na dłoni. Częściej wszakże wsparta była bezwładna głowa o tylną poręcz krzesła, i oczy zwrócone w niebo. W konarach odwiecznych lip grały roje pszczół. Pachniał odurzająco subtelny, złotolity kwiat lipowy. Z rabat kwietnika, gdzie stały rzędem wątle balsaminy, goździki i kępy bratków, biła woń rezedy.

W dali za stawem widać było łąki okryte jeszcze trawami, które dopiero kosić zaczynać. Od młyna, nieruchomego w tej porze roku, dolatywał ciekły szmer wody cedzącej się ze stawideł, który w zupełnej głuszy coś wiecznego powiadał. Gospodarstwo prowadził Michcik. Pod jego przewodem wychodzili ludzie na pańskie, on pilnował parobków i dziewczuch folwarcznych, doglądał koni i bydła, stodół i spichlerza, spiżarni i kuchni. Sam także gotował obiady.

Wieś, złożona z jedenastu chałup, świeciła na czerwonym, kamienistym wzgórkunędzą swoich przegniłych dachów i ścian zmurszałych.

Jednego dnia w końcu czerwca, zaraz po obiedzie, Rafał siedział w cieniu lip obok brata; miał za chwilę wyruszyć na dalszą wędrówkę. Strzelba stała obok niego, torbę miał pod ręką. Czekał tylko, żeby południowy upał nieco zelżał. Wtem psy drzemiące

dźwignęły łby i poczęły naszczekiwać. Za budynkami, na drodze, dał się słyszeć turkot i wkrótce w tumanie kurzawy stanął przed wrotami jakiś pojazd. Za chwilę wpadła na dziedziniec para kusych kasztanów w lśniących szorach z herbami, zaprzężona do wolantki suto platowanej. Z powozu wyskoczył na ziemię smukły młodzieniec. Rzucił na ręce lokaja płócienny kitel i z pięknym ukłonem zbliżał się do siedzących.

— Książę Gintuł — szepnął do brata kapitan.

Rafał z oniemiałym zachwytem przypatrywał się nieznajomemu panu. Zapomniał oddać ukłon, a języka w gębie. Nie mógł oczu oderwać od jego kostiumu z ciemnego sukna i lśniącego obuwia. Książę Gintuł podszedł z uśmiechem do kapitana i serdecznie ścisnął jego rękę. Piotr wstał, ale przybyły osadził go zaraz na dawnym miejscu, a sam siadł na brzegu podanego krzeselka. Gdy zdjął kapelusz, Rafał miał możliwość podziwiania jego prześlicznych jasnych włosów, które w lokach spadały, i wdychania zapachu wódek, którymi piękny pan był zlany.

— Mości kapitanie, przybywam powtórnie dowiedzieć się o twoje zdrowie, choć mógłbym gniewać się do woli za wstręt, jaki żywisz, a co gorsza okazujesz. Wszak nie oddałeś mi wizyty w Grudnie... — mówił książę.

— Nie mogłem w istocie być w Grudnie. Sił mam coraz mniej... — tłumaczył się kapitan.

— Czy istotnie tak źle się czujesz?

— Źle się czuję. Upadek sił.

— Ach, to niedobrze! A jakież są symptomata twojej choroby? Bo na oko...

— Najbardziej widoczne symptoma to bicie krwi do piersi, do gardła, z czego częste krwotoki. Felczer z Włoszczowej krew mi puszczał kilkakrotnie, ale i to nie przyniosło zdrowia. Czuję po każdym krwie puszczeniu jeszcze większy sił ubytek.

— Czemu nie wezwiesz mego lekarza z Kielc, jak cię prosiłem?

— Alboż to lekarz może siły wrócić?... *Quand la poire est mûre, elle tombe...* No, a u księcia pana co nowego słyhać?

— Nic nie słyhać. Nudzę się.. Poluję, czasami trochę szaleję, a nade wszystko nudzę się... Często przychodzisz mi na myśl, stary towarzyszu.

— Dziękuję.

— Przeminięło wszystko! Jak nocny sen przeszło w dziedzinę śmierci. Nie ma nic. Pamiętasz nasze kadeckie czasy? Lekcje na szpady u Martina Dechamps? A Chillet i francuszczyzna przymusowa? A Kreys pocziwina z niemieckim? A stary tanecmistrz Davigni?

— Davigni... — powtórzył kapitan jak echo.

Uśmiech smutny jak łza spłynął z jego oczu i zawisł na wargach.

— Śliczna młodość nasza... Posłuchaj! Czy nie chciałbyś innej wziąć ode mnie wioski? Puszczę zastawem, którą zechcesz, na warunkach powszechnych, ale dogodnych, a w weselszym gdzieś miejscu. Bliżej Grudna i świata! Chciałbym częściej być z tobą, Piotruś. Tu pusto w tych lasach i piaskach, jakoś posępnie i nieswojo.

— Być może, ale, jeśli wola księcia, nie chciałbym się stąd ruszać. A że czynsz płacę do skarbu grudzieńskiego *accuratissime*, więc — dodał z uśmiechem — nie masz racji eksmisji. Zresztą pilnie karczuję pustki jałowcowe, staw szlamuję i zarybiam, łąki osuszam. Rowy...

— Zgoła jak ów Cincinnatus.

Ordynarna, niczym nieokryta ironia wionęła przez twarz pana, gdy to mówił.

— Cincinnatus — rzekł Piotr oschle i równie szorstko — nie osiadłby był...

Książę otarł czoło wonną chustką. Chowając ją do kieszeni, schylił się i znacząco powiedział:

— Jestem mocno przekonany, że *basis* twojej choroby — to nie bicie krwi, tylko... myśli. A na to istotnie ani felczer, ani lekarz najzawołanszy nic nie pomoże.

Piotr podniósł na niego oczy znużone i rzekł z niechęcią:

— Nie. Już zastaliło się serce. Myśli ustały.

— Jeśli tak, to czemuż tu siedzieć w guszy? Czemużbyś się wzdragał patrzeć w życie i poić nim, pókiś młody? Czytam w tobie jak w księdze. Te same tłamsisz w sobie zaskórne myśli, jak wówczas, gdyś mię na lekcjach Łęskiego, Hubego, Steynera albo później nocami w namiocie pozbawiał snu. Pamiętam straszne twoje rozmowy...

— Nie wiedziałem, że były tak straszne... — rzekł Piotr i zaśmiał się szyderczo długim i ostrym śmiechem.

Oczy księcia omgłiła duma i wzgarda. Mówił z wolna i grzecznie:

— Dziś już mowa twoja nie potrafiłaby wyrzynać na mym sercu owych bolesnych hieroglifów.

— Bo też i obiektu samego rozmowy nie masz. O czymże tu mówić? Najlepsza, co każdy z nas uczynić może, to milczeć. To jest *sors* takich jak my...

— No, śmiać się jeszcze przynajmniej pozwól. To naturze ludzkiej nie wadzi... Cóż u licha! *Il n'y a si misérable qui ne puisse se consoler dans ses malheurs...* Kiedy wstecz patrzę, czy wiesz, czego najbardziej żałuję? Oto tego, że przez czas tak długi śmiał się tak mało, że tak długotrwanie był sensatem!

— Dobrze mówi nasze chudopacholskie przysłowie: „Wolno panu, jako panu”.

— No... pewnie. Toż pamiętam, że kiedy nas z korpusu, dla braku kawalerów do tańca, zapraszano na pokoje królewskie, tyś mię zawsze odmawiał i sam... za nic, choć obaj ślicznie tańczyliśmy. Powiedz, czemuśmy się wtedy nie bawili? Czemu nie poznawaliśmy dworu, świata, cudnych kobiet?

Rozmowa urwała się. Książę chłodził się, z lekka pochylając kapelusz. Oczy jego z natarczywą uwagą spoczywały na twarzy Piotra, który siedział patrząc w ziemię z taką grzeczną obojętnością, jakby przed chwilą rozmawiał o upale albo o szemraniu pszczoł. Po długim milczeniu książę rzekł twardo i sucho:

— Jest to sztych nieodbity. — Wreszcie cóż począć! Żadnej rady, żadnej, żadnej! Ziemia tylko pod stopami została, niebo nad głową. Słońce i nam świeci. Podnieść oczy winni jesteśmy — i żyć. Piotrze, mówisz, żeś wziął determinację po dojrzałszym namyśle, a mnie się widzi, że wciąż krzywo myślisz.

— Wszakże to nikomu szkody nie przyniosło i dziś nie przynosi.

— Tobie przyniosło szkodę! Zabiło w tobie dzielne, przyjemne, czynne uczucie.

— Wdzięczny jestem księciu za wyrażoną kompasją... Ale, jak sam mówisz, cóż począć? *qui ne sait nager, va au fond*. Ja należę do bardzo złych pływaków. O jednego też mniej. I to wszystko. Niech inni podnoszą głowy — i żyją.

— Nie chciałbym mieszać się i wchodzić w twe życie... Tylko... Na jednej ławce siedzieliśmy, w jednym glicie stawaliśmy w szkole i w polu. Widziałeś mię przy sobie w bitwach. Przecież sam dobrze wiesz, jak cię kochałem... — wybuchnął.

— Mości książę...

— Wiem, co mówię! Nikt nie był bardziej niż ty gotów do hazardu życia. Ale też... Gdy teraz na ciebie opuszczonego tutaj patrzę, zda mi się, że spełniam zbrodnię. Dlaczego jesteś taki? Tak inny? Smutny? Czego chcesz? Cóżemy mogli czynić więcej? Staliśmy oko w oko, pierś przeciw bagnetowi, na grobli, w opłotkach Chebdzia... Tyś zrobił swoje nie gorzej od Żółkiewskiego...

— Milczałbyś oto waćpan! — rzekł Piotr grubiańsko i ordynarnie. — Żółkiewski nie odszedł żywy z placu honoru. Waćpan nie wiesz, czy jak? Dał głowę. Tak jakby ją kazał wbić na spisek dla wiekuistego przestרחu pokoleń. Nie wyprzysięgł się pod mieczem swego Boga.

— Bo też i było o co karku pod cios nadstawić. Ale ty, mospanku, wspomnij tylko, coś za dni swych widział. Byłaż to pospolita rzecz Żółkiewskiego? Te stada ludzkiego byłaż z szablami u boku, którymi na sejmikach rąbało każdą głowę mądrzejszą. Gdy sobie wspominam owe bandy jurgielne, owe pyski ryczące na rozkaz, owe puste, nikczemne, golone lby, które miały władzę stanowić — żal się Boże! — prawa... wyznaję, wyznaję...

Na twarz Piotra Olbromskiego wydobył się uśmiech spod serca, coś jak przykre tchórzostwo. Książę ciągnął dalej:

— Toż pamiętam aż do tej chwili sejmiki. Sejmiki! — powtórzył głosem najbardziej zjadliwym, jaki tylko być może. — Mój ojciec... kandydował. Wyszedłem był wówczas ze szkoły i na owe sprawy patrzałem ze czcią, jako na rzeczy święte. Towarzyszyłem ojcu. Pomnę, gdyśmy przejeżdżali obok podmiejskiego błonia, gdzie się mieściło obozowisko panów braci, równych wojewodzie... Nigdy nie wyjdą z mej pamięci owe namioty na drągach okrytych brudnymi płachtami, budy z gałęzi, żerdzi i darniny, gorejące ogniska, gdzie zarzynano woły naszego kontrkandydata i pieczono ćwierci na rożnach. Beczki piwa i miodu, kufy gorzałki — cha, cha! — stały tu i owdzie, a dokoła nich taczała się

Polak, Polska, Historia,
Szlachcic, Walka, Państwo,
Obyczaje

z garnkami, ze szklankami, z dzbankami i skorupami w ręku istna horda tatarska, zwana partią naszego antagonisty. Chude szkapska wałęsały się tu i owdzie, łudząc do reszty, że się jest w obozowisku kipczackim. Panowie bracia w kapotach, w opończach, burkach, w butach wysmarowanych dziegciem albo i bez butów, ujrawszy nas jadących poczęli coś wniebogłosy ryczeć i wyrwać z pochew szable. Tęgoż dnia wzięli się do rabunku sklepów żydowskich, do wybijania szyb, odrywania okiennic...

— Po cóż to wskrzeszasz, mości książę?

— Po to, u licha, żebyś nie płakał nad rozwiązaniem praw onego bydła, twojego raj. Prawo to musiało być rozwiązane.

— Ów raj był waszym, magnackim. Sam to mówisz.

— Mój ojciec przeplacał, żywił, rozpajał swoją bandę, to prawda, ale w jakimże celu? Żeby walczyć w sejmie o dziedzictwo tronu. Zaiste czynił to wbrew własnemu interesowi. Boć jeżeli kto, to pan mógł się czuć dobrze na tej drodze otwartej, która go wiodła, jeśli chciał, aż na tron.

— Dawnom to już wszystko rozważył i na jedno przystał.

— Temu właśnie, na coś przystał, zaprzeczam.

— Już nic nie zmieni tego, co w sobie zamknąłem.

— Siedząc w samotności, wśród śniegów i lodów, myślałem i ja także dniami i nocami. Myślałem głównie nad tym, że w samej istocie rzeczy przestałem być sobą, panem. Nie przewyższałem otaczających niczym a niczym. Ja ich — niczym! Jeśli chcieli, gardzili mną. Gdy byli nastroszeni wspaniałomyślnie, maczali koniec palca w wodzie i zwilżali moje zgorzałe wargi. Wówczas powinienem był wielbić ich, gdyż mogąc nie uczynili mi nic złego. Nie ratowała mię nawet rodowa duma, bo gdym w nią z rozpaczą bił pięściami, wydawała nie dźwięk miedzi, nie szcęk stali, nie wzgardę wszystkich, czym była przez wieki, tylko jęk twoich długich, mądrych wywodów. Wtedy to olśniła mię ta myśl, którą czczę teraz. Znalazłem w sobie skałę i na niej stanąwszy uczułem moc w duszy i siłę w oczach. Przestałem być niewolnikiem i oczy moje nabrały blasku. Ujrzałem życie, ujrzałem je całe. Trzeba w sobie mieć wszystko, trzeba samemu dumną głową przewyższyć wszystkich, mieć w sobie młodą siłę, mocniejszą niżeli śmierć. Trzeba w swoich wnętrznościach nosić potęgę lwa szalonego, a o resztę wcale nie dbać. Powiedz no, waszmość, zaprzecz, jeżeli możesz, czy kiedy czułeś się bardziej człowiekiem niżeli wówczas na stepie podolskim, kiedyśmy właśnie tak czuli? Nic, tylko — my! My — to świat! Reszta niech posłusznie milczy. Takież w tych samych miejscach był i twój Żółkiewski, kiedy króla i całą Rzeczpospolitą na ręku piastował. Byłoż co w twoim życiu lepszego niż owe noce nasze hulaszcze czasu kampamentów pod Braclawiem, powroty do obozu nad ranem z nocnych patrolów? W cóż się obróciły troski nasze, męki, *vulnera, vincula, exilium*? Nic z nich dla duszy. Tylko strupy hańby, wypomnienia zniewag budzą i dziś jeszcze po nocach. Tęskny w dumaniu nawrót wiedzie do tych rozkosznych futorów okolonych sadami wiśniowymi, które się tały w przestrzeni stepu. Do rozkosznych miłostek, do hucznych pijatyk, dzielnych harców! Gdy nam powiedziano radosne słowo powrotu, pierwsza moja myśl była: inne życie. Już mię surowe twoje obowiązki nie zmamią. Słyszysz waćpan?

— Słyszę dobrze.

— I nie myśl, żem spodłał. Nie! To, co ty śnisz, to jest złudzenie, błąd za długi. Ze wszystkiego najgorsze jest to, że się sam zabijasz. Jedno jest złe na świecie — to śmierć. Wszystko, co jest życiem — jest dobrem.

Piotr obojętnie milczał.

— Gdy wróciłem — mówił książę — zastałem wszystko daleko lepiej, niżem sądził. Warszawa pusta — to prawda. Pusta i opuszczona jak stary cmentarz. Dziedzińce pałaców trawą zarosłe, okna wybite albo zasłonięte. I moje tam własne gniazdo takie samo. Ale za to materialne interesy nigdy tak nie stały jak dziś. Byłoż kiedy zboże w takiej cenie albo ziemia? Uszom własnym wierzyć nie chciałem, gdy mi komisarz wartość kluczyków przedstawił. Samo Grudno dwa razy tyle jest warte, a w trójnasób powiększyła się moja fortuna, osobliwie w Prusiech Południowych.

— W Prusiech Południowych... Skoro tak, to może i mnie łatwiej będzie odegrać rolę Cincinnata na twój koszt, mości książę... — rzekł szybko Olbromski.

Oczy jego świeciły się jak płomyki, a lica pały barwą ceglastą.

— Z ochotą... O cóż to idzie?

— Żołnierz, który mię z pola wyniósł na rękę, jest twój poddany, z twej wioski rodem. Służy teraz u mnie za huzara, za kucharza i podstarościego. Chciałbym mu się odwdziżyć, a nie mogę, jakbym pragnął. Otóż...

Książę Gintułt patrzył mu w oczy ze skrytym złym uśmiechem.

— Uwolnić „obywatela” ... jakże mu tam?... z poddaństwa, zrównać ze sobą, podnieść, uszlachcić...

— Niestety! nie tylko jego. Pragnąłbym zratować całą tę wioskę. Jest to włość nędzna i bardzo biedna. Pańszczyzna w takich warunkach... Właśnie wygotowałem na piśmie plan, obliczenie...

— Czyż możesz wątpić? Z największą gotowością każę rozpatrzyć wartość i jakość ich ziemi, znieść pańszczyznę, skoro sobie życzysz, oczynszować. Jedno tylko: majątek nie jest mój własny, mam braci i siostry nieletnie, toteż rada opiekuńcza będzie musiała potwierdzić moją decyzję. Dłużej to potrwa. Ale będę w tym.

Olbromski dźwignął się z krzesła, jakby się chciał schylić do nóg księcia. Rafał, który z dala, bez ruchu, stał obok płotu przypatrując się tej scenie, uczył na widok tego gestu pokory brata wściekły w sobie gniew i taki poryw dumy, jak nigdy jeszcze w życiu. Coś w nim wybuchnęło jak słup ognia. Nie mógł zrozumieć, skąd ta służalczą czolobitność w zimnym i wyniosłym oficerze, nie pojmował radości, która na twarzy brata jawnie się paliła.

Uczucie sympatii jego w tej sprawie było po stronie księcia.

Piotr, tak na poły stojąc z rękoma opartymi na poręczach krzesła, wołał:

— Michcik, Michcik!

W głosie jego było coś niebywałego. Oczy miał szeroko rozwarte i pełne łez. Rozchylone usta śmiały się wszystkimi zębami. Po chwili zwrócił się do księcia i prześliczną chudą ręką ścisnął jego kolano z szepem:

— Dzięki tobie mam... mam na tej ziemi... jeszcze jeden dzień...

Michcik zbliżył się wyprostowany, z dłońmi wzdłuż bioder.

— Do nóg panu dziedzicowi!... Pan kapitan... książę... darował ci...

Zaledwie żołnierz zdążył schylić się i objąć kolana książęce, nowe uczucie zaświeciło w oczach Piotra. Ks. Gintułt z całej siły odtrącił chłopca. Wzrok jego był pełen gniewu i szyderstwa.

— Nie znoszę tych scen czułych! Wiesz chyba waćpan... Nie jestem stworzony do bukolik. Szczególnie po tym wszystkim... Oto w tej chwili najbardziej żywo uczulem nienawiść do tego wszystkiego, czymeś mię waćpan przejął swego czasu. Mam nieprzełamany wstręt do tych szlachetnych słabości, do owej dobrej niemocy, której tyle lat uczyłeś mię nie bez skutku. Zaprawdę, wstrętna to jest rzecz. Wierzaj mi, waszmość.

— Nie rozumiem... Zgoła nie wiem...

— Mówię — ciągnął książę porywczo — że moja zdrowa, wielka, silna rasa, a i twoja, przypuszczam, otrząsa się jak po emetyku, po owych ckliwych cnotach... Dusilem się zawsze, dziś ci otwarcie powiem, w owym powietrzu sejmu, a teraz to już do cna... Przekładam potęgę ducha, wolę, siłę, dumę, królewskość takiego prymasa Ponińskiego nad wasze ckliwe sentymenty...

— Cóż to za nierozważne słowa!...

— Gdym teraz patrzył na twoje oczy szczęśliwe aż do śmierci, zapalone po dawnemu, bo teraz już zagasły, najwyżej uniesione, jak tylko to być może, uczulem w sobie twoje właśnie dawne oczy, uczulem w sobie owe słabe i godne wzgardy obszary ducha, któreś zepsuł, zatruił niskimi wzruszeniami. Takie szczęście należy się czemuś innemu. Takie wzruszenia winny poprzedzać dzieła Warnieńczyka, Chodkiewicza, Sobieskiego... Cóż by człowiek był wart, gdyby ciągle chodził w twoich kajdanach obowiązku względem małuczkich, w dybach litości względem słabusińskich, współczucia względem cuchnących? Jakież to czyn można wówczas wykonać? Powiedz... Czy można? Ty się tak radujesz, żeś chłopca wyprosił z poddaństwa, jakbyś góry dźwignął z miejsca.

— Istotnie, moja radość nie ma granic.

— Z tego, żeś nie jego dźwignął, bo on zostanie sobą, tym, czym jest, ale żeś sam na dół zeszedł z wyżyny, na padół, na nędzny jego padół. Ty sam, który jesteś świat, zamiast iść ku wyżynie, zamykasz swe aspiracje w świeateczku Michcika czy kuchcika.

Jemu samemu krzywdę czynisz, bo go dźwigasz, niesiesz na sobie. Wolę jego, siłę, potęgę ducha skazujesz na los wozu, który koń ciągnie.

— Słowa, słowa.

— Nie słowa. Gdy teraz spojrzę w świat, w mój świat, ogarnia mię duma, że do niego z krwi, z mięsa, z kości, z każdego włókna należę. Co za ludzie! Każdy inny, każdy odmienny, każdy sam w sobie jedyny na świecie, każdy zaiste — pan. Gdzież był kiedy na ziemi świat podobny? Samuel Zborowski, Łaski, Radziwiłły!... A Czarniecki? a Sobieski? Kto każdemu z nich kazał czynić to, co czynili? Wszystko ze wspaniałego serca... Każda do rzeczypospolitej droga zawałona trupami ich, po dzikich polach pamiętki, od Warny po Wiedeń szlak drogi. Wyście to znieważyli pamięć tego świata, mędrkowie. Co gorsza, wyzwoliliście motloch, żeby się ośmielił rękę podnieść na pany.

Twarz Olbromskiego targnęła się i prawa ręka zaczęła niecierpliwie szukać, macać koło siebie.

— Jesteś chory... więc milknę... — rzekł książę.

— Zraniłeś mię...

Tyle tylko Piotr wyrzekł, ale wzroku od księcia nie odwracał. Oczy jego przybrały dziwny wyraz, który Rafał widział już ze drżeniem. Patrzyły jakoby wystygły popiół, w którym ani jedna już iskra utrzymać się nie może. Jeśli się roznieci, to zagasa po krótkim, po szalonym drganiu w sypkiej martwicy. Książę rzekł patrząc mu prosto w oczy:

— Dowiódłbym ci, gdybyś zdrowie miał lepsze, że te twoje palladia były jak owa żaba Lafontena.

— Nie mów już więcej do mnie, mości panie... — cicho wykaszał chory.

Książę Gintuł leniwym ruchem dźwignął się z krzesła i rzekł przez zęby ściśnięte:

— Zdałbyś mi waćpan rachunek z takiego rozkazu, gdybyś oto mógł stać na nogach.

— Rachunek! — piorunującym głosem zawołał Piotr. — Rachunek zdać jeszcze jestem gotów! W tej chwili... Michcik!

— Toż widzisz chyba swój stan, że zabiłbym cię od jednego sztychu.

— Mam prawo wyboru. Dawaj pistolety!... Są świadkowie.

— Cóż za świadkowie? Nie widzę...

— Brat.

— A... pan brat. No, to pewno twój. Dla mnie łaskawie zostawisz „obywatela” Michcika.

Olbromski milczał dziwnie. Rzekł jeszcze z cicha:

— To żołnierz...

Wtem głowa jego upadła na poręcz. Twarz stała się biała jak masa gipsowa. Na wargach pokazała się krew, a pot kroplisty na czole. Ciało poczęło drżeć. Suche oczy z wolna oglądały daleką przestrzeń.

Michcik, który stał ramieniem oparty o pień lipy, zbliżył się do swego pana i zaczął do niego coś mówić jękając się tak bardzo, że ani książę, ani Rafał nie zrozumiał słowa. Po pewnej chwili, widać, kapitan dał znak schyleniem powiek, bo Michcik wsunął pod niego rękę, wziął go jak niemowlę i niósł do domu. Piękna głowa Piotra zwiśla na jego ramieniu. Rafał szedł za Michcikiem, sam nie wiedząc, co czyni. Książę pozostał na miejscu. Nie spojrzął nawet za odchodzącymi. Gdy żołnierz wszedł do pierwszej stancji i był na jej środku, niespodzianie ostrym i dzikim głosem czegoś wrzasnął raz i drugi. Rafał przypadł do niego.

Michcik z wolna, ostrożnie upuścił Piotra na sofę stojącą pod oknem. Chory ukląkł na niej bezwładnie, siadł na nogach. Barki jego osunęły się na ramę otwartego okna, a głowa jak lity kamień odwalila się i głucho wsparła o futrynę. Rafał zajrzał z przerażeniem w tę twarz. Ujrzał dolną wargę przygryzioną przez odkryte zęby górnej szczęki, uśmiech nieopisany zawarty w tych ustach — i oczy. Nieruchome przezroczyście źrenice patrzyły w staw czy pola. Patrzyły łagodnie i ciekawie z żalonym przymileniem. Zdało się Rafałowi, że brat zapatrzył się w coś, jak to bywa czasu smutku, w barwę daleką, że się zasluchał w szmer ciekącej wody, że się może wmyślił w tajemnicze westchnienie serca, na rozstajne drogi zbłąkane... Ale oczy Piotra, patrząc tak w odłogi, zmierzchły, zastygły i skostniały. Wątle jego ciało leżało bez ruchu jak porzucona przez wędrowca opończa. Michcik troskliwie wsunął rękę pod bezwładną głowę i chciał złożyć zmarłego na sofie,

ale Rafał oderwał jego ręce. Uczuł w sobie nagle tak niezgłębiony ból, jakby mu wilk rozszarpał piersi i wydzierał serce.

— Niech sobie patrzy... — zdołał wyszeptać.

Przyszła nań świadomość, że może zmarły brat jeszcze widzi ziemię i wodę. Może słyszy ostatni raz szelest liści i całuje go w mrokach ostatnim dreszczem serca...

Nabożna trwoga odezwała się w nim jak głos surowy, mówiąc w głębi ducha, że nie wiadomo, co w owej chwili odchodzący czyni, nie wiadomo, czy nie żegna się z polami, z pracą swą, czy się nie modli...

Odstąpili tedy obaj ze czcią i, z dala stojąc, modlili się sami w cichości. Ale wnet chłop począł łkać i stękać. Bił się w piersi twardą pięścią żołnierską. Sylaby, urywki słów pacierza wylamywały się z jego warg szerniałych, jakby straszliwa, zaciekła groźba, jakby pozywanie na sąd i zaprzysięganie wobec życia. Wtem usłyszeli za sobą szczeł kłamki.

Książę Gintułt wszedł do izby. Cicho zbliżył się do zwłok kapitana, schylił się... Po chwili syknął jak po sparzeniu, strzepnął palcami i kazał Michcikowi położyć zmarłego na sofie.

Wkrótce zwłoki odziano w owo codzienne ubranie, gdyż nawet wojskowego munduru nie było. Szpadę tylko ze srebrnym feldcechem, zdjętą znad łóżka, położono mu u boku, a mały portret dowódcy na piersiach. Dwoma wytartymi miedziami przyciśnięto oczy...

Książę Gintułt siedział w zamyśleniu na krześle i przypatrywał się nieboszczykowi. Rafał wyszedł do drugiej izby, która zmarłemu za sypialnię i kancelarię służyła. Przysiadł tam na kufrze. Obiegły go teraz myśli innego porządku. Zaczął rozglądać się w rzeczach i uczył łakomą żądzę posiadania rozmaitych sprzętów brata. Przede wszystkim rzucały się w oczy przybory myśliwskie, rzemienie, baty, dobre siodło... Pod oknem mieścił się stolik do pisania z szufladą zamkniętą na klucz. Ta właśnie szuflada zajęła imaginację Rafała. Ubierając zwłoki Michcik wyrzucił był z kieszeni klucz od tego stolika. Rafał widział ów klucz wypolerowany od częstego użycia, lśniący stalowym połyskiem, i czekał chwili właściwej, żeby go chwycić. Bał się jednak poruszyć, lękał głośniejsz odetchnąć... Na samą myśl, że książę Gintułt pocznie z nim rozmawiać w taki sposób jak z bratem, że zada jakieś pytania, czuł przestрах i chęć ucieczki. Tymczasem żądza zagarnięcia klucza i otworzenia szuflady, ciekawość, co też tam być może, paliła go i podrywała z miejsca. Wtem do izby wszedł znowu Michcik z parobkami w celu wysunięcia sofy na środek. Spostrzegłszy klucz na ziemi, podniósł go i oddał Rafałowi mamrocząc i wskazując gestem, że to jest klucz od stolika. Rafał natychmiast wysunął szufladę. Nie było tam nic ciekawego.

Trocha pieniędzy i papiery, przeważnie oficerskie, jak szarże, ordynanse, rozkazy, plany, mapki piórem rysowane i listy. Był także osobny zeszyt z grubego papieru, oprawiony w zieloną skórę, w którym kilka pierwszych stron było zapisanych ręką zmarłego.

Wszystkie te papiery Rafał złożył systematycznie, związał sznurkiem i postanowił zatrzymać dla siebie. Pieniądze wsypał do kieszeni z niemalym zadowoleniem. Był tak zajęty gromadzeniem spadku, otwieraniem szafy i kuferka, a nade wszystko rozpatrywaniem rzemieni, że ledwie spostrzegł, kiedy książę wyszedł i odjechał. Wówczas zlustrował dom cały. Niektóre rzeczy wspaniałomyślnie darował Michcikowi, inne parobkom, kilka przeznaczył w myśli dla matki i siostr. Zajęcia tego rodzaju zabrały mu cały czas aż do zmierzchu.

Ściemniało się, kiedy z kościoła w Grudnie, odległego o wiorst kilka, przywieziono, widać na polecenie księcia Gintułta, świece kościelne i babę-trupiarkę. Wnet zapalono świece osadzone w wysokich czarnych lichtarzach i ustawiono je dwoma rzędami obok ostatniego posłania mieszkańca tego domu.

Wóz odjechał z powrotem. Słychać było klekot jego kół, oddalający się w głębie mroku... Michcik urządził Rafałowi łóżko w spichlerzyku, zupełnie pustym w tej przednówkowej porze. Rozłożył tam wiązkę siana świeżo zwiezionego z łąki, zasłał je pościelą. Ale Rafał nie myślał o spoczynku. Siedli obadwaj z żołnierzem we drzwiach spichrza, jeden na wysokim progu, drugi na klocku drzewa, który za stopień służył, i nie mówiąc do siebie patrzali w noc. Jarzące światło biło z okien dworku. Umilkło wszystko, nawet psy nie szczeptały w wioskach sąsiednich.

Zrazu, po zachodzie słońca, panowała ciemność zupełna. Nad wzgórzami, które za dnia widać było w głębi horyzontu, wisiały teraz ciemne osłony nieruchomych chmur. Tylko woda słabo lśniła od poświaty gwiazd błyszczących w zenicie. Około północy nad

owymi spiętrzonymi chmurami ukazał się brzask wschodzącego księżycy. Zarysowały się brzegi ciemnych obłoków i wyniknęły niezliczone ich pokłady, a między jedną a drugą bryłą jakoby poprzeczne doliny w niezmiernych górach. Dalekie przestrzenie, otchłanie i wysokości ukazały się oczom w tej odległej jakoby ziemi. Złoto-biała obwódka, zrazu niejasna i pełna lęku, poczęła się na szczycie obłoku. Wkrótce stała się świetlista i silna niby namiętny, daleki, daleki śpiew... Pierwszy nadmierny jej błysk zważył się na cyplu i rozpędziwszy ciemności zleciał w głębokie doliny między chmurami. Wówczas przedziwna luna rozświetliła gnuśne obłoki, ukrytą ziemię, lasy, pola, pustkowia i wszystkie tajemnice nocy. Wolno wypłynął księżyc na firmament bez skazy. Skroś rozległej powierzchni stawu strzeliła pręga ognista, drżąca, jakoby droga daleka, droga grubym szczerozłotem wysłana do onego przedwiecznego kraju gór. Solenna cisza nocy stała nad tym szlakiem, płonącym w nocnej głębi. Olchy wybujałe schylały się ku niej spod nieba, patrząc weń przerażonymi gałęzmi. Nadbrzeżne wierzby, stojąc w promieniu księżycy, odbiły w wodzie wizerunki swych pniów strupieszających z zielonymi głowami. Ani jeden wietrzyk nie dotknął wody, ani jeden powiew nie udźwignął schylonych mieczów tataraku. Chwilami lustrzaną toń rozdzierały ostre skrzela grzbietowe okonia. Wrzynały się jak piła w złocistą drogę. Kiedy niekiedy plusnęła płotka igrając z radosnym blaskiem księżycy. Cieszyła się, gdy szły od niej wolno, rytmicznie i jakby przez sen kręgi lekkie, nicestwiejące, obciążone grubym, falistym złotem, i znikaała w żywiole ciemności. Widać było muchy wodne na szudlastych nogach z wielkimi stopami, deptące jedwabną głębinę, i daleki, daleki kwiat lilii wodnej, nieruchomo śpiący na brzegu szerokiego liścia. Kropla rosy nocnej świeciła się w złotym kielichu lilii jak żywa gwiazda.

Czasem z zarośli, z szuwarów, z gąszczów olszowych wydobywał się nieuchwytny głos, echo radości, rozkoszy, rozpacz, walki, głos nie wiadomo czyj... Czasem zlatująca woda wydała dźwięk głębszy, który przepłynął okrąg i coś mu nakazywał czy głosił. Słuchacze nastawiali uszu, żeby pochwycić jakowys szmer spod fal... Ale już wówczas cisza była wszędy aż do następnego momentu, kiedy znowu we śnie westchnie woda...

Rafał wyjął z kieszeni książeczkę oprawioną w zieloną skórę z wyciskany złotym brzegiem, otworzył ją na pierwszej stronicy i przy jasnym blasku księżycy czytał pismo brata.

„Został poza mną ojciec i poza mną została matka. Jestem sam i sam idę, podobnie jak same jedne odchodzą za bramy cementarne zwłoki człowieka.

Oto w mrokach nocy kołatała się głowa moja po wezglowiu, a w niej wałęsały się myśli, niby kroki obłąkanego człowieka, idąc i powracając od ściany do ściany, bez końca, po izbie nędzy i nicości.

Najlepszy towarzysz i ostatni przyjaciel, sen, błąka się bosymi nogami dokoła mojej pościeli, schyla się nad ciągle trzeźwą, nad nieustannie otwartą źrenicą i, wzdychając boleśnie, odchodzi, z cicha szumiąc sukniami cieńszymi niż włókna pajęczyny.

Zeszła na mnie straszliwa niemoc: fizyczne cierpienie duszy. Zamieniłem się w byt obcy samemu sobie, nieistniejący w naturze, zbłąkany w zewnętrzny świat. Jestem jak świat sobie samemu nieznan, przemierzły dla rozumu człowieka. Jestem jak świat, który by się stał samym tylko i dla swego celu istniejącym cierpieniem.

Ty się ze mną pozostań!

Jako cel mojego krzyku byłeś wówczas, gdy w dniach utrapienia ludzie poczęli zostawać za mną, jedni z obojętnością zdrową dla nich, a twardą dla mnie jak rzemienny bat, a inni ze współczuciem przystającym, gdym się nie spodział, a inni z miłosierdziem, które wylewa krynice dobrych łez, ale nie ma siły wyteżyć kroku, i ci wreszcie, ostatni, którzy szli za mną trop w trop na górę udręczenia, dopóty aż się na poły umarli, bez sił i tchu, u stopy mojej wiecznie idącej, twarzą w proch walili ślad mój całując.

Odraza spadła na moje oczy, błądzące po ziemi z cypliska góry udręczenia. Ten cudny świat mojej młodości zmienił się w wydniętą piaszczystą. Boli mię szelest liści, nęka zapach kwiatów, dokuczają mi widok zorzy porannej i zorzy wieczornej. Usłyszałem cichy szelest godzin nieżywych. Usłyszałem

cichy krok rozpaczy idącej ku mnie...

Ratuj mię, o Przyjacielu duszy mojej!

Miałem Cię koło siebie wśród świstu ołowianych kul, wpośród trzaskania granatów z żelaza, pomiędzy błyskiem schylonych bagnatów, w szczękę szabel i lanc pędzącej konnicy, gdy oszalałe żrebce trzęsą się i stękają, a zdrowy i tęgi żołnierz dygoce na całym ciele.

Gdy góry ołowiu zwały się na moje piersi, a ognie zapłonęły we włosach, uczulem Cię w oczach pełnych żółtej ciemności, jako światło przychodzące.

Gdy myśl niewymówiona, sama siebie stwarzająca, jedyna, straszna strasznych żywota: — Oto umieram! — przebiła na wskroś moją głowę, poznałem Cię, o Bracie, stojącego w głowach moich...

Tyś wezwał chłopca z szeregu, który w popłochu uciekał, żeby się twarzą w twarz przeciwko idącej śmierci obrócił. Tyś włożył w jego piersi męstwo nadludzkie, na jego rękę udźwignąłeś mię z ziemi.

Tyś to uczynił, któryś jest Bóg, czyli Miłość.

Czemużeś przed wiecznością zamyślił ten uczynek, a wtedy go wykonał?

Czemużeś się uniżył aż do ran moich wylewających krew zropiałą, aż do wzdrygnięć i tchórzliwych skuleń ciała, do wstrętnego cierpienia, do przestraszenia rozsiewającego milczenie, do potu zmazującego czoło i do nikczemnych lez?

Czemuż skinieniem błogosławionym oddaliłeś śmierć, a jednym chłopskim spojrzaniem i jednym pogłaskaniem uciszyłeś wszystką burzę męczarni?

Ty wiesz, Ty jeden wiesz, jak było żywym piersiom oddychać powietrzem, a zbudzonym oczom patrzeć na świętą wolę dusz w łykach.

Ty wiesz, że lepiej by głowie mej było na skrwawionych kościach w pospólnym dole...

Dzisiaj, gdy uspokojony leżę beczynnym, tylko senne i nędzne przeczucie mówi mi o Tobie. Jestem jak uciszona woda stawu, w której odbiło się niebo z jego wicherzatyimi chmurami i z jasną otchłanią lazuru. Ale jak przemija odbicie chmury w toni stawu, tak ucieka przeczucie z duszy mojej, i tylko ciemność bardziej okrutna niż kiedykolwiek przenika ją aż do samego dna.

O, Boże, którego stopy dotknąłem żrenicą i ustami spalonymi przez męczarnię, ukaż raz jeszcze trzeźwym oczom powszedniego dnia bytowanie Twoje.

Wyrwij z piersi przebiegłe zwątpienie i chytry rozmyśl, które się unoszą w kole widnokręga, a wracają nie do mózgu, lecz do serca, i wałą się w spracowane, cięższe od glazu, na podobieństwo westchnienia.

Wyrwij z serca westchnienie, które w nim leży cięższe od glazu, i daj mu odpocząć u stopy Twojej, jak w dniach płomiennych pozwoliłeś odpocząć krzykowi rozpaczy.

Ty, który mocen jesteś uczynić to, coś uczynił, wyrwij z serca niewierną myśl i wlej w nie błogosławioną potęgę ciszy i zaufania.

Niechaj się raz jeszcze rozraduję w miłości jednej, pospólnej z Tobą, niech wyznam na łonie Twoim krzywdę mą i niechaj zazna serce moje wiecznego spokoju na Twoim sercu, któryś jest Bóg, czyli Miłość...”

DRZEWA W GRUDNIE

Cały dzień następny zeszedł na załatwianiu spraw dotyczących się pogrzebu. Michcik ruszył do miasta Włoszczowy po trumnę, a Rafał do proboszcza w Grudnie. Tam jednak wszystko już było zadysponowane przez księcia. Rafał dowiedział się tylko, że zwłoki mają być tego jeszcze dnia przeniesione do kościoła. Wrócił tedy do Wygnanki i zajął się wysłaniem listu przez umyślnego do rodziców. Nim napasiono konia i nim się sam goniec odpowiednio najadł a wypytał o drogę, nim wreszcie Rafał list obmyślił i wystylizował, miało się już ku wieczorowi. Deszcz, który zaczął być padać około południa, lał strugami. Michcik, przemokły do suchej nitki, wrócił z trumną i ułożył w niej na wieczny

spoczynek ciała swego pana a towarzysza.

Ledwie to wszystko było załatwione, wpadło na podwórze ze sześć pojazdów, kilka bryk, bryczek i wozów. To książę Gintuł z całą swoją rodziną i dworem przybył dla asysty w czasie przewiezienia do kościoła zwłok kapitana. Rafał był tak oszołomiony mnóstwem tych niezwykłych figur, że ledwie zdołał wyleźć ze swego spichlerzyka. Przed oczyma jego wyskakiwały z karet, bastard i powozów młode i stare, prześliczne i paskudne kobiety, wspaniali panowie... Wszyscy z przybranym wyrazem najgłębszego uszanowania wchodzili we drzwi niskiego dworu. Był także proboszcz z organistą i służbą kościelną.

Dzień się już kończył, więc hajduki, służba leśna, stangreci i lokaje zapalili smolne kagańce. Przy blasku posepnych płomieni, ze śpiewem kościelnym wyniesiono trumnę. Wśród dziedzińca stał prosty, czterokonny wóz, wysłany słomą i okryty wielkim kobiercem. Na nim ustawiono i przymocowano powrozami trumnę. Ksiądz zakasawszy poły sutanny ruszył przodem. Za nim szli ludzie z pochodniami. Tuż przy trumnie brnął książę Gintuł, za nim owe piękne i brzydkie panie. Szaty ich brudziły się, a nogi tonęły w błocie rozmięklej drogi. Mimo to żadna do powozu nie wsiadła. Dopiero za tą wspaniałą czeredą szedł z dala onieśmielony Rafał. Przy nim Michcik. Gdy orszak pogrzebowy mijał wieś, wychodzili z chat chłopci w brudnych koszulach, w zgrzebnych wystrzępionych portkach, baby we wstrętnych krótkich spódnicach, kołtuniaste, półnagie dzieci. Wszystko to z otwartymi ustami dziwowało się patrząc na wspaniałą pochód, a dopiero gdy ognie były już daleko, wioska ruszyła się i postępowała w dali od pańskiego orszaku. Za wsią droga zniżała się między dwie lesiste góry nad rzekę i brzegiem jej ciągnęła. Był to w owej chwili szlak błotnisty, porznięty wyrwami, a tu i owdzie zawalony mnóstwem kamieni. Mimo to wszyscy wytrwali w pochodzie. Ubłoceni do kolan, w nocy już zbliżali się do Grudna. Deszcz nacichł, choć szemrał jeszcze.

Gdy orszak zbliżał się do alei grudzieńskich, Rafał szedł tuż obok pańskiego tłumu. Ośmielił się. Głowa jego była pełna niedorzecznej pychy z tego tytułu, że to on właśnie, na którego nikt uwagi nie zwraca, jest rodzonym bratem tego, komu takie honory czynią. Pragnął w jakiś sposób dać znać o sobie, zwrócić uwagę... Odzywał się półgłosem do Michcika, pytał go o różne szczegóły, dawał zlecenia. Żołnierz podnosił wówczas głowę i blade, osłupiałe oczy wlepił w niego, coś tam mamrocząc. Na twarzach większości pań i panów malowała się szczerza wściekłość, gdy trzeba było brnąć w poprzek bajorów nigdy niewysychających. Szczególnie jedna podstarzała dama, zachlapana, z rozkręconą fryzurą, zmokła, rzucała naokół takie spojrzenia, że mogłaby nimi zabić najsilniejszego. Książę Gintuł szedł sam na przedzie, z głową podniesioną. Przebywał najgłębsze bagna nie wiedząc o tym, zatopiony w myślach.

Nareszcie droga polepszyła się. Szła w górę, ku kościołowi stojącemu na szczycie pagórka. Po obu stronach szerokiego traktu stały przedwieczne lipy, nadwiślańskie topole, graby, klony, dęby i buki.

Teraz, gdy w ich wnętrza, wyrrywając się z kłębow siwego dymu, padały migotliwe blaski pochodni, zdawały się być podwójnie wielkimi. Konary, gałęzie, różgi, czuby ich sięgały do czarnego nieba, a liście szemrały w chmurach. Była nieskończona potęga w owych widłach, odnogach, trój- i czterozębcach, w splotach gałęzi wyteżonych ku niebu, w owych jakoby barach, piersiach, plecach, ramionach i rękach, które coś dźwigają...

Ale nade wszystko — była potęga w ich szeleście.

Jedno z tych prastarych drzew, ogromna płacząca brzoza, zwieszało się całym kadłubem nade drogą, a korona jego, bogata w ogrom liści, schylała się ku ziemi jak kudłata głowa chłopa-starca. Gdy wóz otoczony latającymi blaskami wjechał pod nie, zaszemrało... zaszemrało... Wyszedł z jego głębokiej czeluści sykliwy, przestraszony szelest, półszept, zbudzonych ze snu i zdumionych liści...

Rafał zląkł się i zadrzał.

Ach, jakże straszny, jak nieopisany głos był w tym szeleście!

Ale wnet gwara schylonego drzewa została się w mroku, korona jego cofnęła się i ukryła. Teraz inne przemawiały z wysoka. I dziwna rzecz! Jedne wchłaniały w siebie wieść o widoku, wlokącym się u ich korzeni, z zimną wzgardą, inne z obojętnością najgłębszą, z obojętnością świadomą swej głuchej i ślepej siły, a były przecie i takie, co płakały jak żywy, czujący człowiek. Serce Rafała dźwignęło się i podniosło ku owym drzewom. Ogarnął spojrzeniem wyniosłe gałęzie... Pnie zielone jak trawnik od dawnego mchu, albo

obwieszono mnóstwem drobnych gałązek, jakoby dziady zgrzybiałe, obsiadłe przez prawnuki... Pnie pokryte splotami sznurów kory, zbrudzone, o barwie deszczu i szarugi... Rózgi chwiejące się pod niebem...

Wtedy nagle pojął, że już nie żyje dobry brat Piotr. Z mozołem przypomniał sobie chwilę, która przed nim jak chybka mysz uciekała, chwilę, gdy patrzył na bezwładne oczy brata. Dusza jego wcieliła się w ów moment, weszła tamtędy w niewiadome, tajemne, nikomu nieznanne powiaty...

Wtem ktoś na jego ramieniu lekko oparł rękę. Rafał otrząsnął się i ujrzał przy sobie księcia Gintuła. Młody pan przypatrywał mu się uważnie.

— Wszak nie mylę się — rzekł — waćpan jesteś bratem zmarłego kapitana Olbromskiego?

Rafał ledwie zdołał wydusić z siebie głos:

— Tak jest.

— Proszę mi powiedzieć... waćpanowie macie jeszcze rodziców żyjących?

Znowu:

— Tak jest...

— A czy waszmość daleś im znać?

— Tak jest.

— Żałuję, że to mi nie przyszło na myśl. Trzeba było lepiej zaczekać.

— Zaczekać z pogrzebem na rodziców?

— Zaczekać... z pogrzebem...

— O, rodzice prawdopodobnie nie przyjechaliby na pogrzeb — wypalił Rafał.

— A to dlaczego?

— Bo są wiekowi... A zresztą.

— A zresztą co?

— A zresztą... mieszkają daleko.

— Tak. No, a waćpan po pogrzebie dokądże masz zamiar udać się? Czy do domu?

— Nie, broń Boże!

— Nie? I... broń Boże?

— Proszę księcia pana... my obadwaj z bratem nieboszczykiem...

— Cóż takiego?

Rafał zająknął się i teraz dopiero ujrzał w głowie głupstwo, które niósł na języku.

— Proszę waćpana po pogrzebie do mego domu — rzekł książę uprzejmie, patrząc zresztą gdzieś daleko. — Chciej uważać Grudno za dom własny... Zupełnie jakbyś był u brata. Zabawisz, dopóki zechcesz, odjedziesz, kiedy zechcesz...

Odchodził już, gdy wtem wrócił się jeszcze i dodał z uśmiechem:

— Możesz to napisać, jeśli wola, rodzicom, że miałem z Piotrem rachunki pieniężne.

Winien mu jestem. Waćpan tu staniesz jako sukcesor? Nieprawdaż?

— Tak, mogę... — wybąknął Rafał.

— A więc właśnie, będziemy się rachowali... Zostań tedy w Grudnie.

Książę przywołał do siebie skinieniem jakiegoś podstarzałego szlachciurę, wskazał mu Rafała i wydał jakieś zlecenia.

W tej samej chwili spomiędzy drzew na szczycie wzgórza wyłamał się dźwięk dzwonu za umarłych. Żelazne serce uderzało w bok spizowy. Ciosami coraz mocniejszymi wyzniało ze srogich dźwięków, z martwego głosu przerażające miamlanie, słowienie tej nazwy, która mocniejsza jest nad dzień i noc, nad przestrzeń niedościgną myślami ludzkimi, nad słońce, księżyc i gwiazdy...

DWORZANIN

Pałac grudzieński leżał w głębi starego parku. W końcu siedemnastego stulecia jeden z książąt Gintułów założył był tę siedzibę na wzór francuski. Z biegiem lat rozrost wielkich drzew zniszczył dawną symetrię ogrodu, a tu i owdzie gaje młodej leszczyny wtargnęły nawet w ulice, gracowane niegdyś z pilnością. Pałac, przebudowany na fundamentach starego zamczyska, otaczały zbiorniki spleśniałej wody. Mury jego były kilkunastokrotnej grubości, szczególnie na dole, gdzie pozostały izby sklepione jak w więzieniu i okna zakratowane. Grube, ukośne szkarpy, niby potworne nogi, grzęzły w podstępnych wodach

starej, głębokiej, obmurowanej fosy. Piętro dopiero, z korynckimi kolumnami i architrawem ozdobionym sztukateriami, było dziełem czasów nowszych. W chwili kiedy Rafał zobaczył pierwszy raz ten dumny pałac, ściany były mocno zdrapane, figury otłuczone, kolumny czarne i ogołocone jak słupy wiorstowe. W głębi parku kryły się tu i owdzie między drzewami murowane i drewniane domki, ozdobne i kształtne. Jeden, z takich marszałek przeznaczył młodemu samotnikowi na mieszkanie.

Była to chatka o jednej izbie, z wejściem w stylu gotyckim i oknem jak w kaplicy. Nade drzwiami stało w niszy popiersie Wenus z zielonymi oczodołami i utraconym nosem, osłaniającej wstydliwie łono zapleśniałe i mchem wilgotnym porośnięte. Tuż ciągnęła w gąszcze szeroka, błotnista droga. Nad dziwnym domkiem wznosiły się sokory, lipy, a za oknem zwieszała aż do ziemi gałęzie precudna, wyniosła brzoza. Wprost z tegoż okna widać było głęboką aleję, która dokądś, jakby w ziemię, zanurzała się i kryła. Rafał nie mógł od niej oderwać oczu. Nigdy nic podobnego w życiu swym nie widział. Bardziej niż pałac, niż przepych książęcego dworu przemówił do niego magnackim urokiem ten szpaler. Kiedy młody samotnik pierwszy raz wszedł tam, z cicha stawiając nieśmiało kroki, otaczał go lęk rozkoszny w swej natarczywości, prawie bolesna żądza poznania tajemnic tego miejsca, przywłaszczenia sobie wiadomości o tym, co tu było.

Głębokie marzenia wypływały z cieniów tych drzew i, przemieniając się niemal w kształty, w osoby przesłicznych kobiet, niemal w figury dziewic z cudnymi włosami, cicho idące po twardej, gliniastej ziemi, znikwały od uderzeń zimnego rzutu oka. Drzewa nad tym ciennikiem i w głębi parku, z dala stojące głuchym, dumnym, uprzywilejowanym zastępem, zdawały się nie rosnąć, nie wznosić, nie dźwigać z tej ziemi, lecz na skrzydłach lecieć ku niebu. Śliskie, pręgowate pnie grabów o barwie żmii strzelały w górę, wyginając się wężowo jak gibkie i zwinne race, które pod chmurami rozpryskują się w deszcz liści, w płomyki konarów.

Prawdziwie w chmurach były ich wierzchołki. A lipy! Lipy, z których każda miała kilkaset lat, o pniach zakutych w kolczugi grubaśne, powleczone ze strony północnej siwą patyną mchu. W jednym miejscu stał dąb zwany „łabędziem” dla kształtu pnia wygiętego jak szyja ptasia. Ogromna dziedzina jego zasępionych konarów, gałęzi, prętów i liści rozepchnęła knieję brzoź, sokór, brzoźców, topól i lip. Oczy ze czcią i pokorą spoczywały na jego pniu, bulwach, gnatach, sękach, jakichś potwornych ranach i bliznach.

Do tej alei sphywało z góry światło zielone, jakby do groty lodowca Rodanu.

Pierwszą noc Rafał spędził wśród uczuć najdziwniejszych. Położenie w liczbie uczestników tego dworu nabawiało go trwogi i niepewności, a zarazem ten cały rozhuwany, a tak nowy świat ciągnął ku sobie z nieprzelamaną siłą. Dopiero nad ranem usnął snem twardym. Gdy się obudził, znalazł koło swego łóżka tackę z przyborem do kawy i z bułkami. Kawa była wystygła, ale Rafał pochłonął ją żarłocznie. Obawa trzymała go na miejscu, więc przed samym sobą udawał, że jest senny, znużony, choć pragnął zetknąć się z owym światem, ujrzeć go i poznać. Kiedy tak wahał się i namyślał, oszklone drzwi uchyliły się i wsunął przez nie głowę kozaczek w suto szamerowanej liberii. Spozrzegłszy, że Rafał nie śpi, wszedł do izby i rzekł:

— Pan marszałek kłania się i prosi do obiadu...

— Do obiadu? — krzyknął śpioch z przerażeniem.

Chłopiec uśmiechnął się chytrze i dodał:

— Zaraz będą podawać.

Rafał wyskoczył z łóżka i zaczął się gorączkowo ubierać. Wkrótce był gotów i z niecierpliwością tysiąc razy szarpał na sobie, poprawiał, obciągał i czyścił zniszczone odzienie.

Widział w oddali, naprzeciwko pałacu, stoły zastawione pod cieniem dębów tak grubych, że ledwie czterech ludzi objąć by zdołało ich pnie, a tak rozłożystych, że rzucały cień na ćwierć dziedzińca. Uwijało się tam kilkunastu lokajów w liberyjnych frakach, kozaków w pąsowych kabatach z galonami i herbowymi blachy, biegali pacholki i kuchciki. Wkrótce ozwał się dzwonek, i z rozmaitych stron, a przede wszystkim z pałacu, pociągnęło ku stołom kilkadziesiąt osób.

Chłopak, zahukany w domu i szkole, wprost drżał na myśl, że ma się złączyć z tym obcym mu tłumem, ale jednocześnie prostował się i przybierał pozę „równego wojewo-dzie”. W pewnej chwili głośno otworzył drzwi i poszedł śmiało ku stołom. Nikt na niego

uwagi nie zwrócił. Panował tam gwar jak w ulu. Słyszać było śmiechy, okrzyki i wesołą rozmowę, przeważnie w języku francuskim prowadzoną. Usłyszawszy te dźwięki ledwie zrozumiał Rafał ścierpł w głębi. Za chwilę zbliżył się już tak, że zaczęto zwracać na niego uwagę. Ten i ów rzucił okiem i ani myślał przerywać rozmowy. Jednej twarzy znajomej! Od grupy do grupy Rafał posuwał się dystygowanymi półzwroty, z uśmiechem głupio-niedbałym, prezentując swój wyszarzany kostium. Ani jednej twarzy znajomej!

Miejsca zajmowano z hałasem, wśród wesołych śmiechów, spojrzeń wiele mówiących i żywej rozmowy. Rafał błyskawicowo przeczuwał ostatnią chwilę, która miała nadejść za mgnienie oka: stojący sam jeden zostanie poza krzesłami! Cóż wtedy? Krew mu uderzyła do głowy... Zostać między lokajstwem... Czy z powrotem wracać do swej kryjówki?

Głowa mu pękała z rozpaczy: nie widział już nigdzie miejsca wolnego! Wreszcie, gdy owa ostatnia chwila nadeszła i gdy w rzeczy samej ze stojącymi włosami i oczyma krwią zalanymi szedł omdlałym krokiem poza plecami osób siedzących, ktoś się podniósł przy drugim końcu stołu i jął go wskazywać lokajom. Rafał odetchnął. Wkrótce siedział już na krześle i zatopił oczy w talerzu. Słyszał tylko huk w głowie i bicie serca. Nierychło podniósł łyżkę do ust. Zrazu tak miał wzrok zmacony, że gdyby naprzeciwko siedział znajomy, nie byłby go poznał. Kiedy się nieco z położeniem oswoił, zaczął wodzić oczyma po tłumie. Przede wszystkim uderzyła go obecność kobiet o rysach jakby cudzych, twarzach ciemnych, smagłych, oczach czarnych i płonących, kobiet bardzo pięknych i porywających ku sobie. Damy te były wystrojone i mówiły po francusku, toteż Rafał domyślił się, że to muszą być owe „emigrantki”, na które tak wyrzekała kołtuniasta szlachta po dworach. Obok jednej z Francuzek, a najpiękniejszej, bokiem do niej siedział książę Gintuł Oczy miał utkwione w twarz tej sąsiadki, a na wargach uśmiech, który Rafałowi wydał się szczególnie sympatycznym. W bliskości siedziały siostry księcia, podobne do niego bardzo, szczególnie trzecia, ostatnia z brzegu. Była to jeszcze dziewczynka, jeszcze nie panna, lat może szesnastu. Przynajmniej robiono z niej młódkę.

Miała włosy jasne, tak jasne jak ziarno dojrzałej sandomierskiej pszenicy. Przecudne, subtelne rysy, proste a wykwintne, drgały ciągłym śmiechem. Oczy szafirowe, czyste i ogromne jak firmament, otwierały się ze zdumieniem, wlepiły bez ruchu w twarz starszego brata, z którym nieustannie szeptem rozmawiała — i oto dawał się słyszeć wybuch śmiechu tak niepowstrzymanego, że cały stół wpadał w wesołość, sam nie wiedząc czemu. Chuda Angielka, siedząca obok tej ślicznej blondynki, zwracała wówczas swą długą głowę i na chwilę śmiech panieński przycichał. Obydwoje, brat i siostra, przybierali uroczyste miny, żeby za chwilę zwrócić na się oczy pełne wrzątku wesołości. Jeden jakiś wyraz, dźwięk cichego słowa wyrывał nową kaskadę, nowy, jeszcze bardziej głośniejszy wybuch. W pewnych momentach, gdy śmieszka najbardziej zanosila się swym precudnym cha-cha-cha, książę Gintuł odwracał z trudem oczy od swej sąsiadki i wesołe, wilgotne od wzruszeń źrenice zwracał na rozbawioną siostrę z szeptem:

— Eli...

Nie wiadomo wszakże było, czy potępia tę zbyt głośnie wesołość, czy tylko prosi uprzejmie zebranych, żeby piękna jeszcze długo mogła się tak śmiać bez przeszkody. Ale nie tylko brat księżniczki miał w oczach ów szczególny wyraz. Wszyscy, na kogo-kolwiek Rafał zwrócił ukradkiem spojrzenie, byli zajęci jedną jedyną sprawą — właśnie owym radosnym weselem dziewczęcym. Na pozór wiodąc między sobą stateczne rozmowy, wszyscy mężczyźni, widać to było w ich twarzach, myślami i uczuciami krążyli obok prześlicznej. Dla jednych było to skrytą rozkoszą, dla innych skrytą boleścią, a dla wszystkich oderwaniem się od spraw, którymi na pozór żyli. Nawet starzy ludzie nad czymś głęboko dumali. Odrza i głuchy na wszystko zabójca-żal marszczył ich czoła. Cóż warte było życie całe? — mówiły te zmarszczki: — po co istnieć tyle lat, skoro się wiek swój cały spędziło bez tego, co jest wszystkim, bez niej? Na twarzach młodzieży leżała bladeść męki. Rafał uczył, że jest w jakimś zamkniętym kole, które sekretnie duma i z rozpaczą śni. Jakoby muzyka niedosłyszalna, tajemnicza, przepływała wskroś tego grona potęgą, władzą, tyrania piękności. Każdy ruch dziewczątka odbijał się w oczach patrzących jako uniesienie. Ruchy te były niewysłowione. Odzwierciedlało się w nich wszystko życie duszy. To, co każdy człowiek chowa w zamkniętej skrzyni, u niej stało w oczach, w ustach, na czole, w drgnięciach brwi i ust. Była samym weselem i dreszczem szczęścia, a biegł od niej na ludzi smutek i udręczenie.

Śmiech, Młodość

Rafał nie widział wcale, kto siedzi przy nim. Jeszcze nie ukończył zanoszenia z sakramentalnym namaszczeniem zupy do ust, gdy wtem gruby głos zaskrzeczał tuż nad jego uchem:

— A cóż u Boga Ojca tak asan wodzisz za tą łyżką oczyma, jakbyś się bał, żeby ci jej ręka do ucha nie zaniosiła?

Młodzieniec podniósł oczy i ujrzał obok siebie długie oblicze z włosami i wąsiskami zwieszającymi się z niego jak z buńczuka.

— Jesteś asan, jak słyszę, bratem onego, Panie mu ta świeć, filozofa z Wygnanki, Olbromskiego.

— A jestem.

— Pięknie u Boga Ojca brat waści gospodarzył na tej wioszczynie, nie ma co mówić!

— Jak to?

— A tożem patrzył, bo obok niego na Polińcu od lat siedzę. Chłopów, farmazon, rozpuścił, rozamorował, że mu na pole wychodzili jak z łaski, i koniec końców do garnka nie miał co włożyć.

Rafał wrzał wszystkim od niewymownej złości, która nie mogła wydobyć się na zewnątrz. Milczał z oczyma wlepionymi w pusty talerz.

— Cóż asan milczysz? Prawdę mówię, choć i gorzką.

— Ja nie wiem, czy to prawda.

— Nie wiesz. No i pewnie. Wąsów asan całych nie masz, to skądżebyś miał znać się na całej prawdzie! Ale nie o to idzie... Słuchaj no, mości panie, gdzież to zamierzacie podziąć owe graciny nieboszczyka ze dwora, choć ich ta tyle, że by żydowska koza uciągnęła? Zabierzecie toto w Sandomierszczynę? Widziałem tam chomąta, siodło, rzemienia fornańskiego coś niecoś. Kiepskie to wszystko, ale jakby niedrogo, to bym kupił. Mówili mi tu, że to niby asan dysponujesz, jak i co.

— Zabierzemy do domu.

— A to zabierajcie wnet, bo ja w tych dniach dwór zajmę.

— Waszmość pan niby?

— A ja. Cóż się wasanu nie widzi? Ja, Chłuka z Polińca. Tak wasan napisz do swoich, że Nikodem Chłuka z Polińca bierze onę Wygnankę od księcia w dzierżawę. Folwark gałgan, ale że to blisko... A i o te chomąta się spytaj, to bym kupił, jeśli niedrogo, młynek bym to samo kupił, a nawet i te szkapska...

— Ja napiszę, a teraz wszystkim się opiekuje Michcik.

— He, opiekun! Faworyt... Dawno ja na tego draba mam chrapkę. Czapki gałgan nie zdejmuję ze łba przede mną. Folwark waści brat rozpaprał, chłopą zepsuł na nic...

— Folwark nieboszczyk rozpaprał! A ziemię to kto dał spod jałowców?

— Widzicie, jaki to asan masz rezon w potrzebie! A nawet powiem: prawdę ci się udało chwycić za uszy. To jedno ten nieboszczyk, Panie mu ta świeć, zrobił. Chłopa zepsuł na nic, ale to do odrobienia, to ta już moja rzecz. Co zaś do ziemi, to nie można powiedzieć: wyprawił ziemi niemało! Gdzie dawniej, jak ludzie zapamiętają, trznadle się jeno gziły, teraz owies jak mur.

— A staw to nie brat wyszlamował? Młyn puścił, upust wystawił, rowy porznął?

— Nawet i to, powiedzmy, prawda.

W chwili, gdy się ta rozmowa toczyła, zabrzmiał znowu upajający szczebiot śmiechu księżniczki. Szlachcic Chłuka przerwał frazes, który miał wyrzucić, i wiechy swych wąsów zwrócił w stronę „jasnego” końca stołu. Sapał długo i tłamsił w sobie jakieś wzdychania, a w końcu rzekł do Rafała:

— Ta się śmieje, hę?

— Jakaż to piękna bardzo! — zdradził się młodzik.

— Pewnie, że piękna.

— Co to za włosy!

— A i to, powiedzmy, prawda. Świeci się bestia człowiekowi w ślepiach, jak ten miesiąc po nocy.

— A jakie to oczy!...

— Waść byś jej dał radę — chy! Jezus ci Maria!

— Co też to waszmość pan!... Wstyd doprawdy...

— Asan mi powiesz! Znam ja się na was, dryblasy! Myślałby kto, że się do korda porwie, tak się przecie zsiertzil, a ślepie mu ogniem zioną jak czubatemu diabłowi.

— Kto to jest taki? — cicho szepnął Rafał.

— Jakże u Boga Ojca, to asan książęcą łyżką książęcą zupę zawijasz, a nie wiesz tego, kto to jest taki! Toż Gintułówna, młodego siostra, najmłodsza. Elżbieta jej. Ależ dzieucha! Że się też to pod szlachecką strzechą nie urodzi taka... Już by o nią dziesięciu czuby se powyrywało i ślepie na nic podbiło. Tu będzie wyczekiwała na swego, aż ci osmętnieje z tego, jako wierzba u drogi. Wtedy przylezie wywłoka abo i zgoła Francuz...

— Księżniczka Elżbieta... — powtórzył Rafał z przedziwnym upojeniem wewnętrznym i z drobiazgową uwagą, jak gdyby przywłaszczał sobie na zawsze śliczną melodię, przypadkiem w smutku zasłyszana.

Do samego końca obiadu Rafał siedział jak na szpilkach. Mnóstwo myśli kłóciło się w jego głowie i przemknęło bardzo wiele postanowień. Nikodem Chłuka kładł mu w głowę Bóg wie jakie wiadomości i głośno wyrzekał, kiedy Rafał ledwie piąte przez dziesiąte rozumiał. Skoro ruszono od stołu, marszałek dworu skinął na Rafała, przywołał go do siebie i oświadczył, że książę życzy sobie z nim mówić. Wezwał zaraz jednego z lokajów i polecił mu zaprowadzić młodego panicza do gabinetu, gdy się tam książę uda. Sporo jednak upłynęło czasu, nim ta chwila nadeszła. Książę, otoczony gronem pięknych pań, poszedł na spacer do parku i znikł między drzewami. Rafał wyglądał jego powrotu z głębi swej izby, nie spuszczać oka z głównego wejścia pałacu.

Nareszcie, a miało się już ku wieczorowi, wyfraczony sługus wszedł do stancji z grubiańskim prawie zawiadomieniem, że książę jest u siebie. Rafał poszedł za nim przez szereg sal, z których jedne były mozaikowane, purpurowe ze złożonymi gżemsami i z pysznymi stiukami na stropie, inne w barwach ciemnych, adamaszkowe z listewkami, albo bladoniebieskie. Przechodził jak we śnie obok wielkich obrazów, z których spoglądały na niego nagie kobiety, otwierały się krajobrazy zupełnie wyrwane ze snu, walczyły dziwaczne chimery, uctowali bogowie... Oszolomiony przepychem naczyń i mebli, które zdawały się być stworzonymi dla świątyni, brązowych żyrandolów, wielkich porcelanowych waz, lustrzanych okien, pięknocią podłóg wysadzanych marketerią z hebanu, cytryny i żółtego bukszpanu, skromnym i niespodzianie przyjemnym pięknem drzwi i odrzwiów z mahoniem, olśniony widokiem grup marmurowych i kominków z rzeźbami, usiłował zachować na twarzy wyraz doskonałej obojętności, jak gdyby te rzeczy, pierwszy raz widziane, wcale mu obce i dziwne nie były. Tymczasem, gdziekolwiek zwrócił oko, spostrzegał coś, co przykuwało do miejsca, chwytalo za ramiona, wabiło ku sobie, jak kobiecy uśmiech, a nieraz jak pocałunek. Niewymowna rozkosz zastępowała tu drogę na każdym kroku. Rafał czuł bolesną, aż do zemsty podniecającą mękę-uwielenienie. Straszna praca, niewysłowione katusze tworzenia ideału piękności w twardym kamieniu, w drogocennym drzewie, pot wysiłku i lzy wiecznego zawodu artystów, gnanych przez przymus, przez ciężką pańszczyznę twórczości, ogarniały go postrachem. To niedościgłe nigdy piękno, wyrwawszy się z powrozów pracy, czekało tu w utajeniu od dawien dawna, czyhało w obrazach, w porfirowych stolikach, we drzwiach tajemniczo okutych, w próżnych krzesłach, w wąskich, skromnie przepysznych kanapkach, tęskniąc za uwielbieniem tyle nocy i dni. Kiedy niekiedy dostrzegał w ogromnych lustrach swą postać w wyszarzanym ubraniu z werdragonowego sukienka, i wówczas niewymowna awersja do własnej postury, rozpaczliwa wzgarda dla swych rąk wiszących jak bijaki cepów, nóg, głowy, ślepiów i nosa oblewała go całego ukropem.

W pewnym małym saloniku, stosunkowo skromnie urządzone, służący kazał Rafałowi oczekiwać. Gdy grube łydki fagasa przestały migać na posadzkach, a szelest jego pantofli oddalił się zupełnie, Rafał usiadł w głębokim fotelu i zasunął się w siebie, zagrzebał się sam w sobie. Spojrzeniami sięgającymi do dna przejrzał wszystko, co dotychczas wiedział i widział, czym był, co się z nim działo, co na świecie znaczył. Śmiech podnosił się z jego piersi, śmiech przemądrzały i bezlitosny. Nie wydobył się na wargi, tylko jak fala wzdęta przez wicher krótko zahuczał i ustał. Ociężałe spojrzenie weszło w głąb tego szeregu sal, cicho, sennie drzemiących w rozkoszy. Naokół było cicho jak w świątyni.

I oto niespodzianie gdzieś za trzecimi drzwiami rozległ się śmiech, ów jedyny na ziemi... Rafał zakrył twarz dłońmi i słuchał w zachwycie. Liczne, wesołe głosy jak bu-

rza zbliżały się, aż wreszcie zabrzmiały w sąsiednim saloniku. Półuchylone drzwi dawały Rafałowi możliwość uczestniczenia w tym, co się tam działo. Jak wiosenne gędziolenie ptaków śpiewały radosne, drgające życiem, zdrowiem, weselem okrzyki najmłodszych siostr księcia, ich towarzyszek i przyjaciółek. Jedna z nich wołała:

— Koniecznie *jeux de société!* Koniecznie... *Jeux d'esprit* — to nudne. Zupełnie jak lekcja gramatyki.

— Jak to? *Le secrétaire?*

— Nie, nie! *Jeux d'esprit, jeux d'exercice* — to zupełne lekcje.

— Więc dobrze...

— A może by najlepiej — *Jeux de poules*. Co myślicie? Na przykład: *Chnif-chnof-chnorum?* Co?

— Nie, nie! *Jeux de société!* — domagała się księżniczka Elżbieta kapryśnym głosem, roztopionym w śmiechu.

— No, więc dobrze... Decydujemy!

— Zaczynamy...

— Czy są wszyscy?

— Kto się spóźni, sam sobie winę przypisze.

— Bawimy się... Mówcie! Co kto życzy?

— Ja proponuję *Le corbillon*... — ozwał się głos pierwszy.

— Ja *Les propos interrompus*...

— *Monsieur le Curé!*

— *La toilette.*

— Czekać, czekać! Tyle żądań... Głosujmy jak na sejmiku.

— Ja chcę koniecznie — *l'Avocat*. Koniecznie, bardzo koniecznie.

— Kto jest za *Avocat*?

— Nie, nie! *Avocat?* — to nieprzyjemne. Lepiej już *La toilette* albo *Combien vaut l'orge?*

— A może by *Le Capucin?* To zabawne. Pamiętacie Kamila w postaci *capuchon*, a Cecylkę jako *la barbe?*

— Spróbujmy naprzód *La toilette*.

— No, dobrze! *La toilette*. Wszyscy się zgadzają?

— Wszyscy...

— Wszyscy!

— *Tout le monde est assis...*

— Już jestem gotów!

— Ja będę *le miroir*... Lubię, żeby we mnie patrzono — cha-cha!...

— Ja *la boîte à rouge*...

— Skryta, skryta bułka!...

— Ja *la boîte à poudre*...

— Eli będzie *la boîte à mouches*...

— A Kamil — *le flacon!*

— Ach, to wyborne, Kamilek — *le flacon!*

— Cecylka, czekajcie, czekajcie: *Le faux chignon*...

— Gabriel — *le fer à friser*.

Rafał, ogarnięty przez ciekawość, zapomniał, gdzie jest. Śniło mu się, że i on uczestniczy w tej zabawie. Siedząc nieruchomo w swoim fotelu, widział w szczelinie między niedomkniętymi połowami drzwi środek salonu, gdzie śliczne, dorastające panienki z twarzami cherubinów, otulone w lekkie muśliny i gazy, zsunęły szczelnie małe fotele i utworzyły zwarte koło. Nogi ich, ustawione na dywanie, niecierpliwiły się, oczy rozsypywały iskry, z ust sfruwał śmiech, a obnażone ramiona podnosiło gwałtowne drżenie. Dźwięczny głos najmłodszego księcia Kamila rozlegał się jak delikatny rozkaz:

— *Madame demande son fer à friser!*

Ktoś zerwał się z miejsca, a zajęła je osoba stojąca na środku.

— *Madame demande son faux chignon!*

Znowu szelest i śmiechy.

— *Madame demande son miroir!*

— *Madame demande toute la toilette!* — zawołał książę Kamil.

Foteliki rozsunęły się na wsze strony i *tout le monde* z wrzawą, szelestem i śmiechem przemieniał miejsca. Oklaski i śmiechy jak grad obsypały jedną z uczestniczek, która została w kole.

Rafał nie spostrzegł się, kiedy niedomknięte drzwi szybko się otwały. Księżniczka Elżbieta wybiegła z nich i stanęła na progu. Spostrzegła była widać Rafała dość już dawno, ale nie przestawała śmiać się. Uczyniła to dlatego, jak się domyślał, ażeby dać mu poznać, że ledwie go widzi. Wstał niezgrabnym ruchem, ukłonił się z sandomierską (od strony Klimontowa) elegancją, coś nawet wymamrotał, czego by sam nie umiał powtórzyć raz drugi. Księżniczka przez chwilę na kogoś jak gdyby czekała... Nikt nie nadchodził. Prześlizgnęła się, niewiarogodnie urocza, nie śmiała się już. Rysy jej zmieniły się do niepoznania. Twarz przybrała wyraz chłodu i powagi, ale nie wyuczony, nie chwilowy, och, nie! Rafał uczył się tym wyrazem zmiążdżony, zabity na duszy. Uczuł tę instynktowną dumę, wyniosłe, obojętne spojrzenie i, co najgorsza, ów grzeczny, łaskawy, pański uśmiech, gdy z wolna odwróciła się i wyszła do sąsiedniego pokoju, zamykając drzwi za sobą. Przepłynął przed nim widok ślicznej szyi i ramion z lekka odkrytych, wzniesionej głowy, na której każdy włos był nicią lśniącego złota. Wówczas przez chwilę czuł coś bardziej jeszcze niż ów uśmiech cudzego, nieprzełamanego, wrogiego w swych piersiach. Skoczyć ku niej, chwycić rękoma to królewskie, miękkie złoto. Rzucić ją przed siebie na kolana...

Stał obok swego fotela jak na płytach rozpalonego żelaza. Wyszedłby był, wyleciał stamtąd bez czapki, jak wówczas ze szkół, ale na myśl, że może się jeszcze spotkać z tą panną, że jeszcze raz, w taki sam sposób, może jej osobą swoją przerwać śmiech, zepsuć chwilę radości, nie mógł się ruszyć z miejsca. Spojrzał na swe buty, na rękawy kubraka i znowu usłyszał w sobie wybuch dźwigający się z samego dna. Stał tak długo, wpychając sobie ohydny wzgardę w piersi, gdy wtem drzwi boczne uchyliły się. Stał w nich książę Gintułt. Na ustach miał półuśmiech taki sam jak siostra. Ruchem grzecznym, ale przewidującym chwilę dużej nudy, wezwał Rafała do pokoju, z którego wyszedł przed chwilą, i wskazał mu miejsce. Sam chodził chwilę tam i sam.

— Czy waćpan pisał do rodziców o śmierci brata? — zapytał nareszcie.

— Pisałem.

— Jednak nikt nie przyjechał?

— Nikt.

— A jakże waćpan sądzisz: czy przyjadą później?

— Nie zdaje mi się. Mam zamiar odesłać rzeczy pozostałe po bracie do domu...

— Tak, tak! To będzie najlepiej. Co się da, na miejscu sprzedać. Ja wydam mojemu komisarzowi polecenie, żeby ta sprzedaż... A może już wydałem?... Zaraz sobie przypomnę... A sam nie jedź. Zostań tu lepiej, u mnie. Przyjrzyj się trochę światu, później zobaczymy, jak i co. Nieprawdaż?

Rafał skłonił się pokornie.

— Trzeba tylko — mówił książę zniecierpliwiony i prędkim głosem — ogarnąć się, ubrać po ludzku. Tak nie sposób! Jak to już mówiłem, brat waćpana ma, to jest miał u mnie pieniądze. Pożyczył mi sumę... Weźże je sobie, tę trochę uciulanych dusiów, i spraw odzienie podług mody i naszego tu zwyczaju... To tam marszałek...

Mówiąc to książę zarumieniał się z lekka, wydobył z otwartej szuflady biurka sakiewkę ze złotem i podał ją Rafałowi. Chwilę trwało kłopotliwe milczenie. Wreszcie książę, jakby ociągając się, rzekł znowu:

— Brat waści był mi przyjacielem i powiernikiem za dawniejszych lat służby obozowej. Dlatego to dyskursy nasze miały nieraz charakter ostry dla tych, którzy nie znali bliskiego stosunku. Może to i waści wydało się niemiłym, że dość ostro, dość cierpko przymawiał bratu... wtedy...

Rafał trwożliwie, na poły potakująco, na poły przecząc, coś mruknął.

— Nie trzeba o tym w ogóle mówić z nikim... — z cicha rzekł książę — bo to ludzie zaraz by roznieśli po świecie, jakobyśmy się z nieboszczykiem poróżnili. Sam waści wiesz, że rozstaliśmy się w zgodzie, aczkolwiek dyskutując...

Rafał znowu niewyraźnie potwierdził.

— Nade wszystko nie należy nic mówić rodzicom, unikać wszelkich ekswisceracji w tym przedmiocie. Mogliby w żalu wyobrazić sobie...

— O, ja nie, mości ksiązę...

— Tak, tak — rzekł pan uśmiechając się dziwacznie. — Gdy się waść pobawisz i poznasz nieco świata, sam się przekonasz, że dobrze radził zmarłemu.

Zamilkł i z wolna ślicznymi ruchy zaczął chodzić po kobiercu tam i z powrotem. Przez chwilę zatrzymał się u otwartego okna i patrzył w głąb dzikiego ogrodu.

— Kochałem go... — rzekł cicho. — Już go nie ma na świecie. *Horror, horror!* Niepowiedziana sentencja, niewyłożony ostatni, najdobitniejszy efekt prawdy, a jego już nie ma. Już go nie ma wcale! Ani nie zaprzeczy, ani tymi oczyma, co to... nie spojrzy. Ani po swojemu nie zmilczy. Garsteczka popiołu i — tyle. Och, Boże!

Podniósł na Rafała oczy szklane i twarz porzniętą nagłymi bruzdami, starszą o wiele, wiele lat. Chwilę tak przyglądał mu się z uwagą, jakby teraz dopiero spostrzegł, że tu ktoś stoi i że go słucha. Uśmiechnął się wreszcie owym uśmiechem wdzianym na twarz jak maska, uśmiechem przyjęć. Czekał.

Młodzieniec zrozumiał, że może nareszcie odejść. Ukłonił się ruchem pewnym, zgrabniejszym daleko bardziej niż poprzednio, i ściskając w ręce garść dukatów w jedwabnej sakiewce, pełen wzruszenia szedł przez wspaniałe sale.

EGZEKUCJA

Życie w Grudnie płynęło jak romans ciekawy, z dnia na dzień przyjemniejszy. Polowania na zwierza w lasach, na kaczkę w łodziach, na bekasy, dubelty, kszuki z wyłami, konne wycieczki całym dworem, harce po błoniach — oto były zajęcia codzienne. Kiedy niekiedy zjeżdżano olbrzymią hurmą ludzi do pierwszego lepszego dworku dzierżawcy, zjadano wszystkie zapasy żywności i, naśmiawszy się do syta z prostactwa, co koń skoczy ruszono dalej. Francuzi i Francuzki goszczący u księcia nudzili się pomimo to wszystko. Wieczorami grywano w karty, nieraz do późna. Siostry księcia Gintuła uczyły się jeszcze i niby to pozostawały pod ścisłym dozorem Francuzic-nauczycielek, ale brały udział we wszelkich zabawach.

Rafał, odziany w modny fraczek, w obcisłe piaskowego koloru ineksprymable, wysoki kapelusz i świecące buty z twardymi cholewkami, uczestniczył we wszystkim na prawach niby gościa, niby domownika. Dopuszczano go z lekka do towarzystwa, ale czasami posłano tu i ówdzie albo wyręczono się nim w potrzebie. On godził się na wszystko. Żył tu, oddychał, upajał się wolnością. Nigdy przez jego głowę nie wionął cień pytania: co będzie dalej? Bez myśli o tym wiedział jedno, że nie wróci do domu z Grudna! Przenigdy! Był tu u siebie, na swej drodze. Szedł naprzód z zadartą głową — i kwita. Każdy dzień, każdy wypadek zbliżał go, łączył, zesparał z nową krainą. A co raz posiadał, tego żadna już potęga nie byłaby w stanie wyrzeć mu z pazurów. Uczył się form towarzyskich, mowy francuskiej, zwyczajów, reguł życia, zabaw, metod wybryku, kształtów modnego kaprysu, kultury zepsucia. Kochał swoją izbę, ubranie, konia, na którym jeździł zazwyczaj — i księcia. Mniej lubił młodszych jego braci, którzy dość wzgardliwie nań spoglądali, chociaż strzegli się wyjawienia niechęci. Jeden był rówieśnikiem Rafała i ten właśnie był najnieprzystępniejszy.

Przy końcu sierpnia, po żniwach, weszły w modę codzienne prawie jazdy konne. Nad wieczorem siodłano wszystkie konie wierzchowe i kto żyw dosiadał pysznych rumaków. Rafał miał ściągłego gniadego anglika. Łatwo mu było na nim trzymać się w pobliżu księżniczki Elżbiety.

Nie kochał się w niej, och nie! Można by prędzej powiedzieć, że jej nienawidził. Jej radosny, szczęśliwy śmiech odbierał mu sen i duszę całą napełniał zimną namiętnością. Z niewymownym szczęściem byłby pochwyił i na zawsze zapamiętał jakiś w niej szczegół brzydoty, coś, co by napełniło wyraźną odrazą. Ale nie było takiego nic.

Była cudowna. Co gorsza, co nieznośniejsza, myślami jej objąć nie mógł ani ogarnąć wyobrażeniem. Ciągle była poza jego wiedzą, wciąż coraz bardziej odmienna w swym czarodziejstwie. Jeżeli wyuczył się już jakiegoś jej przymiotu i mógł do woli wyśmiewać z niego w głębi siebie, nagle zjawiała się z czymś innym, czego jeszcze na ziemi nie było, z uśmiechem niebiańskim, półsmutnym, półlitosnym, z jakimś cichym dumaniem, przez które łagodny mrok płynął jak cień białej chmurki przez lazurową wodę jeziora. Z jakąż rozkoszą byłby ją za to rozszarpał, z jakąż nienawiścią zdusiłby pocałunkami owe zaziemskie

troski i radości prawdziwie anielskie! Marzył o niej ciągle. Szedł z nią zawsze przez jakieś knieje, gdzie noga ludzka nie postąpiła, gdzie tylko ona i on... I tchu mu w piersiach nie stawało na samą myśl o tym, co do niej mówił.

Widział wówczas strach na jej twarzy, przeraźliwy okrzyk z ust jej wyrwał i słyszał go z upojeniem, fruujący wkoło głowy. Przy stole nigdy otwarcie nie patrzył w jej stronę, ale w każdej chwili śledził ją tajemnie. Na spacerach starał się być w pobliżu, ale nie udało mu się nigdy przemówić do niej jednego wyrazu. Z dala odpowiadała na jego głęboki i pokorny ukłon. Pomimo jednak, że zdawała się nie zwracać na jego osobę uwagi, skoro tylko się skłonił, spostrzegła ten ruch i z martwą grzecznością, wyniośle, oddawała mu dalekie skinienie głową. Nigdy się nie odwróciła w tę stronę, gdzie był, ale on doskonale wiedział, że cała jej osoba uczuwa jego obecność, że osobliwe cienie przepływają przez tę twarz i że w szczególny sposób widzą jego figurę jeśli nie oczy, to jak gdyby spuszczone powieki. Rzadko kiedy błędzące po tłumie spojrzenie przesunęło się i po nim także. Wtedy czuł gałęziastą uciechę, rozkosz kradzieży, tryumf zdobywcy. Zawsze czysty śmiech księżniczki zmieniał się w tonie, kiedy Rafał był blisko, zmieniał się tak samo jak wówczas u drzwi salonu. Nie brzmiał już jak samo szczęście, lecz złowrogo dźwięczał jak straszny krzyk wzgardy.

Tak było za dnia. Nocami Rafał błąkał się po alei, która od jego domku szła w ogród. Przesycony wariacką ambicją, nadęty żądzami, pełen namiętności wybujałych aż do szaleństwa, piął się coraz wyżej i wyżej. Zuchwałstwo rozparło się w nim tak dalece, że księżniczka, pani przemożna z tego domu, siostra rodzona księcia, stała mu ciągle w oczach. Był tak przeżarty od wewnętrznego ognia, że swe sny i furie poczytywał za rzeczywistość. Ileż to razy czekał w ustroni szpaleru podczas księżycowych nocy, ufając, że ona musi znać jego męczarnie, że takie same czuje i że w to miejsce przyjdzie wiedziona przez ciemnego anioła! A gdy chłodna, sierpniowa noc mijała, gdy oszalały od wewnętrznych szlochań wracał do izby, kąsał poduszkę, dusił się i zanosił od żalu. Kilkakrotnie tylko gościła w jego głowie myśl, że wszystkie te zajścia ducha są złudzeniem. Może księżniczka wcale nie wie o jego egzystencji. Wtedy zaciskał pięście i zdolen był rwać włosy z głowy. Traf zrządział, że się przekonał o prawdzie.

Księżniczka Elżbieta jeździła konno jak amazonka. Na siodle postać jej o łagodnych i wolnych ruchach przeobrażała się jakby w młodego chłopca z gestami zdecydowanymi, nagłymi, piorunowymi. Angielski źrebiec „Unreclaimed”, na którym jeździła, lśniący kasztan o nogach ze stali a mięśniach z żelaza, szedł przodem w każdym wyścigu. Pod jesień, gdy otworzyły się rozległe ścierniska, urządzano te gonitwy bardzo często.

Pewnego dnia wypadła gromadna wyprawa właśnie w okolice Wygnanki, gdzie zmarł brat Rafała. Wziął w tej zabawie udział książę i jego siostry. Rafał niechętnie zbliżał się do tych miejsc, które mu przypominały sprawy odrzucone z niedbalstwem. Jechał wszakże w pobliżu księżniczki. Na jednym z pagórków otaczających rozległą płaszczynę towarzystwo zatrzymało się. Po deszczach dość długotrwałych dzień był jak wiosenny, pełen woni jałowcu, wrzосу i macierzanki. Błękit nieba okrywał się co chwila obłokami iście wiosennymi, które były delikatne i urocze jak włosy dwuletniego dziecka.

Gdy całe towarzystwo zajęte rozmową skupiło się w pewnym miejscu, kilka osób zjechało niżej ku polom. Księżniczka chciała puścić konia i zwracała się z żądaniem towarzyszenia jej to do tego, to do owego z jeźdźców. Ale młodzi jej bracia i kuzyni byli znużeni. Wreszcie dwu z nich puściło w skok wierzchowce. Między nimi Rafał, którego nikt nie wzywał, skoczył niby to poniesiony przez konia. Anglik księżniczki, rozgrzany, odsadzał się coraz bardziej, niósł coraz wścieklej, wreszcie poszedł w lot niepohamowany. Mężczyźni zostali w tyle. Wpadli na szeroką wyboistą drogę, która prowadziła do brzoźowego lasu. Rafał począł smagać swego gniadosza i gnał co tchu. Spostrzegł, że księżniczka usiłuje osadzić Unreclameda, że szarpie się z nim nadaremnie. Wtedy podwoił ciosy i w lesie, już na gościńcu, zaczął się do niej zbliżać. Ale szybkobiegacz amazonki, choć zdarty munsztukiem, rwał jeszcze skokami, od których błoto na obie strony pierzchało w las. Rafał widział już tylko lśniące kłęby konia, aksamitny kapelusz i złote włosy. Krew w nim kipiała. W pewnej chwili usłyszał głos księżniczki, jakby wzywający na pomoc. Usłyszał to raz, drugi. Wówczas co mocy w rękę ściągnął konia szpicrutą i w kilkunastu susach dopadł. Zrównał się z nią. Ujrzała go zdumiona, wielkimi oczyma. Ale i on pierwszy raz utopił w nią dziób i pazury oczu. Czuł to, że ją przesywa potężnym,

ślicznym wzrokiem.

— Popręć! — krzyknęła, całą pierśią i ustami chwyając oddech.

Jednym zamachem chwycił cugle jej konia, zdarł go i osadził. Ogiery otarły się o siebie, a nogi księżniczki żarem owionęły nogi jeźdźca. Wówczas czartowskim podbechtaniem wiedziony schylił się i obiema rękami porwał cudowną dziewczynę. Chwilę miał jej włosy na chciwych ustach, a ramiona i piersi na piersiach...

Ale z nagła stało się z nim coś niesłychanego. Księżniczka porwała się jak błyskawica. Uczuł tylko, że się dźwignęła na siodle.

— *Imbécile!* — krzyknęła przez zwarte zęby i zadała mu przez pysk cios szpicrutą tak niesłychany, że mu się ciemno w oczach zrobiło, a w uszach rozległ się dzwon. Zleciał z konia.

Pierwszym jego czynem, kiedy przetarł powieki, było skoczyć na siodło. Księżniczka Elżbieta znikła. Słyszał tylko za brzozami huk, tętent kopyt jej konia i lepki szelest roztrącanego błota. Wściekły ból od czoła aż do brody w pobliżu nosa targał mu twarz. Rozpacz runęła na niego jak ściana kamiennego domu. Cóż dalej? Ścigać ją i zabić, czy uciekać? Chwilę jechał trupiomartwy, jakby go przed chwilą rozstrzelano. Kiedy noga za nogą posuwając się naprzód, wybrnął z lasu, zobaczył całe towarzystwo na skraju. Nie było sposobu uciekać. Wówczas zostało już tylko cyniczne, czerstwe męstwo. Toteż wolno podjechał do zbliżającej się czeredy. Obok księcia Gintuła jechała księżniczka. Rafał raz tylko rzucił na nią okiem.

— A wasan skąd przywozisz taką pręgę? — ze śmiechem zawołał książę, gdy się o kilka kroków zbliżyli.

— Wina to siostry księcia pana... — rzekł Rafał.

— Jakimże to sposobem wina mej siostry?

— Kiedy dopędzałem Unreclaimeda, pragnąc wstrzymać... przelataliśmy obok drzewa. Księżniczka odgięła gałąź brzozy i laskawie puściła ją na mnie.

— Otóż i masz nagrodę za galanterię! Tak to fortuna oplaca wysługiwanie się białogłowom!

Księżniczka w milczeniu, ze spuszczonej oczyma, słuchała opowiadania Rafała. Gdy skończył, parsknęła krótkim, wgardliwym śmiechem i odwróciwszy konia odjechała.

Książę tknął konia obcasem i przysunął się bliżej do kłamcy. Wtedy krew z wolna ustawać zaczęła w jego żyłach. Czekał bładny i zimny jak na śmierć. Przemknęło mu przez głowę widmo ojca. Tymczasem książę natarł nań koniem i rzekł półgłębko:

— Jesteś waćpan cały w błocie zawalany. Przyznaj się: spadłeś z konia? co? prawda?

— Ależ gdzie tam!

— Daj no pokój! Skocz, proszę cię, do Chłuki, wszak go znasz?

— Znam...

— Oczyszć się, obmyj, bo cię wezmą na języki i wyśmieją. My wracamy do Grudna. Powiem wszystkim, że cię posłał na Wygnankę w swoim interesie.

— Słucham księcia...

— Z daleka oddaj towarzystwu waletę jak gdyby nigdy nic i ruszaj. Wróc wieczorem o zmroku. Twarz na noc obłóż wodą... *Adieu...*

„Nic nie powiedziała” — myślał Rafał z niewymowną rozkoszą. Zadrzała w nim jak gdyby struna, wyśpiewał się krótki, osobliwy głos i upadł w nicość.

„Nic nie rzekła, ani wyrazu...” — marzył odjeżdżając.

Popędził w przeciwną stronę, ku Wygnance. Gdy się pode wsią obejrzał, już mu kawałkada grudzieńska znikła z oczu. Ostрым kłusem mijał wioskę.

Chałupy włościańskie ze zmurszałego drzewa, kryte gontem, jak żebracze łachmany wyciągały się wzdłuż, drogi. Najlichsza z nich, krzywa i rozsypująca z siebie próchno, była siedliskiem starego Żyda, Urysia. Sam krzywonogi Żydowin stał przede drzwiami i patrzył w stronę dworu z takim przerażeniem, że nawet pędzącego Rafała nie dojrzał. Inne chałupy były poroztwierane i puste. Dopiero na końcu wioski widać było zbiegowisko ludzi. Z kolein drogi podnosiła się tam kurzawa, a w niej migały jakieś figury. Krzyk dotatywał. Charget chłopstwa...

W pewnej chwili przebiegła obok jeźdźca stara jakaś baba, umykająca w popłochu, z bekiem i z głośnymi słowami pacierza w drżących, szerniałych, wywiedłych wargach.

Dalej wpadły pod nogi końskie dzieci czarne, zeschlým gnojem okryte, a rozpierzchłe jak stado spłoszonych wróbli. Gdy Rafał blisko podjechał do końca wioszczyzny, ujrzał w kłębach pyłu huzarów austriackich. Kilku siedziało na koniach, trzymając cugle wierzchowców, z których zsiadli towarzysze. Tamci uwijali się w tłumie pospólstwa. Chłopi tworzyli koło wzburzone, kipiące stłumionym gwarem. Rafał nie mógł się precyzyjnie, gdyż całe oplotki były zapchane przez lud i konie. Pilno mu było do dworu, ale zmuszony był wstrzymać się, zwrócić uwagę. Sięgnął z konia i pociągnął za ramię pierwszego człeczynę z brzeża:

— Ojciec, a co się to tu robi?

Podniósł na niego oczy spod obdartego, zgniłego już kapelusza ze słomy człowiek stary tak bardzo, że był istotnym grzybem.

— He — wymiamał. — Nie słyszę...

— Co się tu dzieje?

— Gádáj, máli gádać, bo nie słyszę...

— Czegóz was tu taka kupa?

Ów stary, trzęsący się dziad trącił w bok sąsiada i wskazał mu Rafała. Sam znowu wlepił w środek koła oczy wygniłe, stuletni pewno mózg i stuletni uśmiech obojętności. Tamten drugi spojrział błędnymi oczyma, jakby go dopiero co zbudzono ze snu. Po chwili ocknął się i rzekł:

— A to, proszę łaski panicza, żołnierze chłopą biją.

— Za co go biją?

— A no... gzekucyja i tyła.

— Ale za co go biją?

— Za to go biją, że, proszę łaski panicza, na pańskie nie chce wychodzić i wieś bontuje. Pada, że my som niby wolne. A tu sam pokazał, jaki to... Cie wy, moi ludzie...

Rafał ruszył koniem, rozepchnął motłoch i wjechał dalej. Ujrzał posępne, głuche i nieme twarze żołnierzy. Wejrzenia ich kamienne stały wkoło jak nastawione bagnety. Rafał stanął w strzemionach i przez głowy otaczających, między wysokimi czapami, zobaczył twarz Michcika. Chłop stał obdarty ze szmat, półnagi, z koszulą rozerwaną, z odkrytymi pierściami. Łeb jego był rozkudłany i osuty kurzawą drogi. Włosy wisiały mokrymi, skrwawionymi strzępami. Z rozbitej czaszki, z nosa, z ust krew ciekła. Wargi miał czarne, oczy podbite i zamknięte, policzki sine od zniewag.

Wlekle się krwawe, wyczekujące milczenie. Tylko dokoła lud wciąż między sobą gadał, gadał, gadał...

— No, Michcik, ostatni raz się pytam... — rzekł jakiś człowiek w urzędowym kaszkiecie.

Chłop milczał.

— Michcik, upamiętaj się na rany Pana naszego Jezusa Chrystusa, bo jeszcze jedna chwila, i kłamka zapadnie. Pójdiesz w żołnierze, jak amen w pacierzu. Na oczy więcej tej oto Wygnanki nie obaczysz. Ja ci to mówię, mandatariusz ci to mówi. Pan Chłuka to teraz jest twój prawowity pan. Cóż ty, człowieku? Na panaś swego rękę podniósł? Na pańskie wychodzić, jak Bóg wszechmogący przykazał, daninę oddaj, jak święte prawo każe — i nikt na cię palca nie zakrzywi. Jeszcze jedna chwila oporu, i rozgniewa się w sercu swym pan Chłuka, da cię na wieczny czas w kamasze, jak amen w pacierzu. Ja ci to mówię, mandatariusz ci to mówi!

Nastało znowu milczenie.

Żelazne oczy żołnierzy zawisły nad Michcikiem. Każdy z nich trzymał w ręku laskowy kij ogolocony z liści. Gwar chłopski ucichł. Na dany znak pierwszy żołnierz z brzeża chwycił Michcika za ręce. Ale skazaniec odepchnął go od siebie jednym podźwignięciem ramienia i, jakby do niego tylko kierując mowę, w niego wlepiając bielma zabitych oczu swoich, zaczął jąkać się z przeraźliwym krzykiem:

— Pod Na... pod Na... służyłem... psiekrwie... Miemce!... Szanuj mię, psie! Żołnierza! W bitwach, w bitwachem-em beł, psiekrwie! W ośmi! Pod Kozubowem...

Na dany znak chwycono go za bary, z tyłu poderwano mu nogi, rzucono na ziemię. Wzniosły się kije i zaczęły świstać a rypać. Co chwila Michcik zrywał się z ziemi z krzykiem coraz straszniejszym. Nie słyhać już było słów, które z krwawych jego ust leciały,

tylko sylaby jakieś porozdzierane. Rafał rozumiał je dobrze. Słyszał, że Michcik wzywa nadaremnie brata, i to zdanie w strzępach wciąż powracające:

— Szanuj mię, psie, człowieka wolnego!

Żyły Rafała uległy zaciśnieniu, a krew ich zamieniła się w dziki płomień. Oczy ośle-
pły i widzieć nie chciały. Ucho było z drewna. Wzgarda względem wszystkich rzeczy
świata, do tego chłopca, do siebie, owionęła go od stóp do głowy jak fetor nie do zniesie-
nia. Wspomnienie ciosu szpicrutą werznęło się weń nagle z całą potęgą towarzyszących
mu myśli i niewysłowiona rozpacz wwalila się do serca. To co miał przed oczyma, to co
włamywało się w uszy, pomnażało tylko od chwili do chwili bezdenne i głuche obszary
nędznej bolesti. Ów dawny chichot, wyłamujący się z płonących bebechów wściekłości,
zatrząsał nim całym. Koń, szarpnięty z całej siły, cofnął się i aż przysiadł na zadzie. Rafał
nawrócił go, wydobył się z tłumu i jechał z powrotem tą samą drogą, ku Grudnu. Słyszał,
mijając wieś, że ktoś za nim biegnie, jęczy i skamle o pomoc dla Michcika, ujrzał nawet
szarą twarz Żyda Uriasza, ale słabo rozumiał, co bełkocze szlochając ten mizerny twór.
W oku, w kącie ust, w policzku, w czole wzmagał się narywający ból od cięcia szpicru-
tą. Głowę miał pełną dymu, w kościach palające zarzewie, a przed całą duszą jakby dół
wykopany.

Słońce zachodziło za lasy. Koń szedł noga za nogą. Rafał go nie popędzał. Był spragniony
nocnej ciemności, jak człowiek spalony od gorączki pragnie wody. W bezludnych
polach, między opustoszałymi ścierniami siedział na koniu z obwisłymi rękoma, patrząc
w tarczę ognistą. Czuł, jak tego dnia uderzyło nań słońce całym swoim pożarem. Udawał
się jeszcze sercem to tam, to sam...

Brat Piotr... Michcik... Role przez nich wykarczowane... Dźwigał rękę ciężką jak ka-
mień. Czuł, że nic sobie pomóc nie może... Z obszarów zasłanych jałowcem, ze ściernisk
pachnących macierzanką i cierpkimi woniami chwastów jesiennych dźwigało się ku nie-
mu owo bolesne, straszliwe szemranie chłopstwa, dygotał w uszach niepochwytne gwar
wściekłego motłochu, rozjuszone skamlanie, jęk nie do zniesienia. Fizyczny ból w policz-
ku przypiekał go do żywego niby rozpalonym żelazem. Rafał wznosił szpicrutę, zaczął ciąć
konia i zdzierać go uzdą, siekł jego lśniąca zgiętą szyję, smagał mu kłęby i brzuch. Koń
stęknął głucho, wspiął się, zwinął w sobie i rwał z miejsca, gdy ciosy coraz wściekłejsze,
obląkane, spadały nań jak błyskawice, a munsztuk nie popuszczał...

Chiesa aurea

Na jesieni roku 1797 książę Gintuif jako tako załatwił obowiązki głowy rodziny i wyjechał
z kraju. Siostry zaopatrzył w opiekę dalekich ciotek tudzież w legion nauczycielek, dwu
braci odwiózł do szkół publicznych w Krakowie, udzielił pełnomocnictwa do działania
folwarcznego komisarzowi, a władzę kierowniczą nad interesami zlał na krakowskiego
mecenasa Dorszta. W tym samym czasie pozbył się z domu wielu rezydentów, a między
innymi Rafała. Przydał ostatniego za pewien rodzaj towarzysza braciom. Przy protekcji
pańskiej udało się, z ciężką wprawdzie biedą, tyle dokazać, że Olbromski zdał wymagany
egzamin do klasy piątej i umieszczony został na poetyce w liceum świętej Anny. Dużo
trudu kosztowało księcia uzyskanie w Wiedniu paszportu do Włoch, a mianowicie do
krajów Rzplitej Weneckiej, na dwór papieża, do krajów króla Piemontu, wielkiego księcia
Toskanii, księcia Parmy i Burbonów Neapolu. Przerwana już była na pozór w Leoben
wojna, ale tłała jeszcze zarzewiem. Wszelako rozległe stosunki umożliwiły otrzymanie
drogocennego papieru z mnóstwem podpisów, winiet i pieczęci. Książę wyjechał.

Chyżo mijal góry Styrii, Karyntii, przedłużone odnogi Alp tyrolskich. Jechał wiel-
kim, starodawnym traktem górskim, który przecina rzeki Sawę, Drawę i Mur. Dostał się
nareszcie w pustynię Krasu, między wapienne wyniosłości i zawaliska, gdzie woda w głąb
ziemi ucieka tworząc w jej łonie pieczary, podziemia, jeziora i rzeki. Ten bezludny, zapa-
dający się świat kamieni pełen był jeszcze wojsk republikańskich, które pod dowództwem
Masseny, Guieux, Chabota, Serruviara i Bernadotte'a z wolna cofały się ku Palma Nuova
opuszczając Gorycję i Karyntię. W miejscu tym wielki trakt stykał się z drogami idącymi
ze wschodu. Z wyżyn widać było białe ich taśmy, łamiące się po bezdrzewnych i bezwod-
nych łańcuchach gór. Jak oko sięgło, słały się po nich ruchome kurzawy, a w nich brnęły
ku południowi i na zachód kolumny za kolumnami. Górskie wioseczki były popalone

i zrównane częstokroć z ziemią. Ludność witała podróżnika nieufnym, podejrzliwym okiem, wyciągając wychudłą rękę po datek. Słowo ze szerniałych warg padające było słowiańskie...

Książę nie poządał bynajmniej widoku dzieł Marsa, toteż ile się dało zbaczał z traktu wojennego i co tchu dążył w stronę Triestu. Sądził, że już wszystkie szlaki strategiczne wyminał. Tymczasem na jednej z najwyższych przełęczy, w miejscu spotkania się rozstajnych dróg, woźnica obrócił się na koźle, potrząsnął głową i wskazał biczyskiem zbliżające się tuż-tuż obłoki kurzawy. Nie było sposobu ruszyć dalej, gdyż wojska wwalily się z bocznej na główną drogę i zajęły całą szerokość. Zatrzymano się pod wysoką skałą wapiennego szczytu na zakręcie drogi.

Książę wysiadł właśnie z powozu dla uniknięcia kurzu, kiedy zza tej skały wynurzyły się pierwsze rzędy infanterii. Szli ludzie przywaleni kurzem od głów do stóp, jak ruchome jego słupy. Ledwie w dymach pyłu wapiennego widać było zgorzałe na węgiel ich twarze, zamknięte oczy, zacięte usta. Szli wielkim, twardym, młodym, niestrudzonym krokiem. Przesuwały się w małych odstępach jedna za drugą kompanie grenadierskie. Gdy książę wzwyczał oczy do kurzu, ujrzał, że ci ludzie byli oberwani, prawie bez butów. Znienacka dokuczliwy ból zarznął go do żywego... Widok kroju mundurów tych grenadierów do złudzenia przypominał dawne czasy.

— Toż to mundur kawalerii narodowej — mamrotał książę.

Szedł batalion strzelców odziany w lachmany ludzaco podobne do regimentu marszałkowskiego strzelców węgierskich, w mundurach niby błękitnych z pąsowymi wyłogami, w pozłocistych giwerach z pąsową kitą. Ciągnęli wciąż, wywalając się zza góry jakoby ze strasznego jej łona. Wizja bolesna, sen długi i duszący... Widok każdego oddziału nożem padał w piersi i utykał w sercu. Oto idą znowu, idą znowu! Łoskot ich kroków grzmi na tej ziemi wewnątrz próżnej. Regiment fizylierów, coś jak regiment Działyńskich, a wreszcie regiment pierwszy imienia królowej Jadwigi. Pąsowe mundury, białe kolety, białe pasy i czarne kapelusze. Wszystko to obdarte, w latach różnokolorowych, w szwach, w gałganach. Nogi półbose dzielnie i twardo wytrzymywały takt na tej nieskończonej drodze między morzem a lądem, wlokąc strzepy „czarnych butów niemieckich”. Broń szczękała. Obok ludzi, idących miarowo, brnęły do taktu chude konie oficerów wyższych. Oni sami jak czarne znaki, równo kołysząc się znikali w kurzawie. Na prawo i na lewo zygżakiem schodzili w głębie pustej doliny. Czarne ich widma znikły z oczu, i sama chmura pyłu z wolna osiadała na drodze. Jeszcze długo kołysała się rytmicznie w głębi, a później poszła w górę, na dalekie, błękitnawe pasma, we światy...

Książę ocknął się jak ze snu. Popędził w swoją drogę. W Trieście, trafił szczęśliwie na odchodzący tegoż dnia do Wenecji dwumasztowy okręt z pomalowanymi żaglami — *trabaccolo* i puścił się na morze.

Już kiedy przepływano obok fortu św. Andrzeja, na grobli Lido i u wejścia do portu Malamocco okręt poddany był nadzwyczajnie ścisłej rewizji. Podróżnych badano jak zbiorów, a ich paszporty oglądano na wszystkie sposoby. Osobliwie książę, jako przybywający z Austrii, był przez celników francuskich obserwowany bardzo podejrzliwie. Gdy się te wszystkie ceremonie skończyły, wylądował wprost na mały rynek. Był tu za lat wczesnej młodości swej, z rodzicami, kiedy jeszcze nosił błękitny mundur kadecki. Dziś był zupełnie sam. Ojciec i matka spoczęli pod ziemią. Te miejsca ukazały się teraz oczom jak widok tamtych minut, jak widok samych umarłych. Młode szczęście godzin, straconych na zawsze, tało się w tych murach. Nie widząc wcale ludzi przechodzących książę brnął przez *piazettę* ku kościołowi świętego Marka z oczyma pełnymi łez, z ustami pełnymi słów miłości, z piersią pełną westchnień i żalu.

— *Pax tibi, Marce...* — szeptał do świątyni z najgłębszą czcią.

„Złota świątynia” stanęła przed nim znowu. Śnił patrząc na nią, że go niby urząd duchowy, niby trybunał sądzący zapytuje o lata ubiegłe, o życie przebyte, o szczęście odepchnięte, o pogrzebane w ziemi zwłoki i o całuny uczuć, co je do snu wiecznego otuliły. Przywarł plecami do muru Kampanili obok białej loggiety Sansovina, skulił się i z wlepionymi w kościół oczyma na długo tam został. Miał więc znowu to, za czym tęsknił. Balustradę z kilkuset kolumn o ozdobach gotyckich, połączoną z kapryśnymi słupami saraceńskimi, nad którą strzelają minarety arabskie i pięć jasnych kopuł greckiej cerkwi.

Nasycał znowu oczy widokiem przedsionka okrytego mozaikami na złotym dnie... Tam św. Marek w ubiorze biskupim, tam Zmartwychwstanie, tam Wskrzeszenie Łazarza... Oto chimeryczne korynckie konie nad głównym portalem środkowym wspinają się i rwą w świat. Dokąd? Były już przy pogromie Grecji i jako symbol tryumfu rwały się w świat na tryumfalnych bramach Rzymu. Były przy upadku Rzymu i stanęły na tryumfalnych murach Carogrodu. Były świadkami zwycięstwa Wenecji nad Bizancjum i stanęły tu, u drzwi św. Marka, na pięćset lat...

Nim wszedł do bazyliki, książę miał pod powiekami jasnovidzenie jej złotego wnętrza, wizję całkowicie złotą, pełne oczy złotego mroku. Słyszał w głębi swej duszy szelest sukni dawno zmarłych rodziców, echo, brzmiące pod ciemnym sklepieniem, rozmowy prowadzonej między wonnymi dymami czci i pokory. Podniósł oczy ze drżeniem. Obcy ludzie snują się naokół... Wszedł tedy co prędzej na mozaikowe posadzki, na owe dywany z kamienia, gdzie tylekroć hulały bałwany morza, że same mozaiki powyginały się na obraz fal i pian. Ale stuoka pamięć i tam z każdego kąta, zza każdego filara wysuwała obraz albo dźwięk dawno umarły. Jakże straszliwie patrzyły teraz w przybysza wielkie, jak gdyby senne oczy samotnych świętych, oczy pełne smutku-niesmutku, żalu-nieżalu, oczy pełne mądrości, oczy, które widzą przez wieki, oczy wieszczce! Książę czuł, że to od nich zstępuje ku niemu ów szept niezrozumiały. Jakże rozdzierająca była mowa ich zeschniętych ust, prawda, której wyznać nie mogą, zamknięta w skurczach czoła i lic, w okrutnych gestach skostniałych rąk. Mowa ta usiłowała wyjawic wieść z tamtego świata, wyznać straszliwe ostrzeżenie, jedno i to samo dawała znać przez tysiąc lat trwożliwym spojrzeniom rzesz ludzkich, które tu przychodziły ze wszystkich kończyn ziemi. Zdawało się, że głębokie luki, arkady, sklepienia i kopuły nad filarami odzianymi w polerowany, ciemnoczerwony marmur, żarzą się i świecą własnym zarzewiem złotym, które wybucha ze ścian, gdzie w czworograniastych słupach przepala się czarodziejski ogień grecki.

Książę błąkał się po świątyni z miejsca na miejsce, wodząc po twardych liniach bizantyjskich przymrużonymi oczyma. Jakże się to dokonało, że wszystko naokół jest takie samo jak za poranku jego młodości, a on sam... Gdzież się podział młodzieniec, który to widział pierwszy raz? Nie ma go już. Ten co ogląda to samo, to inny zgoła człowiek. Radosne uczucia tamtego przeistoczyły się w strupieszwały żal, podobnie jak w trupa przeistacza się żywy człowiek. I oto rozszerzył się żal, zabrzmiał niesłychanym, zaświatowym echem, na podobieństwo głosu rozlegającego się pod sklepieniem chrzcielnicy w Pizie. Gdzie się podziały ludy z ich wolą, czynem i sprawą? Gdzie państwa ich i królowie? Świątynia ta stała już taka sama, kiedy Mieszko I na tron wstępował. Została taka sama... Przeszli tedy rycerze idący odbierać grób Chrystusowy. Tu, na kamieniach przedsionka, Fryderyk Barbarossa klęczał u stóp papieża. Niezliczone tryumfy weneckiego ludu nad Genuą, Konstantynopolem, Vicenżą, Weroną, Belluno, Padwą, Bergamo, Istrią, Dalmacją, Moreą, Kandią, Cyprzem i wyspą Lemnos, nad całym carogrodzkim morzem...

— Przeżyłeś i swą Wenecję, święty Marku... — zaśmiał się wędrowiec patrząc z niecną radością w mroczne wnętrza kościoła. — Żołdak francuski zerwał z masztów twoje szkarłatne chorągwie, wiszące w chwale od czasów Henryka Dandolo, roztrącił skrzydłatego lwa...

Poruszony do samej głębi ducha wyszedł z kościoła. Uderzyła go, jak nieznośny ciężar, myśl o zwycięstwie francuskim. Widział w marzeniu pustą lagunę, zalewisko zgnitych wysp, gdzie królował przyptyk morza. Lud uciekający przed dziczą Attyli stworzył tu ludzkie siedlisko. W ciągu trzynastu wieków potomkowie tych, co tu przybyli, wbijają w muł miliony dębowych palów, na nich wznoszą blisko trzydzieści tysięcy domów, czterdzieści rynków; przywożą z dalekich gór ciosany granit, czerwony, biały i żółty marmur, wyściełają kamieniem czterysta kanałów, dźwigają blisko pięćset mostów z marmuru. W mieście tym wyrasta niezmierna liczba świątyń i pałaców, wykwita biblioteka Sansovina, Prokuracje, Kampanila, pałac dożów i sama owa bazylika. Niestrudzeni żeglarze, waleczni żołnierze, najprzemysłniejsi kupcy zwożą w darze dla świętego Marka wszystko, co gdziekolwiek było cenne. Z Egiptu, Grecji, Bizancjum — kolumny z porfiru i serpentyny, alabastry, wazy, płaskorzeźby egipskie, snycerskie dzieła Persów, słupy z mistycznym pismem ze świątyni Saba w Akrze. Wydali ze swego łona niezliczony poczet artystów aż do wielkiego Tycjana, byli szerzycielami umiejętności i kunsztów... I oto jed-

Przemiana, Przemijanie,
Kondycja ludzka

nego dnia przybywa z ziemi twardej samotrzeć w gondoli adiutant francuskiego generała, sam jeden z nakrytą głową wstępuje na „olbrzymie” i na „złote” schody i wchodzi na posiedzenie Wielkiej Rady, do sali, skąd słuchały wyroków dalekie ludy morza, podniesionym głosem odczytują w obliczu doży i wszytkiej Wenecji list zwiastujący wojnę, a właściwie deklarację zniszczenia ich ojczyzny, którą tyle pokoleń własnymi rękoma zdziało...

W parę tygodni później złota księga płonie u podnóża drzewa wolności, doża chroni się do swego domu, a patriarcha Giovanelli asystuje przy ceremonii zniszczenia ustaw Wenecji i zanosi do Boga modły...

Wyszedszy na plac książę otoczony został przez tłum natrętnych przewodników. Ci wskazywali mu jeden przed drugim wieżę zegarową. Rzucił okiem i spostrzegł to, z czym tak uporczywie chcieli go zaznajomić. Na karcie księgi, którą trzymał przez wieki złoty w błękitnym polu lew Wenecji, zmazane były słowa: *Pax tibi, Marce, Evangelista meus!* — i wyryte inne: *Droit de l'homme et du citoyen*. Inni, podkreślając stokrotnie dowcip gondolierski, że nareszcie po tylu latach złoty lew odwrócił jedną kartę swej księgi, wskazywali rozpoczęte z rozkazu „wielkiego generała” budowanie *Fabrica nuova*, które miało zamknąć plac św. Marka i w jedną całość złączyć Prokurację. Bito tam w kanał pale, wznosiły się rusztowania. Książę odpędził zgraję i z wybrzeża Piazzetty popłynął w gondoli do hoteliku, dokąd już był rzeczy odesłał.

Tego jeszcze dnia zaczął składać wizyty w celu poznania stanu rzeczy. Łączyło go dalekie po przodkach kuzynostwo z jedną rodziną magnacką Wenecji. Skorzystał z tego i odnowił znajomość zawartą czasu pierwszej z rodzicami bytności. Był przyjęty bardziej życzliwie, bardziej gorąco, niż przewidywał.

Duże jeszcze kołatało się w pływającym mieście zgromadzenie emigrantów francuskich, którzy szukali tutaj nie tylko schronienia przed motłochem swej ojczyzny, ale również rozniecali namiętności patrycjatu weneckiego przeciwko Francji, jej rządowi, generałowi i niezwykłej armii. W chwili gdy książę Gintuł stanął w tym mieście, emigracja francuska zabierała się do odwrotu... Sceny paryskie powtórzyły się na placu św. Marka i na moście Rialto. Lud przez pięć wieków, od czasów doży Piotra Gradenigo, praw pozbawiony, pozbawił praw szlachtę i sam, w osobach sześćdziesięciu przedstawicieli, zasiadał w sali di Pregadi, i w Cedrowej, i w izbie Rady Dziesięciu, a nawet w izbie, gdzie zasiadali *Inquisitori di stato*. Ludwik Manini skrył się w zaciszu domowym po wzruszeniach pierwszego i szesnastego maja. Eksprokurator Franciszek Pesaro, ogłoszony za wroga ojczyzny, wygnany został z kraju. Lud, rządzący pod osłoną bagnetów francuskich, zadekretował przede wszystkim otwarcie więzień — zarówno Pod Ołowianym Dachem jak Pod Wodą — oraz zniszczenie Inkwizycji Stanu. Trzęsło się po placach, tawernach, kawiarniach i gondolach od powieści o więźniu, który miał w lochach przebyć czterdzieści trzy lata. Toteż na gmachu Prigioni widniał teraz napis: „Więzienia barbarzyństwa tryumwiratu arystokratycznego, zniszczone przez municypalność tymczasową Wenecji w roku pierwszym wolności włoskiej, 25 maja 1797 roku”. Wszystkie te szczegóły jak grad sypały się na przybysza podczas jednego z zebrań towarzyskich w pałacu Morosini. Zdawało się, że pozbawieni władzy chlubią się tym wszystkim, co rozpowiadali. Dawało to sposobność do niezrównanych dowcipów, świetnych drwin z motłochu rozsiadającego się w pałacu, a nawet do rzewnych legend. Jakże doskonale natrząsano się z sekretnych artykułów „podyktowanych” w Mediolanie 15 maja, a szczególnie z piątego punktu, który żądał wydania dwudziestu najprzedniejszych obrazów i pięciuset manuskryptów! Z dumą i wżgardą istotnych patrycjuszów lżono dowcipami ową żarłoczność republikańską, która za nic zdzierła z miasta sześć milionów kontrybucji, trzy statki wojenne i dwie fregaty z załogą. Jedni rozpowiadali z najdrobniejszymi szczegółami o zajęciu fortu świętego Andrzeja, Chiozzy, arsenału i ważniejszych punktów przez cztery tysiące „załogi”, o zagarnięciu władzy nad flotą, o odwołaniu ministrów i wysyłaniu do dworów monarszych... demokratów... Ci ośmieszali „traktat” za zniesienie kary śmierci, tamci za otwarcie więzień, skasowanie „lwiej paszczy”, dziesięciu i trzech, za wywrócenie starej konstytucji, ogłoszenie swobody sumienia, wolności prasy i zupełnej amnestii...

Książę Gintuł doświadczał złudzenia, że już raz widział takich ludzi za swego niedługiego żywota. Uśmiech wystąpił na jego usta. Z uwagą przysłuchiwał się wszystkiemu. Patrzał badawczo, jak mężowie trzeźwi, politycy przebiegli, natury po włosku gibkie, znawcy rzeczy tego świata, czciciele faktu dokonanego teraz dobrowolnie ludzili się, na

pół świadomie przeceniali rzeczy blahe. Jeden w ciągu godziny mówił o sile partii ludowej, przywiązanej do świętego Marka, drugi szeptał o możliwości sprowadzenia raz jeszcze najemnych komuników słoweńskich, trzeci o konieczności spróbowania raz jeszcze walki, jak na moście Rialto. Inni rozprawiali z zapalem o takich sprawach i zabiegach, z których przed rokiem śmialiby się szyderczo. Oni, którzy pochwalili zamordowanie kapitana Laurier pod Lido na statku *le Libérateur de l'Italie*, co było ostatnim, najbardziej bezpośrednim powodem, a nadto zrozumiałym pretekstem zemsty Buonapartego, szukali teraz oparcia... w ludzie! Wzdychali do jego wierzeń. Budowali nową Wenecję na lagunach uczuć ludu. Uśmiechali się z wyrazem niezachwianej wiary w jego przywiązanie do skrzydlatego lwa. Jedna z dziewic, piękna jak marzenie, uproszona przez wszystkich, miała wypowiedzieć w gwarze utwór nieznanego poety z ludu o wykradzeniu relikwii świętego Marka przez „francuskiego złodzieja”. Książę słuchał ciekawie. Recytatorka mówiła:

— „Złodziej wszedł do dzwonnicy świętego Marka i wstąpił na wysokość lwa złoconego. Usunął duży kamień, który się sam obrócił, i zobaczył małe wydrążenie w murze. Tam leżał lew brązowy, któremu przednią odsrubował łapę. We wnętrznościach tego zwierzęcia znalazł pięć kluczy złotych, zaśrubował na powrót łapę, kamień na swe miejsce zasunął, a klucze zabrał. Udał się prosto do bazyliki i porachowawszy słupy zaszedł do kaplicy sobie wiadomej. Był tam ciężki konfesjonał drewniany roboty snycerskiej, który się na czopie obracał. Gdy go złodziej obrócił, znalazł kamienną niszę, w której głębi znajdowała się płyta. Zdjął ją, wszedł i znalazł się w korytarzu wydrążonym w grubym murze. Miał fosfor sycylijski i jeden kamień przezroczysty, wydający z siebie jasność słońca. Użył go do oświetlenia i ciasnymi zeszedł schodami.

Tu, będąc już pod powierzchnią morza, zbliżył się do wielkiej sali, dokąd wiodły wielkie drzwi dębowe, sztabą żelazną okute. Otworzył je kluczem i przeszedł. Był w sali, w której sklepienie wspierało się pośrodku na grubej kolumnie... Wyciosana tam była historia świętego Marka od Aleksandrii aż do tajemniczego grobowca. Widać tam było kupców weneckich nabywających ciało święte: dalej widać było, jak je okrywali słońcą, jak muzułmanie przestraszeni uciekli. Widać tam było dalej, jak szli na okręt, jak ich napadła straszliwa burza. Widać było, jak wylądowali w Wenecji, wchodzili do kościoła, do podziemnego grobowca. Widać było, jak doża sam jeden skrycie kryptę odwiedza...

Złodziej odsrubował kolumnę i znalazł w podstawie okrągłe schody. Zeszedł po nich i ujrzał ogromną przestrzeń, strachem przejmującą. Ale był tam guzik w murze okolicznym. Przyciska go, i oto spada most żelazny. Bez tego mostu zleciałby był w przepaść, gdzie koła obracały się ciągle, gdzie ostre noże i kolce żelazne posiekłyby świętokradcę. Przebywszy most znalazł trzy kraty żelazne, które umiał otworzyć sekretem symbolicznym. Wówczas stanął u ostatnich drzwi z brązu, które złotym kluczem otworzył.

Tu olśnił go widok kaplicy. Ujrzał tam wazy, urny, lichtarze, kadzielnice złote, srebrne i z drogich kamieni. Sto świec woskowych płonęło, wonią napełniając powietrze. W środku był ołtarz zrobiony z tego metalu, z którego jest pierścień dla doży zaślubiającego morze. Na nim był posąg świętego Marka ze lwem przy nogach. Lew miał paszczę otwartą, a zamiast oczu — diamenty. Klucz grobowca był w paszczy lwa. Gdybyś go wziął ty albo ja, wystrzeliłby ze strasznym hukiem, a przez tajemnicę magiczną poruszyłby dzwony świętego Marka. Doża nadbiegłby z patriarchą. Ale złodziej wiedział dobrze, co czynić. Obrócił cztery razy ucho lwa, i klucz sam wyszedł z grożącej paszczy. Wtedy wkłada klucz w zamek grobowca, otwiera... Święte kości przed nim leżą!

Świętokradztwo! Przekleństwo! Wieczne potępienie!

Bierze święte kości, obwija je w płaszcz swój. Korzysta z przejścia, które na dnie grobowca znajduje. Wstąpił na korytarz. Korytarz obraca się, podnosi. Dalej znajduje schody. Długo otwiera drzwi ostatnim złotym kluczem i oto wchodzi do bazyliki na balustradę nawy, gdzie zwykle nikt nie patrzy, czeka nocy, ażeby uciec. Ucieka. Noc upływa...”

Całe towarzystwo słuchało tych słów w bolesnym wzruszeniu. Twarze były jak skrzące, oczy zdrętwiały. Ten i ów ukrył twarz w dłoniach. Jeden książę Gintuł słuchał obojętnie.

Ogarniało go nie współczucie, lecz właśnie pogarda względem tych, którzy zdolni byli wzruszać się tak tym, co ich najbardziej hańbiło. Wydali mu się jak szalbierze, którzy

usiłują zrobić interes na ostatniej reszcie własności ludu. Nie zdążyli wydrzeć korzyści z błędnych jego wierzeń i głupich plotek, błędnych i głupich z ich winy, więc czynią to teraz w chwili stosownej, kiedy nie pora już osiągać korzyści wyższego rzędu. Ci sami, którzy przedsiębrali wszystko przez sześćset lat dla zdławienia i zniszczenia praw motłochu, odwoływali się do motłochu, gdy przyszło karę ponieść za winy. Czyliż — myślał — nie są jak żebracy wyciągający rękę? Udają ludzi wierzących w doskonałość praw swej Rzeczypospolitej... Gdybym też teraz wstał i zapytał ich: jak się zapatrują na maksymy Fra-Paola Sarpi, na owe wytyczne zasady udzielane prokuratorom? Pierwsza zasada: trzymać w stanie ciągłego ubóstwa stan szlachty zubożalej. Druga zasada: poprawić artykuły konstytucji w taki sposób, żeby można było posługiwać się nimi w miarę potrzeby. Trzecia zasada: schlebiać głupocie, namiętnościom, a nawet występkom motłochu.

Nie wstał jednak. Wystarczyło mu wspomnienie słów mędrca, najgłębszego znawcy rzeczy dokonanych, Nicola de Bernardo di Macchiavelli. Oto były te słowa, zawierające prawdę dowiedzioną:

„Jeżeli potężny nieprzyjaciel wstąpił w kraj jaki, naówczas wszyscy malkontenci z rządów swojego kraju przyłączą się do nieprzyjaciela. Ten, kto panuje, powinien ich mieć na oku i nie dopuścić tego połączenia się, ale owszem pociągnąć malkontentów ku sobie i siły ich obrócić przeciwko potężnemu nieprzyjacielowi, aby sam jeden był panem w kraju. Jeżeli tego nie uczyni, narazi się na zgubę, ponieważ wszystko go opuści”.

Książę siedząc na uboczu i niby to przysłuchując się rozmowie widział przed oczyma ów zastęp bagnetów znad słodkich wód Piawy, jako wynik naturalny formuły Macchiavellego. Zdawało mu się, że śni, że dostrzega blade oblicze człowieka, który tak poznał sprawy ziemskie... Cóż by dał za to, ażeby z nim przepędzić jedną godzinę życia, usłyszeć odpowiedź na zadane pytania!...

W tej samej chwili ktoś z gości przysiadł się do niego i zaczął rozmowę. W trakcie jej zapytał:

— Wszakże to rodak pański, adiutant Buonapartego, pierwszy nam przyniósł zapowiedź zniszczenia, deklarację wojny lub tak zwanego pokoju? Sam jeden wszedł na olbrzymie i na złote schody, do sali cedrowej, gdzie zasiadała wszystka dziedziczna arystokracja Wenecji.

— Rodak mój? Któż taki?

— Oficer, nazwiskiem Sułkowski.

— Czy być może?

— Tak jest.

Książę dotknięty był tą wiadomością. Józef Sułkowski był jego przyjacielem z lat obozowych. Razem niegdyś uczyli się, fantazjowali, toczyli rozmowy. Książę pamiętał go z czasów rydzyńskich... Pelen nieprzyjemnego uczucia ironii, która co chwila przeciwko niemu samemu ostrze bolesne zwracała, wyszedł z tego zebrania. Unikał też odtąd następnych.

Spędzał dni sam, najczęściej w gondoli. Jeżeli morze było niespokojne, waleśał się w obrębie lagun od Giudekki po Murano, zwiedzał brzegi twardego łądu od Fesine do Mestre. Codziennie pozdrawiał ulubiony swój most *dei Sospiri*. Kształt tego mostu był jakby wmurowany w jego myśli i stał się symbolem pewnych zajęć duchowych. Niby dziwne, magiczne szkło dawał widzieć całą prawdę życia. Z głębi jego okien, dzierganych w kamieniu, zdawały się patrzeć bolesne oczy Jakuba Foscari, kiedy wracał do swego więzienia... Nad swobodnymi wodami stała ta droga wzdychania w obliczu śmierci — między tym, co jest najbardziej rozkosznego w życiu ludzkim, a tym, co jest największym złem. Dzieje nieszczęścia uczyniły ją piękną i godną myśli nigdy nieuprzykrzonych. Dzieje niepodległej siły ducha owiały westchnienia rodu ludzkiego.

Gdy zdarzył się dzień cichy, książę wyruszał o żaglu na morze i spędzał tam dzień cały. Szczególnie udał się jeden dzień pogody zupełnej, jasności zupełnej, dzień senny po jesiennemu, przejrzysty i niezwykle. Łódź nie kołysała się wcale. Morze było tak ciche, że tworzyły się na nim w matowych polach świetliste miedze i drogi, niby polne szlaki między rolami zredlonymi pod wiosnę. Były momenty olśnienia szczególnych, kiedy ruchliwe wody straciły wyraz ciekłości, stawały się bezwładne, zastygłe, przejrzyste aż do samego dna, jak niezmierny otwór wyszlifowany i drążony w górskim kryształ. Wszystkie dookoła łodzi nie fale, lecz kręgi i okrągłe zwoje wody miały jednakową barwę bez cieniów.

Brzeg Lido i Malamocco roztopiał się i ginał w morzu. Łąd był okryty białymi mgłami, a śnieżne Alpy Julijskie zdały się być przemijającym obłokiem. Daleko z południowej strony leżały nad płonymi wodami chmury płasko rozciągnięte, mając oczy, jak gdyby bliski łąd, na którym sinieją pasma gór ukrytych w tajemniczych tumanach. Tylko jakiś samotnie stojący w niebiosach obłoczek tej samej barwy kłam zadawał złudzeniu.

Wracając z tej wycieczki książę ostrzeżony był przez gondolierów, że na plac wysiadać nie można. Łodzie jak stado rozbitych kaczek miały się u wejścia do wielkiego kanału i tłukły pod brzegiem kamiennym. Istotnie, przebiwszy się przez tłum czarnych stateczków, książę spostrzegł na wybrzeżu Piazzetty linie wojska z bagnietami, zwróconymi ku morzu, a nadto paszcze dział i kanonierów z zapalonymi lontami. Kazał podjechać do brzegu i wysiadł... Ale gdy chciał wstąpić na plac, pierwszy żołnierz z brzegu kolumny skierował ku niemu bagnet. Książę spojrział na jego mundur, w oczy i na chybił trafił rzekł po polsku:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus...

— Na wieki wieków... — rzekł tamten z niekłamaną radością i wszystek się przemienił w uśmiech przyjazny. To samo jego koledzy z szeregu.

— Puśćcie mię, panowie bracia, na plac?

— Nie możemy... — odpowiedzieli szeptem. — Nikogo na plac nie puszczamy.

— Toż czemu? Wczoraj było wolno, a dziś nie?

— Cały garnizon pod bronią.

— A wy jakiejże broni jesteście?

— My są strzelcy z pierwszego legionu generała Kniaziewiczza. Dwie nas kompanie drugiego batalionu pod szefem Forestier.

— Kto dowodzi?

— Major Chłopicki dowodzi.

— A którzy oficerowie subalterni?

— A jest adiutant Sielski, Bolesta. Jest kapitan Downarowicz, Kozakiewicz, Borowski, Kończa i Koszucki.

— A reszta legii gdzie?

— Poszła w Breściańskie i Mantuańskie, i aż w samą Bolonię, co teraz zrobiona stolicą nowej republiki.

— Cóż znowu za republika?

— Transpadan. *La République Transpadane* się nazywa.

— Miło mi zetknąć się ze swoimi... Może byście waćpanowie puścili mię na plac.

— A kiedy nie można...

— E... rozsłoń się ta!... Niechże idą, aby chyłkiem po podcieniu, a wedle pałacu...

— Żeby zaś Bolesta nie zobaczył.

Książę przesunął się i wydostał na rynek. Dopiero minąwszy pałac dożów ujrzał przyczynę zbiegowiska. Przed samym wejściem do katedry stały tęgie słupy rusztowania, a na nich biegali żołnierze. Olbrzymie liny na blokach snuły się w ciągłym ruchu. Nie można było zrozumieć w pierwszej chwili, co się to dzieje. Plac pełen był ludu, który przerwał był kordony i przez rumowie *Fabrica nuova*, przez zaułki Prokuracji wtargnął do środka. Teraz miotał się bandami ku bazylice. Żołnierze łomotali napastników kolbami i bronili przystępu, ale, w tłum zmieszani, nie mogli mu dać rady. Szarpany na wsze strony, znajdując się co moment to między gawiedzią, to wśród żołnierstwa, książę spostrzegł narzeczcie przyczynę. Na linach niezmiernej grubości, wciąż wodą zlewanych, spływał na dół drugi z rzędu koń grecki. Liny sprężyste drgały, tocząc się z wolna po blokach, a wielki koń, ważący blisko dwa tysiące cetnarów, bokiem do ludu zwrócony, posłusznie szedł na dół... Było coś nad wszelki wyraz tragicznego w tym zstępowaniu wielkiego znaku, żywego pomnika czasów Aleksandra Macedońskiego, było coś wstrząsającego w tej wędrówce nowej...

Książę nastawił uszu. Słyszał, że żołnierz naokół słucha rozkazów polskich, między sobą mówi po polsku. Dojrzał ludzi w mundurach tej samej barwy, ciągnących tłumem liny... Zatrząsł się od straszego gniewu. Ocknął się w nim pan. Twardym krokiem, laską rozpychając przed sobą żołnierzy, którzy na widok jego bladej twarzy i oczu bezwładnie opuszczali broń, wszedł w sam środek, pod rusztowanie. Tam piorunującym głosem zawołał:

— Kto tu wami dowodzi?

Kilku oficerów, słysząc mowę polską, wysunęło się z różnych stron, bezradnie patrząc. Nareszcie z dala, bez pośpiechu, wyszedł z tłumu oficer starszy z pytaniem:

— A co tam? Nie puszczaj!

— Waść tu dowodzisz? — zawołał ksiązę w kierunku tego człowieka.

— Ja dowodzę. O co idzie?

— Nazwisko waści?

— Moje nazwisko?... Co to jest? Co to za jeden?

— Nazwisko waści?! To śmiesz żołnierza polskiego do takich dzieł!...

— Kto wasan jesteś? Mam rozkaz ludzi użyć, więc używam.

— Masz rozkaz imię polskie hańbić na wieki!... — począł nań krzyczeć jak na ekonoma, dławiąc się słowami ze wściekłości, idąc nań z laską.

— Co to jest? Kto to? Jak śmie! Baczność!

— Kondotieri!

— Brać go!

— Rabusie!

— Daj go tu!

— Pacholy, siepacze!

Karabiny zamigotały w oczach księcia. Sto pięćci chwyciło go za bary. Rzucony na ziemię, z piersi przyduszonych kolanami, ze ściśniętej gardzieli, krzyczał ostatkiem sił:

— Nie pozwalam!

ŻOŁNIERSKA DOLA

Już następnego dnia ksiązę Gintuł wyjechał z Wenecji. Powziął był wiadomość, że wódz legionów w Weronie albo w Montebello znajdować się musi. Mówiono szczególnie o Montebello, gdyż tam przebywał generał *en chef*, otoczony jak koronowany ksiązę przez ministrów Austrii, Rzymu, Neapolu, Sardynii, Genui, nieszczęsnej Wenecji, Parmy, kantonów Szwajcarii i wielu państweczek niemieckich. Ksiązę Gintuł jechał z postanowieniami wniesienia protestu przeciwko czynnościom rabunkowym, na korzyść Francji, batalionów weneckich. Stał na łądzie pełen furii i poganiał swego woźnicę, ale nim do Padwy dotarł, już zaczął odzyskiwać spokój. Pędząc od świtu starym gościńcem wzdłuż kanału della Brenta, pod niebem ciepłym a smutnym, zasłanym wilgotnymi chmurami, wśród pól jak oko sięgnie zarosłych szczepem winnym o liściu przywiedłym, srebrnoszarym, jak gdyby szronem okrytym, wśród gajów drzew oliwnych, które od połowy wysokości Gór Euganejskich zstępując całą ziemię płaszczem osłaniają, uciszał się z wolna. Mroczne już liście morw z festonami wina, drzewa migdałowe, figi, słodkie kasztany, brzoskwinie i dziki granat tworzyły sploty różnokształtne nad żyzną, rodzącą ziemią. Spracowane gaje oddawszy człowiekowi owoc pograżały się w błogosławioną dobę spoczynku. Jeszcze tylko grona winne, brunatne i jasne, tu i owdzie ciążyły na wątłych gałęziach. Sennymi oczyma ksiązę witał i żegnał wonne pagórki otaczające Padwę, wapienne złomy Vicenzy. Gdy minął te okolice, wjechał w kraj morwy. Tegoż dnia dotarł szeroką drogą, wysadzoną lipami, do Werony.

Nim rozpoczął kroki w celu dowiedzenia się o miejscu pobytu generała, chciał rzucić okiem na miasto, którego nie znał. Łatwo trafił do amfiteatru rzymskiego, na plac Erbe i sąsiadujące z nim dziedzińce dei Signori oraz do grobów Scaligerowskich. Nie tego wszakże szukał. Już w drodze opanowało go szczególniejsze utęsknienie do Werony. Z głębi myśli wzburzonych, błędnych i bezładnych raz wraz wypływało jedno i to samo imię: Julia... Ksiązę uczuł niewysłowiony urok tej Julii, przez poetów wyśniewanej, cichej dziewczyny werońskiej. Widział niemal cielesnymi oczyma jej twarz, pamiętał każde jej słowo, tak pełne miłosnego męstwa, tak prawdziwe i tak nieomyłne, że każdego człowieka dzieje w sobie zawierają. Pod przedziwnym jesiennym niebem Werony, które nie chłodem, lecz rzeźwością owiewa i dodaje mocy a wiary w siebie jak uścisk dobrego przyjaciela, szedł ulicami szukając na oślep. Śnił na jawie... Czeką go tutaj szczęście... Mrok już zapadał. Łudziło go omamienie, dyszące samą rozkoszą i radością, o którym przecie wiedział, jak okrutną jest igraszką, że to jego samego czeka w czarodziejskim pałacu Julia z Capulettich rodu.

„Jeszcze ranek nie tak bliski. To słowika, nie skowronka pieśń. Ten słowik śpiewa nocą codziennie tam, w liściach ciemnego granatu. Wierzaj mi, że to był słowik”...

Do niego wyrzeczone są te słowa pełne szczęścia i szaleństwa. Cóż to tak szlocha w sercu? Tak rwie się i kona?...

„Jest to skowronka głos, zwiastuna dnia. To już nie pieśń słowicza! Widzisz na wschodzie te smugi zazdrosne, co złocą jasnością obłok poranny? Wypaliły się pochodnie nocy tej. Dzień rączy wspina się już po mglistych wzgórzach”.

Już przeszła czarodziejska noc młodości. Wypaliły się jej pochodnie...

Zapytał jednego z przechodniów o dom Julii i wkrótce przyprowadzony został do jego bram. Zaśmiał się szyderczo i długo. Odrapana buda, w której mieści się szynk ostatniego rzędu i coś jeszcze gorszego. W głębi czarodziejskiego pałacu — kupy gnoju szerzące fetor nie do zniesienia.

„Błogosławiona, o błogosławiona po dwakroć nocy! Czyliż to wszystko, dokonywując się w tobie, nie jest tylko marą? Coś tak lubego może być istotnym?”...

Cha-cha...

Powłókł się nieznanymi ulicami, dźwigając na ramionach brzemię rozczarowania ciężkie jak góra. Błądził to tu, to tam. Noc była już zupełna, przechodniów coraz mniej, a ci, co się jeszcze wałęsali, nieśli zapalone latarnie. Księżyc wypłynął na niebo. W nikłym blasku jego kwadry ukazywały się z cienia fantastyczne gmachy i wieże. Oto rozesłał się w bladej poświacie murmurujący dziedziniec. Łuki i gzymsy okien, wyskoki balkonów, wielkie obłęki portyków utkane ciemnymi plamami medalionów prokuratorskich, szczególne złamanie dachów tworzyły na białych licach sąsiedniego pałacu niewymowne linie, wyrwy i znaki. Białe ściany z marmuru, które księżyc światłem oblewał, były takiej samej barwy jak on. Przysięgłbyś, że je wykuto ze skamieniałej światłości miesięcznej. W zagłębieniu przed kościołem Santa Maria Antica, między jedną białą masą a drugą, wynurzały się z czarnej czeluści dreszczem przejmujące grobowce Scaligerów. Tam pod gotyckim poddaszem śpi wyprostowany, miecz swój piastując, książę Mastin Drugi. Obok niego wszystek z białego marmuru leży Can Signoria.

Na obraz cennych marzydeł, niby z otwartych grobów, wybuchało to przedziwne snycerstwo. Baldachimy, łuki, kręcone kolumny, ramiona i rzeźbione wyłogi ciskały na ościenne mury jakoby cyfry jakiegoś i napisy, znaki niepojęte i słowa...

Książę błąkał się tam w samotności, nie spotykając nikogo, ani żywego ducha. Miasto było jak umarłe. Nawet z jego głębi, z oddalenia nie dochodził turkot. Wszystko naokół leżało w martwocie, jakoby cmentarz olbrzymi, pełen grobowców.

Podróżny usiadł na przymurku i zapadł w swoje marzenia. Wtem z ciemnego przejścia od strony Adygi wynurzył się miarowy łoskot kroków i rozległ głośno na oniemiałych placach. Z cieniów uliczki wysunęła się kolumna żołnierzy i szła wprost na księcia. Iskry załśniły na bagnietach. Gintuł usunął się z drogi i chciał oddalić w kierunku placu dell'Erbe, kiedy dowódca oddziału coś zaczął mówić do niego. Książę nie zrozumiał i szedł dalej. Wówczas kilku żołnierzy otoczyło go ze wszech stron i siłą pociągnęło przed oblicze oficera. Ten srogim głosem pytał po kilkakroć w łamanej włoszczyźnie, czemu nie ma latarni, jak się nazywa, skąd i dokąd idzie... Ponieważ badany nie odpowiadał, wtrącono go w środek kolumny i przymuszono do marszu pospołu z nią. Za ledwie oddalili się z tego miejsca o kilkadziesiąt kroków, kiedy książę usłyszał obok siebie szept jednego żołnierza do drugiego w najczystszej mazurskiej mowie:

— Północek psia dusza za pasem, a ty się uganiaj po dziurach, łap włóczykijów...

— Spać się chce, że to nosem się podpierasz, nie — ganiaj!

— Wyśpisz się jeszcze, aby jeno za rzekę a dopaść barłogu...

— Cichajta! W szeregach nie mamrotać!

— Ale!

— Wyście zaś, chłopcy, z jakich okolic? — rzekł książę z niechcenia, a głośno.

Wrażenie tych słów było tak mocne, że kolumna bez rozkazu stanęła. Sam srogi dowódca zmieszał szyk i wlaź w środek oddziału.

— Polak? — mówił z ogromnym marsem na dwudziestoletniej twarzy, gdy błysnęła latarnia i mógł zajrzeć brańcowi w oczy.

— A Polak.

— Nazwisko?

— Na cóż to waści potrzebne?
 — Pytam się! Nazwisko?
 — Nie powiem nazwiska.
 — Co tu waćpan robisz sam jeden na ulicach Werony?
 — Szedłem na schadzkę z Julią Capuletti środkiem jednej z ulic Werony. Ale co tu waćpaństwo robicie w charakterze drabów nocnych? I waść na ich czele w tak wielkim kapeluszu i kołnierzu? Pytam się!
 — Bez przymówek, bo wsadzę na areszt o chlebie i wozdzie!
 — Wiedz waść, żem starszy od ciebie rangą wojskową, latami służby i tam dalej.
 — Dowody?
 — Pytam się, co tu robicie?
 — Spełniamy rozkaz komendanta placu.
 — To jest czyj?
 — Teraz generała Kilmaine... — niezdecydowanym już głosem odpowiedział rycerzyk. Pociągnął Gintuła na bok i szepnął:
 — Miasto wre. Toż w kwietniu, od 17 do 24, wyróżnili pięciuset Francuzów. W samym szpitalu chorych zamordowali 400, bezbronych. Pomimo zdobycia go i kapitulacji 24 kwietnia emeuta w nim nieustająca. Stąd surowość. Patrol za patrolem. Nikomu nie wolno nocą z domu wychodzić. Musimy ich trzymać za gardło...
 — A was tutaj dużo?
 — Było 2600 ogółem wiary, w Mantui pod Wurmserem siedzącej. Z nich to zalogą. Że wódz zabrał oficerów zdatnych, więc imion między nami znajomych nie było. Przyszła potrzeba atakowania Werony, kiedy już generał Balland pięć dni bronił się przed Wenecjanami, zbuntowanym motłochem werońskim i chłopstwem z okolic. Po całych dniach bili z fortów Saint-Pierre i Saint-Félix, z cytadeli. Posłali zdrajcy Wenecjanie po Laudona, żeby ich przyszedł ratować.
 — Waćpan tu byłeś?
 — Jakże! Już my w starym zamku nie mieli nadziei. Jeść nie było co, amunicja wyszła. Generał-komendant Beaupoil zaczął się układać... Nie było żadnej nadziei... Żądali, żeby my złożyli broń i przeszli wszyscy co do nogi przez Porta Vescovo. Byliby nas żywcem zarznęli. Aż tu nadchodzi wieść: pokój zawarty z cesarzem. Z Laudona nic! Radość nas ogarnęła...
 — Radość was ogarnęła, że pokój... — zaśmiał się książę szyderczo.
 — Zaraz też ze szczytu fortu Saint-Félix rozpoznali kolumnę zbliżającą się. To był generał Chabran. Wnet szturm do bramy San-Zeno, bo miał dwanaście armat! Tam to szli i nasi z szefem Liberadzkiem na czele. Ale że mu prorok w Awinionie śmierć przepowiedział od pierwszej kuli, więc też padł pierwszy.
 — Co też to waszmość?
 — Prawda święta! Ale nie czas tu i miejsce na gawędę. Proszę ze mną. Taki rozkaz!
 — Może byś mię waćpan puścił na oficerskie słowo. Jestem tu przejazdem. Nie będę robił emeuty w Weronie. Nazwisko Gintuł. Z książęcego rodu...
 — Nie przemawiają do mnie rody książęce, com złożył przysięgę nienawidzenia tyranów! — rzekł ze srogością oficer.
 — Do licha! Idę posłusznie.
 Ruszono w drogę. Książę mimo chęci obszedł całe miasto. Znużony też był potężnie, ale nie żałował, że się tak stało. Maszerował w żołnierskiej kolumnie twardym, chodzącym krokiem, ów poszept żołnierza w marszu, podniecający łoskot stąpania, szcęk broni... Wprowadzony do koszar w cytadeli, znalazł się wkrótce w izbie wątpliwego przeznaczenia, a mocno naśladowanej psiarnię. Zaraz jednak wywołany został z tej kaźni, gdzie po kątach chrapały jakieś twory ludzkie, i wprowadzony, oczywiście w drodze łaski, jako rodak, do sali oficerskiej. Był to rodzaj kasyna, widocznie, a zarazem jadalnia oficerów w służbie czynnej. Mieścili się tam stoły do kart, fajczarnie i bilardy. Sala była pełna młodzi oficerskiej. Jeniec z placu Scaligerów tak był znużony, że na nikogo nie patrząc rozsiadł się na ławce i wyciągnął nogi. Dopiero gdy cokolwiek odpoczął, podniósł głowę.
 Dym tytoniowy żarł w oczy i zasłaniał przestrzeń zupełnie. Świece ledwie w nim było widać. Rozmowy, wrzaski, okrzyki, spory w języku polskim, francuskim, włoskim,

niemieckim tworzyły wrzawę nadzwyczajną. W jednym miejscu banda obsiadłszy stół piła, ryczała i śpiewała chórem jakąś pieśń włoską arcysprośną. Obok przy drugim stole grano w karty, gdzie indziej z wrzaskiem i plastyczną aż do zbytku mimiką ktoś opowiadał niemożliwe anegdoty francuskie, a słuchające koło pokładało się od śmiechu. Wciąż dawał się słyszeć brzęk szkła, szcęknięcie pałaszów, walenie pięściami do taktu...

Gdzieś za fajczarniami, za karcianym stołem, tłamsiła się osobna kupa. Coś tam tajemniczego robili, pochyleni nad stołem osobnym. „Gra cicha, to znaczy na grubą stawkę”... — pomyślał książę i ruszył w tamtą stronę. Ale już z dala poznał, że nie grają. Doszły jego ucha znajome polskie matematyczne terminy... Stary oficer z krótko przystrzyżonymi włosami i małym wąsem, a twarzą tak surową, jakby była z kamienia wykuta, z czołem poryty w bruzdy i ściągniętymi brwiami, spokojnie ciągnął wykład. Dookoła, za jego plecami, obok i przed nim, notesy podsunawszy ku świecznikom łojowym, tłum cierpliwie notował. Książę przysunął się do nich, znalazł kącik za wszystkimi i ciekawie słuchał. Patrzał spod oka na niezgrabne mundury z nędznego sukna, na owe naramienniki z napisem: *Gli uomini liberi sono fratelli...* Objął głowę rękoma i, na poły słysząc wrzawę, utonął w myślach.

Te anegdoty, swada, żart ze wszystkiego, owo tęgie oficerskie dufanie w siebie, cześć dla zgrabności swych łydek i siły w gnatach — wszystko to wróciło go ku dawnym chwilom. Ta kapitalna duma żołnierska! Coś w nim zadrdzało. Śmiech buchnął z piersi. Wodził oczyma po ubraniach, po twarzach. Cóż za zuchy! co za bestie czubate! Każdy z pewnością zaprzysiągł się na nienawidzenie tyranów...

— Do stu tysięcy bomb! — myślał książę — muszę i ja wyimaginować sobie jakiego tyrana i znieawidzić go potężnie, żeby mieć prawo do wstąpienia w szeregi tych diabłów.

Kiedy spostrzegł, że wykład z zakresu fortyfikacji, o budowie „dzieła rogowego”, na chwilę przerwany został, a ten i ów ze słuchaczy nachyla ku swej szklanicy szyjkę wspólnego *fiasco*, skłonił się przed pierwszym młodzieńcem z brzegu i spytał:

— Racz mię waszmość objaśnić, jaka to jest broń, której mundur nosisz?

Młody oficer zmierzzył go oczyma, ale odpowiedział z galanterią:

— Miło mi powitać rodaka... Czy może kandydata do stanu wojskowego?

— Właśnie, właśnie...

— A no! Co do broni, to najświeższa formacja. Strzelcy augzyliarne. *Battaglione cacciatori legione polacca ausiliaria della Lombardia* — wyrecytował jak lekcję.

W chwili, gdy to mówił, wszyscy jego koledzy zwrócili się raptownie w stronę drzwi wejściowych. Oficer rozmawiający z księciem — również. Gintuł poszedł oczyma za ich wzrokiem. Od wejścia przez środek sali przebiegał się oficer wyższy, lat czterdziestu z górą. Był tak wielkiego wzrostu, że jego ogromna, długa, wygolona twarz ukazała się nad całym tłumem. Płaszcz, całkowicie okryty kurzawą, zwisał z jego ramion, kapelusz był mocno naciśnięty na oczy. Książę od jednego spojrzenia poznał tego wojownika. Bez namysłu poszedł za nim. Dąbrowski minął salę, prędko i z dala oddawszy pozdrowienie wojskowe na ukłon podkomendnych. Wstępował po kamiennych schodach na piętro. Za nim szło kilku towarzyszy, którzy widocznie skądś dopiero co przybyli. Nie dając im wyprzedzić się, książę poszedł za dowódcą, szybko postanowiwszy od jednego razu załatwić swą sprawę. U wejścia do jakiegoś korytarza na górze Dąbrowski obrócił się i spostrzegł obok siebie przybysza. Zlustrował go twardym i zaczepnym okiem.

— Panie generale, pragnę prosić o chwilę rozmowy...

— Kto prosi?

— Jestem książę Gintuł.

— Gintuł... Gdzieś widziałem...

— Pod Powązkami.

— *Es ist... ja...* Pan przybywa z Paryża? Może z hotelu Diezbach?

— Bynajmniej! Przybywam wprost z kraju, a w tej chwili z Wenecji. Właśnie w interesie rodaków tamtejszych chcę koniecznie słów parę...

— Czy co ważnego?

— Tak jest.

Generał otwarł drzwi i wpuścił go do pokoju o niskim stropie. Stało tam na ceglanej posadzce łóżko i kilka sprzętów. Dąbrowski poszukał oczyma miednicy i, przeprosiwszy

gościa, zaczął ściągać z olbrzymich ramion kurtę, przypominającą mundur kawalerii narodowej, który nosił był w brygadzie Byszewskiego i na wyprawie wielkopolskiej. Rzekł pośpiesznie:

— Jestem na wsiadnym. Dziś jeszcze mam sporo do załatwienia, toteż mów prędko, mości książę.

Gintuł nie tracąc czasu zaczął rozpowiadać o tym, co widział w Wenecji, wykladać całą aferę. Z początku wyrazy więzły mu w gardle i nie szły na usta, ale wprędce gniew wczorajszy jął go przypiekać. Toteż zimno formułując zarzuty, ciskał w słuchacza nieodparte argumenty. Generał zawinął wysoko rękawy koszuli i zlewał sobie obficie głowę wodą. Książę znecierpliwiony tym przerwał. Ale wódz zawołał:

— Słucham, mości książę, słucham uważnie.

— Może nieco później...

— Mam żadne później! Jutro idę z moimi w marsz.

— Dokąd, jeśli wolno zapytać?

— Jak to dokąd? Twarzą ku północnemu wiatrowi.

Zęby mu błysnęły.

— Przecie zawarte preliminaria...

— Ale pokój jeszcze nie zawarty. Zwlekają. Szczęk oręża powie nam, czy chcą podpisać, czy nie.

Ocierając wielką, czerwoną twarz swoją ręcznikiem, spytał:

— Więc zdjęli konie Aleksandra Wielkiego?

— Mówię to, co widziałem na własne oczy.

— A hultaje! — dorzucił z mniemaną indygnacją.

— Panie generale... To nie może być. Nigdy jak świat światem nie splamił się nasz naród takim uczynkiem. W nadziei, że pan generał mocą i władzą swą nakaże tym ludziom wyłamanie się z haniebnych służb, przyszedłem tutaj. Jestże to rola polska deptać cudze rzeczypospolite? Po toż wyszła w te kraje owa wiara?

Dąbrowski wdziwał z obojętnością swą kurtę. Zbliżył się do księcia i rzekł twardo:

— Waćpan do mnie w jakim charakterze to mówisz?

— Mówię to jako szlachcic polski z prawieków.

— Ja jestem także obywatel polski! Oto masz moją rezolucję: żołnierz nasz musi zajaśnieć cnotą na śmierć gotową, konduita, żelazną subordynacją i energią. Dopiero wtedy zaufają mu ci, którym ja honorem swoim za żołnierza ręczyłem. Waść mi radzisz, żebym co tchu zdusił gorliwość żołnierską i zaczynał od rokoshu?

— Nic nie zaczynać, jeśli droga haniebna!

— Wdziać taki oto strój pański podróżny i wyjechać na wojaż. Mógłbym już przebrać dysertacją, skoro mię książę obrażasz, ale że cię pamiętam z pola, więc powiem, jak jest. Mówisz, że ja i moi idziemy drogą hańby? I co? Wskazujesz na pokonanie Wenecji. A Wenecja to co? To tajny sojusznik Austrii, to wróg przebiegły i chytry. Przez usta Giustinianiego, Pesara i innych, zapewniając o neutralności swojej, za plecami, kiedy wojska republikańskie wżerały się w kamienną Pontebbę, rznęły w Sterzing, oblały się krwią pod Klagenfurt — organizował na tyłach rozruch Werony, uzbrajał całą ludność swych krajów i zamordował oficera Laurier w swym porcie. A co to jest Wenecja? Żal ci tak, mości książę, tej szlachty, która do złotej księgi pisała się nie krwią, lecz za cenę dziesięciu tysięcy cekinów złupionych w handlu albo z cudzego dobra w Cyprze, w Istrii, Gorycji... żeby na fundamencie kupionego szlachectwa mieć prawo do plucia z łoża w teatrze na lud. Znasz chyba doskonale prawa ich, kodeks karny, więzienia, zasady moralne. Cóż to złego uczyniła Francja niosąc w te kraje swe wielkie prawa? Lud wenecki pieśniami powitał żołnierzy francuskich. A twoje brązowe konie, mości książę... Żartuj zdrów! Te konie, zwiastujące zwycięstwo, komuż należą się dziś, jeśli nie wielkiemu wodzowi? Azaż Wenecjanie mają do nich prawo? Skąd je wzięli? Pięścią, przemocą. To jest wojenny łup. Toteż jako łup idą dalej. Ja zresztą... Ale ci mówię: konie Lysippa należą z prawa do wielkiego wodza, Buonaparty. Żołnierze nasi nie uczynili nic złego słuchając rozkazów swych dowódców.

— Widzę, że moja sprawa przegrana. Nie pozostaje mi nic innego, tylko pożegnać pana generała.

Dąbrowski wyciągnął rękę. Poczciwy uśmiech z serca rozjaśnił jego twarz.

— Nie chciałbym rozstać się z księciem panem w gniewie. Zostań chwilę. Powiem ci jeszcze słowo.

Prawie siłą odprowadził go do drzwi otwartych na balkon i tam wtrącił. Tymczasem weszli do pokoju sztaboficerowie z dołu. Ów starszy, który wykladał naukę o szańcach i mostach, zbliżył się do wodza z ukłonem. Już rozeszła się w sali wieść o marszu od towarzyszków, którzy przybyli z Montebello.

— Pisz, bracie, rozkaz na jutro. Idziemy wprost aż na Palma Nuowa. Mamy się z naszymi połączyć w wąwozach Gorycji.

Oficerowie obstąpili stół. Dąbrowski usiadł przy nim, wsparł łokcie i czoło ukrył w dłoniach. Zaczął dyktować rozkaz dzienny. Tamci z pośpiechem pisali. Księżę, słuchając tych kategoriycznych słów, mimo wiedzy prostował się jak podkomendny. Znowu pójda te tłumy niepłatne, głodne, obdarte, w kurzu obcych gościńców, forsownymi marszami, ślepo wierząc, że Wiedeń jest ich drogą... Z głębiny nocnej dochodził plusk Adygi ujętej w brzegi z granitu. W dole uśpione miasto bielilo się od słabego blasku księżycy.

Kończąc rozkaz, wydawszy cały szereg ustnych poleceń generał podniósł się i zwrócił z pożegnaniem do swoich. Wszyscy zaraz wyszli. Kiedy za ostatnim drzwiami miały zamknąć, rzucił jeszcze:

— Elias, obudź mię jutro do dnia...

Za chwilę był we drzwiach prowadzących na balkon.

— Daruj, mości księżę... Spać, spać! Ale jeszcze słowo...

— Nie chciałbym być natrętnym.

— Muszę powiedzieć to, co się należy.

Ujął go pod rękę i olbrzymim przedramieniem przycisnął go do swego boku. Zaczął szeptać:

— Ty jeden cierpisz nad wszystkimi obiektami, jakie oczy widziały? Ciebie jednego żal nocami budzi? Ech, bracie! Ja się to samo przez krwawe lzy przypatrzył wszystkiemu, gdy z *Garde de corps* elektora przyszedł. A później, a później! Ale moja dusza nie do żalu destynowana, moje oczy nie do łez. Wszystko w sobie trza zaprzec na zamki, na klucze. Myśl teraz nad tym: te legie, ta chłopska i małoszlachecka masa — to któż to jest? Ludzie z przizonów i zbiegi. Gniew w tobie kipi na samą myśl, że oni w służbie Buonaparty czynią, co im dzienny rozkaz przepisze... Myśl nad tym, co by ci sami czynili w austriackim glicie. Azaliż nie lepiej...

— W klubach przemocy, z musu, nie z dobrej woli!

— Nie ma już dobrej woli! Bóg dał, Bóg wziął. Wybij to sobie z głowy. Teraz praca na śmierć. Wszystko od samego początku zaczniesz i udźwigniesz ciężar dziesięciokrotny! Ile krwi, męki, trudu, sławy wsiąknie w obce pola — któż to odgadnie? Ale zostanie reszta. Ze wszystkich rozstajnych dróg jedna jakaś będzie prowadziła! Żyły będą pękać, krew z pazurów tryśnie, ale to darmo. Iść trzeba wiekuistym pochodem. Trza w karach odrobić wszystko i w mękach wyczynić wielkiego ducha. Co do mnie, znajdą mię wszędzie i zawsze, dopóki siły w tych gnatach, a krwi w żyłach. Nic mię nie zwróci z drogi. Mnie stu akuzatorów denigruje, zem Niemiec, bom się u Maurycyego Bellegarde'a i u mądrego Blüchera od *fahnjunkra* uczył, jak ślepo słuchać rozkazu, jak szyk sprawiać i jak wojsko wieść do batalii. Ba, żonę mam Niemkę! Kondotier! Szuka chleba i awantur. Nie ma hańby, której by mi nie zadali. Wiem, że zedrą ze mnie ostatni strzęp dobrego imienia. Nie oszczędzili mi nawet ostatniego postrzału, zarzutu zdrady. Wszystko, co czynię, toć to za pruskie talary. Ale niechże tam! Niech się Chadzkiewicz wygada! Towarzysze niedoli...

... *la compagnia malvagia e scempia*
Con la qual tu cadrai questa valle,
Che tutta ingrata, tutta matta ed empia
Si farà contra te...

jak Dante wygnany pisał tu właśnie, w tej samej Weronie.

— Pogardzić.

— Ale i z drugiej strony, mości księżę, rozkosz to niemała wystawać pod drzwiami francuskich potentatów, włóczyć się po cudzych schodach, wyzebrywać dla żołnierza swego żołd, buty, odzież byle jaką, prawo do walki i prawo do śmierci. Rozkosz to nie

Przywódca, Żołnierz, Polak,
Obyczaje

byłe jaka: z poszeptów o słabostkach dyrektorów paryskich i cisalpińskich poznawać swe drogi, ścieżki sekretne i przelazy. Tamtędy własnymi sposoby iść bez tchu i odpoczynku, dniem i nocą, między tysiącem zgryzot. Nie wyspać się i nie dojeść, a żywić się i konsolować nadzieją. Toż mogłem pójść w łaski króla pruskiego, w służbę taką czy inną. Ostatnie gniazdo, Pierzchowiec, sprzedałem. Już teraz żołnierski chleb jeno został, taki sam jako i ojcu. Kondotier! Jedź, mości księżę, na wojaż swój, bo może by cię chęć wzięła kosztować naszego chleba i soli. A mówi ten stokroć mądry poeta, że gorzki to chleb pono, „lepiej się nie rodzić!...”

Z uśmiechem drwiącym patrzył w oczy księciu i na pożegnanie ścisnął jego rękę.

ZUCHWAŁY

W miesiącu *nivôse* VI roku Rzeczypospolitej „obywatel” Gintuł zdążył w zakrytej budzie jednokonnego fiakra o zachodzie mrocznego dnia styczniowego na wybrzeże Lunettes. Już od miesiąca z górą beczynnian siedział w Paryżu. Znał go dawniej przed żywiołowym wybuchem. Obecnie rozpatrywał się długo w tym samym mieście, jak gdyby w zjawisku nieznanym wcale. Unikał starannie rodaków wszelkiego autoramentu, zarówno stronników Barsa jak Mniewskiego, którzy zresztą w owej dobie łączyli się w myśli zwołania sejmu. Wszystek swój czas księżę obracał na zagłębienie w żywe oczy Rzeczypospolitej jednej i niepodzielnej.

Tego dnia był dziwnie nieswój.

Mokry, zimny, tający śnieg zalewał i brudził ulice. Mury były przemokłe, twarze ludzi nie miłe i jak gdyby splakane. Sam księżę przeziął do szpiku kości i do głębi duszy. Ów świat, który teraz poznawał, a właściwie nagle w całości zobaczył, zjawiska ogromne, sprawy lecące na skrzydłach, wieści wypełzające z zaułków, odgłosy rzeczy dawnych, szepty nowe, wciąż nowe, nagie i potworne w swej nagości, poruszyły w nim z przyciesi wszystko, co nawykł uważać za istniejące na swoim miejscu, za pewne i za swoje własne. Wszystko stało jeszcze w jego duszy na tych samych fundamentach, wzniesione osobistymi siłami wśród ciężkich dni żywota, a przecież owe nadchodzące nowe zjawiska, śmieszne tak bardzo na pierwszy rzut oka, męczyły do gruntu. Rodził się, prawda, w duszy nieustanny śmiech i tryskał na zewnątrz kryształowym dowcipem, a jednak towarzyszyło mu westchnienie bezsilne, niespokojne i znikome, prawdziwie jako cień. Wszystko stało na miejscu. Nic nie runęło i nie rozbiło się w gruzy. Życie szło, pędziło naprzód, wrzało od rozbudzonych sił.

Wtulony w kąt karetki, owinięty płaszczkiem, księżę śmiał się patrząc na postacie biegnące ulicą, skulone od zimna. W myśli jego przelatowały podarte obrazy, na własne oczy widziane daleko. Jakież olbrzymi skok z końca w koniec świata uczynił! Chwilami wlokły się w pamięci widoki straszne, nieznośne, odpychające. Tuż obok sunęły myśli, dopiero zbudzone w głowie pod wpływem pism przeczytanych na bruku paryskim, rozmów i widoków nowych, sylogizmy obronne, doskonałe aż do tej chwili niby szpady wyborowe, i nagle rozlatujące się w proch, jakby były ulepione z popiołu. Z głębokich źródeł duszy wypływało nieznane dotychczas, obłudne znużenie, które wewnątrz siebie zawierało coraz bardziej ostrzejszy niepokój.

Powozik zatrzymał się przed bramą domu sławnego zegarmistrza Breuéta, i księżę z niechęcią wysunął nogi na bruk zalany wodą. W sieni odnalazł portiera i ze swą zwykłą, wyniośle grzeczną postawą zażądał wskazania lokalu *księcia* Sułkowskiego. Zaspany i brudny człowiek, który stał przed nim, przypatrywał mu się w sposób tak oryginalny, że księżę zbudził się jak ze snu.

— Księżę Sułkowski? — zapytał portier uprzejmie, gdy oczy jego przybierały wyraz coraz bardziej ciekawy, przebiegły i sobaczy.

— Księżę Sułkowski — powtórzył Gintuł zagłębując mu między rzęsy wzrokiem równej siły — *aide-de-camp* generała Buonapartego.

— Tak, tak... generała Buonapartego... — wymamrotał tamten.

— Co mówisz, obywatelu?

— Cóż ja bym śmiał mówić o tak wielkim generale Buonaparte? *Księżę* u niego służył za adiutanta — che-che...

— Księżę, rzeczywisty księżę...

Rewolucja

— Bagatela! U tego samego generała Buonapartego, który kazał swoim siepaczom walić z armat do ludu nie dalej jak dwa lata temu...

— I pobił cztery armie wrogów.

— A niech on zginie ze swymi zwycięstwami! Cztery armie... Co to mnie obchodzi? Oto ramię strzaskane ułamkiem kartacza... Kazał armaty wytoczyć pod Tuilerie! Ten sam generał Buonaparte...

Książe nie słuchał dłużej. Wrażenie obmierzłej troskliwości o własny spokój, pewna postać niepowstrzymanej wzdąrdy, która natychmiast mogłaby się zmienić w policzek albo plunięcie w natarczywe ślepią, pchnęło go na schody. Sam znalazł w ciemności drzwi wskazane i zastukał. Długo mu nie otwierano. Wreszcie, na odgłos coraz silniejszego kołatania, dały się słyszeć kroki i ktoś klucz przekręcił. Książe wszedł do ciemnego pokoju i ledwie zdołał dostrzec przed sobą stojącego człowieka.

— Chcę się widzieć z *obywatelem* Sułkowskim... — rzekł sykając pod naciskiem dopiero co odczutej zgniętej dumy czy zgniętej obawy.

— Kto chce się widzieć?

— Pewien... Polak.

Człowiek ów oddalił się. Po chwili wrócił niosąc w ręku świecę. Książe poszedł za nim przez zimne i ciemne pokoje. Ostatnie drzwi żołnierz otworzył i cofnął się zabierając światło. W kącie obszernego salonu siedział na sofie młody mężczyzna w uniformie wojskowym. Ujrawszy wchodzącego wstał i czekał nie ruszając się z miejsca.

— Czy mię poznajesz? — rzekł Gintuł podchodząc do stołu.

Sułkowski zbliżył się do niego z uśmiechem szczerzej radości i ucałował go po bratersku. Usiedli na sofie i przez czas pewien przypatrywali się sobie. Gospodarz był młodzieńcem dwudziestokilkoletnim. Piękny był jak urocza dziewczyna przebrana po męsku. Długie, jedwabne, faliste włosy odczesywał z białego czoła na tył głowy. Oczy miał wielkie, nadzwyczajnego wyrazu, cudnie ocienione długimi rzęsami. Mały wąs ozdabiał jego usta, pełne teraz uśmiechu. W oczach i w tej pięknej twarzy, nim poznał towarzysza walk ubiegłych, malował się przecież nie kobiecy wyraz. Było w nich przenikające zimno.

— Wracasz z więzienia? — spytał z cicha.

— Z więzienia? A... tak, prawda. Ale to już dawne dla mnie czasy. Właściwie przybywam z Włoch, to jest — dodał z drwiącym uśmiechem — z Rzeczypospolitej Transpadańskiej.

— Przepraszam, że cię od razu zapytam: wszak z zamiarem wstąpienia do wojska? Do legiów czy może na ochotnika?

Książe zastanowił się przez chwilę, dość zakłopotany nagłością pytania, wreszcie stanowczo rzekł:

— Nie.

— Żałuję, że z równą siłą nie powiedziałaś: tak! Przecież otrzymałaś specjalną i doskonałą instrukcję wojskową w korpusie. Ale nie uważaj z łaski swej tego, co mówię, za werbunek.

— Broń Boże! Tylko... Szczerze mówiąc, dość mam już wojny.

Sułkowski powolnym ruchem prześlicznej głowy chciał zakryć przykre zdumienie, którego doświadczył usłyszawszy te wyrazy.

— Ja nie... — rzekł po chwili z zimnym uśmieszkiem.

— Proszę cię — mówił Gintuł wygładzając koronkę swego żabota — nie chciałbym, żebyś mię źle zrozumiał. Straciłem zaufanie do wojny nie z lenistwa, a nawet nie z tchórzostwa. Po prostu wygasła we mnie wiara w jej doniosłość.

— Czyż to możliwe?

— Po długim rozważaniu i samotnej deliberacji doszedłem do wniosku, że każda władza ma swoje wady, każdy system swe dobre strony, a rewolucje najbardziej upragnione niczym innym nie są, tylko zamianą bardzo kosztowną pewnych nadużyć i wad na innego rodzaju, innego kształtu nadużycia i wady. Wszakże — ciągnął spokojnie i obojętnie — zamordowanie wpośród tłumu jednego człowieka wskutek tego, że był złym zwierzchnikiem, tyranem, zdziercą, oszustem, jest większym stokroć złem niż jego tyrania, zdzierstwo, i oszustwo. A ze złego, które jest większe niż poprzednie, dobro wykwitnąć nie może. Po cóż się bić? Należałoby wypowiedzieć zacieklą wojnę, ale nie ludziom, tylko samej tyranii, samemu zdzierstwu, samemu oszustwu.

— Doskonale! Tylko jakże to uczynić nie tykając ludzi, tych właśnie zdzierców i tyranów?

— Bardzo to niedaleki wróg. Należy poszukać go w samym sobie.

— Ach, dziecko!...

Książę Gintułt zmienił przedmiot rozmowy.

— Słyszałem — zapytał — że w ostatniej kampanii byłeś przy wodzu?

— Tak!

— Więc poznałeś go bliżej?

— Czy poznałem? Zapewne...

Po chwili dodał z uśmiechem:

— Chociaż bardzo często wydaje mi się, że go nie znam wcale.

— Czy tylko nie jesteś oczarowany? Wszak w miłości zaślepiamy się tak dalece, że widzimy w pięknej kobiecie tyle tajemnic i takich...

— Ta jest różnica, że ja nie kocham Buonapartego. Nie jestem również jego poplecznikiem.

— Wiem, wiem. Ale uwielbiasz go jak żołnierz żołnierza, co częstokroć przewyższa miłość dla najcudniejszej kobiety. Wiem to z doświadczenia. Ja sam tak kochałem.

— Mylisz się co do mnie. Chciałem być przy nim, byłem i będę, jeśli mnie nie odpędzi dla innych powodów.

— Domyślam się, domyślam...

— Tak jest. On strzeże swoich piorunów! Czujnie je trzyma w dłoni. Ale mogłem przecie i mogę jeszcze patrzeć na ich trzaskanie, mierzyć siłę ciosu, zamach ręki, blask, no i samą władzę ciskania — cyrklem wyczuwać.

— Czy to prawda, że ufał ci tak dalece, iż w jego imieniu wydawał rozkazy, jakie uznałeś za stosowne? Mówiono mi w Mantui, że podpisywałeś z jego zezwolenia nawet imię jego na swych rozporządzeniach i rozkazach dziennych. Słyszałem to i tutaj, w kołach bardzo wpływowych.

— Tak, to prawda. Bywało tak w chwilach stanowczych. Ale to są rzeczy małej wagi. Więc mówisz, że dość masz już wojny? — rzekł nagle w zamyśleniu.

— Tak, tak. Widać, nie byłem stworzony na żołnierza.

— To dziwne. Nie być stworzonym na żołnierza! Dla mnie wprost niepojętą jest taka natura. Ja jestem tylko żołnierzem.

— Ty, kochany bracie, jesteś uczonym, nie żołnierzem. Jakimś Kwintylianem, della Mirandolą... Czyż to żołnierza mieszkanie te góry książek?... Jestem pewien, że w apartamencie Buonapartego książek nie ma...

— Znowu się mylisz. Ot, teraz, od piętnastego *frimaire'a*, to jest od przybycia do Paryża po zawarciu pokoju w Campo-Formio...

— Ach, to Campo-Formio... — zaśmiał się Gintułt jadownicie. — Okrutną sprawił wam niespodziankę tym Campo-Formio! I to za tyle nadziei, po tylu przyrzeczeniach.

— Jeszcze nieskończone, nieskończone rachunki! — zaczął krzyżeć prawie Sulkowski. — Jeszcze żyje, jeszcze nie umarł, jeszcze przed nim i przed nami lata stoją otworem. Nażre się pychą, natka zaszczytów adwokacki syn z Ajaccio — i musi wrócić do roli żołnierza, która mocniejsza jest w nim niż żądza sławy. Ale wracając do rzeczy... Teraz całe dni spędza sam jeden w gabinecie, zamknięty *sur les cartes immenses, étendues à terre*. Jeżeli gdzie bywa, to chyba w teatrze, i to *dans une loge grillée*. W ciągu tych dni czołga się od mapy do mapy z kompasem, cyrklem i ołówkiem w ręku. Tam, w tym zacisznym pokoju, czai się, waha, zsiada i w cios z wolna zmienia straszna myśl. Napaść na wybrzeża Anglii, słyszysz? żelazny marsz na Londyn czy na wybrzeża Egiptu...

— Szepcą o tym, a więc to prawda?

— Bywam u niego kiedy niekiedy, wzywany w sprawach specjalnych, taktycznych, do obliczeń, zestawień... Widziałem dawniej w jego cyfrach i w kalkulacjach, które z nich układał, tylko uderzenie Anglii *au coeur*, olbrzymi pomysł, żeby ją zwalić z piedestału przez nagłą inwazję, zdeptać potęgę kupców i na gruzach oligarchii zapalić ogień rewolucji, żeby nauczyć swobody ten lud, któremu wydaje się, że jest wolny, dlatego że mu to wmawiają. Teraz już tego nie ma. Znam już plan inny: plan zwrócenia nacji francuskiej imperium nadnilowego, wyrwania Anglii organów jej siły. I jeszcze jedno, jeszcze jedno. To drugie *est décidé dans son esprit...*

— Czy tak?
— Ale teraz pozostaje... Mam nadzieję, że zatrzymasz wszystko, co mówię, w zupełnej tajemnicy.
— Możesz ufać mojemu słowu.
— Teraz pozostaje... *transporter un rêve dans le réel!* Porucza mi rozebranie rzeczy wykonalnych z kupy marzeń. Tę bezmierną sprawę, największą sprawę od czasu krucjat. Tego się uczę ze wściekłością, dniami i nocami.
— Tego?
— Tak. Uczę się tworzenia potęgi.
— Tworzenia potęgi... — powtórzył Gintuł.
— Można nauczyć się uderzeniem nogą w ziemię wywoływać z niej legiony, jak Pompejusz.
— Chciałeś powiedzieć: — jak... Dąbrowski.
Sułkowski skrzywił się kwaśno. Po chwili rzekł:
— Nie. To przypadkowe zgromadzenie zbiegów, awanturników i pocziwców. Dąbrowski jest pionem czy tam laufrem w ręce pierwszego lepszego Berthier albo Brune'a. Minęły czasy Czarnieckiego, i darmo go usiłuje naśladować. Oto masz przed sobą trzy tarany: *L'armée du Nord, l'armée du Rhin, l'armée d'Italie...*
— Widzę — rzekł książę z uśmiechem bladej ironii na ustach — że samą prawdę zawiera zdanie Buonapartego o tobie...
Płonące oczy Sułkowskiego szybko przygasły.
— Jakie zdanie? — zapytał głucho.
— Podobno, mimo położonych zasług, nie otrzymałeś żadnego wyższego stopnia, żadnego odznaczenia...
— Tak, tak! Nie dbam o odznaczenia.
— A kiedy ktoś z twoich przyjaciół zapytywał Buonapartego, czemu, patrząc na wszystko co czyniłeś, pozostawił cię przecież w tym samym co przed wojną stopniu kapitana-adiutanta, miał odpowiedzieć: „Dlatego nie awansowałem Sułkowskiego ze stopnia kapitana, że od pierwszego dnia pod Mantuą na przedmieściu San-Giorgio, kiedy go poznałem, uważałem go za godnego jedyne awansu, to jest awansu na stopień naczelnego wodza”.
Sułkowski rzekł z opryskliwym uśmiechem:
— Nie on mię w każdym razie będzie nim mianował, tylko ja sam siebie! San-Giorgio! Pewno, żem mu pokazałem sztukę. We dwustu grenadierów wziąłem fort, klucz fortecy. A zresztą, w jego opinii jest najfatalniejsza omyłka. Ja nie jestem jeszcze godnym awansu na naczelnego wodza. Ja w mym jestestwie. To już ja wiem lepiej od niego. Nie jestem jeszcze naczelnym wodzem, a gdy nim będę, to nie tutaj.
— Buonaparte musiał wiedzieć, co mówię.
— Mój drogi, znam ja siebie aż nadto dobrze. Wiem, czego we mnie wcale nie ma. Tego dotychczas nabyc nie mogłem. Nie mam w sobie organu, którym mógłbym wyczuwać... Tylko on jeden na ziemi, między tyłu żołnierzami, ma w swych kościach ten ciągle pęczniący lwi szpik. Umieję ja już nie gorzej od niego przechodzić wzgórze trupów, umiem pracować spokojnie w środku ognia i być nieporuszoną w boju, kocham dym armat i huk ich paszcz ognistych, trzymam w skupieniu uniesienie jak na munsztuku dzikiego konia...
— Cóż więc jest owa władza, mój drogi?
— Nie wiem. Przed nią jedną drżą mi kolana.
— Nie rozumiem.
— Oto generał Francji, sługa ojczyzny, obrońca rewolucji, raz do mnie rzekł w zaufaniu, z uśmiechem Włocha, Korsykanina, pół-Francuza z „Azaksio”, że trzeba, by ta sama Francja popadła w nierzad większy niż teraz. Poniekąd dlatego idziemy do Egiptu, dlatego zarzniemy tysiące ludzi... — szeptał prawie z rozpaczą. — Zapomniał już na śmierć o uliczce Saint-Charles, o domu, z którego wyszedł. Ani już mowy o powrocie za zębate wysepki Iles Sanguinaires u wejścia do portu Ajaccio. Mary mu chodzą po głowie... „Tym gorzej dla republikanów — rzekł mi wtedy — jeśli spalą na panewce swoją republikę”. Słyszałeś! Tym gorzej dla republikanów...
Książę Gintuł zaśmiał się sucho, krótko, dyskretnie.

— Toż mówiłem... — rzekł.

— Czy sądzisz może, że to jest w nim tylko pospolita pycha, nędzna podłość dorobkiewiczza, którego oszalały tłum ludzki wypchnął aż tak wysoko? Mylisz się: to nie jest tylko pycha. Jest to właśnie owa nadludzka potęga. Ja wiem, że on kocha siebie samego tak mocno, jak święty Antoni Padewski kochał Boga, że dla własnego celu napelnia ziemię swoją straszłą, niezmierną sławą. Ale w tym jego celu mieści się nowy świat, nikomu niezany. On do niego zmierza bez przerwy, jak Kolumb do swej Ameryki. Tam się poczynają i ciągną nowe dzieje okręgu ziemskiego. Pomyśleć!... Gdybym ja właśnie miał, posiadał tę jego tajemniczą siłę... — mówił z uśmiechem dziecięcej boleści. — Nowa ziemia. Moja nowa, odrodzona ziemia, którą widzę tak, jak tę oto mapę. Gdybym mógł stawać się bez drżenia, kiedy zechcę, nędznikiem, wówczas gdy trzeba być bardziej potężnym dla celów olbrzymich, tylko mnie jedyne mu wiadomych! Władać swoją duszą i jej małymi, nędznymi cnotami tak samo jak wojskiem ludzi!

— Znienawidziłem wojnę i widzę, że słusznie zrobiłem — rzekł obłudnie Gintuł. — „Milczą tam prawa, gdzie łśni oręż”. Tak niegdyś rzekł Cezar do Metellusa, gdy mu ten zabronił ruszać skarbu publicznego. Dodał jeszcze, że na wojnie prawo jest próżnym słowem.

— Wojnę! Ten jedyny plug, który drze ugory ziemi, żeby siewca mógł w rozerwanej jej łono rzucać nowych zbóż ziarna, wydobywać z niej, zamiast chwastu, pszenicę.

Książę Gintuł uśmiechał się wciąż słabym, ironicznym uśmieczkiem. Sułkowski zamyslił się i rzekł po chwili.

— Znienawidziłeś wojnę. I to po tym, cośmy widzieli! Znienawidzić wojnę po tym, com uczuł stojąc pod gradem kul u mostu Zelwy! Po tej hańbie, która mi kopytami zmiażdżyła duszę! Więc mam przejść przez to krótkie życie jak obserwator? Nic nie uczynić?...

— Któż to powiedział?

— Ty! Bo tylko z mieczem w dłoni mogę sprawić, com zamierzył. Inaczej — nie! Jestem do tego stworzony, tak samo jak do tego, żebym jadł i pił. Jeślibym miał siedzieć bezczynnie, pracować dla siebie, dla jakiejś ambicyjki, rodziny, rodziny, wsi, powiatu, uczyć się dla samej nauki, nie dla spełnienia wielkiego czynu, czynu-skoku ludzkości, to zabij mnie jak nędznego psa! Pamiętam, kiedym przybył z Konstantynopola, za późno, na pogrzeb, kiedy już trup pochowany w ziemi, a spadek rozerwali wierzyciele. Pamiętam, kiedym odchodził, a za mną na całej ziemi dymiła się krew wylana. O, nie! Kocham wojnę! Nade wszystko! Ja się jej nauczę całej, posiędę na własność wszystkie jej znane i tajemnicze siły, tak samo jak obejmuję i zabieram na własność arabski lub angielski język, ujmę ją w garść jak tę szpadę. Wtedy wrócę. Ja wtedy wrócę!

Skromny uśmiech nie ustępował z warg księcia Gintuła. Sułkowski spostrzegł go widać, gdyż zamilkł, jakby się w siebie cofnął i wejście zaparł. Wówczas gość jego rzekł cicho:

— W miarę jak tracę wszelki gust do wojny, zaczynam go nabierać — czy uwierzysz? — do dyplomatyki.

— Dyplomacja — mówił Sułkowski innym głosem, prędko, sucho i prawie niegrzecznie — przypomina mi zawsze mego poczciwego stryja, Augusta, który mnie mizeraka sposobiąc na męża stanu zabraniał mi surowo uczyć się matematyki, fizyki, chemii, twierdząc, że to czas zabiera i że powinna mi wystarczać tak zwana ogólna wiedza o tych materiach. Natomiast główny nacisk kładł na umiejętność muzyki, śpiewu, malarstwa, gry w szachy i sztukę odgadywania zagadek. To są umiejętności dyplomatyczne. Gdyby nie Sokolnicki, który po nocach, w sekrecie, wyuczał mnie trygonometrii, inżynierii, matematyki... byłbym dziś wściekłym dyplomatą. Mój stryj był człowiekiem spróchniałym, aczkolwiek wykłął mnie i wydziedziczył za objawiony jakobinizm z werwą i życiem, ale dyplomatyka mniej więcej pod postacią sztuki odgadywania zagadek i dziś mi się przedstawia. Toż dyplomatykowałem... Jeżeli zostaniesz mężem stanu, zwróć uwagę na jedyną w tej dziedzinie siłę faktyczną: na politykę wojenną.

— Bardzo powątpiewam, czy kiedykolwiek zostanę dyplomatą. Nie sądzę, żeby do tego przyszło. Mówiłem tylko, że mi się to podoba. Ja stoję sobie z boku i patrzę na świat jak na piękną operę, cokolwiek byś o tym powiedział, twórczo uczynków. Jest to z pewnością zajęcie godne człowieka o ćwiczonem i wyższym rozumie: zapuścić się w knieję

zdrad, matactw, oszustw, podejść takiego na przykład Talleyranda Périgord, ministra *des relations extérieures* waszej Rzeczypospolitej, poznawać je, psuć w sposób równie dowcipny jak straszliwy dla całych krain, dla dziesiątków lat.

— Być może. A czy widziałeś tego Talleyranda?

— Byłem nawet na balu wydanym przez niego na cześć Józefiny po jej przybyciu z Włoch w dniu 2 stycznia.

— W hotelu Gallifet?

— Tak.

— Toż musiałeś widzieć tam i Buonapartego?

— Widziałem. Miałem to szczęście. Nie doświadczyłem wprawdzie wzruszeń tej dziewczynki, która zbliżywszy się do niego ze drżeniem i przyjrząwszy mu się szczegółowo, zawołała do swej matki, pełna głębokiego zdumienia: *Maman, c'est un homme!* Przypatrywałem się więcej obyczajom demokratycznym i samym demokratom. Stroje dam! Józefina Buonaparte ubrana w tunikę grecką i *coiffé en camée*... Panie Tallien, de Chateaufrenaud, Adrienne de Cambis, de Crény... Te jak *Sapho de Mytilène*, inne à *la Cléopatra*. I to wszystko w pocziwie sankiulockim miesiącu *nivôse*...

Sułkowski siedział w kącie sofy zamyślony.

— Byłem także — ciągnął Gintuł — w hotelu de la Chantereine.

— Bagatela!

— A tak. Podziwiałem z zachwytem salon z fryzami i malowidłami, wykonanymi przez uczniów Davida, *stylobates en plâtre sur les bas-reliefs* przez de Moitte'a, meble w stylu greckim według de Perciera... Nadzwyczajne! Zaręczylbym, że ty sam, który dzieckiem bawiłeś się w Wersalu na kolanach Marii Antoniny a chowałeś w młodości wśród przepychu dworów monarszych Europy, niewiele widziałeś rzeczy bardziej przedziwnych. No i zrabowanych w sposób tak republikańsko-prostoduszny nie widziałeś tam na pewno. *Les camées, les statues, les tableaux, les antiquités*... Nadzwyczajne!

— Mało mię to wszystko obchodziło dawniej i nic mię dziś nie interesuje.

— Jednak... dla tego... także prowadzi się wojny.

— Ja jej dla takiego celu nie prowadzę. Jako oficer niskiego stopnia — nie mam prawa wstępu na te salony...

— No, ale posiedzenie tej Rady panów w turbanach, *du Conseil de cinq-cents*, musiałeś widzieć? Tego się pewno nie zaprzysz...

— Cóż cię w nich tak bawi?

— Zmiłuj się, czyżbym śmiał! Pięciuset mężów w białych spódnicach do samej ziemi, w płaszczach tajemniczego kształtu, a szkarłatnego koloru, w turbanach *de velours bleu!*

— Widziałeś?

— Byłem na posiedzeniach, ukryty w tłumie „obywateli” na jednej z galeryjek, słuchałem, gdy przemawiali z gestami zarazem srogich Rzymian jak również cnotliwych handlarzy cielęciny, gdy dawali *l'essor à leur imagination*. I nic dziwnego: „*la carrière est ouverte au génie*”, więc korzystają.

— Przedstawiciele interesów ludu...

— A dopieroż *Conseil des anciens* w robach i tokach fioletowych, w białych płaszczach i pantoflach! Nie miałem szczęścia ujrzeć żadnego z członków *du Directoire exécutif* w wielkim kostiumie, ale może to i lepiej, bo zapewne nie byłbym w stanie znieść słabymi oczyma piękności tego stroju. Z pewnością przewróciłbym się ze strachu. Są oni przecie *plus puissants que les Monarques*. Raz tylko, gdy wystawiono w teatrze *Horatiusa Coclesa*, był w łoży *le Directeur* Barras, ale ten, aczkolwiek najgłówniejszy, nie sprawił na mnie wrażenia czegoś potężniejszego od monarchy. Owszem, wygląda na to, czym zapewne był i jest z przyrodzenia i woli Bożej: jak tłusty siepacz, szlachetnie udrapowany i odpowiednio rozdeptany przez imaginację. Ale czy nie sprawiam ci przykrości mówiąc w ten sposób?

— Nie. Myślałem teraz o czym innym.

— Ach, tak?

— Słyszałeś pewno o Joubercie?

— Generał Joubert?

— Tak jest. Czy też powtórzy się to samo tam, w czerwonych wydmach, u brzegu pustyni? Czy też spotkamy tam dziką wściekłość chłopów Tyrolu? Gdybyś to widział!

Tych ludzi mocnych, wyniosłych, zwinnych, w ciemnej odzieży, przepasanych szerokimi pasami, nabijanymi błyszczącą cyną! Tak pewno żelaznym legiom Cezara ukazywały się w wąwozach Gaster, u podnóża lodowatej góry Glernisza, w puszczy Helweckiej plemiona Orgetorixa. Tak pewno mężnie zstępowali ku łacińskim zastępom z *Adula mons* Germanowie nieprzemierzonych gór, odziani w skóry krów i jałowic, z rogami byków na głowach, z bukowymi maczugami w ręku, jak ku nam ten lud górski, ukazujący się z pieczar ukrytych na wysokości między niebem a ziemią. Było to nowe starcie rodu łacińskiego z plemieniem germańskim. Szli przeciwko naszym czworobokom najeżonym bagnietami, wielkimi krokami, w najgłębszym milczeniu. Bili się na śmierć, nie wydając jęku ni krzyku zachęty. Ani jeden nie prosił o darowanie życia. Tarzając się po ziemi, walczyli na ciałach konających towarzyszy. Porywali żołnierzy naszych za bary, wydzierali im z rąk karabiny i chwytając je za bagnety zadawali z niewidzianą siłą ciosy jak maczugą. Tysiące ich zasały ciałami pole bitew. Żołnierze nasi patrzali na te trupy ze czcią. Starzy wojacy nasi mówili, że porozszarpywane bagnietami ciała ich wylewały ze siebie nadnaturalną, jakby podwójną ilość krwi.

Książę Gintuł w milczeniu słuchał ze zwieszoną głową. Gdy Sułkowski skończył, rzekł z westchnieniem:

— Słuchając tego, zdaje mi się, że czytam historię dzikich walk Cezara z Pompejuszem.

— Prawdziwie. Joubert, który przeszedł strasznymi dolinami Sterzingu, pchając przed sobą Laudona wśród wzburzonego ludu gór, Joubert, który, otoczony ze wszech stron, zdołał wtargnąć do kraju nieprzyjaciół i otworzyć drogę do stolicy, wart porównania z Pompejuszem.

— Wszystko to niewarte jednego wiersza Dantego.

— Ciesz się do woli tą pewnością! Cha-cha! Niewarte jednego wiersza Dantego... Wiem to nie z książki, nie z mądrości cudzej, lecz ze siebie, ze swego własnego przejrzenia, że wszelkie słowo w istocie swej jest czcze i próżne. Nawet słowo najgenialniejszych poetów. Nawet spisane natchnienie proroka. *Obletamenta et solacia servitutis...* Wielkimi są tylko czyny. One jedne równają się siłom przyrody, niweczą ich wszechmoc i wszechmoc naszej, ludzkiej śmierci. Toteż życie bez wielkiego czynu jest nędzą i głupstwem. Takież życie przepędza kuna, pies, motyl. A zresztą... Oto zbudziły się w nas ambicje Antoniusza, i już ich mowa ludzka nie zażegna. Przechadzamy się po łądzie ziemskim dyktując mu nowe, wysokie prawa. Idziemy z kolei obaczyć, jak wojują lotne, bezdomne ludy Masagetów, Parsów i Numidów. Wyzywamy na rękę potomka Masynissy, pogromcę, co w spalonym od słońca stepie dopada, ujarzmia miedzianą pięścią i osiada łądzwiami z żelaza dzikiego konia Arabii. Pieni się już nasze dalekie, dzikie, ciemnobarwne morze. Tłucze się z gniewem o czerwone skały Korsyki, o żółtą Kapreję, o błękitną Elbę, o granitowy brzeg Malty. Przez wieki na nas czekało. Idziemy, żeby wziąć we władanie jego bałwany aż po zdradzieckie mielizny Syrtów, po żółte piany Suez. Wiatrom, nieznanym nad sobą przemocy, każemy ryczeć w nasze białe żagle. Niechaj dźwigają wielkie korwety bojowe.

Rozkosz mi sprawia myśl o słonych, błękitnych samotniach morskich, nad którymi pod chmurnym niebem rozlega się krzyk dzikich gęsi lecących z posępnych ściernisk Północy, o tym tajemniczym egipskim łądzie, który pożarł wielkie ludy, piaskiem zasypał ich dzieje, a skostniałą ich mądrość porucił liktorskiej straży hieroglifów. Czuję tęsknotę do powiewów słonego wiatru pustyni, kamsinu, co opalał śniade skronie Ramzesa Drugiego, Miamen, Sezostrysa, który zdeptał barbarzyńskie ludy aż po Kolchidę i Phasis, a na długich okrętach swoich wziął w posiadanie morze aż po erytrejskie wybrzeża. Czuję radość na samą myśl, że wciągnę w płuca ten wicher, który genialnymi myślami upajał czoło wodza Antoniusza i czoło wodza Aleksandra, który owiewał najcudniejsze lica tej ziemi, królewskie jagody Kleopatry, i zeszcł oblicze Pawła, pierwszego pustelnika, nieśmiertelnego jako duch i nieśmiertelnego jako ciało. Dotykam we śnie stopami gorącej ziemi pustyni, odbywam piaszczyste przeprawy... Dławi mię po nocach niezrozumiała, pełna trwogi tęsknota do straszliwej, beznosej czaszki Sfinksa.

Książę Gintuł wstał niecierpliwie, przeciągnął się... Chwilę się wahał, jakby w zamiarze wyznania Sułkowskiemu ostatniej, najgłębszej calizny swych myśli, lecz nagle zamilkł. Ujrzał w jego twarzy zimne, żelazne upojenie, w oczach siłę rozumu, którego rozwinięć

nie podobna było ogarnąć ani odeprzeć, a w ściśniętych ustach lodowaty połysk czynu. Przeszedłszy tedy tam i z powrotem po izbie, wziął kapelusz i pożegnał przyjaciela uściskiem dłoni.

Gdy wyszedł na ulicę, deszcz zmieszany ze śniegiem ćwiczyc go zaczął po twarzy i zalał oczy. Książę owinał się w płaszcz, kapelusz nasunął na czoło i biegł ciemnymi ulicami. W piersiach jego szerzyła się owa cudna w swej mocy i szerokości rana, z której, niby krople krwi, sączyły się westchnienia. Szedł krokiem coraz bardziej przyśpieszonym, zaciskał pięści i mamrotał do siebie jakieś wyrazy urwane, które się w jęk głuchy, w zduszone łkanie przelewały.

„*Utrum bucephalus habuit rationem sufficientem?*”

Z wielką biedą i narzekaniem profesorów Rafał *de* Olbromski przebrnął zawiloci wiersyfikacji Horacjuszowskiej oraz innych wieszczów Rzymu — i ukończył „chlubnie” poetykę. Tym sposobem zdobył prawo wstąpienia do Akademii. W rzeczy samej, ku zdumieniu kolegów i reszty świata, zapisał się na filozofię. Ten jego niepośledni zapal do nauk austriackich oraz umiejętności powszechnie łacińsko-niemieckich miał swoje własne przyczyny. Książę Gintuł opłacił był za swego wychowawca wikt i mieszkanie tylko za rok jeden, i siedział gdzieś w obcych krajach. Ani wiedziano, ani słyszano, gdzie się obraca. Rafał został na ulicy. Do domu wracać nie miał ochoty ani możliwości, a udać się do Grudna nie śmiał. Młodzi książęta umieszczeni w pensjonacie prywatnym, prowadzonym przez emigrantkę Francuzkę, gdzie mieli konwersację i odbierali lekcje poloru, nie trzymali z chudeuszem kompanii. Zresztą, dla oka tylko i zadowolenia zwierzchności, która żądała kończenia gimnazjów politycznych, uczęszczając do szkół, rzadko go widywali. Po ich wyjeździe na wakacje, niezaproszony wcale, Rafał został na koszu. Nie miał, co prawda, chęci wyjeżdżać z miasta.

Bawił się tu arcywesolo. Mecenas Dorszt, prowadzący interesy grudzieńskie, u którego mieszkał, wcale nie zajmował się jego edukacją ani tym mniej konduity. Ze swej izdebki obok kuchni *de* Olbromski miał możność wymykania się na miasto w każdej porze dnia tudzież w każdej porze nocy. Toteż używał, osobliwie w karnawale. Miasto Kraków aż drżało od zabaw, huczało od muzyki. Zamożna szlachta zjechała z całej Nowej Galicji. Reduty i bale nie ustawały. We fraczku francuskim, jaki studenci retoryki i poetyki nosili z urzędu dla odróżnienia się od niższych, z polska odzianych uczniów klas łacińskich, dostawał się tu i owdzie na bale, wprowadzany przez zamożniejszych kolegów, i hulał do upadłego. Umiał już prowadzić angielskie kontredanse, francuskie kadryle, strasburskie i styryjskie sztajery.

Bardziej wszakże niż tańce wciągnęło go i porwało życie publiczne w *kafenbauz*ach, z niemiecka urządzonych... Bilard, karty i tajemne uczęszczanie na pijatyki były przez całą zimę na porządku dziennym. Nadaremnie prorektor gimnazjalny Himonowski (od powtarzanego często przysłowia zwany *Nempe*) ścigał łobuzów dniami i nocami. Umieli zawodzić znakomicie jego czujność i przyprawiać ciało pedagogiczne o zgrozę, rozpacz i przedwczesne łysiny. Zadymioń i cuchnący *kafenbauz* Gerersdorfa z olbrzymią fajczarnią, zatłuszczonymi stołami i podartymi bilardy miał tajemniczy urok, którym przyciągał. Tylnym wejściem po brudnych schodach wpadała codziennie młoda banda, opanowywała bilard i spędzała tam rozkoszne godziny, dopóki straż stojąca na czatach nie dała znać, że nadciąga „Himcio” lub którykolwiek z belfrów.

Nie mniej namiętne grano w karty. Szulernie takie tworzyły się u kolegów mieszkających pod opieką krewnych, a kwitły także i na pensjach utrzymywanych przez profesorów. Zaczynało się niewinnie od stawiania na kartę kilku czeskich, a kończyło nieraz straszliwą przegraną kilkudziesięciu reńskich. Wygrane dawały możność tajemnego uczęszczania na teatr niemiecki i, co stanowiło rozkosz najwyższą, na balet, świeżo przez Niemców dla szerzenia cywilizacji założony. Kilku z młodzieży kończącej szkoły miało opinię, o czym miasto szeptało ze zgrozą, uczęszczających za kulisy.

Do ostatniej kategorii Rafał nie należał z braku niezbędnych po temu funduszków. Gdy minęła zima i zbliżał się czas drugiego w roku szkolnym egzaminu, trzeba było przysiedzieć faldów. Ale rozbudzona imaginacja i zastarzałe próżniactwo wytrącały z rąk książkę. Skoro ziemia obeschła, Rafał począł wymykać się za miasto, do okolicznych lasów, na górę

świętej Bronisławy, w stronę Krzeszowic i Bielan. Zbudziła się uśpiona tęsknota. Obce, jakby przez wiatr wiosenny przyniesione uczucie ocknęło się w piersi. Zdarzało się, że szedł polami o niczym nie myśląc i nic nie wiedząc, z oczyma wlokącymi się po szarym gruncie, aż oto jęk w sobie słyszał żaloszny, wyrzut tak dokuczliwy, że stawał zdjęty trwogą najgłębszą, strachem i okropnością zjawiska. Twarz zakrywał rękoma, ażeby nie widzieć w myślach samego siebie.

— Helena, Helena... — świsłały młode trawy, przez wiosenny wiatr kołysane. Ale nim dzień upłynął, wszystko przywalił gruz i zasypało suche wapno. Mijały znowu tygodnie głuchego zapomnienia, zupełnej ciszy i rozpuszanej nicości serca.

W tym czasie najbliższe pobratymstwo Rafał zawarł z kolegą Jarzymkim. Był to zamożny chłopiec, sierota, zostający na opiece swego stryja, byłego rotmistrza kawalerii narodowej. Opiekun miał duży majątek w okolicach Siewierza i usiłował ściśle kontrolować wydatki pupila, który rzucał pieniądze na prawo i lewo. Młody Jarzymki czekał tylko chwili dojścia do pełnoletności, żeby się wyprząc z twardego jarzma opieki stryjowskiej. Nim wszakże to nastąpić mogło, musiał, w braku gotowizny na reprezentację bilardową i baletową, pożyczać, skąd się dało. U niego też odbywały się najbardziej hazardowe gry po nocach oraz pijatyki. Od niego wyruszano na reduty. Jarzymki miał zawsze u siebie kilka butelek doskonałego węgryna ze składu Kraussa, on dla studentów gimnazjalnych był wyrocznią mody i twórcą tężyzny. Olbromski był jego prawą ręką, pomocnikiem i powiernikiem. Kasę mieli wspólną. Dzielili się nią w sposób wzruszająco arkadyjski, równie bezinteresownie jak każdym zapalem dla nowej gwiazdy baletu albo zawodem w karcianych przegranych. Właśnie dzięki tylko tej przyjaźni z Jarzymkiem *de* Olbromski wstąpił na filozofię.

Rotmistrz-opiekun wymagał natarczywie studiów, chciał widzieć swego wychowanka na jakimś urzędzie, które się otwierały po dystryktach, pragnął, żeby koniecznie zdał egzamin na komornika, co dawało bardzo dobre akcydensa. Nakłaniał przeto Jarzymkiego prośbą i groźbą do wstąpienia na Akademię i do słuchania lekcji prawa natury, które wykładał *utriusque iuris doctor* Nemetz, oraz na prawo cywilne, tłumaczone przez adwokata Litwińskiego. Jarzymki, pragnąc żyć w zgodzie z opiekunem, z boleścią przystał. Namówił dla towarzystwa i Rafała do składania egzaminu z pięciu klas do Akademii. Pod jesień, spędziwszy lato w mieście, już obadwaj zdali „chlubnie” i otrzymali świadectwa upoważniające ich jako alumnów do słuchania filozofii.

Rafała nie bawiło wcale to przeniesienie się z liceum świętej Anny do kolegium. Znudzony już był do syta łaciną, niemieczyzną, książkami i kajetami. Nigdy nie zadawał sobie trudu rozumienia, po co się to wszystko odbywa, czemu wolno w rozmowie z nauczycielem niezrozumiały wyraz łaciński zastąpić niezrozumiałym wyrazem niemieckim, a nie wolno zastąpić go zrozumiałym polskim. Nigdy się nie rozpadał ani nad łacińskimi wierszami, ani nie brał do serca nauki o sylogizmach, więc i teraz szedł w gronie koleżeńskim z obojętnością i wzgardą do paplania bellfrów. Niektórzy z jego współdriblasów czytali ukradkiem książki polskie (*Pierwiastki Anusi*, *Przygody i awantury markiza* itd.), zabłąkane z dawnych czasów. Niektórzy pisywali nawet wierszydła do bogdanek, rymy okaleczały wykrzywioną a nierozwiniętą mową, wedle przypadkowego wzoru starych pieczeniarzy i panegirystów doby Stanisława Augusta, którzy teraz, dziwnym losu zdarzeniem, byli mimowolnymi siewcami mowy naddziadów. *De* Olbromski nie chwycił nigdy za lutnię. Myślał wprawdzie po polsku, ale przez czas pobytu w szkole, nie słysząc zgoła wyrazu rodzimego, po skończeniu gimnazjum nie umiał godziwie listu napisać i ledwie czytał we wzgardzonym języku. Daleko lepiej władał piórem w mowie niemieckiej i wcale dobrze mówił tym językiem. Mocno nim zresztą pogardzał, równie jak wszechobecną i zawsze nudną łaciną.

Jednego dnia w porze zimowej lektoria kolegium miały słuchaczy daleko więcej niż zwykle. Nawet na wykładzie pana Lody, „profesora Logiki i Metafizyki”, widać było drabów z Proszowskiego i Skalmierskiego, którzy zazwyczaj świecili nieobecnością, zalegających ostatnie ławy. Pan Lody zwracał się do nich z miłością i często im zadawał obiekcje, usiłując przyuczyć zachodnich i wschodnich Galicjan do pięknego kunsztu władania wykwinnymi sylogizmami. Łatwość tłumaczenia się po łacinie (a wszystkie obiekta w tym języku były wykładane na krakowskiej filozofii) nie na wiele się przydała, wrodzona dobroć połączona z niezgłębiałą nauką nic nie pomogły, gdyż większość

sluchaczów grała najspokojniej pod ławkami w karty. Ciepło w salach kolegium zwabiło tego dnia tak wielki zastęp filozofów. Jedni z nich drzemali, inni przypatrywali się grającym, jeszcze inni zajęci byli lekturą rzeczy znacznie od połączonej z Logiką Metafizyki weselszych (*Pierwiastki Anusi* itd.). Do grona zajętych grą w karty przyłączył się i Rafał. Czy profesor spostrzegł szczególne ożywienie na jego licu i wytłumaczył je sobie jako skutek głębokości wykładu, czy, zatopiony w bezdennych głębiach dociekania, uczynił to bez namysłu, dość że zadał nagle Rafałowi kwestię:

— *Utrum Bucephalus, equus Alexandri Magni, habuit rationem sufficientem?*

Olbromski władał łaciną znacznie lepiej, z czasów jeszcze sandomierskich, niż starsi od niego uczniowie z reformowanych przez Komisję szkół polskich, ale zaskoczony zniechęca, z kartami w ręce, pragnąc co prędzej pozbyć się nudziarza, zaczął wywodzić niestworzony sylogizm i dowiódł wreszcie, że koń Aleksandra był obdarzony rozumem. Nie wszystkie subtelne wiązania przesłanek sam spłodził. W znacznej mierze przyczynił się do tego Jarzymski zdradzieckim podpowiadaniem. Rafał tak został wzburzony śmiechem, który wzbudziło jego dowodzenie, że zapomniawszy się do żywego, machnął ręką, w której właśnie trzymał karty. Profesor spostrzegł ten objaw zepsucia i z rozszczepionymi palcami oddalił się z okręgu sodomitów, otrząsając pył z trzewików, a puder z francuskiej fryzury, ozdobionej szynionem na tyle metafizycznej głowy. Długo jeszcze nie mógł przyjść do słowa. Piers jego falowała pod żabotem i usta wyrzucały (łacińskie zapewne) wyrazy oburzenia i zgrozy.

Całe zajście straciło na tragizmie wówczas dopiero, gdy profesor wyszedł, a miejsce jego zastąpił staruszek, mocno już pochylony laty, kanonik Andrzej Trzciniński, profesor fizyki. Przyszedł zziębnięty jak kość, w swej wytartej sutannie, z powichrzoną siwą czupryną. Dla rozgrzania się kazał służącemu przynieść sobie szklankę kawy i bułkę. Miał właśnie wyłożyć zebrany dowódzenie *de porositate corporum*. Kawa i bułka znakomicie nadawały się do uzmysłowienia filozofom prawdy dowodzeń. Ucieszony tak doskonałym zbiegiem wydarzeń, nie chcąc czasu tracić, sławny autor *Zakusu nad zaciekami wszechnicy krakowskiej* popijał ciepły napój, a maczając w nim ciasto, z zapalem głosił prawdę o wsiąkaniu kawy z cukrem w nadgryzioną bułkę. Tymczasem Jarzymski, któremu karta nie szła, mrugnął na jednego z kolegów, a tamten począł zagadywać fizyka. Kanonik zbliżył się do ławek i wdał w dyskurs zajadły. Wówczas poza jego plecami Jarzymski wysunął się na środek, wypił kawę i zjadł bułkę. Gdy resztę polykał, staruszek przypomniał sobie filiżankę.

— *Ubi est mea coffa?* — spytał ze zdumieniem, zwracając się do audytorium.

Jarzymski otarł usta, skłonił się grzecznie i odpowiedział:

— *Coffa et buculla per attractionem corporum venit ad meum stomachum.*

Ponieważ materiału do doświadczeń nie stało, kanonik zafrasował się i począł uskarżać na zimno. Wreszcie, nie czekając końca godziny, ruszył na kawę do domu.

SKRYTKA

Na wiosnę tegoż roku Rafał pokłócił się z przyjaciółmi, a osobliwie z Jarzymskim, i stracił w Krakowie grunt pod nogami. Wymówiono mu mieszkanie, zgrał się w karty do nitki, spadło nań tyle od razu nieprzyjemności, tak mu obmierzło uczęszczanie do kolegium, że postanowił emigrować... Ale dokąd? Długo ze sobą walczył, aż wreszcie powziął decyzję: nikomu słowa nie mówiąc ruszył do domu.

Zjawił się tam w pierwszych dniach kwietnia, przed wielkanocnymi świętami. Śniegi już były spłynęły, choć jeszcze czarnymi szmatami leżały tu i owdzie w parowach. Drzwi chat były już otwarte, jakby na przyjęcie idącej wolno Marzanny. Z dała na wzgórze ujrzał rodzinną habendę. Jakże mu się ten niski, szary, białocienny dom wydał upragnionym i drogim! Gdy najęte szkapięta zajechały przed ganek, Rafał z wolna wysiadł i nie kazał woźnicy odjeżdżać. Ale na spotkanie wyszedł sam stary cześnik, kazał furmanowi wracać do siebie, a nawet dołożył złotówczynę na piwo. Rafał został łaskawie przyjęty. Otoczono go kołem i oglądano jak Węgra z towarami. Matka dotykała rękoma jego włosów i gładziła je nieznacznie, siostry dziwiły się i admirowały przetarty mocno fraczek oraz wyszarżane pończochy, nawet stary pan, choć nadąsany i chmurny, pozwalał synowi mówić do syta i z pełnego serca, nadto śmiać się racyły, pytać łaskawie i często przytakiwać.

Gdy wspomniano Piotra — płacz się rozległ. Serce Rafała zmiękło i oczy zaszyły łzami. Miał chwilę tak dziwną, że pragnął rzucić się do nóg rodzicielskich, wyznać na wzór syna marnotrawnego wszystkie swe najtajniejsze winy, spełnione w Grudnie i Krakowie. Chwila ta przeminęła szybko i do wyznań nie przyszło.

Po świętach wielkanocnych, w czasie których Rafał był osobą interesującą całe sąsiedztwo, nastął czas siewu, robót w polu. Stary cześnik kazał fraczki i pończochy eks-filozofa schować do szafy, a do narożnej izby zanieść strój, ziemiański: drelichową katankę, tudzież hajdawery uszyte przez nadwornego Judkę, grube buty, spłodzone przez nadwornego Wąsika, i słomiany kapelusz używany już w roku zeszłym przez członków rodziny, a wypleciony z własnej słomy pszenicznej przez owczarza Joachima. Buty były potworne, o stopach jak szufle, obcasach niestruganych, z podkówkami i cholewami, których nagi jucht przebijał spod loju i jakiegoś cuchnącego czernidla. Wciągając na wydelikaczone nogi te statki Rafał zatrząsł się z obrzydzenia i owiany został płomieniem wstydu. Przyszła mu na myśl księżniczka Elżbieta.

— Warto, żeby mię zobaczyła w tym kostiumie! — pomyślał wśród dreszczów dokuczliwego szyderstwa. — Miałaby przynajmniej dobry pretekst do pośmiania się prawdziwego...

Mimo to przywdział domową odzież i szedł na pole, gdzie mu kazano. Wszystko w sobie zagłuszał, umyślnie przyciemniał najmiłsze wspomnienia. Całe dni trawił na polu, wśród szarych, z lekka już pyłących ról sandomierskich. Chodził za plugami, dozorował siewu, jeździł na folwarcznych wozach z workami i na szkapie folwarcznej z byle interesem. Wnet ogorzał, ręce mu zgrubiały, fryzura *à la* Titus zmieniła się na czuprynę *à la* Bartek. Powiedział sobie, że wszystko, co było dotychczas, było złe. Postanowił słuchać we wszystkim rodziców i nic zgoła przed nimi nie taić. Tak będzie myślał jak oni, tak będzie postępował, jak oni sobie życzą. Jak najsilniej zdecydował się zapomnieć o miłości dla Heleny, która ze swą opiekunką bawiła wciąż już to w Berlinie, gdzie prowadziły jakieś procesy spadkowe, już latem u wód w Bardyjowie na Węgrzech.

W celu zupełnego wygnania z pamięci tej panny odprawiał trudne nad sobą egzorcyzmy. Umyślnie wyjeżdżał na szkapie daleko w pole, skąd widać było Dersławice. Stawał tam i patrzył na siwiejące w dalekim krajobrazie kępy drzew, podobne do obłoków. Kępy te miały zawsze ten sam kształt, zawsze jednako było je widać, niby złudne marzenia, które ostygły w powietrzu i rozwiać się nie mogą. Rafał nie chciał pozwolić sobie na myślenie o dersławickich drzewach, o tamecznym ogrodzie, nie chciał zmiłować się nad sobą i dać folgi tęsknocie do kwiatów, które się tam rozwijały na rabatach pod cichym zgrzytem okiennicy. Nakazywał sobie obojętność, śmiał się ze siebie, drwił dowcipnie ze swej głupoty i rozumował tak mądrze, jakby go słuchała cała rodzina w komplecie. Zawracał konia i jechał do domu spokojny i pewny siebie. Zdarzały mu się jednakże chwile niepewności.

Jednego dnia zaszedł niespodzianie na kraniec niwy leżącej na płaskowzgórzu, które z dwu stron okalał głęboki rozdół. Było to w końcu kwietnia, kiedy murawa ledwie się puściła. W głębi parowu, u stóp swoich, Rafał ujrzał przezroczyście, pierwotną zieleni moczaru. Słońce wskrzeszało stamtąd omdlałe, półprzejrzyste mgielki o barwie perłowej muszli, zarazem błękitnawej i jakby różowej. Kilka małych fal fiołkowej wody drgało i lśniło się tam między nowotnymi badyłami, jak samo słońce.

W owej to chwili cudna mgła zarzuciła na duszę praktykanta w trzeźwości swe niewidzialne, nieujęte ręce. Uczuł na sobie smugi jej rozkosznych pokus, niejasnej, nadmiernie uroczej względności wszystkiego, co mogłoby być inne niż jej wola tajemnicza, pełna radości. Patrzył zdumionymi oczyma, pełnymi mgły wiosennej, w jasną łąkę, obejmował ją wzrokiem duszy, z krzykiem uniesienia, ze drżeniem przygarnął do ust jej widok... Za wrzeczadkami rzeczywistości, które go trzymały w więzieniu, otwarł mu się przez szczelinę pozór na niewysłowny dreszcz trawy i wodnego zalewiska, na przedwieczny a najwyższy cud wszystkich sił świata, na rodzenie się, na wschód wiosenny życia. Krynica pierwiastkowego uczucia i dokładnej wiedzy o nim na chwilę rozchyliła się przed jego duszą, ukazała cudowne kłęby wody wiekuistej. Spływał stamtąd tajemny, bojaźni i wzruszeniem tworzącym przenikniony powiew i nakaz, prawie szepcący czy śpiew: Módlmy się... Była to chwila tak osobliwa, sama jedna, pustelnicza, że się jej przeląkł. Ale nim się obejrzał, już znikła. Znikła bez śladu, bez znaku, bez cienia swego bytu, niby bruzda wyorana

w powierzchni jeziora przez uderzenie wiosła, które dokądś, u boku szybkiej łodzi, w dal niezgłębioną odplynęło.

Wrócił do roboty i w ciągu wielotygodniowych zajęć zapomniałby był o tym dzieciństwie na zawsze, gdyby nie siostra, nie Zofka. Za ogrodem, który pokrywał strome zbocze wzgóрка, leżał szmat nieużytku, zarosły w dole gąszczem olszowym, wyżej tarniną. Stało tam jedno wielkie drzewo na urwisku gliniastym, brzość stary, rozrosły i na poły uschły. Spomiędzy jego korzeni wypływało źródło wody zaskórnej i kilkoma strumykami ciekło między olchy. Na wiosnę, w maju, było to miejsce przeczudne. Żyzne wyziewy wznosiły się stamtąd, karmiąc chciwie nachylone krzewiny i zielska. Brzegi stoku bramowały się za tych dni kępami niezapominajek, a strumienie płynęły między żółtymi ogniskami jaskrów. Cudne kwiaty wznosiły się nad wodą i schylały ku niej rozmarzone głowy. Wyrastały tam kwiaty nigdzie niewidziane w tych stronach, fantastycznego kształtu, jak dziecięce nocne marzenia. Strzelały z grzęzawiska sity martwice, jak kołczan obłych strzał żelazno-zielonych, gibkich, kończystych, opatrzonych u boku w kistki ciemno-dzikie; rozwidlały się jak drzewka wysokie dudy, lodygi wewnątrz puste, o ścianach nasiąkłych wodą, z których samotne dziecko pańszczyźnianego chałupnika czyni sobie piszczałkę i gra na niej jednostajną, uboższą niż ptasia piosneckę. Samotnie stały pałki o wąskich liściach, długich na kilka łokci, podobnych do mieczów, a spośród nich wyrastały proste pręty z ciemnoszarymi welniakami, które słońce w perzynę obróci. Po mokrym zboczu nad stokiem zwisał mech barwy tak żywej, że zacierał rozkoszny błękit niezapominiek, a spomiędzy jego zwojów czołgała się ku wodzie masa szerokich liści niby monsturalnie rozrosłe żabie nogi z mokrymi błonami. Były to liście szorstkie, najeżone mnóstwem chropawych kolców. Zdawało się, że te żywoziola wciąż syczą i wciąż drżą w bezsilnym gniewie, że trupie ziewy chuchają spod ich błon zielonych, i martwe oczy lśnią pod nieruchomymi powiekami. Tam także rosły kosańce błotne, zwane płonymi, a nade wszystko rosły „jaskółki”, kwiaty o szerokich liliowych kielichach. Gdy Rafał ujrzał pierwszy z nich, nagle mu przyszło na myśl, że ten kwiat to księżniczka. Nadobny kwiat sobie samemu pięknnością przyświecał w tym zaciszu. Wynurzał się z mokrych traw i zatapiał w duszy człowieka cudnej siły niezwalczony urok. Rafał złamał kruchą lodygę, przycisnął do warg subtelny kielich i zdusił go, zdruzgotał, spalił pocałunkami.

Jednego dnia zastał przy źródle siostrę. Zofka przez czas jego nieobecności dojrzała, wyrosła i stała się piękną dziewczyną. Rzadko się widywali na osobności. Schodziła teraz z góry małą ścieżką wyżłobioną w glinie. Nie spostrzegła go i nucąc z cicha poszła na prawo od źródła. Rafał widział jej głowę z płowymi włosami przesuwaną się między tarniną, którą oblewał kwiat śniegowy. Dziwnym mu się to wydało, że siostra mogła wejść z taką swobodą w ten bugaj dziewiczy, którego on sam nigdy jeszcze nie przekroczył. Udał się tam i ze zdumieniem zobaczył głęboko w ziemi wyrytą między cierniami ścieżkę, która chyłkiem szła w górę do skrytej w gąszczach altanki. Darniowa ławka zajmowała połowę tego schronienia. Nad nią zwartym, nieprzeniknionym gąszczem stały czarne ciernie, okryte kwiatem. Dziki chmiel przerzucał tu i owdzie swe mocne nici, i jedna tylko biała brzoźka o pękającej białej korce wdychała nad tym miejscem, gdy cichy wiatr cesał jej długie srebrnozielone włosy.

Zofka zarumieniała się, szczerwieniała ujrzawszy brata. Ona, praktyczna gospodyni, od świtu do nocy zajęta krowami, cielętami, kurami, gęśmi, spiżarnią i kredensem, siedziała tu, schwytała na gorącym uczynku „egzaltacji”, tak zgubnej i tak ogólnie potępionej... Sama wykopała tę ścieżkę, sama zniosła kamienie i okryła je ziemią a darnią. Po co? Na co? żeby przychodzić tu na wiosnę i siedzieć „sobie”. Jakże teraz żałowała tego, co się stało, gdy brat patrzył na nią drwiącymi, męskimi oczyma! Nic nie mogła powiedzieć na swe usprawiedliwienie, nic a nic. Ani jednego praktycznego względu! Nie było to ani dla dobra krów, ani dla wygody cieląt, ani dla gęsi, ani dla czeladzi. Dla nikogo... Spuściła oczy, i ponury wyraz bezsilnej hańby odmalował się na jej twarzy. Siedziała tak dość długo, skubiąc palcami trawę. W końcu rzekła:

- Rafał, nie mów tatuńcowi dobrodziejowi, żeś mię tu zastał...
- Nie mówić?
- Nie mów!
- A to mi ty powiedz, po co tu siedzisz?
- Nie mów! Zobaczysz, że nie będziesz żałował. Nieraz ci się odwdzięczę.

— Powiedz, po co tu siedzisz?

— No, tak siedzę i koniec. Jak się zmęczone w kuchni, przy praniu, to tego... To przyjdę tu i odpoczywam sobie.

— A to nie możesz odpoczywać w ogrodzie? Nie tutaj, między tarkami?

— No, a cóż ci to przeszkadza albo komu? Tu mię nikt nie widzi, a tam zaraz która z dziewczek zobaczy i woła a to do obory, a to do piekarni...

Rafał umilkł. Stał jakiś czas u wejścia, rozglądając się. Po chwili usiadł obok siostry na ławce. Srokosze kuły dokoła swe metaliczne piosenki, z trwogą odpędzając natrętnych ludzi od gniazd skrytych w gąszczu pod kwiatami. Trznadłe zanosiły się od gminnych melodii. Dwa pospolite białe motyle unosiły się w przestrzeni jak gdyby skrzydlate płatki kwiatu. Po pewnym czasie Zofka podniosła się i nie powiedziawszy słowa wybiegła. Rafał został jeszcze długo, leniwie wyciągnięty. Kilka godzin przeszło, a on nie wiedział o tym wcale. Zdawało mu się jak przez sen, że jest w Wygnance. Zapomniał się i zbłąkał w puszczy dawnych marzeń. Byłby przysiągł, że dolatujący do ucha łoskot — to echo Urysiowego kilofa, że słyhać wołanie Michcika...

Kiedy spostrzegł się i schwytał na uczynku tak niecnego próżniactwa, co prędzej wyszedł i ruszył w pole, postanawiając do tej dziury nigdy już nie wracać. Ale po upływie dni kilku niechcący znowu tam trafił. Dobrze się jakoś w tym miejscu myślało. Wsparł tedy głowę na rękę i myślał. Zbudził go szelest.... To Zofka skradała się na palcach, badawczo wychylając głowę zza tarniny. Gdy go spostrzegła, chciała uciekać, ale już ją zobaczył i śmiechem rubasznym przytrzymał. Weszła tedy i usiadła. Nie była już tak strwożona jak wówczas, gdy ją wytropił. Owszem, na twarzy jej malowała się żywa jakaś i zawzięta ciekawość. Wszczęła z bratem rozmowę, nieznacznie naprowadziła ją na Kraków i Grudno. Zbywał ją szczegółami, które już kilkadziesiąt razy publicznie całej familii był obwieścił. Zofce to nie wystarczało. Umiała już to wszystko na pamięć.

— Ty mi wytłumacz — mówiła patrząc w ziemię ze zmarszczonymi brwiami — jaki jest ten książę.

— Jak to jaki? Mówiłem już: wysoki, szczupły...

— To ja wiem doskonale, jakbym go sto razy widziała, ale żebyś więcej o nim opowiedział!

— Jażem się tysiąc razy rozwodził.

— To mi wytłumacz, jak to on tak nagle wyjechał... I żeby też nikt nie wiedział, gdzie on jest!

— No, nikt.

— Ale to jest tak dziwnie ładne...

— Ładne, nawet?

— Znikł i nie ma go. U nas — rzekła ze wzgardą — jeżeli kto wyjeżdża, to do Klimontowa albo do Sandomierza. Wszystkie chałupy wiedzą wtedy, że wyjechał do Klimontowa czy do Sandomierza, wróci nad wieczorem albo jutro przed obiadem. Wszystkie Żydy w mieście pamiętają o tym przez dwa dni. Raz tatuńcio jeździł aż do Opatowa, tośmy się do tego zdarzenia tydzień przygotowywali, konie paśli, kurczęta smażyli. A taki książę pojechał w świat — i znikł. Może przyjedzie, a może nie. Jego jaśnie oświecona wola! Jakaż to musi być satysfakcja tak z oczu ludzkich zniknąć!

— Cóż ci znowu strzeliło do głowy?

— Nic nadzwyczajnego. Mnie się wydaje, że i ty sam chciałbyś tak skoczyć we światy.

— Nie, wcale nie!

— Ejże...

— Głupia jesteś sroka i tyle. Ty myślisz, że świat to akuratnie tyli, co Klimontów z Koprzywnicą. Wleziesz za górceczkę, schowasz się i — nie ma! Zobaczyłabyś ty, co się to tam dzieje.

— Nie zobaczą, nie masz mię co straszyc.

— A żebyś wiedziała, że nie zobaczysz!

— Ech, co ty wiesz... Mnie się wydaje, że on musi być jakiś... puszysty, jasny, cichy... Jakie to cudne słowo: jaśnie oświecony pan, jaśnie oświecony książę pan...

Rafał nie odpowiadał. Ale w chwili, gdy siostra mówiła na poły do niego, a właściwie do siebie te słowa, uczył w sobie tęsknotę, spływającą niby kropla zjadliwa, która rozgryza i kruszy wszystko, co na swej drodze spotka.

— Powiedz mi — gwarzyła Zofka: — to on nieboszczykowi bratu Piotrowi, Pa-
nie świeć nad jego duszą, takim był socjuszem, a czy to nie powinien przyjechać tutaj
i z tatuńciem się politycznie rozmówić?

— O czym?

— A bo ja wiem o czym, ale powinien.

— Wiesz co, ty zbyt długo przestajesz z krowami...

— O, rozumie się — rzekła poważnie, opierając przechyloną głowę na ręce i patrząc
w ziemię.

— Jakże taki pan — tłumaczył jej Rafał dla złagodzenia tego, co powiedział — mógłby
przyjeżdżać do pomiernej szlachty jak my? My sobie panowie na kilkunastu włókach, a to
magnat. I z jakiej racji?...

— A z tej racji, że chciałabym go zobaczyć. Przypatrzyłabym się, czy też taki sam...

— Jeszcze dawniej — ciągnął — za polskich czasów, to podobno zajeżdżały poszóstne
karoce i najwspanialsze bastardy przed nasz dwór, bo chodziło o kreski na wyborach albo
tam o co. Ale teraz! Żebyś ty wiedziała, jacy oni są...

— Nigdy nie będę wiedziała — rzekła z gnuśnym a jadowitym śmiechem — więc cóż
mi z tego, że ty wiesz?

— Cały taki dwór, rodzina, siostry...

— To on ma siostry...

— Ma — szepnęła.

W owej chwili Zofka spojrzała na niego i podniosła głowę.

— Czemużeś mi nigdy o tym nie mówił?

— A czy to jest dla ciebie ważna wiadomość?....

— Czy to jest dla mnie ważna wiadomość?... cha-cha!... Tak, to jest dla mnie... dużej
wagi.

Rafał zamilkł i odął usta. Było mu nieswojo i głupio siedzieć z siostrą w tej tarninie.
Wstał tedy i wyszedł. Leniwie włókł się ścieżką obok źródła i stanął tam w zamyśleniu.
Nie odwrócił się, choć słyszał, że Zofka idzie za nim podśpiewując. Sądził, że go wyminie,
pójdzie sobie i da mu sposobność powrotu do altanki. Ona tymczasem poczęła wdzierać
się po stromym zboczu nad źródłem, depcąc silnymi i zwinnymi nogami aksamity mchów
i wielkie liście. Z radością i szczególnym entuzjazmem wołała do siebie półgłosem:

— Książę, mój książę!

— Co ty pleciesz? — syknął na nią zniecierpliwiony — czego ciągle gadasz o tym
księciu?...

Zofka zerwała wysoko rosnący, prześliczny kwiat „jaskółki”. Z daleka, z głęboką po-
wagą i przymrużonymi oczyma, w których gorzał ogień szczery, rzekła pokazując mu
kwiat:

— To jest książę...

Rafał zmieszał się i całkiem splonął.

— Spójrz — mówiła Zofka — czy nie jest najpiękniejszy ze wszystkich kwiatów?
Cudniejszy niż konwalia, okazalszy niż storczyk. Dlatego nazwałam go tak: książę. Jaśnie
oświecony kwiat. Mój umiłowany, mój kwiat... Cóż z tego, że nie pachnie? Cóż z tego,
że nie ma żadnego zapachu?...

MANTUA

Okno szczelnie zatarasowane wewnętrzną, składaną okiennicą... Lipcowy promień słońca
włamał się już do wnętrza i, pełzając po wydeptanych ceglach posadzki, kruszył głęboką
ciemność. Najmniejszego turkotu, żadnego szelestu... Jaka rozkosz! Cisza tak zupełna, że
smętne nucenie mantuńskich komarów błąka się po izbie i całkowite, od początku do
końca, brzmi w uchu.

Książę Gintuł, przebudziwszy się ze snu, odczuwał trwanie tej ciszy jak doskonałe
szczęście. Nie wałą gromy, nie dzwonią tęskliwie szyby, nie sypią się pacyny ze ścian
i sufitu. Pogrążonemu w łaskawe drzemanie widziało się, że to jest pierwsza chwila po
przybyciu do tego miasta, że to jeszcze kwiecień. Wystawiał sobie, że wolno idzie z Porta
del Beluardo przez groblę prowadzącą do szańców przedmostowych San-Giorgio, ażeby
ujrzeć cmentarz, miejsce czynu Sułkowskiego. Po to jedynie przybył. Ujrzy to miejsce,

rzuci jakoby lauru liść na czoło upojone marzeniami, którego już nie ma, i odjedzie stąd co prędzej.

Wody wiosenne napełniły po brzegi Lago di Mezzo i Lago di Sotto. Modre fale żywo chwieją się, gonią i chlaszczą pianami po rudych murach. Ze drżeniem pędzą do portu Catena i do portu Ankony. Ciekawie zajrzą w ich wnętrza obmurowane i uciekają na łeb na szyję, przerażone dzikością starych bastionów. Za groblą droga idzie pod bramami fortu, później na prawo ku niewielkiemu wzgórz. Wiosenny wiatr lekko poddyma pył drogi... O cudne trawy, któreście wówczas kryły foremne stoki i narożne bulwy szanćców, nasypy, skarpy i przeciwskarpy obmurowanych rowów! Drzewa platanów z łagodnymi liśćmi, Wergiliuszowe ulubieńce „miłujące słodkie wody”... Myśli strudzone od malarii płaczą się i gubią. To, co oczy widzą w marzeniu, leci stronami. Jakież to miejsce tam daleko widać?

Szwajcarią to, gdzieś u płytkich zalewisk Zurychu jeziora, gdy idzie nawałnicą górską wiosna? Trzciny szelestne, suche, jasnożółte, nad ruchliwym fioletem toni... Może to u nas? Może to Wołyń? Widome przedmioty dalekie i bliskie, drzewa i trawy, zamglone rysy domów i siniejące góry są jak gdyby dźwięki najsubtelniejsze nie na zewnątrz nas, lecz w głębi duszy. Nie pochwyli ich pamięć ni myśl. Tułają się do sennych wspomnień. Nazwa bolesna błąka się i łka w pamięci, krąży dokoła mózgu, szeleści w uszach, w oczach, w uścich mściwie ściśniętych. Kurczem dłoń zwierła!... Mantua! Mantua!

Szpaler świerkowy ciągnie się górą ku cmentarzowi za murem starej twierdzy przedbramnej. Nieoczekiwane napastowanie żalu na widok tych świerków, które korzeniami wysały krew tysiąca rycerzy. Cicha, przyziemna brama cmentarna. To tam.

Książę otwarł oczy i ze wstrętem myślał o czekającej go pracy. Był znużony do cna, pełen głębokości smutku. Ciągły widok oczu gasnących na wieki... Z innymi zgoła celami wrócił z Egiptu. Ziemi Świętej i Grecji. Spieszył do kraju. Do życia, do życia! Rozpoczynać pracę długą i twardą, zmagać się ze sprawami wiecznymi! Kaprys oto losu uwikłał go w sprawy najbardziej przemijające.

Nie mógł w Ankonie doczekać się na statek, który z racji wybuchłej wojny utknął w jakimś porcie. Żeby czasu nadaremnie nie tracić, książę pomknął na północ dyliżansem, pewien, że legalny paszport ułatwi mu przekroczenie nawet łańcuchów armii walczących.

Było to w kwietniu r. 1799, czasu kampanii neapolitańskiej, po bitwie pod Weroną czy Magnano. Baron Kray złamał już był lewe skrzydło armii Scherera i napastował go całą siłą. Wojska republikańskie ustępowały na południe. Batalion polski (pierwszy) pod szefem Dembowskim zasłaniał cofanie się prawego skrzydła ku Vigaccio, a generał-adiutant Kosiński osłaniał lewe skrzydło na drodze ku Nogara. Prawe skrzydło udało się do Mantui. Cała armia francuska mogła być w owej chwili odcięta przez Brescia od Lombardii. Nie pozostało nic innego, tylko umieścić załogę w Mantui, a główny korpus cofnąć za Oglio. Tak też uczynił generał Scherer. Odłączył część wojska na garnizon do Mantui, a sam pośpiesznie ruszył w kraj lombardzki.

Książę Gintułt miał właśnie wyjeżdżać z ojczyzny Wirgiliusza, gdzie się na nocleg w drodze swej zatrzymał, kiedy zdyszane wojska przysły ją zająć. Ujrzał niespodziewanie w ostatnich szeregach swoich. Był to batalion artylerii polskiej pod szefem Wincentym Axamitowskim, złączony z drugim legionem pod komendą generała Wielhorskiego. W bitwach, które owo wejście do fortecy poprzedziły, legion polski tysiącem bez mała trupów usłał włoskie pola. Dogorywał w drodze do Mediolanu generał Rymkiewicz, zginął major Lipnicki, kapitan Daszkiewicz, podporucznik Paciorkowski. W furgonach wieziono rannych: kapitana Bogusławskiego, Zabłockiego, Zeferyna, Zieleniewskiego, Godebskiego, Kirkora, Berensdorfa, Markiewicza, porucznika Tomaszewskiego — i innych. Wiedzieli to żyjący, że nie na zabawę idą do Mantui. Załoga spędzona z rozmaitych stron, składająca się z rodowitych Francuzów, Piemontczyków, z *garde de corps* króla Sardynii, ze Szwajcarów, dezertów Niemców, z „cisalpinów” i jednolitego korpusu polskiego, wynosiła zaledwie około dziesięciu tysięcy ludzi. Z tej liczby połowa najwyżej mogła stać pod bronią.

Fortyfikacje starej twierdzy były nieużyteczne i uszkodzone. Niezdobyta zapewne w czasach katapult i baszt na kołach, może nawet w epoce marszałka Vaubana, Mantua była osłonięta jedynie wysuniętymi fortami Miglioretto, del Thé i szanćcami przedmostowy-

mi Pradelli ze strony zachodniej i południowej. Z północy i wschodu miasto siedziało, jak przed wiekami, za jeziorem di Mezzo i zwykłym, niskim murem bez nasypu. Dowódca całej załogi, generał Foissac-Latour miał na przeprowadzenie wszelkiego rodzaju ulepszeń sto tysięcy liwrów. Tymczasem baron Kray ciągnął z siłą 39 batalionów piechoty, 4 batalionów grenadierskich, 9 kompanii dragonów i 6 kompanii lekkich. W szeregach republikańskich szeptano, że 600 dział ma ze sobą, że idą z nim wszyscy znaczniejsi generałowie: Klenau, Elsnitz, St. Julien, a na czele artylerii posiłkowej Rebinder z 270 kanonierami.

Książę Gintułt, przypatrzawszy się z uwagą stanowi rzeczy, przyszedł do przeświadczenia, że na nic mu się nie przyda pilnie wizowany paszport, że wbrew chęci trzeba wdziewać zielony mundur artylerzysty i stawać w szeregu. Tak też uczynił. Zaczął dosługiwać się od kanoniera, ażeby między zgonionych oficerów, idących z pola bitew, nie wnosić waśni o stopnie i nie korzystać z prerogatyw nazwiska. Wkrótce jednak spostrzeżono jego wiadomości wojskowe. Powołany został do boku generała Bortona, naczelnika artylerii, później wyznaczony do biura Jakubowskiego, starego nauczyciela z Werony, który pod generałem Meyerem wspólnie z kapitanem Millerem, porucznikiem Hornowskim i Maurycym Hauke fortyfikował przedmieście San-Giorgio.

Pięciuset żołnierzy polskich pracowało tam co noc pod ogniem. Sądzono powszechnie, że atak może nastąpić tylko od strony tego przedmieścia, toteż kiedy nieprzyjaciel gromadził swoje siły od południa i zachodu, z tamtej strony Mincio, uważano to za podstęp i tym usilniej sypano szańce, wycinano drzewa i zbrojono się według planów groźnego „Amilkara” Kosińskiego. Od chwili wielkiej powodzi majowej, kiedy rzeka Mincio zatopiła wejściowe i wyjściowe śluzy jeziora Payolo, podniosła wody we wszystkich jeziorach otaczających Mantuę, więc w Lago di Sopra, di Mezzo i di Sotto, tak dalece, że grobla San-Giorgio znikła zupełnie w głębokości kilku stóp pod powierzchnią, sklepione przejścia Molini, wiodące do cytadeli, pogrzały się w wodzie do połowy a powyżej kół młyńskich — książę przeniósł się w interesach służby do środka miasta.

Miglioretto i wyspa Thé z szańcami bramy Pusterli stały się samoistnymi ładami. Były to chwile najbardziej niebezpieczne. Nieprzyjaciel zgromadziwszy mnóstwo łodzi i promów usiłował podsunąć się ku zatopionym murom. Wynikła potrzeba czuwania nieustannego. Książę miał polecenie obserwowania wysokości wód w pewnych rewirach. W małym czółenku krążył nieustannie we wszelkich kierunkach. Nocą, w zupełnej ciemności, w deszcze, docierał częstokroć aż do Angeli na wybrzeżu Lago di Sopra, gdzie Austriacy zaczęli nocami w największej ciszy sypać ostatni, najbardziej w lewo wysunięty barkan swych robót podkopowych. Przed brzaskiem wracał już to przez jezioro Payolo, już przez Corso delle Barche, pod samymi bramami miasta do śluz wyjściowych.

Kiedy jeszcze stały nad topielami ranne tumany i tłukły się dymy po całonocnym bombardowaniu, sunął nieraz w szuwarach i trzcinach aż pod Belfiore, skąd raz wraz wywalały się niespodziane dymy kanonady dla zamaskowania prac gdzie indziej prowadzonych. Gdy wkrótce zaczął się szerzyć w wojsku z racji zatopienia młynów nie głód jeszcze, lecz doskonały półgłodek, gdy żołnierz z dobrowoli oddał ze swego żołdu dwie części na fortyfikacje, książę zajął się w chwilach wolnych na własną rękę urządzeniem żarn i wydawaniem porcyjek chleba żołnierzom, zrazu swojej kompanii, potem szerszemu kołu wiary, a wreszcie każdemu, kto przyszedł. Widziano go pracującego dzień i noc za dwu, za trzech, a potem za dziesięciu i dwudziestu na wszystkich niemal miejscach. Nikt nie wiedział i nie pytał przy wzrastającym rozprężeniu, kto to jest właściwie, u kogo mianowicie adiutantuje, gdzie służy. Był i w biurach Bortona, i przy Axamitowskim, w składach zboża i przy obronie. Przyzwyczajono się do jego zabiegliwych, pospiesznych czynności, do jego figury, przymkniętych oczu, skrzywionych ironicznie ust i pańskiego tonu.

Ale mozoły właściwe zaczęły się wówczas dopiero, gdy w połowie czerwca wody zaczęły spadać, gdy wylazły dalekie brzegi błotne pod Putole i Vergiliana, gdy ukazała się grobla Cerese przez jezioro Payolo i druga naprzeciwko bramy Pradelli. Co tchu zamknięto śluzy od jeziora di Sopra, a otwarto wyjściowe do Mincio dla utworzenia z jeziora Payolo trzęsawisk nie do przebycia. Przyszły straszliwe upały. Stęchłe błota zadymiły się. Komar jadowity zadzwijał nad uszami ludzi zamkniętych w murach, fosach, szańcach i wieżach. Wyziew błotny ogarnął ich miłosnym ramieniem. Wnet tłum żołnierzy zwałił się

na pościółki lazaretów z febry i szkorbutu. Z dniem każdym przybywało nędzy. Ci nawet, którzy stali jeszcze pod bronią, trzęśli się z zimna. Twarze pociemniały i zmora wionęła wskroś miasta.

Książę wziął się teraz do roboty z całego ramienia, co się nazywa, z polska po warcholsku. Był wszędzie gdzie go nie posiał. Należał do rzędu tych oficerów polskich, którzy z własnej woli a fantazji pełnili na wałach i w szańcach pozasłużbowe nocne straże. Jakże polubił owe wigilie. Owe dla odegnania snu i smutku ciche pogwary o ziemi dalekiej i sprawie... Owe powieści groźne a proste o miejscach krokiem przemierzonych, o łąkach i morzach, o rzeczach straszliwych i pracach niezmiernych zniszczonych, o czynach wielkich, które się ponad wszystko wydzwignęły, o sile fizycznej i cnotcie cichej... Stali się wówczas między sobą wszyscy bardziej niż rodzeni bracia solidarni, otwarci, zrośnięci. Ustały pospolite spory i zawiści. Niczyje słowo i czucie nie było dla drugiego głupie, niczyja, najbardziej prosta, dusza wzgardzona...

Książę Gintuł nosił starym wiarusom, których „wujaszek”-szkorbut zagryzał, butelczyny wina pod płaszczem artyleryjskim z piwnic, które, jak twierdził sprzedawca, samego Wirgiliusza pamiętały. Gdy wysliznęły się ostatnie ręką w kieszeni namacalne dytki i gdy został jeno stary mundur na grzbiecie, zielony płaszcz i buty niezupełnie foremne, wynalazł w dzielnicy żydowskiej pewnego znawcę, który nawet o Grudnie coś niecoś wiedział. Dzień w dzień szedł teraz do pugilaresu tego finansisty rewersik na wioski w Prusiech Południowych i w Zachodniej Galicji w zamian za mięso, mąkę, wino, leki. Książę sypiał teraz tylko czasami. Gdzieś w drodze, na przymurku, w kucki, wpośród worków mąki na promie, do dnia, między jaszczykami dwu *obusiów* Czechowskiego, wiecznie miotających nawisowy ogień z bramy Pradelli, gdzieś pod platanem w drodze do Redela, który ze swymi rył wciąż rowy i bił palisady za klasztorem San Francesco sul Thé na prost bramy Pusterli.

Gdy od 4 lipca Austriacy poczęli rozciągać swój front aproszów od Certosy przez Pallagina, Dosso del Corso i Chiesa Nuova, przez Simeone i Valle aż do Spanavera i, zatrudniając co noc po kilka tysięcy chłopów z okolicy oraz swoich własnych żołnierzy, wznosili wciąż nowe linie dwuramników złączonych kurtynami, a w tyle sypali czworoboki zamkniętych redut, gdzie kolejno umieszczali swe baterie od pierwszej do ósmej, prace i czuwania dosięgły szczytu. Książę Gintuł sam począł zapadać na zdrowiu. Nie spodziewane, w największy upał lodowate dreszcze, bóle głowy, rozum i przytomność wyszarpujące z czoła, a nade wszystko niechęć śmiertelna do jadła i napoju, do światła, słońca i powietrza. Ręka skostniała podnosi do oczu szkła perspektywy, a oczy widzą nie to, na co patrzą. Dalekie smugi wyrzuconej ziemi, równie ogniowe szańców darnią już odziane, dalekie gęstwiny platanów i morw, trzciny, wierzy i eukaliptusy na porbrzeżach, a z nagła... cóż to? Jak żywa rośnię przed upadłymi oczyma wydma piaszczysta gdzieś w kraju, jasna, żółta, sypka, usychającym jałowcem tam i sam porosła...

Świat zewnętrzny oddarty jest od człowieka, zwisa z duszy jak łachman ciężki i bolesny, nie do odtrącenia a nad siły, nic z nią niemający wspólnego... Ludzie snują się i wiercą naokół, jak gdyby pogrążeni w falach szczególnego eteru, w cienkich mgłach-smętnicach. Czyny ich głupie, ordynarne, wrzaskliwe, kamieniami walą się na głowę, na ciemiej jej, na piersi i na ramiona. Tymczasem już ludzie przyzwyczaili się do posługi. Żądali jej natarczywie, jak od robotnika płatnego na dniówkę. Szedł tedy wciąż tymi samymi szlakami, ale już jak wóz bez koni, pchnięty z góry w wyłobione koleje. Coraz mniej mając w oczach światła, coraz słabiej rozróżniając kontury spraw, a nawet twarze, czynił przecie swoje. Policzki przybrały barwę popiołu, kości ich wylazły. Oczy wwalily się w swe doły. Usta zamilkły. Wreszcie czyny ręki były to już raczej znaki woli żywego ducha niż akty ciała.

Oto teraz siedząc po przebudzeniu na swym leżaku, zawinięty w płaszcz i wtulony w siebie, myślał, że musi wstać i iść na służbę. Niemoc przytłukła go jak wieża. Ręce i nogi leżały cięższe od kłoców dębowych.

— Po cóżeś tu, głupcze, został? — zadrwił z niego nagły, postronny śmiech szatański.

Usunęła się wraz przed wewnętrznym okiem duszy ściana domowa na obraz kotary, a za nią widać było nicość, nędzę i śmieszność trywialności poświęcenia. Patrzył przez chwilę na całe rzeczy, na początek i koniec ich, na wierzch i środek. Wszystko, co tu przedsiębrał,

wsiąknie w ziemię tak samo, jak wsiąka deszcz, tak samo, jak wsiąka w ziemię krew zastrzelonego człowieka — i zginie. Śladu nie będzie. Któż jest, kto by odróżnił drzewa czerpiące soki ze dżdżu od drzewa wyhodowanego ze krwi? Czyjeż oczy wyleją łzę? Czyje piersi westchną? W mrok się rozprasał ostatni brzask wytrzymałości.

— Już nie pójdę nigdzie! — cisnął słowo głośnie jak klątwę na nieszczęśliwych, którzy szelestu jego kroków wyglądają. Runął na wznak i zamknął oczy.

— Zdychajcie! Wszystko mi jedno. Teraz i ja nareszcie będę próżnował.

Owinął się starym, zielonym wojskowym płaszczem i niweczył swe dreszcze szeregiem skuleń i wyprężeń ciała. Sen go opętał twardy...

Wtem runął gromem strzał armatni. Okna zadrżały w swych zawiasach wszystkimi futrynami. Szyby żałośnie dzwiękły. Ledwie pochwytny szmer w ścianach przeniknął je jakoby dreszcz tyfusowy. W luftach kominów załopotwały strącone skrzydła sadzy.

— Jesteś... — wyszeptał.

Zarazem rozrzucił poly płaszcza i wstał. Ulegając nakazowi starego nałogu siadł po umyciu przy toalecie podróżnej, ostatnim wykwinniejszym sprzęciku, ogolił się starannie i uczesał. Potem oczyścił porządnie mundur już podczas ryku kilkudziesięciu armat. Skoro wyszedł na ulicę, huczała niesłychana kanonada. Tak znał się na tonie armat, zależnym od oddalenia, że wnet odróżnił baterię Redela i jednorogi Axamitowskiego od naszczekiwania dział Moneta z cytadeli i Jakubowskiego z San-Giorgio. Oto dzwonią pociski z bastionu St. Alexis, z bastionu Luthérien, z *retranchements Charles*... Szedł ulicą Garety, mechanicznie, prawie bez udziału myśli licząc pociski. Krył się przed słońcem. Pod murami stał już cień włoski martwy, jak opończa nieruchomo zwisły z wysokości nagich ścian. Ulice były puste jak wymiół. Tam i sam wyjrzała z bramy kędzierzawa głowa ulicznika albo wśliznęła się w ciemną i wilgotną sień strwożona kobieta. Przyzwyczajony do codziennego huku armat od czterech miesięcy, książę szedł ospale, ze zwieszoną głową.

Nagle osobliwy, nieznaną łoskot uderzył go w dekę piersiową jak cios pięści. Oto z narożnego domu na przecięciu dwu ulic, z domu cichego, śpiącego w cieniu swych drewnianych żaluzji, runął olbrzymi narożnik. Kupa cegieł z futrynami okien zwała się na środek ulicy o kilkadziesiąt kroków przed idącym. Zrazu nie mógł zrozumieć, co to się stało. Ale jakaś blada twarz w wyrwanym oknie... Wraz palnął w tę samą ścianę pocisk, buchnął płomieniem. Wyrwał drugą dziurę, rozleciał się na tysiąc skorup wartkich, ledwie dostrzegalnych, wiercących się w kilkudziesięciu miejscach na przestrzeni jakichś stu sążni. Szczęście chciało, że książę stał o pięćdziesiąt co najmniej kroków od miejsca wybuchu, wskutek czego czerepy bomby przeleciały już nad jego głową. Jeden z ułamków kręcił się długo na kamieniach ulicy. Gdy spoczął, książę, czając się mimo woli, podszedł ku niemu i wejrzał nań z taką ostrożnością jakby oko zapuszczał w przepaść. Zobaczył podługowaty złom żelaza, urywki na nim kutych obręczy, resztki tlejącego drelichu i smolnych sznurów...

— Karkas... — wyszeptał ze drżeniem.

Ale nim spojrział, nim to pomyślał i wymówił, już kilka nowych piorunów padło na ulicę. Prały ją straszliwie kilkupudowego wagomiaru brandkugle, wyrzygujące ogień przez trzy swoje „oczy”, ryczały lane walce knyplów, służące do targania wiązań wszelkiego rodzaju splątanych przez pracę ludzką, pękały w powietrzu, około drzwi i okien z hukiem głośniejszym od armatniego wystrzału „świecące kule”, wyrzucały z bruku i ziemi leje sążniowej średnicy wielopudowe, jednookie, uszate bomby, i skakały naokoło, jak gumowe piłki, ślepe granaty. Książę dyszał prędko. Nogi się pod nim trzęsły, serce przestało bić i trzepotało się jak dzwon na trwogę. Widział był dotychczas walki fortów z fortami na kule, bitwy pułków na bagnety, ataki konnicy na konnicę. Teraz co innego...

— Bombardują miasto... — wymiamał do siebie, brnąc dalej spłoszonymi krokami.

Rozbijał mu głowę, miażdżył oczy, dusił oddech przeciwny naturze grzmot walących się domów, wrzask śmiertelny niewidzialnych ludzi, łomot i stęki wyrwanej ziemi, buchanie prochu, trzask drzewa, łoskot kamieni. Zielone drzazgi okiennic, zębce, krzyże, ramiona potrzaskanych ram okiennych i futryn, strzępy i zwitki rynien z malowanej blachy, gruz czerwony glinianych dachówek, jak liście pierzchało to wszystko bryzgami w powietrzu. W rozwarte jamy okien i drzwi skakały kłęby ognia. Zaduch smoły,

dziegciu, prochu, gałganów palących się od zapraw otaczał każdy dom płonąca atmosferą. Książę, wtulony we framugę przy studni ulicznej, łypał na wszystko oczyma, przeciągał się od zimna.

— Madonna! Madonna!... — rozległ się za nim, gdzieś u stóp, okrzyk człowieka na ziemi.

Rzucił okiem na czarną twarz, białe zęby, wysadzone na wierzch straszliwe oczy, na ręce błędzące bezradnie po nagim bruku. Wtulił się w mur jeszcze głębiej, przyłgął do niego jak płaskorzeźba. Nie podnosił oczu...

— Żeby choć prędeż... — szepnął mu do ucha jego własny duch. Myśl tę usłyszał tak wyraźnie jak głos owego człowieka, który się wił coraz ciszej na kamieniach. Zmęczone ciało wzdrygnęło się od kilku szlochów urwanych. Przycisnął płaszcz do piersi i wśród wzmagającej się orgii pęknięć, strzałów dookolnych, wśród piachu z cegieł, czarnego dymu i ognia pożarów, zaczął usilnie nakazywać spokój rozbieganemu sercu. Namacał wreszcie wolą obojętność w ciemnościach wewnętrznych duszy, a dłonią rękając szpady. Odszedł stamtąd. Ale dalej w ulicy, przed kościołem San Rocco, przejście było zagrodzone. Zapchała je barykada zwalonych ścian i gruzów buchająca pożarem. Wiodąc ręką po murze, obok którego postępował, trafił na bramę otwartą czy otwór wyłamany. Wszedł do ogrodu.

Ujrzał dokoła siebie drzewa porozrywane, konary z owocami rzucone o kilkadziesiąt kroków od pnia, srebrne zagajniki cytryn i bardziej ciemne pomarańcz, pokrzywione drzewa figowe skwarzące się we własnym ogniu. Liście, gałęzie, kwiaty stratowane... Przez chwilę zadumał się sennie nad wyniosłą grubolistną magnolią, którą kula ścieła w połowie wysokości. Jeszcze, zdawało się, drży pień... Raz wraz waliła w ten śliczny ogród pięciopudowa bomba. Zapadłszy się w miękką, skopaną i wynawożoną ziemię na półtora sążnia, wyrzucała stóg ziemi z korzeniami fig i migdałów, wykroty obwieszane gruzłami czarnej próchnicy, miecąc na wsze strony donice z kwiatami, rododendrony i żywopłot z bukszpanu, kamelie i biały bambus. Książę siedł przed siebie na oślepie.

Ujrzał nagle ciemnik z winorośli rozpięty na obłąkach i na drzewach morwowych. Tuż u wejścia siedział na płaskich kamieniach człowiek jakiś i trzymał w ramionach umiarkowanego chłopca lat pięciu, a raczej zmiażdżone szczątki chłopięce. Oczy dziecka zaszyły już mgłą, ciało rozerwane, krwawe zwisło jak rzecz wiotka. Jeszcze żebra wznosiły się i opadały, a maleńka gardziel, biała jak kameliowy kwiat, łykała powietrze. Człowiek siedzący kołysał się naprzód i w tył jak wahadło. Całował konające usta, wysysał jego oddech ulatujący w milczeniu straszniejszym tysiąc razy niż huk kanonady. Nie podniósł oczu na księcia, gdy ten zadreptał koło niego, żeby coś pomóc, niewiedzący w czym i jak. Wciąż tylko zgrabiałymi palcami przyciskał do piersi coraz mocniej, coraz trwożliwiej skrważone szczątki. Chuchał nadaremnie w otwarte usta dech żywota czy może przyjmował w swe rozdarte serce ostatnie tchnienie...

Skrzypiały wokoło drzewa, pękało i paliło się miasto. W głębi czarnych ulic kotłowały się straszliwe, nieustające womity murów. Książę wpatrzył się osłepłymi oczyma w ów szczególny, jedyny na świecie bełkot śmierci miasta. W dymie, pod sklepieniem z płonących kul, zbity kamieniami, ociekający krwią od zranień uławkami kul, czarny od prochu, z płaszczem tlejącym w kilku miejscach, przyszedł do bramy Pradelli. Z tyłu od miasta waliły się teraz perzyny, czad spalenizny i upał pożarów. Nie stało powietrza na oddech. Kanonierowie ledwie mogli ustać w dymie. Pod murem leżał porucznik Kobylański, któremu urwało rękę w krytej drodze dwuramnika przedmostowego Pradelli. Książę musiał stanąć do roboty u boku Czechowskiego, niegdyś w kraju majora, awansowanego obecnie na kapitana. W tę bramę najzacieklej biły pociski ze wszystkich baterii austriackiej paraleli. Słychać było głuche stękanie odwiecznych murów i nieustanny łoskot brył cegły walącej się w zgniłą fosę. Dwa jednorogi, broniące gruzów wieży, rzetelnie tego dnia pracowały. Sam kapitan celował chodząc od jednego do drugiego. Gdy Gintuł stanął przy nim, spojrzal przez ramię, wskazał ręką granatnik, sam rzucił się na ziemię pod murem. Książę ujął dłonią dwa drążki celownicze łoża, nastawił, uregulował mosiężną suwaczkę w dioprze i, ledwie dostrzegając dalekie pola ogniowe szańców austriackich, wykrztusił zeschniętymi ustami:

— Pal!

Czarny od dymu kanonier przyłożył żywy, mocny, kończysty węgiel lontu. Półokrągły ogon łoża skoczył w tył i szczęknął powstrzymywany w klinach legarów. Runął potężny, dźwięczny strzał. Książę był przy drugim dziale. Schylił się, wlepił oko w dioptrę i znowu sennym głosem:

— Pal!

Kiedy kanonierowie rychtowali pierwsze działo, wsunął głowę między policzki strzelnicy i wyjrzał. Grobla przedbramna była pusta, zalana przez białe słońce. Dalej pod dymem rozesało się błoto Payolo tak zielone, kwietne od porostów grązelowych, od lilii wodnych, od mokrych szuwarów i tataraku, że oczu nie można było oderwać. Z okopów austriackich, które stały w drugim rzędzie za linią barkanów i kurtyń, pękały co chwila w morzu dymów nowe stożkowate, śnieżnobiałe ich słupy. Całe powietrze wstrząsało się od dźwięcznego łoskotu, a ziemia trzęsała się nieregularnymi drgawkami. Książę wrócił do roboty, między kanonierów, których białe ze zgrzebnego płótna lejbiki przemieniły się w ciemne łachmany. Pot czarną plamą wylał na ich plecach i barkach. Ręce mdlały od wprowadzania łoż na miejsca. Tylko białka oczu błyskające świadczyły o rozpiętej wścieklej sile.

Nadjechał generał Borton ze sztabem. Już wówczas słabła kanonada. Miasto płonęło. Ludność, schroniwszy się do piwnic i lochów, nie ratowała swego mienia. Nad wieczorem tegoż dnia, po obu stronnym zaprzestaniu walki, książę Gintuł szedł przed samym zachodem słońca do Miglioretto, gdzie było czoło boju. Minął bramę Pusterla, most arkadowy na Corso delle Barche al Palio. Zielona od skrzeków woda, zakisła i nieruchoma, gnijąca pod kożuchami grzybienia, pełna była gruzów i strzępów. Wierzby i eukaliptusy, wysysające wilgoć z błot, były pościnane albo podarte. Na poszarpanej drodze tarzały się niebieskawe od spalenizny czerepy bomb i rozprysłych kul. Smutek śmierci ścisnął serce żelaznymi kłamrami na tej drodze samotnej. Minąwszy Palazzo del Thé książę szedł ku Miglioretto śliczną niegdyś, platanową aleją. Nie ocalało tu ani jedno drzewo. Ogrody były zryte, same groble i forty uszkodzone nadzwyczajnie. Były to ślady bombardowania tych miejsc specjalnie poprzedniego ranka, kiedy nieprzyjaciel wyrzucił 5.114 pocisków granatnikowych i 824 bomby.

Idąc po groblach obok upustów, między cuchnącymi kanałami, książę nie znajdował w żadnym z fortów Axamitowskiego. Miał polecenie od generała Bortona oświadczyć ustnie szefowi baterii polskiej, że nazajutrz całe przedmieście San-Giorgio będzie bez strzału oddane nieprzyjacielowi. Załoga wyjdzie w nocy, bez szelestu. Wszystkie siły należy wyteńczyć ku obronie Miglioretto. Przybywszy do strzałczanu, dwuramnika, wysuniętego na czoło układu wszystkich szańców, bastionów, redanów, kurtyń, lunet i biretów, znalazł olbrzymie zmiany. Wszystkie podmurowania Miglioretto były na poły zburzone, palisady zgorzałe.

W chwili gdy książę przyszedł, Axamitowski po kilku dniach i nocach walk nieustannych spał snem kamiennym. Oficerowie i kanonierowie byli tak spracowani, że drzemali stojąc, półleżąc, zwisając z łoż, wozów prochowych i armat. Noc zapadła. W ostatnim blasku dnia widać było z bliska najszerzą gać błot, zginających się ku Mincio. Jezioro Payolo przeobrażone teraz w bagna, których środkiem ciekła leniwie zgniła rzeczka, porośnięte było gajami nieprzejrzanymi trzciny jasnożółtych, szelestnych, sitowiem, tatarakiem i rokitciną. Gwar szpaków rozlegał się tam na całej przestrzeni. Groblę prowadzącą przez błota do wioski Cerese na zajeździu widziało się w całej długości.

Książę tak przecież był zmęczony, że ledwie spostrzegał i słyszał, ledwie wiedział, gdzie jest. Powtarzał sobie w myśli raz za razem zlecenie i czekał. Wszystkimi siłami ciała starał się, ażeby ustać na nogach. Wszedł po drewnianych stopniach na *banquette* szanca, miejsce wyniesione nad poziom, gdzie stają obrońcy, żeby strzelać ponad ziemne przedpiersie. Przechadzał się tam i na powrót między jednym działem a drugim. Te posępne, spracowane spiże zdały się w tej chwili drzemać, tak samo jak ludzie. Posłaniec uczuł, że jest tu między wszystkimi sam, sam jeden czuwający. Zajadłe ćwierkanie szpaków przemieniało się w dziką melodię... Roje komarów wirowały tu i rzuciły się na twarz. Wstrętne myśli rzuciły się na duszę. Gdy tak błąkał się, głową przewyższając *hauteur d'appui* nasypu szanca, i gdy zabrnął w najciemniejsze pieczary smutku, dano mu znać, że szef wstał i czeka.

Książę zdał mu raport i zarazem prosił o pozwolenie udania się na spoczynek. Axamiowski usłyszawszy wieść hiobową chwycił się za głowę i siedział przez chwilę bez ruchu. Potem dopiero przypomniał sobie drugą prośbę i zaprowadził księcia do baraku w głębi sąsiedniego *bonnet de prêtre*, gdzie sam spał niedawno. Gintuł przycupnął na wygniecionym posłaniu i wnet usnął. Miał sny straszliwe, sny niezapomniane na całe życie, w których zamknięte są światy samoistne, prawdy nam tylko samym wiadome i zjawiska prawdziwie niezemskie. W tym śnie pamiętnym książę przebiegł jakieś inne, całkowite życie od jego początku do końca. Zapamiętał niektóre tylko kształty, ułamki, blaski widzianego świata i jego mglistą całość. Kilkakroć skakały na jego piersi pociski przeraźliwe. Uderzały wypadając z ciemności, naprzód w ziemię jak lane kule, a potem mknęły koło uszu na podobieństwo wielkich chrabąszczów, skarabeuszów niezwyklej wielkości. Wrażenie ich przelotu, ich muskania twarzy szorstkimi skrzydłami było nie do zniesienia. Z przeczennym jękiem, którego z piersi nie można wyrzucić, uciekał przeczuwając, że znowu padnie, odbije się od ziemi i skoczy kula skrzydlata.

Wtem tę trwożę senną, straszliwszą niż wszystko na rzeczywistym świecie, zgniółł gromadny wrzask, jęki, łoskot broni. Książę, wyrwany z twardego snu, ocknął się, ale nie wiedział nic o sobie. W malaryjnej półwiedzy siedział na posłaniu i patrzył przed siebie. W czołach i barkach biretu, w narożnikowych szczególniejszych kątach ujrzał tłok artylerzystów, mocujących się jakby w czasie ćwiczeń gimnastycznych. Żołnierze wielkiego wzrostu przelazili przez wierzchołki przedpiersia i tu, rażeni śmiertelnie wyciorami, drągami, bagnetem, darli się do armat. Gintuł nie mógł pojąć, co to za ludzie. Widział w blaskach ognia ich niskie czarne kapelusze z białą obwódką, białe z ciemnymi potrzebami mundury, szerokie czerwone pasy, ciemne spodnie i czarne kamasze.

— Gułaje! Bij, zabij! — wrzeszczał obok niego jakiś podoficer pędząc naprzód z bagnetem.

— Regiment Franza Guiläy... — myślał książę rozumiejąc teraz dopiero, co się dzieje.

Tymczasem już wszystkie armaty były opanowane. Infanteria austriacka, prowadzona do szturmu przez pułkownika Ridt von Lattermann, pchała się ze wszech stron na okopy. Olbrzymi kanonier austriacki w ciemnopiaskowym mundurze obuchem młota wbijał bretnal w zapal granatnika...

Ale jednocześnie przez wąską szyję szanica krokiem żelaznym a cichym nie wbiegła, lecz zaiste wskoczyła jak pantera kompania grenadierów polskich. Książę zerwał się ze swego miejsca, znalazł szpadę i biegł do szeregu. Szerokie bagnety werznęły się w Austriaków. Zwarty zastęp przebił najbliższych napastników. Ale wdzierały się nowe ich szeregi. Zawrzała bitwa nie na bagnety już, lecz na kolby. Rozwścieczona garść sięgnęła po gardziel wroga. Zrzuceni w ciemność przez wierzch szanica, tonęli w fosach. Bili się na moc, szarpiąc bronią mundury. Rosła kupa trupów i rannych. Wreszcie wewnątrz biretu opustoszało. Napastnik zginął albo wyrzucony został na zewnątrz. Kompania grenaderska chyżym krokiem wysunęła się przez szyję i wsiąkła w ciemność.

Gintuł szedł z nimi. Broń do ataku, krok żelazny, oko wlepione w mrok. We wszystkich naczelnych szanicach wrzała walka śmiertelna. W fosach, między palisadami, w martwych kątach narożników słychać było ciosy i jęki. Kompania idąca naprzód przez rowy, przez zwwały rannych i trupów, dojrzała przed sobą białe mundury. Wzięła je ściągając wilczyimi susy. Wnet byli w bagnach. Już stamtąd dochodził szczepek i ryk boju. Dopadli. Wrzask z tyłu przebitych, rozkazy oficerów szczujące do rzezi, przekleństwa, skomlenie rannych. Chyżo z dobytą szpadą szedł książę, porwany przez uniesienie. W pewnym miejscu kupa białych obskoczona przez Cisalpinów i Polaków biła się po pas w błocie.

W trzcinach wyniosłych, suchych, trzeszczących żołnierze tworzyli zwarte koło. Kogo bagnet dosięgnął, tego spychał w bagno, w żywy grób. Kolba go dotłukła, a obcasy wdeptywały w bajoro. Zeby nie zapadać się w błocie, stawali na żywych jeszcze ciałach i z nich prali w tłum uciekający.

W pewnej chwili kule ogniste oświeciły całe Payolo. To Redel wyczuł swym ogniem skradających się pod wodzą kapitana artylerii Szmita oraz inny oddział pod kapitanem Martynowem wplaw przebywający rzekę. Strychowana z bateriów del Thé runęła na nich kanonada. W wybuchach prochowego ognia książę widział dokoła zbroczone bagnety i lufy, rzygające z ran krwią złane piersi i gęby, wyszczerzone zębce, wywalone, straszliwe oczy. Krwawe szpony wszczepiły się w czyjś włosy... Nowy blask! Własna szpada cała jak

Walka

piorun! Czerwieni się i cieknie gorący ogień krwi. Nowy cios... Po rękojęść! Dłonie, palce, kurczowo chwytają idącego za nogi z głębi trzęsawiska. Zduszone rżenie gardzieli, bełkot ust w błocie. Trzask trzciny. Ktoś ucieka. Szczęk kolby o czaszkę i cichy płacz. W samym kanale Payolo zapasnicy siepali się pierś w pierś, dusili się wzajem za gardła i spychali na wieki do jam śmierci. Coraz już rzadziej, ale coraz wyraźniej rozdzierały ciemności gromy nieludzkich ryków i krzyki zemsty.

Dopiero nade dniem wycieczka była odepchnięta na całej linii. Grenadierowie wlekli ze sobą gromadę niewolnika schwytanego w szuwarach. Książę staplany w bagnie plątał się między ludźmi, dźwigając głowę ciężką jak kowadło. Mróz go przenikał od stóp do głów. Nogi się gięły. Ledwo widząc drogę i przedmioty, zawlókł się rano do swej w mieście izby i nieprzytomny zgoła upadł na łóżko.

Spał teraz jak drewno, pogrążony w potach, dreszczach i ciemności. Gdy się kiedy niekiedy ocknął, znajdował przy wezłowi proste, gliniane naczynie z winem rozcieńczonym wodą. Nachylała się ku niemu ohydna twarz lichwiarza, który mu pożyczał pieniędzy. Był to Żyd z twarzą mantuńską, popielatoczną. Książę widział w półśnie, że lichwiarz przeszukuje kieszenie jego płaszcza, że przewraca w toaletce, gdzie nic cennego nie było. Bawił się tym widokiem. Byleby cisza... Dwa czy trzy razy zjadł skibkę chleba, popił wodą i znowu spać!

Piątego dnia Żyd wbiegł do izby w popłochu i z krzykiem. Targając chorego wrzeszczał przeraźliwie, że Francuzi poddali miasto i wychodzą, że Miglioretto już obsadzone przez Austriaków, a w bramie Ceresie pięciuset ludzi. Książę zrazu nie chciał ruszyć się i nie wierzył, ale koniec końców wstał z łóżka. Ogarnął się jak mógł i wyszedł. Żyd za nim. Mówił prawdę. Piechota z jednym sztandarem generała Foissac-Latoura ciągnęła wolno w stronę mostu Molini ku cytadeli, za nią artyleria z działami. Furgony generała dowodzącego i innych, a nawet powozy oficerskie i ekwipaże ich żon szły dudniąc między gruzami. Przerznawszy się wskroś motłochu, książę zobaczył nareszcie i swoich. Szli w porządku z obnażoną bronią. Artyleria na przedzie, za nią konnica, kompanie piesze na ostatku. Oznajmiono mu, że garnizon poddał się i z honorami wychodzi przez cytadelę, a legia ma rozkaz zamykać kolumnę.

Stanął w szeregu, dobył szpady i postępował obok działa. Pułki lekkie francuskie zajęły sklepienie mosty, minęły je, ale nie posuwały się dalej. Wąskie przesmyki gruntu między jeziorami i na przedmurzu fortecy, zastawione nędznymi domostwami, tak były pełne wojska, że noga ludzka wcisnąć by się tam już nie mogła. Artyleria Axamitowskiego i jej armaty weszły na most, w ciemną czeluść murów grubych, bezkształtnych, trupio szarych od wielowiekowych pyłów mąki. Kompanie piesze wciąż jeszcze stały w ciasnych ulicach. Książę był w szeregu między żołnierzami. Oczy jego włóczyły się bezradnie po starych pajęczynach, które mąka obarczyła, po śladach powodzi i owych posępnych oknach-strzelnicach, co wychodzą na stęchłe jeziora. Milczące w tej chwili młyny były wstrętne jakby tortury średniowieczne.

Gdy tak w ciszy strudzone wojsko czekało na chwilę wyjścia z przeklętego miejsca, biała kolumna austriacka ukazała się z dala w ulicy. Oficerowie szli równo z nią krokiem chyżym. Zbliżywszy się sformowali szyk w dziwny sposób. Naprzód klinem weszli między artylerię i piechotę polską, a potem wzięli broń do nogi. Nikt z Polaków nie przeszkadzał im ani protestował. Wychodzili z honorami na podstawie kapitulacji jawnie zawartej i odczytanej w szeregach. Drugi jej paragraf wszem wobec głosił, że wojska cisalpińskie, szwajcarskie, polskie i piemonckie będą uważane i traktowane pod każdym względem jak wojska Rzeczypospolitej francuskiej.

W pewnej chwili na rozkaz Austriacy pochwycili za broń i nastawili ją przeciwko grenadierom, wołyżerom i artylerii. W tejsze chwili ze wszystkich zaułków, z dziedzińców, zza murów rzuciła się na nieprzygotowanych piechota olbrzymim tłumem. Wydzierali zdradziecko napadniętym z rąk karabiny, czapki wbijali na oczy albo je zdzierali i wlekli obozwałonych po bruku. Wiązali ręce powalonym na ziemię. Oficerowie w pierwszej chwili oniemieli z przerażenia. Ale i ich nie oszczędzono.

Ujrzeni, jak napadniętym w ciasnych zaułkach żołnierzom i podoficerom zdzierają naramienniki i biją nimi po twarzy, jak szarpią za włosy, kopią nogami, tarzają w błocie ulicznym, wiążą ręce i nogi. Ujrzeni wreszcie, że zdzierają mundury oficerskie z tych, którzy je męstwem w bitwach przed oczyma dwu armii zdobyli, wiążą dłonie do lufy karabina,

żeby puszczać przez kije.

— Do broni! — rozległ się krzyk.

Było już za późno. Kolumna była rozerwana na kilkanaście części, a każda z nich obskoczona. Broń wydarto. Z kompanii najbliższej mostu stojących kilkuset żołnierzy chyłkiem przemknęło się ku cytadeli i uszło losu współbraci. I na grupę dwudziestu oficerów artylerii zwała się masa piechoty austriackiej z nastawionym bagnetem. Obstąpiono ich pierścieniem grubym na dziesięciu chłopa. Poznawszy, co się dzieje, wyrwali szpady. Sparli się brat w brata ramionami i utworzyli pierścień obronny. W milczeniu poczęli bić. Szpady ich trzaskały karabiny i bagnety, młynem ognistym warcząc. Raziły i przesywały. Ktoś zaczął komenderować. Błyskawicami nagłych ciosów parli chłopstwo i otwierali sobie drogę. Wnet jednak ten i ów, zajechny bagnetem, osunął się na ziemię. Żywi rozwściekli się od męki, od krzywdy, na widok tej hańby, niesłychanej w dziejach świata. Bili się w szale. Gintuł nie widział świata. Werznął się sam między żołdactwo, w tłum zbity, i prał, na śmierć idąc. Wtem tłum na rozkaz rozchylił się przed nimi w dwie strony. W dali, z ulicy wyjeżdżał orszak generalski, a najdalej, w otoczeniu wspaniałego sztabu, na pysznym koniu generał baron Kray de Krayova. Major Królikiewicz bez czapki, ze skrwawioną szpadą w ręce, blady jak trup poszedł na jego spotkanie i z dala, wskazując, co się dzieje, wołał o rozkaz zaprzestania zbrodni. Feldmarszałek z wyrazem wzgardliwego szyderstwa przymrużonymi oczyma spojrział naokół i rzekł niedbale:

— Wszystko, co się dzieje, dzieje się na mocy paragrafu sekretnego, dodatkowego o kapitulacji z dnia 28 lipca. Nie ma tu żadnego bezprawia. Zbiegowie spod sztandaru Jego Cesarskiej i Królewskiej Mości będą wydani każdy z osobna pułkowi i batalionowi, do którego należą.

Tknął konia ostrogą i chciał w bok odjechać. Ale major Królikiewicz chwycił groźnie cugle jego konia i nie puścił, choć nad nim szable zawisły. Głos mu zapało. Krwawe oczy wlepił w dowódcę.

— Zapewniam każdemu życie... — wycedził marszałek.

W tej samej chwili z przeciwnej strony przymuszony jechał w tłumie oficerów polskiej konnicy blady Foissac-Latour. Zbliżając się do końca mostu zamknął oczy. Oficerowie polscy miotali mu w twarz obelgi. Książę Gintuł złamał swą szpadę i ze wzdrganiem cisnął mu ją w piersi.

Wołano z szeregów:

— Zdrajco!

— Krzywoprzysięzco!

— Spełniłeś największą zbrodnię na ziemi: podstępnie, na hańbę wydałeś zbiegów!

— Patrz teraz w oczy tym, którzy z ognia wyszli, gdzie bez drżenia umierali ich bracia.

— Dawaliśmy ci życie za naszą sprawę i honor. Mówiliśmy ci jak rycerze: Jeśli nas chcesz rzucić na pastwę wrogom dla ratowania Francuzów i siebie, miej odwagę uczynić to jawnie. My wiemy, co czynić mamy. Skłamałeś pod przysięgą.

— Mówiliśmy, że gdy jawnie nam wyznasz, co zamierzasz, zamknijemy się w wieży prochowej i braterskimi dłońmi wszyscy wraz rzucimy ogień, żeby się wysadzić w powietrze. Hańba ci, zdrajco!

Foissac-Latour podniósł oczy. Potem białą, drżącą rękę. W milczeniu, patrząc w zhańbiony tłum jeńców, salutował ich długo.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/popioły-tom-pierwszy>

Tekst opracowany na podstawie: Stefan Żeromski, Popioły. Powieść z końca XVIII i początku XIX wieku, Tom I, Spółdzielnia Wydawnicza "Czytelnik", Warszawa 1953

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska, Paulina Oltusek, Wojciech Kowtwa.

Okładka na podstawie: Jakob Lawitzki@Flickr, CC BY-SA 2.0

ISBN 978-83-288-1050-1

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie wolnelektury.pl.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).